Kogo obraża „GTA”
Co umyka moralistom zwalczającym tę grę ▸22



Jeż z jabłkiem
I inne absurdy na temat zwierząt
▸25



WYSOKIE OBCASY
Sandra Drzymalska
Villas i ja



FOT. MATERIAŁY ROCKSTAR GAMES, SHUTTERSTOCK, ERICH AUERBACH/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Policjanci na krawędzi

▸4

FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 48

Ryszard Petru ma plan
Będzie nowa partia?
▸8

Kim jest „lewak”
Słowa zmieniają znaczenie
▸11

Człowiek, który dożyje 150 lat,
już się urodził
▸28

Jest fado, jest saudade
Opowieść o Amalii Rodriguez ▸46



Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 28 listopada – 3 grudnia 2026 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 278.11377, 1 Nakład 69 tys. + 347,7 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl c8499ac1c9

Michał Olszewski



Widmo Wałbrzycha

24 listopada przed siedzibą rządu demonstrowali wspólnie, co rzadko się zdarza, związkowcy i pracodawcy. Powód? W ostatnich latach w przemyśle meblowym i drzewnym zniknęło 50 tysięcy miejsc pracy. Kłopoty mają nie tylko średni gracze, ale również producenci płyt wiórowych, podwykonawcy dla zagranicznych firm, firmy z tradycjami, a nawet kontrahenci IKEA. Przyczyny: rosnąca rola Chin w przemyśle meblarskim, coraz wyższe ceny drewna, niska konkurencyjność polskich firm.

Jednocześnie Polska Unia Ceramiczna alarmuje, że niewzruszone, jak dotąd, potęgi ceramiczne są zmuszone do coraz głębszych cięć kadrowych. Zwalniają na przykład Cersanit i Ceramika Paradyż. Przyczyny? Rosnące koszty produkcji, coraz większa presja konkurencji, tym razem z Indii. Polski patriotyzm gospodarczy kończy się podczas wyboru płytek do łazienki i trudno mieć o to do konsumentów pretensje, skoro polskie płytki są przeciętnie o połowę droższe.

I w końcu branża motoryzacyjna. Chociaż Polska nie wypuszcza na rynek własnych samochodów, jest cichą potęgą, odpowiedzialną za produkcję podzespołów. Zwolnienia grupowe w polskich zakładach trwają od 2024 roku i ich końca nie widać. Powód? Europejski rynek motoryzacyjny nie wytrzymuje konkurencji z chińskimi producentami.

Polski patriotyzm gospodarczy kończy się podczas wyboru płytek do łazienki i trudno mieć o to do konsumentów pretensje

To jeszcze nie jest dzwon na trwogę. Bezrobocie w Polsce rośnie powoli (z 3,1 proc. w ubiegłym roku do 3,5 proc.), ale w polskiej gospodarce słychać dzwonki alarmowe. Trzy powyższe przykłady są szczególnie jaskrawe – mówimy o branżach, które przez minione dekady uznawane były za polskie specjalizacje na rynku europejskim. I te właśnie branże zaczynają się kruszyć.

Wydaje się, że widać tu wspólny mianownik: to presja znacznie tańszej konkurencji z Azji i wyższe koszty produkcji, wywołane głównie przez rosnące koszty energii i unijną politykę klimatyczną, która z jednej strony jest koniecznością w obliczu postępującego globalnego ocieplenia, z drugiej – zawiesza przed producentami poprzeczkę coraz wyżej. I już widać sygnały, że nie wszyscy są w stanie ją przeskoczyć.

Do tego dochodzi rosnąca niepewność wśród studentów – czy za kilka lat otrzymają pracę, czy też przejmie ją sztuczna inteligencja. Zmiany demograficzne (mniej młodych Polaków wchodzi na rynek pracy) nie powinny uspokajać: oznacza to, że liczba osób w wieku produkcyjnym będzie spadać.

Jeśli sygnały, jakie dochodzą z trzech dużych branż, potraktować jako zapowiedź nadchodzących kłopotów, a nie chwilową turbulencję, to czas, by postawić sprawę jasno: polski przemysł może znaleźć się w opałach, a wraz z nim – cały kraj. Na razie nie słychać, by rząd był na taką ewentualność przygotowany. Część fachowców, którzy tracą pracę, trafia do sektora usług, ale nie jest to rynek nienasycony. Wobec rewolucji AI jesteśmy bezradni. Zresztą, jak i czym konkurować ze wschodnimi potęgami, które zjadają nas po kawałku?

Pamiętam, jak wyglądał Wałbrzych lat 90. Był to widok przygnębiający. Stanął na nogi dzięki branży motoryzacyjnej i ceramicznej. Oby sygnały, które docierają z zakładów pracy nie zwiastowały, że ten widok powróci. ●

Andrzej rysuje



Liczba tygodnia

11

PROC.
o tyle wyższy byłby dziś poziom PKB na jednego mieszkańca Wielkiej Brytanii, gdyby Brytyjczycy przed dekadą nie zdecydowali o wyjściu z Unii Europejskiej
Więcej ▶ wyborcza.biz

Cytat tygodnia

Każdą Rosjankę trzeba nakłaniać do urodzenia co najmniej siedmiorga dzieci jeszcze przed osiągnięciem 30. roku życia, bo tylko dzięki temu można mieć tyle dusz, ile potrzeba, by zagospodarować przestrzenie imperium



PROF. WALENTIN PAWŁOW,
akademik
Rosyjskiej Akademii Nauk

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Agnieszka Kublik



Sznur z podwójnym węzłem gordyjskim

Sędzia Anna Korwin-Piotrowska nie tylko uruchomiła zdychający Trybunał Konstytucyjny, który w parę dni zaczął sprawnie funkcjonować, ale i zmusiła przeciwników do odkrycia kart. Co skończyło się ich kompromitacją. I co na dobre wyjdzie praworządności.

Dwa tygodnie temu prezydent Karol Nawrocki wdarł się siłą do siedziby Trybunału. Na stałe zapisał się w historii III RP jako ten, który leśne kibolskie ustawki przeniósł nocą wprost do sądu konstytucyjnego. Wedle doniesień chciał wyrzucić z budynku sędzię Korwin Piotrowską, by zainstalować tam Bogdana Święczkowskiego, którego Korwin-Piotrowska właśnie zawiesiła w funkcji prezesa TK.

Zamiast tego prezydent przesiedział kilka godzin w pokoju dla kierowców. Jaki lider, taki zamach. Więc, żeby odwrócić rzeczywistość, to zamachowcy zaczęli wrzeszczeć o zamachu. Tymczasem Trybunał zaczął działać.

Zgromadzenie Ogólne uchwaliło budżet. Wylosowało składy dyscyplinarne, które sprawdzą legalność zawieszenia Święczkowskiego. Sędziowie uchylili mu immunitet. Poprawiają niedemokratyczne regulaminy – na przykład teraz wnioskować o rozpatrzenie sprawy przez Zgromadzenie może każdy sędzia TK. Nadają sprawom bieg – a z 1171 zalegających spraw aż 706 jest bez nadanego biegu. Wreszcie, przetrząsając archiwa, odkrywają nieprawdopodobną skalę politycznych manipulacji składami orzekającymi.

Święczkowski uznaje ETPCz, Nawrocki przyznaje, że nie ma prawa. Bilans trzech tygodni z nowym Trybunałem Konstytucyjnym

Natomiast patriotyczno-religijne odpusty w alei Szucha, którymi TV Republika chciała ugruntować pozycję najważniejszego medium nacjonalistycznej prawicy, stały się obciachowe.

Wspólnym wysiłkiem – bo nie tylko za sprawą Korwin-Piotrowskiej, ale i własnych działań – skompromitowali się:

- Święczkowski, który podważył swoje wcześniejsze decyzje. W maju Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu nakazał nie utrudniać wykonywania obowiązków sędziom TK, od których prezydent nie odebrał ślubowania. Święczkowski uznał, że ETPCz nie ma prawa mu się wtrącać i utrudniał nadal. Teraz chciał, by ETPCz jednak się wtrącił i zawiesił jego zawieszenie. Przegrał. A uznając ETPCz za kompetentny w jego sprawie, przyznał, że w maju popełnił błąd, nie dopuszczając sędziów do orzekania – za co właśnie został 30 października zawieszony. Ukręcił na siebie sznur z węzłem gordyjskim.
- Nawrocki, pokazując, że jego projekt o naprawie TK to nic innego, jak zalegalizowanie prezydenckiego bezprawia. Chcąc wpisać do ustawy prawo prezydenta do ostatecznego zatwierdzania kandydatów na sędziów TK, przyznał, że teraz nie ma prawa decydować, którego z sędziów dopuścić do orzekania, a którego nie.
- Zbigniew Kapiński, neosędzia, I prezes Sądu Najwyższego, pomagając Nawrockiemu w siłowym wtargnięciu do TK. A potem skompromitował się i jurystycznie, usiłując uchylić zawieszenie Święczkowskiego, choć SN nie ma żadnych kompetencji wobec TK, i wizerunkowo, oferując zawieszonemu prezesowi tymczasową siedzibę, czyli pokoik w siedzibie Sądu. Przy okazji kompromitując tych, których chciał wesprzeć, wystawiając Święczkowskiego i garstkę wiernych mu sędziów na szyderstwa o „jednopokojowym Trybunale na uchodźstwie”.
- Prof. Jacek Chlebny, prezes NSA, popierając na piśmie zamach Nawrockiego. Na czym polega kompromitacja, chyba nie trzeba wyjaśniać, zważywszy stanowisko, jakie piastuje. Gorzej, że cierpi też ranga instytucji.

Premier Tusk obiecał przełom. Czy jest nim normalność w Trybunale, normalność w praworządności? Jeśli tak – dowiózł obietnicę.

W poniedziałek w „Dużum Formacie”

Słowo „lesbijka” nigdy nie padło

W szkole słyszałam, że jestem chora. Oczywiście sprawdzałam w słownikach słowo „homoseksualizm”, ale homoseksualiści to byli mężczyźni, którzy żyją z mężczyznami, a nie ja.

Z Elżbietą Czerwińską, współzałożycielką Wydawnictwa Sic!, żoną Renaty Lis rozmawia Katarzyna Bielas



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

eprasa.pl c8499ac1c9

Po ataku na Polskę

Putin będzie nas testował

Wchodzimy w nową fazę rosyjskiej agresji na Ukrainę i rosyjskich operacji w innych krajach. Moskwa będzie rozszerzać wojnę hybrydową i coraz częściej nas prowokować.

Roman Imielski



FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Służby pakują do ciężarówki rosyjski dron bojowy, który naruszył przestrzeń powietrzną Polski i spadł w Wohyniu. 10 września 2025 r.



Przez ponad trzy lata rosyjskiej agresji na Ukrainę Putin nie zdecydował się na tak jasne wysłanie nam wiadomości – skierowanie na terytorium państw NATO rakiet manewrujących z głowicami bojowymi ani dużej ilości dronów. Aż do września 2025 r., gdy w polską przestrzeń powietrzną wleciało 20 bezpilotowców-wabików. W lipcu 2026 r. pocisk manewrujący Ch-101 uderzył w pole niedaleko wsi Tarnawa-Kolonia w województwie lubelskim. I wreszcie 20 listopada aż trzy rakiety Ch-101 wleciały nad nasze terytorium i spadły w województwach lubelskim i podkarpackim.
To nie są przypadki, tylko przemyślana strategia. To nie jest sytuacja jak z 2023 r., gdy pod Bydgoszczą odnaleziono szczątki starej rakiety Ch-55, używanej przez Rosjan jako wabik podczas zmasowanych ataków na Ukrainę. Spadła sześć miesięcy wcześniej, nie miała głowicy bojowej i zapewne z powodu awarii poleciała nad Polskę. Zakończyła żywot, gdy skończyło się paliwo.

Zdarzało się też, że rosyjskie drony uderzały w miejsca w Rumunii, co było efektem ubocznym ataków na ukraińskie cele na granicznym Dunaju – porty przeładunkowe w Reni, Izmaile i Kilii, kluczowe dla eksportu zbóż i importu paliw.

Mieszanie w wyborach

Do jesieni 2025 r. Kreml prowadził na naszym terytorium akcje dywersyjne i sabotażowe, takie jak podpalenie centrum handlowego Marywilska w Warszawie w maju 2024 r. Od lat prowadzi także wielką operację dezinformacyjną i propagandową w internecie. Wspiera prorosyjskie środowiska, które już jawnie nawołują do układów z Putinem i którym marzy się „zapach rosyjskiego gazu o poranku". I będzie wspierał je tym bardziej, im bardziej będzie stabilne poparcie dla takich ludzi jak Grzegorz Braun.

Powodów jest wiele. Moskwa jest cierpliwa i rozpisała swoją operację na wiele miesięcy. Będzie mieszać w wyborach parlamentarnych w naszym kraju, które odbędą się jesienią 2027 r. i w których antyeuropejska, antyukraińska i prorosyjska prawica ma szanse na spory sukces, łącznie z utworzeniem koalicyjnego rządu. To nie jest przesądzone, obecna koalicja ma równie duże szanse na utrzymanie władzy, ale zagrożenie jest dużo, a szansa dla Kremla oczywista.

Putinowi spieszy się również dlatego, że sytuacja na froncie w Ukrainie jest dla Rosji bardzo niekorzystna

Wiosną 2027 r. odbędą się też kluczowe wybory prezydenckie we Francji, w których Emmanuel Macron, zwolennik twardego kursu wobec Rosji, nie może już startować i nie ma dobrego swojego kandydata. Za to realne szansę na zostanie głową państwa ma Marine Le Pen, liderka skrajnie prawicowego i prorosyjskiego Zjednoczenia Narodowego.

Już odniosło ono ważny i symboliczny sukces. Po wrześniowych wyborach wraz z sojusznikami z Unii Prawicy Republikańskiej Erica Ciottiego po raz pierwszy w historii ma tylu senatorów, by utworzyć w tej izbie własny klub.

W Niemczech rośnie w siłę Alternatywa dla Niemiec (AfD), której marzy się powrót do „business as usual" z Rosją, zniesienie sankcji na państwo Putina i nowe wielkie kontrakty na dostawy gazu i ropy.

W tych politycznych kotłach Putin będzie mieszał jak tylko będzie mógł, by destabilizować sytuację w Polsce, Francji czy Niemczech. Będzie wzmacniał swoich „pożytecznych idiotów" i jawnych agentów, wreszcie osłabiał takie instytucje jak UE czy NATO. Bo im więcej w nich sporów i kłótni, tym są one mniej efektywne i łatwiej je skłonić do ustępstw.

Putinowi brakuje kart

Elementem tej operacji są też ataki militarne na terytorium Polski, bo inaczej posyłania fali dronów i rakiet manewrujących nazwać nie można. Nasi wojskowi potwierdzają, że urządzenie naprowadzające w pocisku Ch-101, który spadł w lipcu br., były ustawione tak, by spadł tam, gdzie spadł.

Rosja takimi działaniami chce zastraszyć polskie społeczeństwo, wbić klin w sojuszników z NATO (amerykańska administracja Donalda Trumpa do dziś nie potępiła tych „przypadkowych incydentów", jak je nazywa), wreszcie wzmocnić „pokojowe" (czytaj prorosyjskie) środowiska. Te nawołujące do natychmiastowego wstrzymania wszelkiej pomocy dla Ukrainy i jej kapitulacji wobec Putina, czyli oddania całego Donbasu i reszty okupowanych dziś terenów.

Ale to szersza operacja. Kreml jednocześnie kupuje sobie poparcie Trumpa, który nazywa Putina „przyjacielem", i jego ludzi obietnicami wielkich zysków po zakończeniu walk na froncie i – na co bardzo Moskwa nalega już dziś – zniesieniu sankcji. Próbuje na nowo wywołać temat „nowych szerokich europejskich gwarancji bezpieczeństwa", czyli de facto wycofania się NATO z flanki wschodniej, przede wszystkim Polski i krajów bałtyckich. Padła nawet propozycja, by Rosja podpisywała z każdym państw osobno traktaty o nieagresji i współpracy.

Putinowi spieszy się, bo amerykańskie wybory połówkowe z początku listopada okazały się klęską zwolenników Trumpa. Demokracji odbili Izbę Reprezentantów i Senat. Nowy Kongres, który zbierze się w styczniu, zacznie blokować wiele pomysłów prezydenta USA. W tym te dotyczące relacji z Rosją.

Putinowi spieszy się też, bo sytuacja na froncie w Ukrainie jest dla Rosji bardzo niekorzystna. Linia walk od blisko dwóch lat jest praktycznie zamrożona, a w ostatnim czasie Ukraińcy przejęli w kilku miejscach inicjatywę i odbijają niewielkie obszary.

W dodatku Kreml ma problem z uzupełnianiem wojennych strat. Z wykradzionych właśnie danych Rosstatu (odpowiednik Głównego Urzędu Statystycznego) wiemy, że od 24 lutego 2022 r. zginęło lub zaginęło ok. 720 tys. żołnierzy. A przecież rannych i okaleczonych jest wielokrotnie więcej. Rośną także bieda i skrajne ubóstwo Rosjan, bo programy socjalne znikają, zabijane przez utajnione wydatki na wojsko.

Nie udało się też rozbić koalicji przyjaciół Ukrainy, której kluczowym krajem jest Polska. Ten sojusz wspiera Kijów i finansowo, i militarnie, cyklicznie kupując broń i amunicję dla walczącego z agresorem kraju.

Putinowi zostaje coraz mniej kart na ręku. Dlatego musi grać coraz ostrzej, by zyskać nowe asy.

I, niestety, będzie grał. ●

Roman Imielski

eprasa.pl c8499ac1c9

WAŻNY TEMAT

12 nabojów na kwartał

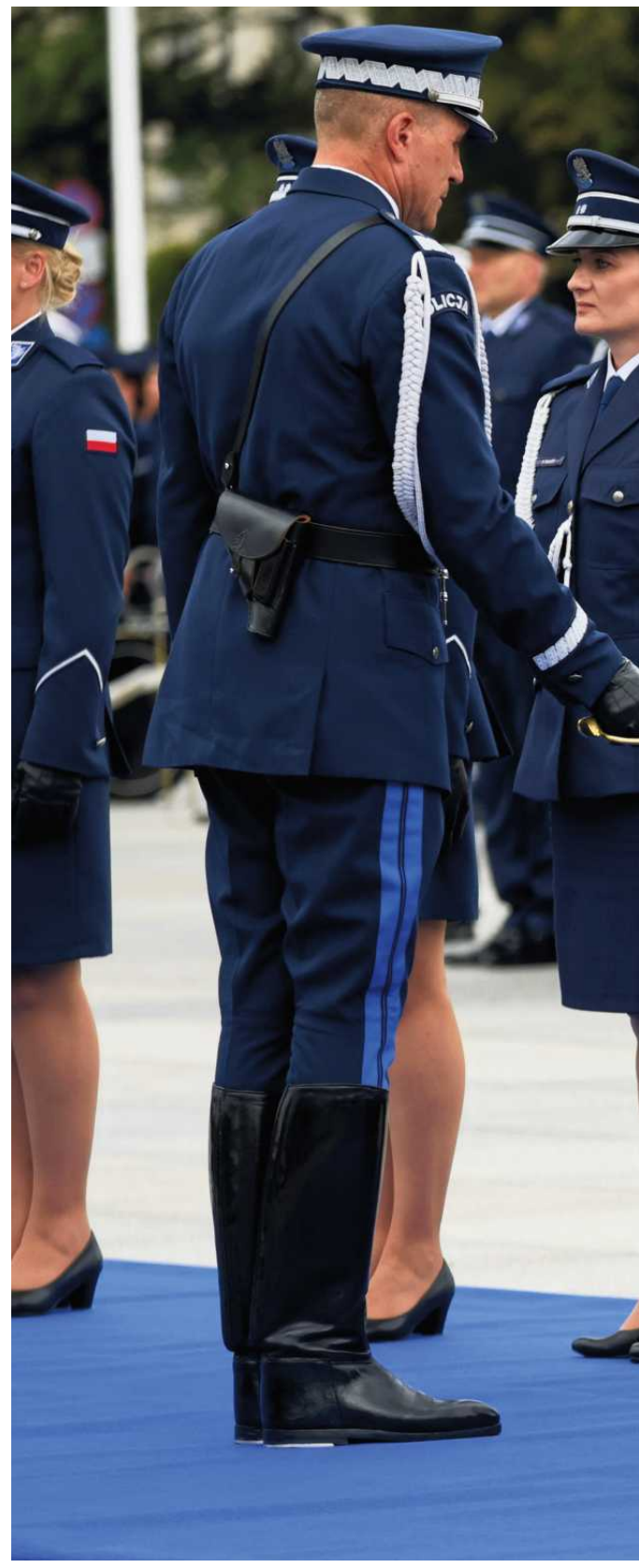

Jak rządzi PiS, jesteśmy „PiSlicją”, jak Platforma – „POlicją”.
Po roku, dwóch służby człowiek przestaje się tym przejmować

Krystyna Romanowska

Byłem z dzieciakami na spacerze, kiedy zadzwoniła narzeczona: „Jakiś facet przebrany za żołnierza strzela do ludzi”. Zacząłem oglądać nagrania i nie mogłem uwierzyć. Przecież to moje ulice! Ja tam niejedną parę butów zdarłem na patrolach.

Poczułem ten charakterystyczny smród krakowskich kamienic. Zapach najlepszego ramenu z knajpy, do której często chodziliśmy. Jakbym znowu tam był. I jak bardzo czułbym się nieprzygotowany. Nieostrzelany, bez sprzętu, znużony przypierdalaniem się przełożonych, tym „a ile mandatów przyniosłeś” – mówi funkcjonariusz służby wywiadowczo-patrolowej.

Dziś służy w jednym z komisariatów powiatu krakowskiego i po 18 latach w mundurze postanowił opowiedzieć, jak wygląda codzienność posterunkowego i co czuje „pies” na służbie. A zwłaszcza po służbie.

90 strzałów w 3 minuty

No to ruszajmy. Z tej ulicy od lewej strony wyjechał tutaj od Sławkowskiej. Wjechał troszkę na chodnik po prawej stronie. I auto zatrzymał. Tak jak tutaj te betonowe słupki stoją mniej więcej. Pierwsze strzały padły tutaj, na wysokości studzienki kanalizacyjnej. To są tamte ślady po czterech kulach odbitych na murze, a pod spodem stoją kwiaty. Któraś z kul się odbiła od muru i zraniła osobę po drugiej stronie ulicy. To pokazuje, z jaką siłą leciały te pociski. Używał półpłaszczowych.

Co znaczy półpłaszczowy? Taki, że się rozpryskuje w ciele – fragmentuje po prostu na kilka części – stąd lekarze mówili o niestandardowych obrażeniach u ofiar, stąd duża liczba ofiar w stosunku do ludzi postrzelonych.

Potem wsiadł i jechał dalej. Tego nie ma na publicznie dostępnych nagraniach monitoringu, ale on tutaj jechał i przez lewą szybę strzelał do ludzi, którzy siedzieli w ogródkach. Nikt ranny nie został, widzę, że panele już powymieniali, bo było kilka śladów po kulach.

Mniej więcej na tej wysokości przełożył karabin na drugą stronę albo strzelał przez przednią szybę. Tu stoją dorożki. Konik jeden został ranny, na szczęście tylko skóra była przecięta. Bardzo poważnie ranił panią dorożkarkę, dostała w głowę, kulkę w płuca i w nogę. Jednej osobie, która była wówczas w dorożce, urwało palec i jedna osoba zginęła tam, na wprost, jak widzimy te znicze.

Do tego momentu oddał około 90 strzałów, czyli trzy pełne magazynki, a my ten kawek w ile przeszliśmy, w 3 minuty?

Dobrze się przygotował – wiedział, że trzeba wjechać od tamtej strony. Tu jest najszerzej, wiedział, żeby tutaj skręcić w prawo. Jeżeliby pojechał w lewo, nie przejechałby Bramą Floriańską, bo jest wąska – przystosowana do wozów konnych, a nie samochodów.

•

Nikt się z nikim nie umawiał i nikt nikogo nie wzywał. Po prostu tego dnia, 7 listopada wieczorem, policjanci zaczęli się zjeżdżać na posterunek. Jednemu koledze narzeczona przywiozła plecak z jedzeniem i piciem, bo nie wiadomo, kiedy wróci.

Pytaliśmy siebie, co się właściwie dzieje. Czy to już koniec czy dopiero początek czegoś większego? Czy to nie jest jakaś szerzej zakrojona akcja jak w Hiszpanii lata temu? Siedliśmy w tym naszym komisariacie, pokazywaliśmy sobie filmiki i milczeliśmy. Uwierzy mi pani, że bez słowa. Dwie godziny ciszy. Podobno miłość braterska jest bardzo wysoko w hierarchii ludzkich uczuć. Może właśnie o to chodziło.

Większość wcześniej pracowała w Komendzie Miejskiej Policji w Krakowie. Ja też, na Starym Mieście. Dokładnie w tym komisariacie, w którym służą nasi bohaterowie.

Widziałem kolegów, chłopów dwa razy większych ode mnie, niektórzy po misjach w Afganistanie, w Kosowie, a płakali, autentycznie beczeli jak dzieci. W policji jak w każdym zakładzie pracy. Są różne niesnaski, jeden drugiego lubi, ktoś z kimś nie rozmawia, ktoś ma do kogoś pretensje. A wtedy to wszystko przestało mieć znaczenie.

Pani pyta, co wtedy czułem? Przede wszystkim strach o życie Kuby i Artura. I wyrzuty sumienia, że to ja powinienem ochronić ten mój kawałek Krakowa i tych ludzi na Rynku. Dlaczego mnie tam nie było? Dlaczego akurat dzisiaj miałem wolne? Może strzeliłbym lepiej? Chociaż przecież nie dało się lepiej.

W jakimś sensie w tym pieprzonym strachu i z zaciśniętymi gardłami wszyscy ich cholernie podziwialiśmy. Że znaleźli się tam i go zatrzymali. Bo gdyby ten chuj doszedł do Dietla, ofiar byłyby setki.

Paliliśmy papierosy, a ja patrzyłem na nasze ręce. Wszystkim się trzęsły, koledze włączyły się przykurcze padaczkowe na twarzy. Stare policyjne strachy. Nagle zaczęło do mnie wracać wszystko, co przez te lata gdzieś tam w sobie pochowałem. Jak kilka lat temu na jednym z krakowskich osiedli musiałem strzelić do bandyty z nożem. Potem wróciła historia kolegi z patrolu. Jakiś żul oblał siedmioletnią córkę benzyną i stał nad nią z zapalniczką. Kolega miał tylko jedną możliwość, żeby go powstrzymać: musiał strzelić mu w głowę.

Czy to był strach? Bardziej eksplozja emocji. Bo ktoś w końcu pokazał, kim my jesteśmy. Ja naprawdę uważam, że 90 procent policjantów zachowałoby się podobnie. Może ktoś strzeliłby celniej, może ktoś by nie trafił. Ale stanęliby do walki. Bo po to jesteśmy.

Wszyscy wbiegli do Zary, więc się tam zatrzymał

Tutaj była kolejna ofiara. Prawdopodobnie parę metrów wcześniej przełożył karabin, mniej więcej pod kątem 90 stopni, za Pomnikiem Mickiewicza, też jedna osoba zginęła.

Skręca w prawo. Tam jest ta słynna Zara, przy której największa masakra się odegrała. Bardzo wiele osób zostało rannych. Dopiero kiedy tutaj dojechał, ludzie zaczęli uciekać. Niestety, większość pobiegła na ulicę Grodzką, czyli wzdłuż linii strzału, ale teraz łatwo nam się to ocenia, wtedy była panika. I znowu tutaj wystrzelał od 60 do 90 naboi.

eprasa.pl c8499ac1c9



Strzelał podczas jazdy, jednocześnie prowadził pojazd i trzymał broń. Musiał ją odkładać, żeby wymienić magazynek. Miał przygotowany drugi karabinek i kilka pistoletów.

Najwięcej ludzi na Rynku gromadzi się w trzech miejscach: przy Pomniku Mickiewicza, Kościele Mariackim i Sukiennicach. Ci, którzy znajdowali się najbliżej Sukiennic, byli stosunkowo najbezpieczniejsi.

Kiedy rozpoczęła się strzelanina, wielu uciekło do Zary, bo ten sklep ma szerokie, łatwo otwierające się drzwi, w przeciwieństwie do większości tutejszych lokali w średniowiecznych kamienicach. Zatrzymał się właśnie przed Zarą i zaczął napierdalał prosto w sklep.Szyby już są wymienione, ale niedawno to całe te drzwi były po prostu poszatkowane przez kule.

Przy okazji oczywiście wrócił temat pozwoleń na broń. Trzeba je lepiej weryfikować. Zgadzam się. Przede wszystkim należy się przyjrzeć badaniom psychologicznym i psychiatrycznym. Widziałem też ciekawy pomysł, żeby dostęp do broni był stopniowy, trochę jak z prawem jazdy. Przez pierwsze pięć lat od uzyskania pozwolenia można byłoby kupować tylko określone rodzaje broni sportowej. Po kolejnych pięciu na przykład strzelbę. A dopiero po siedmiu, ośmiu czy dziesięciu uzyskiwałoby się dostęp do szerszej kategorii broni, takiej jak samopowtarzalna. Dziś cywile mogą ją kupować.

Tylko nie możemy przesadzić w drugą stronę. Interesuję się bronią i wiem, że nie wszystko jest takie proste, jak się ludziom wydaje. Gdyby Kuba i Artur nie trenowali prywatnie strzelania, to wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

• Pierwszy zastępca Komendanta Głównego Policji, nadinspektor Roman Kuster podczas centralnych obchodów Święta Policji. Promocje oficerskie, Warszawa, Pl. Piłsudskiego 24 lipca br.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Wierzym w Boga i w Karola" – intrygujący jest refren tej piosenki: „Niech żyje Polska, polska demokracja, a uzurpatorów czeka defekacja".

Bo wie pani, ile razy policjant strzela w ciągu roku? Trzy, może cztery razy. To są bardzo małe ilości amunicji, zdecydowanie za małe, żeby utrzymać dobry poziom wyszkolenia strzeleckiego. U nas to jest 12 nabojów na kwartał. 12! Ja myślę, że nieraz więcej nabojów znajduję w pralce, kiedy wrzucam spodnie. Autentycznie. Przeciętny strzelec w Polsce, który ma pozwolenie na broń do celów sportowych czy kolekcjonerskich, jedzie raz w miesiącu na strzelnicę i bierze 120 nabojów. Czyli w miesiąc wystrzeliwuje ponad dwa razy więcej niż policjant przez cały rok.

Są instruktorzy, starają się wykorzystać tę żenującą ilość amunicji do maksimum. Miałem do czynienia z takimi, którzy dostosowują strzelania do warunków na ulicy. Kładą nacisk na szybkość dobycia broni, przeładowanie, oddanie strzału. Bo przecież podczas interwencji nie stoimy sobie spokojnie 20 metrów od celu z przygotowaną bronią. Musimy strzelać z różnych pozycji, przewracając się do tyłu, leżąc, czołgając się pod samochodem. Musimy umieć strzelać po ciemku. Ocenić, czy pierwszy albo drugi strzał odniósł zamierzony skutek. Bo jeśli człowiek z nożem się przewrócił, nie ma potrzeby strzelać do niego dalej.

Pamięta pani tę aferę ze zdjęciem policjantów z pistoletami maszynowymi w warszawskim metrze? Jezus Maria, co się wtedy działo! Policja z bronią maszynową chodzi między ludźmi, do kogo oni zamierzają strzelać, zaraz będą zabijać Polaków. A przecież policjanci w metrze mają taką broń od kilkunastu lat!

Poza tym pistolet maszynowy to nie jest żadna cudowna broń. Strzela tym samym nabojem co zwykły pistolet. Jeżeli napastnik ma odpowiednią kamizelkę kuloodporną, może się okazać niewystarczający. Ale ludziom wystarczyło pokazać policjanta z czymś większym niż pistolet przy pasie i już histeria. Politycy jeszcze to podkręcali.

Ja się już przyzwyczaiłem do tej sinusoidy nastrojów społecznych wobec policji. Po Euro 2012 zaufanie do nas wzrosło. Potem Światowe Dni Młodzieży w Krakowie. Wszystko zabezpieczyliśmy na tip-top. Ludzie nam klaskali, niesamowita atmosfera. Później ujawniono nagrania ze sprawy Igora Stachowiaka, tego chłopaka zabitego w komisariacie, i zaufanie znowu poleciało w dół. Potem jeszcze była sprawa tego Francuza rażonego paralizatorem w Lublinie. Później obrona granicy z Białorusią i znowu wzrost poparcia. W koło Macieju.

Do tego dochodzi polityka. Jak rządzi PiS, jesteśmy „PiSlicją", jak Platforma – „POlicją". Po roku, dwóch służby człowiek przestaje się tym przejmować. Polityka

eprasa.pl c8499ac1c9

to niesamowite bagno i każdy policjant wie, że nie należy się mieszać. Każda partia będzie próbowała wykorzystać to, co policja zrobiła albo czego nie zrobiła, do swoich celów. Przyzwyczailiśmy się. Polityka jest jednym z ostatnich tematów, o których rozmawiamy na służbie.

Zadziwia mnie, że naprawdę są ludzie, którzy, widząc uzbrojonego policjanta, myślą, że to on jest dla nich zagrożeniem. Nie bandyta, nie terrorysta, nie jakiś pojeb, który może za chwilę zacząć strzelać do przypadkowych przechodniów. Policjant! Człowiek, którego zadaniem jest właśnie powstrzymanie tego pojeba.

Potem wydarza się coś takiego jak w Krakowie. Dwóch chłopaków staje naprzeciwko człowieka uzbrojonego po zęby. Co mają? Pistolety P99. W Czechach, Austrii czy Niemczech policjanci patrolujący duże miasta mają dostęp do znacznie poważniejszego uzbrojenia. A u nas? U nas, kurwa, jak w 1939 roku.

Oczywiście mówię w cudzysłowie, ale to jest właśnie ta nasza polskość. Z szablą na czołgi. Jeszcze mamy pretensje, kiedy policjant chciałby mieć karabinek, bo może przecież kiedyś przyjdzie mu stanąć naprzeciwko człowieka, który taki karabinek już ma.

Przecież obowiązują określone stopnie alarmowe. BRAVO, CHARLIE. To nie są jakieś dekoracyjne nazwy wymyślone w Warszawie. Za tym powinny iść konkretne działania, odpowiednie wyposażenie, przygotowanie policjantów do realnego zagrożenia. A wie pani, jak to wygląda w praktyce? Mieliśmy zadania związane z ochroną infrastruktury krytycznej. Istniało zagrożenie dywersją. Przez kilka miesięcy musiałem się dopominać o karabinek. Policjant, który ma chronić obiekt przed potencjalnie uzbrojonym dywersantem, musi prosić o broń pozwalającą mu w ogóle podjąć walkę.

Najpierw człowiek próbuje normalnie. Idzie do przełożonego, tłumaczy, jakie jest zagrożenie, czego potrzebuje, dlaczego. Właściwie już samo to jest absurdem. Przecież to nie policjant powinien chodzić i prosić, żeby państwo umożliwiło mu wykonywanie obowiązków.

Ja słyszałem odpowiedź: „Oni są tam, daleko, w Warszawie, to niech sobie tam rządzą, a nie tutaj". Rozumie pani? Mamy określony stopień zagrożenia terrorystycznego, państwo wydaje polecenia, a na dole ktoś uznaje, że Warszawa jest daleko i on wie lepiej. Normalnie „U Pana Boga w ogródku". Pamięta pani ten film? Ten komisariat, ci policjanci, ta cała rzeczywistość, w której wszystko jakoś się załatwi, jakoś się uda, a najlepiej, żeby nikt nikomu głowy nie zawracał.

Tylko tutaj nie ma się z czego śmiać. Bo kiedy naprawdę przyjedzie człowiek z karabinem i zacznie mordować ludzi, nie stanie przed nim żaden minister, komendant ani urzędnik, który miesiącami nie potrafił podjąć decyzji, tylko dwaj zwykli policjanci. Z tym, co akurat dostali do ręki.

Uposażenie zasadnicze w policji

Kwoty w zł



© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: PRACA.POLICJA.PL

Sytuacja kadrowa policji

Dane na 17.11.2026

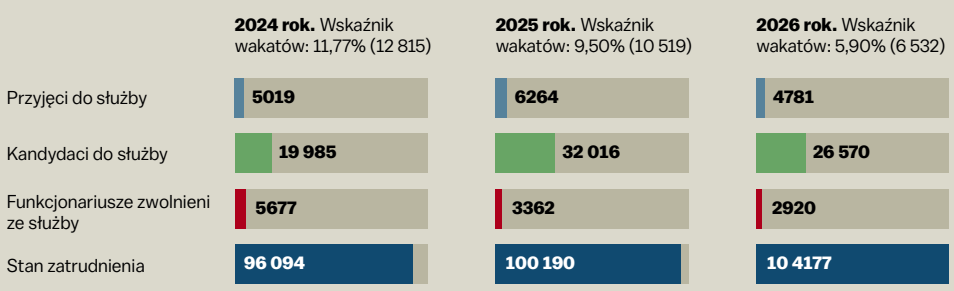

© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: POLSKA POLICJA NA X

A może miał nieszczęśliwe dzieciństwo

On kontynuuje jazdę. Prawdopodobnie jeszcze strzela na wprost, a może już w ogóle nie strzela. Trudno powiedzieć. Bo w tym momencie coś go płoszy, wybija z rytmu. Nadjeżdża radiowóz Straży Miejskiej. Strażnicy są nieuzbrojeni, więc przepuszczają radiowóz policyjny. A on na pełnej szybkości jedzie bezpośrednio w jego kierunku. Prawdopodobnie od strony Grodzkiej.

Ale jest jeszcze jedna ważna rzecz. On wiedział, którędy nie jechać. Pamięta pani, jak staliśmy tam wcześniej? Zgodnie z organizacją ruchu, bo przecież mamy ruch prawostronny, powinien skręcić w prawo. Ale nie skręcił. Dlaczego? Bo tam, praktycznie na przestrzał, jest posterunek policji i Straży Miejskiej. To nie był żaden przypadkowy przejazd.

On sobie pewne rzeczy zaplanował. To był typowy active shooter. Prawdopodobnie z jakimiś zaburzeniami, ale wiedział, co robi. Miał jeden cel: zabić jak najwięcej ludzi. I robił to na zimno.

Jest taka zasada, że o sprawcach masowych zabójstw nie powinno się mówić, nie powinno się ich przypominać. No ale w praktyce to jest niemożliwe. Trzeba szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego coś takiego się wydarzyło.

Bo potem pojawia się serial o Dahmerze, tym seryjnym kanibalu z Milwaukee. I jaki jest odbiór? Ludzie zaczynają się doszukiwać w nim czegoś romantycznego. Jakiegoś odrzuconego, nieszczęśliwego mężczyzny. Zaczynają szukać usprawiedliwienia. Może miał nieszczęśliwe dzieciństwo, może nikt go nie kochał?

Nagle, zamiast rozmawiać o tym, co zrobił ofiarom, zaczynamy się zastanawiać, czy przypadkiem sam nie był ofiarą. Totalny idiotyzm.

●

Wydaje mi się, że spora część policjantów przyjechała wtedy na komisariat dlatego, że nie do końca znalazła zrozumienie we własnym domu. Człowiek, który nie pracuje w policji, nie poczuje tego samego. Nawet jeżeli bardzo kocha męża, żonę, syna czy córkę, którzy są policjantami. Może ci policjanci oczekiwali od swoich żon, dziewczyn, mężów, rodziców jakiejś innej reakcji. Większego wzruszenia, większych emocji.

Wróciłem do domu, a narzeczona przygotowała nam cudowny wieczór. Rozłożyła grę planszową, zrobiła coś do picia. To było naprawdę wspaniałe. Tylko ja nie potrafiłem się na niczym skupić. Chyba zaczęliśmy grać w szachy, ale ja co chwilę zerkałem na telefon. Cały czas sprawdzałem, czy ci policjanci żyją. Narzeczona była trochę na mnie zła. Dla niej to był wieczór, który mogliśmy spędzić razem, a ja myślami cały czas byłem przy tych chłopakach.

W pewnym momencie pojawiła się informacja, że trzeba oddawać krew. Była chyba pierwsza w nocy. Narzeczona poszła już spać, a ja zacząłem się zbierać. Obudziła się, bo ma bardzo czuły sen. Zapytała, co ja odpierdalam, więc powiedziałem, że jadę oddać krew policjantom. Nie rozumiała, dlaczego akurat ja muszę jechać, skoro przecież krwi jest dużo. Popatrzyłem na nią jak na ufoludka. Jak to, dlaczego ja muszę? O czym ty do mnie mówisz?

Pyta pani, czego potrzebuje policjant w takim momencie? Żeby mu powiedzieć coś prostego. Na przykład: „Wiem, że nie jesteś tylko od spisywania samochodów stojących na zakazie. Pamiętam, jak rok temu opowiadałeś, że goniłeś jakiegoś złodzieja. To było dobre, to było wspaniałe. Jestem z ciebie dumna(-ny). Wiem, że to twój obowiązek, ale przecież sam wybrałeś sobie takie obowiązki".

A może też, żeby potraktować go jak małe, przestraszone dziecko. Tak bym to określił. Małe, przestraszone dziecko. Może przytulić, pozwolić mu się wypłakać?

Bo policjant też potrzebuje się wypłakać. My jesteśmy gośćmi, którzy naprawdę widzieli najgorsze zło tego świata, ale my też płaczemy. Mam nawet takie wrażenie, że u policjantów wrażliwość jest na dużo wyższym poziomie niż u osób cywilnych. Ja na przykład potrafię się rozpłakać na filmie, wzruszyć się. Moja narzeczona jest malutką, drobną kobietką, a nie wzrusza się tak łatwo jak ja.

●

Jak sobie radzę z napięciem? Poza szlugami to raczej nie mam jakichś szczególnych sposobów. Alkoholu nie piję. Chodzę do psychiatry, do psychologa też, bo z racji specyfiki służby jesteśmy objęci opieką psychologiczną. Leki, które daje mi psychiatra, trochę pomagają. To są takie leki uspokajające, na sen. Czasem naprawdę nie możemy spać. U nas często jest halny. Halny, pełnia, zmiana pogody – jak się zaczyna, to już piszemy do siebie, bo żaden z nas nie może zasnąć. Policjanci meteopaci – francuskie pieski!

Jak już zaśniemy, to czasem naprawdę lepiej byłoby nie zasypiać, bo śnią się takie rzeczy, że ja pierdolę. Niedawno śniło mi się, że jestem na interwencji, na której rzeczywiście kiedyś byłem. Tylko że w rzeczywistości na łóżku leżało martwe ciało. We śnie leżała sama głowa. Ta głowa do mnie mówiła. Potem już wolałem nie spać.

Śni nam się, że kogoś ścigamy, że do kogoś strzelamy. Jeden mój kolega opowiadał, że prawie się udusił w nocy. Śniło mu się, że został postrzelony w płuco i kaszle krwią. Kiedy się obudził, jeszcze charczał i czuł ból w klatce piersiowej. Dlatego niektórzy policjanci ładują w siebie wódę przed snem. Żeby zasnąć i żeby im się nic chujowego nie przyśniło. Ja nie piję.

A czy my sobie o tych rzeczach opowiadamy? Nie. Raczej udajemy twardzieli. Dużo mi dało to, że nabyłem już prawa emerytalne. Mam taki wewnętrzny spokój, że cokolwiek by się działo, mogę odejść na emeryturę, rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady.

Ale na razie jeszcze jestem w służbie czynnej i – szczerze – nie mam nic przeciwko temu, żeby policjant kupował sobie prywatną kamizelkę kuloodporną, własny sprzęt, wyposażenie. Tylko że wtedy musi zarabiać odpowiednio więcej.

Szacuję, że Jakub zarabia jakieś sześć tysięcy czterysta, a Artur jakieś pięć tysięcy siedemset na rękę. Mniej więcej tyle dostają młodzi chłopcy tacy jak ci, którzy ruszyli z pistoletami na człowieka uzbrojonego w karabin.

Świadczenie mundurowe, tak zwana mundurówka, na uzupełnienie umundurowania wynosi dwa tysiące trzysta, raz do roku. Praktycznie nie zmieniła się od 20 lat. Gdyby policjant dostawał dziesięć tysięcy, to na luzie mógłby wydać trzy, cztery tysiące na porządne płyty kuloodporne.

Ci młodzi chłopcy też kupili sobie sprzęt za własne pieniądze. Wielu policjantów było tym oburzonych. Mnie to nie oburza, po prostu chcieli się czuć bezpiecznie. Czy raczej nie oburzałoby mnie, gdyby zarabiali więcej. Jestem zwolennikiem decentralizacji. Niech policjant sam decyduje, czego potrzebuje na służbie. Tak jak w Ameryce, gdzie sam upgrade'uje sprzęt, dokupuje wyposażenie takie, jak mu pasuje.

Teraz są plany, żeby kupić bodajże 140 tysięcy kamizelek kuloodpornych. Ale po co paniom w referacie do spraw wykroczeń albo specjalistkom do spraw nieletnich kamizelki kuloodporne? Kompletny nonsens. Dałbym policjantom więcej pieniędzy albo możliwość zakupu takiego sprzętu z 50-procentową zniżką. Potrzebujesz, kupujesz. Ale musisz mieć za co.

Jeszcze jedno kuriozum. Jak poszła fama medialna, że policjanci kupowali kamizelki za własne pieniądze, to co zrobili przełożeni? Zakazali nosić te kamizelki, żeby nie było, że ktoś wychodzi w swoim sprzęcie. Ja jako policjant niedługo przechodzący na emeryturę, jako obywatel Rzeczypospolitej, jako ojciec naprawdę oczekiwałbym od policji, że jeśli znowu trafi się jakiś psychopata, to policjanci będą dobrze uzbrojeni i chronieni. Nieważne, czy sprzęt kupili za własne pieniądze, czy dostali go od państwa.

Nasi w Kii, on w Subaru Impreza

Znowu się zatrzymuje, mimo że za nim jest już radiowóz policyjny. Przed sobą ma tramwaj numer jeden. Jedynka jest bardzo oblegana, jedzie przez całe Stare Miasto, więc wiadomo, że w środku są ludzie, turyści. Wagon dostaje parę kulek. Tutaj prawdopodobnie padają też pierwsze strzały naszych. Ale tego dowiemy się dopiero z zeznań. Prawdopodobnie strzelają do samochodu.

To też nie taka prosta sprawa. Mieliśmy kiedyś sytuację, że policjanci strzelali do bandyty w samochodzie i oberwała jego partnerka na tylnym siedzeniu. Przypadkowa kobieta. Dlatego unika się z reguły strzelania do samochodów. Tym bardziej że nabój pistoletowy jest po prostu za słaby, żeby skutecznie przebijać te wszystkie elementy – blacha, boczki, tapicerka, od przodu cała komora silnika, deska...

Jedzie dalej. Cały czas strzela na wprost. Tutaj zawsze jest dużo ludzi, cud, że nikt nie ginie.

eprasa.pl c8499ac1c9

Myślę, że dlatego, że ma już za sobą radiowóz. Policjanci bardzo utrudniają mu działanie.

Czy zaczyna się bać? Myślę, że strach w nim był. Choćby sądząc po zachowaniu, kiedy został postrzelony. Trudno sobie wyobrazić silniejszy strach niż ten, który człowiek odczuwa, kiedy wie, że umiera. A on podnosił ręce, jakby chciał pokazać, że już nie stanowi zagrożenia, jakby jednak jakiś strach się pojawił. Może coś do niego dotarło.

Do tego kościoła tutaj też wbiegali ludzie. Jest takie nagranie, które później krążyło w internecie, kobieta pyta: „Gdzie dzieci?". Proszę pomyśleć, co by się stało, gdyby on pojechał dalej na południe. Zaraz wyskoczyłby na Zakopiankę, potem na autostradę. Mógłby pojechać w stronę Katowic albo gdziekolwiek indziej. Miał Subaru Imprezę, szybki samochód. A nasze policyjne Kie mają silniki 1.6. On miał co najmniej dwulitrowy. Nie dogoniliby go.

A nawet jakby, to wystarczyłoby, żeby się odwrócił i oddał kilka strzałów. No to który zwykły policjant by się nie obsrał? Potem skręciłby w jakąś boczną drogę. I szukaj wiatru w polu. A gdyby wjechał do jakiejś wsi, do jakichś Zadupowic Górnych, i znowu zaczął zabijać ludzi?

●

Smarkacze z gen Z go zatrzymali! Nie do uwierzenia! Dwóch chłopaków, co mieli dwa-trzy lata służby.

Ja się mogę założyć, że oni, tak w ogromnym skrócie myślowym, 7 listopada o godzinie 14.59 to zdążyli sobie zjeść dobrego kebsa, obejrzeć jakieś dwa odcinki na Netflixie. Coś na bieżąco, co akurat jest, wiadomo, żadne jakieś tam romanse i inne pierdoliny. Gdyby nie to, że są żonaci czy zajęci, to by na pewno jakiś numer od ślicznej niewiasty wyrwali. Pewnie spisali ze dwa auta stojące na zakazie, wylegitymowali ze dwóch meneli, żeby kierownik się nie darł, że wracają bez urobku.

Założę się, że tak to wyglądało. Ludzie gadają, że oni akurat wieźli kebsa na komisariat i dlatego przejeżdżali przez Rynek. Jeżeli rzeczywiście, to ten kebs powinien mieć pomnik.

Ja się bardzo cieszę, że to właśnie oni. Bo w nich jeszcze nie zdążono zabić tego, po co przyszli do policji. Tej chęci pomagania ludziom, bronienia słabszych. Przełożeni potrafią to bardzo szybko załatwić. Dwa, trzy lata i po wszystkim. Przecież wystarczyłoby, żeby skręcili w jakąś boczną uliczkę. I co? Kto by im udowodnił, że umyślnie nie pojechali za zamachowcem? Mogli wrócić do domu, do swoich rodzin. A oni wybrali to, żeby dzieci innych ludzi wróciły do domu. Naprawdę czyste bohaterstwo.

Różnice pokoleniowe? No są, oczywiście. Mają problem z hierarchią. Ale poza tym to raczej takie różnice technologiczne. My jaramy szlugi, oni jarają IQOS-y. My na służbie pijemy colę z cukrem, oni Monsterka bez cukru. My oglądamy filmy na YouTubie, oni na TikToku. I tyle. Nikt nie ma im tego za złe. Jak młody jest ogarnięty, chce się czegoś nauczyć, to przecież mu pomożemy.

Tylko jest jeszcze jedna rzecz. Parę lat temu było nie do pomyślenia, żeby starszy posterunkowy jeździł na patrol ze starszym posterunkowym. Dwóch chłopaków, którzy mają po dwa, trzy lata służby? No nie. Młody powinien jeździć ze starszym, doświadczonym policjantem.

Dlaczego oni jeździli razem? Bo policjantów jest za mało. I tyle. Wbrew temu, co pokazują statystyki. Pozamieniano etaty cywilne na policyjne, liczba funkcjonariuszy na papierze wzrosła, a na ulicach ich brakuje.

Jakub ma dziecko, Artur ma dziecko w drodze. I rzucają się, kurwa, na przygotowanego psychopatę z pistoletami na karabin. Na początku krzyczeli, żeby wyszedł z podniesionymi rękami, żeby rzucił broń. Bo my jako policjanci do samego końca mamy taką nadzieję, że ten człowiek się opamięta.

Na Zachodzie, w Europie czy w Ameryce śmieją się z tego naszego słynnego: „Stój, bo strzelam!". Ale co to właściwie oznacza? No że dajemy człowiekowi ostatnią szansę. W Czechach, Niemczech, USA od razu zaczęliby do tego gościa strzelać. Nie czekaliby, aż wysiądzie.

●

W takich emocjach człowiek działa zupełnie inaczej. Włącza się widzenie tunelowe, organizm przechodzi w tryb przetrwania. I może dla niego tym trybem przetrwania było: zadać jak najwięcej cierpienia, jak najwięcej bólu. A może było odwrotnie? Może pomyślał: zaraz mnie zabiją, może pora przestać? Chociaż ja skłaniałbym się ku pierwszej wersji. Bo przecież mógł się zatrzymać, poddać. Jego plan zaczął się sypać.

A zaczął się sypać dlatego, że policja pojawiła się za nim już po kilkudziesięciu sekundach. Jestem pewien, że się tego nie spodziewał.

Bo normalnie na Stare Miasto wyjeżdżają dwa, trzy, cztery patrole. Jeden jest gdzieś na Plantach, drugi pojechał na interwencję domową, trzeci korzysta z przerwy. Była 15, więc policjanci coś jedzą. Załóżmy, że jest nawet czwarty patrol. Akurat pisze dokumentację albo osadza kogoś zatrzymanego. Pierwszy radiowóz powinien się tutaj pojawić po jakichś pięciu, sześciu minutach.

To był naprawdę cud. Zbieg okoliczności, który zdecydował o życiu wielu ludzi. Prawdopodobnie oni byli akurat na posterunku. Może przyjechali coś załatwić, może przekazać jakąś informację dyżurnemu, a może po prostu pogadać. Gdy dostali zgłoszenie, mogli być zaraz na miejscu. W tym momencie cały plan mordercy zaczyna się pierdolić.

Czy on wcześniej obserwował to miejsce, czy rozpracowywał teren? Prokuratura to wyjaśni. Dosyć częstą praktyką są fałszywe zgłoszenia. Na przykład włamywacze chcieli komuś obrobić dom, więc dzwonili na policję: na płycie Rynku menele drą mordę. Albo jeszcze lepiej, że kibole próbują się gdzieś dostać, jest awantura, bijatyka. Z automatu wysyła się radiowozy. Jedziemy na interwencję, a oni w tym czasie spokojnie mogą robić.

To też bywa forma rozpracowywania policji – jak szybko się zjawimy, jak reagujemy. A my musimy reagować, nie do nas należy ocenianie, czy zgłoszenie jest wiarygodne. Mam zgłoszenie, to jadę, nie mogę sobie powiedzieć: „A, pewnie ktoś nas robi w chuja. Bo co by było, jeśli nie robi i ktoś komuś wsadzi kosę?".

Zresztą nie musi od razu odciągać jakaś szajka. Wystarczy taki Oskarek. Kto? Tak nazywamy bananowe dzieciaki, które szukają dreszczyku emocji w Rossmanie czy Sephorze. Sam wielokrotnie takie zatrzymywałem: willa, kurwa, trzy hektary, rodzice kulturalni, na poziomie, garnitur droższy od naszego radiowozu. A syn staje się przedmiotem rozmów w klasie: „O, Oskarek ostatnio w Rossmannie zapierdolił za sto złotych". „A, udało mu się? Spoko, spoko". „Ale Bartka zhaltowali. Ale przypał".

Jeszcze w moich czasach taka osoba byłaby wytykana palcem. A potem taki głupi błąd w tak newralgicznych nastoletnich latach odbija się czkawką całe życie. Ale włączył mi się pedagog, a rzecz w tym, że dzieciaki przyłapane na drobnej kradzieży czy inne błahe sprawy to sporo wezwań, a policjant jest przecież też od tego.

O, widać ten ciemny budynek. Tam mniej więcej kończy się ta trasa, którą przejechał. Możemy sobie jeszcze kawałek podejść.

Ja jestem przekonany, że on chciał przetrwać. Nie przeżyć, tylko przetrwać jak najdłużej. Ta kamizelka kuloodporna, hełm, cały ten szpej miał mu zapewnić jak najdłuższą możliwość czynienia zła. Na bank liczył się z tym, że w końcu ktoś zacznie do niego strzelać, ale doczytał, że policyjne pociski kalibru 9 milimetrów nie przebiją tej kamizelki.

●

Gdybym był ministrem spraw wewnętrznych? Kadra oficerska, kadra kierownicza – całkowicie do zwolnienia. Całkowicie. Bo oni działają na szkodę państwa polskiego. Niektórzy z nas już się nawet zastanawiają, czy to nie jest jakoś sterowane z zewnątrz, żeby policja nie była efektywna, żeby cały czas tkwiła w latach 80. czy 90.

Dlaczego ja jestem tak cięty na przełożonych? Bo potrafią z policjanta zrobić kogoś zupełnie innego, niż człowiek chciał być, kiedy przychodził do służby. Ze mną też próbowali.

Czasem naprawdę nie możemy spać. Halny, pełnia, zmiana pogody – jak się zaczyna, to już piszemy do siebie, bo żaden z nas nie może zasnąć. Policjanci meteopaci – francuskie pieski!

Weźmy dwóch policjantów. Mają służbę na 7 rano. Wyjeżdżają o 7.20, bo muszą się zebrać, przebrać. O 7.50 wypisują mandat za spaloną żarówkę w aucie. Resztę dnia spędzają w krzakach. Mandat jest? Jest. Statystyka się zgadza.

A drugi patrol? Dwóch kumatych chłopaków, jeżdżą, sprawdzają, kontrolują. Wiadomo, też sobie zrobią przerwę, też zapalą szluga. Ale robią robotę. Tylko nie przywiozą tego mandatu za spaloną żarówkę. Na kim kierownik wiesza psy? Na nich! Na tych, którzy rzeczywiście pracowali.

To jest powszechne. Policjant wyjeżdża na służbę i wie, że musi zrobić dwóch legitymowanych. Kierownik powiedział, że jest mało pouczeń za zaśmiecanie? No to trzeba zrobić ze dwa pouczenia. Byle komu, bo przecież nikt tego nie sprawdza. A jak potrzebuję wolnego w przyszłym tygodniu, to przyniosę jeden mandat.

Co się wtedy dzieje z policjantem? Przestaje myśleć o tym, po co przyszedł do policji. Zaczyna o tym, żeby kierownik się nie przypierdolił, żeby zgadzały się cyferki, żeby mieć święty spokój.

Przełożeni zabijają policjanta w policjancie. Do mnie też mieli pretensje, że mam za mało mandatów. A ja mówię: „No być może tak, ale spójrzcie na liczbę przestępców zatrzymanych na gorącym uczynku". Nie, dla nich ważniejsze są mandaty. Dochodzi do takich kuriozalnych sytuacji, że jeżeli ktoś przegiął z czymś i zasługuje na mandat 500 złotych, to nie można mu wypisać jednego mandatu na 500. Trzeba mu wypisać pięć mandatów po 100 złotych.

Dlatego przede wszystkim chciałbym uświadomić policjantowi na ulicy, że to on tworzy rzeczywistość. Od niego zależy, czy zrobi coś dobrego i jak ludzie będą na nas patrzeć, nie od komendanta za biurkiem. A przełożony niech się wkurwia, drze japę. Bo co, zwolni cię?

A gdyby się otrząsnął i wstał z karabinem?

W tym miejscu stało białe auto, które prowadził strażak z OSP. On po prostu zahaczył o nie swoim samochodem i dlatego tutaj rozegrała się ta ostateczna walka. Teraz proszę spojrzeć. Mniej więcej tam, gdzie jest ta kałuża, stał Jakub. Radiowóz zatrzymał się na wysokości początku pasów. Chłopcy podeszli do samochodu zamachowca i próbowali się za nim osłonić. Wtedy padły strzały.

Jakub dostał postrzał w ramię, został bardzo poważnie ranny. Artur był po drugiej stronie samochodu. Został postrzelony trzykrotnie. Osunął się na ziemię. Samochód trochę go osłonił i dzięki temu nie dostał kolejnych pocisków. Artur ostatkiem sił zdołał jeszcze strzelić. Trafił tak, że bandyta się przewrócił. To pozwoliło Jakubowi, choć się wykrwawiał, oddać jeszcze kilka strzałów. Żeby mieć pewność, że ten skurwysyn nie wstanie.

Bo proszę pamiętać, że tutaj, w ulicę Dietla, uciekało mnóstwo ludzi, w tym małe dzieci. Parenaście sekund dłużej i on by się otrząsnął, podniósł karabin... Nie wiemy, gdzie dokładnie dostał ten pierwszy postrzał, może w hełm i go oszołomiło, a może w kolano. Ale nawet z ziemi mógł strzelać do ludzi. Dlatego te kolejne strzały były tak ważne.

Wie pani, co jest najbardziej znamienne? Co świadczy może o wyszkoleniu, a może po prostu o ogarnięciu tych chłopaków? Że kiedy Jakub zakończył tę interwencję, to ciężko ranny, ostatkiem sił jeszcze odsunął od zamachowca karabin.

●

Najbardziej boję się tego, że moje dzieci nie będą miały do mnie szacunku. Kiedy będą starsze, powiedzą mi, że coś, co robiłem w życiu, było złe. Albo byłem złym ojcem czy złym policjantem. Boję się poniżenia, tego, że cały ten trud nie zostanie doceniony. Czy to w wychowywaniu dzieci, czy w służbie.

Bo naprawdę znaczna część mojej służby to była pomoc ludziom, którzy tej pomocy potrzebowali. Wie pani, przecież każdy z nas naprawdę chce chronić niewinnych, chronić słabszych. Może to taka popnauka, ale uważam, że jest w nas dużo pierwotnego instynktu, żeby chronić nasze stado przed drapieżnikiem. I choć byśmy pół służby oglądali sobie film gdzieś w krzakach, pół służby jeździli i zagadywali do studentek, to jak przyjdzie taki czas, będziemy dokładnie tacy jak Artur i Jakub.

Nawet ci wypaleni, którym jest już wszystko jedno i gadają, że „byle do emerytury". Jak były obchody Święta Niepodległości, to my tylko o tym rozmawialiśmy.

Oczywiście, że boję się też choroby, śmierci. Ale kiedy byłem młody, nie miałem dzieci, to wiele razy być może nawet tej śmierci szukałem. Szedłem wyprostowany na typa, po prostu szedłem i liczyłem się z tym, że mogę zginąć.

Teraz już jest inaczej. Teraz najważniejsze są dzieci. Ale gdybym musiał obronić kogoś innego, czyjeś dzieci, to wiem, że moje w jakimś stopniu by to zrozumiały. Pewnie byłyby dumne, że tata ocalił komuś życie.

A co człowiek czuje, kiedy tak idzie? Coś dziwnego. Nie fizycznego, tylko takiego duchowego. Jakby całą tę moralność, wszystkie wartości, potrzebę ochrony innych skumulować w sobie. Człowiek czuje, jakby go to otulało. Czuje, że może wszystko. Dosłownie jakby wyrastały skrzydła. Proszę się nie śmiać: nie anielskie, tylko husarskie. ●

eprasa.pl c8499ac1c9

KRAJ

W Koalicji 15 Października przewracają oczami, kiedy pytam o nowy projekt eks-lidera Nowoczesnej. A jednak w otoczeniu Tuska czuć niepewność

Petru próbuje wejść do tej samej rzeki

Arkadiusz Gruszczyński

Niespełna rok przed wyborami w Sejmie huczy od plotek o nowych ugrupowaniach.
• Partię ma zakładać z ekonomistą i finansistą Ryszardem Petru Marcin Matczak, choć profesor przekazał mi, że nie prowadził żadnych rozmów.
• Od tygodni mówi się, że z własnym projektem rusza Rafał Brzoska, biznesmen i filantrop, współwłaściciel InPostu, którego jednocześnie kusi PSL.
• Własne ambicje ma senator Wadim Tyszkiewicz, niegdyś bliski PO i Nowoczesnej.

Choć mało kto wierzy, że ten ceniony – przez blisko dwie dekady sprawdził się jako prezydent Nowej Soli, jest rzeczowy, gdy trzeba, koncyliacyjny, gdy trzeba, pryncypialny – lecz mało znany polityk będzie w stanie zawojować Polskę. Nawet jeśli jego pomysł trafia w dzisiejsze problemy i lęki: chce pokazać pokoleniu Zet, które interesuje się historią, czym mogą skończyć się rządy Sławomira Mentzena z Krzysztofem Braunem.
• No i nie poddaje się nowe ugrupowanie Mateusza Morawieckiego. Mimo że wiele już wskazuje, że Rozwój Plus nie ma szans zagospodarować liberalnego centrum, ponieważ były premier wciąż jest kojarzony z rządami PiS, a wśród rozpieszczonych różnorodną ofertą wyborców prawicy jego technokratyczne propozycje wypadają mało atrakcyjnie.

●

Na to, że powstanie jakaś partia, wskazuje tradycja polityczna, w której tuż przed wyborami pojawia się „nowy":

• **W 2011 r.** Janusz Palikot założył Ruch Palikota, który zdobył 1,4 mln głosów, zajął trzecie miejsce i wprowadził 40 posłów do Sejmu na czele z Robertem Biedroniem, antyklerykalną feministkę Wandą Nowicką, pierwszą w Polsce transpłciową polityczką Anną Grodzką czy Andrzejem Rozenkiem, wówczas z frakcji „młodych" w nieco skostniałym SLD zdominowanym przez Leszka Millera.
• **W 2015 r.** lubiany rockman Paweł Kukiz najpierw zajął trzecie miejsce w wyborach prezydenckich, a potem wprowadził na Wiejską 42 posłów dzięki 1,3 mln głosów.
• **W tym samym roku** liberalno-wolnorynkowa Nowoczesna wzięła 1,1 mln głosów i 28 mandatów,
• **Cztery lata później** Wiosna Roberta Biedronia w wyborach do Parlamentu Europejskiego zgarnęła 800 tys. głosów, po czym połączyła się z SLD. Lewicowa koalicja zgarnęła 2,3 mln głosów i 49 mandatów.
• **W 2023 r. Trzecia Droga** – sojusz postępowych chadeków Szymona Hołowni i ludowców – dostała 3,1 mln głosów i 60 posłów, z czego połowę – 1,5 mln głogów i 30 miejsc w Sejmie wziął debiutujący Hołownia.

●

Z tego zestawienia można wyciągnąć trzy wnioski.

Po pierwsze: wszystkie nowe partie po 2011 r. nie przetrwały jednego cyklu wyborczego, bo ich przywódcy nie znali mechanizmów politycznych, nowi posłowie, którzy nie mieli do czynienia z pracą w parlamencie, skłócali się, byli podkradani przez inne partie lub żyli innymi sprawami.

Małym graczom trudno było przebić się w Sejmie z ich postulatami, więc usiłowali narzucać tematy debacie publicznej i podtrzymać wrażenie sprawczości oraz świeżości, nadrabiając wyrazistością, co kończyło się kompromitacjami i zniechęceniem zażenowanych wyborców.

A poza tym większość „świeżaków" wisiała na rozpoznawalności lidera, który – jak Palikot czy Kukiz – dopuszczał do głosu ego, nużył się codzienną pracą sejmową lub zaliczał wpadki wizerunkowe. I w najlepszym scenariuszu kończyli jako przystawki większych partii – Biedroń i Nowacka są w Nowej Lewicy, Adam Szłapka, ostatni lider Nowoczesnej, został członkiem KO, a Kukiz startował z list PiS.

Po drugie: co cztery lata 1,5 mln wyborców głosuje na nowe ugrupowania oferujące rozbicie duopolu, co kusi tych wszystkich, którym zamarzyła się wielka polityka, na zasadzie „dobra, Palikotowi, Kukizowi, Petru nie wyszło, ale na ich błędach mi się uda".

I po trzecie: każda partia potrzebuje tego, co przy niepomyślnych wiatrach może stać się jej przekleństwem – czyli właśnie wyrazistego, rozpoznawalnego lidera, który dzień i noc opowiada o nowym pomyśle dla Polski.

Choć tak naprawdę te pomysły są niezmienne i głównie skupiają się na obniżaniu podatków, ulgach dla małych i średnich przedsiębiorców oraz bezpiecznych komunałach: inwestycjach, zwiększeniu partycypacji społecznej, usprawnieniu państwa, innowacyjności.

Do tego dochodzą modne w danym sezonie tematy – zaklęcia. Takie jak przeciwdziałanie skutkom katastrofy klimatycznej i zwiększenia kompetencji samorządów, o czym opowiadał Hołownia; legalizacja marihuany i rozdział państwa od Kościoła, co – pioniersko i odważnie, zważywszy, że w początkach stulecia – obiecywał Palikot; organizacja referendów, które byłyby ważne bez względu na frekwen-

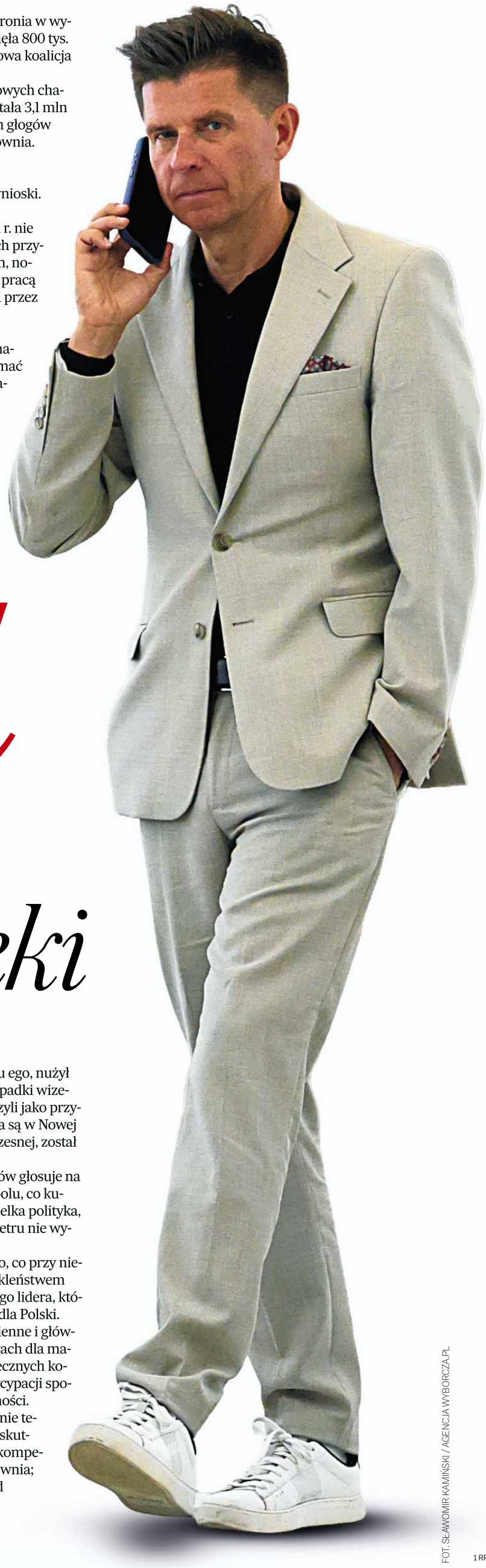

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl c8499ac1c9

cję i ukrócenie finansowania partii z budżetu państwa, o czym mówił Kukiz. Czy umożliwienie głosowania przez internet i rozwiązanie Senatu, co zapisał w programie Petru.

I co cztery lata 1,5 mln osób wierzy, że polityczni nowicjusze zmienią kraj.

Jeśli spojrzeć na realne dokonania wszystkich antysystemowych partii, które wchodziły do Sejmu po 2011 roku, to ich dorobek wygląda blado.

• **Janusz Palikot** nie wszedł do rządu, nie miał więc większych szans na zmiany systemowe.

Choć na pewno wprowadzając do parlamentu pierwszego geja, pierwszą osobę trans i matkę chrzestną polskiego feminizmu, przyczynił się do liberalizacji społeczeństwa.

• **Paweł Kukiz** miał tak naprawdę jeden postulat.

Słynne JOW-y, Jednomandatowe Okręgi Wyborcze, mające dać 460 okręgów, w których wygrywałby kandydat z najwyższą liczbą głosów. Zasłużony w Aya RL i Piersiach muzyk wierzył, że wybrani w ten sposób posłowie będą realizować interesy swoich regionów, a nie cele warszawskiej polityki. Był też przekonany – mimo brytyjskich dowodów, że to nie działa – iż JOW-y zlikwidują dominację wielkich partii, które odpowiadają za wiele patologii w państwie.

• **Nowoczesna** rozpadła się po kilkunastu miesiącach.

Erozja zaczęła się, kiedy jej lider Ryszard Petru podczas kryzysu sejmowego, gdy posłowie opozycji okupowali salę plenarną w proteście przeciwko utrudnianiu dziennikarzom pracy w parlamencie przez rządzący PiS, poleciał na Maderę wypocząć z nową partnerką.

•

Bardziej skomplikowany jest bilans Szymona Hołowni. Nieco nieelegancko można powiedzieć, że udaje mu się stać okrakiem między nieudanym start-upem a trwałym i uwzględnianym przez największych graczy elementem sceny politycznej.

O ile jego posłowie nie zostaną zapamiętani jako reformatorzy, o tyle lider Polski 2050 zapisze się dobrze w historii.

Mimo wielu błędów – Hołownia dał się przyłapać na nocnej, niekonsultowanej z Tuskiem, rozmowie z Kaczyńskim w mieszkaniu Adama Bielana, czyli z największymi wrogami koalicji rządzącej i jej elektoratu, po przegranej prezydenckiej postanowił odejść z polityki, potem do niej wrócił, następnie zadeklarował, że przejmie klub parlamentarny i partię, choć nie wiadomo, po co, bo teraz marzy mu się placówka w Watykanie i oznajmia, że nie będzie kandydował w przyszłym roku – były społecznik i telewizyjny gwiazdor zrobił kilka ważnych rzeczy.

Jako marszałek przywrócił Sejm obywatelom i dziennikarzom, którzy w czasach rządów Prawa i Sprawiedliwości mieli utrudniony dostęp do budynków parlamentu. Sprawił – pamiętny Sejmflix – że obywatele choć na chwilę zainteresowali się codziennym funkcjonowaniem izby niższej.

Nie dopuścił do zachowań „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie", dbając, żeby projekty świeżo upieczonej pisowskiej opozycji były rozpatrywane w normalnym trybie. I odpowiadał za pokojowe przekazanie władzy Karolowi Nawrockiemu, mimo że część wzmożonej opinii publicznej oskarżała „pisiory" o fałszerstwa wyborcze.

No i, o czym mało kto pamięta, obok Nowej Lewicy to Polska 2050 odpowiada za politykę klimatyczną, wyznaczanie nowych rezerwatów przyrody, popierała od samego początku zmiany podatkowe i ograniczenie sprzedaży alkoholu, a także regulację najmu krótkoterminowego.

Można zapytać: no i co z tego, skoro najprawdopodobniej nie będzie jej w następnym Sejmie, ponieważ średnie poparcie z ostatniego miesiąca wynosi 1,4 proc.

•

Na zejście Hołowni ze sceny liczy Ryszard Petru i chce zagospodarować polityczną próżnię po Polsce 2050. Wiosną były lider Nowoczesnej, a obecnie poseł Unii Centrum – czyli rozłamowców z PL2050 – powoła nową partię o liberalnym charakterze.

Program ma opierać się na wzmacnianiu przedsiębiorców, likwidacji lub znaczącej korekcie świadczeń socjalnych na czele z 800+, które „kosztuje państwo polskie 61 mld zł, a nie rozwiązuje większości problemów związanych z biedą", jak mówią mi sympatyzujący z nim liberalni politycy.

Dawny protegowany Leszka Balcerowicza, były specjalista w Banku Światowym i członek różnych rad nadzorczych chce też uprościć podatki, obniżyć te, które płacą właściciele firm, pościągać do Polski zagraniczny kapitał i dokończyć deregulację państwa.

Jeśli chodzi o sprawy światopoglądowe, Petru chciałby zachować „umiar i zdrowy rozsądek", jak mówią mi jego współpracownicy. Aborcja do 12. tygodnia – tak, ale adopcja dzieci przez pary jednopłciowe – nie. Związki partnerskie – czemu nie, małżeństwa gejów – nie. Ograniczenie finansowania Kościoła jest ciekawym pomysłem, ale legalizacja eutanazji wręcz przeciwnie.

– Chcemy zbudować Konfederację light, czyli zagospodarować elektorat głosujący dzisiaj na Mentzena. Dlatego nie będziemy jechać po bandzie ze sprawami, w których lepiej odnajduje się lewica – słyszę od ludzi Petru.

Nowa partia liberalna miałaby więc odpowiedzieć na realną potrzebę społeczną 1,5 mln umiarkowanych wyborców, a jednocześnie znokautować Konfederację. Petru chce mówić językiem korzyści ekonomicznych, deklarować przywiązanie do wartości europejskich i demokratycznych, puszczać oko do liberalnej obyczajowo inteligencji i klasy średniej, a jednocześnie obiecać, że w sprawach światopoglądowych nie zrobi nic, czego nie oczekuje od państwa większość społeczeństwa.

•

Na papierze wszystko brzmi sensownie. Znaki zapytania pojawiają się przy kwestiach praktycznych.

Atutów Ryszard Petru ma niemało.

• Jest autentyczny dla pewnych grup przedsiębiorców – menedżerów średniego szczebla, którzy chcieliby zwyczajnie co miesiąc zarabiać więcej pieniędzy, ale też właścicieli wielkich firm, którzy chcieliby inwestować, lecz ich księgowe i rozbudowane działy prawne muszą co miesiąc przyswajać nowe zasady i interpretacje podatkowe, więc życie ułatwiłaby im pogłębiona deregulacja oraz prosty system podatkowy.

„Chcemy zbudować Konfederację light" – słyszę od ludzi Ryszarda Petru

• Petru może być też atrakcyjny dla młodych chłopaków – śniących o karierze w szklanych wieżowcach studentów ekonomii z mniejszych miejscowości czy pracowników hurtowni, którzy marzą o założeniu własnego biznesu i są przekonani, że państwo rzuca kłody pod nogi ludziom przedsiębiorczym. Generalnie dla tych dwudziesto-, trzydziestoparolatków, którzy naoglądali się na TikToku filmików różnych mentorów, guru biznesu i Mentzena, a ich światopogląd ukształtowała skrajnie wolnorynkowa atmosfera w kraju, mediach, szkole.

• Petru ma wiedzę ekonomiczną przewyższającą przygotowanie Mentzena i innych polityków Konfederacji, nigdy nie rządził, uwiarygadnia się, krytykując własny rząd za oddawanie pola Konfederacji w kwestiach gospodarczych, ma też determinację i rozpoznawalność.

Ale i niemało mu brakuje: nie wywoła efektu świeżości, który od zawsze przyciąga nowych wyborców, ma na koncie nieudany projekt polityczny, od trzech lat należy do koalicji rządzącej.

No i „jest trudny we współpracy", jak słyszę na sejmowych korytarzach.

– My znamy doskonale Ryszarda i jego metody działania. On naprawdę uważa, że wszystko wie najlepiej, że znalazł recepty na wszystkie obecne kryzysy i wie, jak wygrać wybory. On nie ma zdolności koalicyjnych, nie potrafi pracować w zespole, stawia tylko i wyłącznie na siebie. Czyli nie ma zdolności koalicyjnych. Nie wieszczę sukcesu – mówi mi jeden z polityków KO.

Wszyscy moi rozmówcy z K15X przewracają oczami, kiedy mówię im o nowym projekcie politycznym Petru.

– Ryszard nie zbuduje struktur, ponieważ ludzie w terenie pamiętają, co stało się z Nowoczesną. Po co mają się angażować w pracę dla partii, która co prawda zdobędzie kilka miejsc w parlamencie, ale na listy musi pracować kilkaset osób. Co dostanie reszta? Przecież Petru nie może im obiecać, że po wyborach powsadza ich do spółek skarbu państwa albo do samorządów. – uśmiecha się poseł KO.

– No a poza tym Rysiek nie ma nowej opowieści o państwie, przecież to, co on mówi, przejęła dawno Konfederacja – dodaje inny.

Moi rozmówcy mają rację, ale zapominają o dwóch wydarzeniach z nieodległej przeszłości, o jakich opowiedział mi człowiek, który za pieniądze analizuje trendy polityczne i przekazuje swoje ustalenia koalicji rządzącej.

– KO nie ma stałej bazy wyborczej. Widzę, że pan się dziwi, przecież Tusk ma 30 proc. w sondażach, a badania nie zmieniają się od miesięcy, widać więc, że premier ma spokojną przewagę nad innymi. Ale to bzdura. W 2016 roku poparcie dla PO wynosiło 16 proc., a Nowoczesnej 22 proc. W 2020 notowania Małgorzaty Kidawy-Błońskiej jako oficjalnej kandydatki największej partii opozycyjnej w kraju spadły do 2 proc., Hołownia miał 15 proc., a Kosiniak-Kamysz 16 proc. – klaruje spin-doktor.

– To oznacza, że elektorat głosujący na KO w każdej chwili może przerzucić poparcie na innych liderów, którzy w ciekawszy sposób zaprezentują opowieść o Polsce. Wszyscy o tym na politycznym zapleczu wiemy: Tusk naprawdę boi się, że mocny konkurent w liberalnym centrum odbierze mu władzę – dodaje.

Co rymuje się z moimi dwiema innymi rozmowami.

•

Chwilę przed startem kampanii prezydenckiej zaczepiła mnie ważna osoba ze sztabu Rafała Trzaskowskiego.

Dosyć długo rozmawialiśmy w drodze do szatni, pytałem o główne tematy kampanii Trzaskowskiego („bezpieczeństwo, Ukraina, tradycja, bo polityka skręciła w prawo", usłyszałem), aż w pewnym momencie ważniak zapytał: – A czy Stanowski nam zagrozi? Bo nam wychodzi z badań, że naszym największym zmartwieniem będzie świeżak mówiący do liberalnego centrum.

Zatrzymajmy się przy tym pytaniu, ponieważ jest kluczowe dla zrozumienia dzisiejszych lęków Tuska: Trzaskowski nie obawiał się kandydata Prawa i Sprawiedliwości, nie interesował się wyborcami, którzy głosowali na Mentzena. Sztabowcy faworyta wyborów prezydenckich zajmowali się Krzysztofem Stanowskim, który zrobił sobie z wyborów happening reklamujący Kanał Zero.

Ktoś może zwrócić uwagę, że porównywanie sprytnego i utalentowanego przedsiębiorcy z politykiem, który wprowadził 40 posłów do Sejmu, jest nieuprawnione. Owszem, ale chodzi o to, że partia rządząca z niepokojem wypatruje wyrazistej i swobodnie poruszającej się w mediach postaci, która rzuci wyzwanie Tuskowi. A rok temu przypuszczano, że kimś takim będzie Stanowski, choć więcej było w tym rozpoznaniu halucynacji i przerażenia zjawiskiem, które establishment nie do końca rozumiał, niż pogłębionej analizy.

I drugie spotkanie, sprzed kilku tygodni.

– Mamy badania, z których wynika, że na scenie jest miejsce dla liberalnej partii, która dostanie 12 procent w październiku przyszłego roku. Głównie tracimy my, trochę Konfederacja, ale do zagospodarowania są wyborcy Trzeciej Drogi – powiedział mi jeden z ministrów.

W KO czekają na nową partię, mniejsza, kto ją założy, ponieważ liberalne ugrupowanie może być kołem ratunkowym dla przyszłej koalicji rządzącej: według dzisiejszych sondaży rząd zawiązałyby ugrupowania prawicowe.

Ale jak to? Ekipa Tuska obawia się nowego konkurenta i jednocześnie liczy nań?

Otóż mimo twardego przywództwa KO nie jest strategicznym i taktycznym monolitem, różne grupy różnie postrzegają polityczną scenę.

Jedna frakcja uważa, że należy dogadać się z każdym, nawet tym, kto rzuci wyzwanie ich niezawodnemu liderowi, dla utrzymania władzy na kolejne cztery lata.

Druga frakcja na czele z premierem obawia się, że KO grozi powtórka z lat 2016 i 2020, gdy wewnętrzna konkurencja w opozycji osłabiała najsilniejsze ugrupowanie. Dlatego modli się, żeby Petru w pewnej chwili się zatrzymał, bo wówczas „uda się zmobilizować wyborców liberalnych, żeby zagłosowali na nas", jak słyszę od zasłużonego ministra. I może jakimś cudem uda się zbudować koalicję rządzącą z lewicą.

A tak naprawdę jedni i drudzy się mylą.

Głównym zmartwieniem premiera i KO nie powinna być „nowa partia ze świeżym liderem, który będzie mówił do liberalnego centrum", tylko przepływ elektoratu. Skoro 12 proc. wyborców o progresywnych i liberalnych poglądach nie identyfikuje się z programem Donalda Tuska, to jego zaplecze powinno w końcu znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego do tego doszło. Co ich zraziło, o czym „Kierownik" zapomniał i czego brakuje w ofercie.

Chyba że partia rządząca przyjmie metodę Trzaskowskiego, którego pół roku przed wyborami zapytałem, jaki będzie miał program dla młodych mężczyzn. – Żadnego. Ci ludzie nigdy na mnie nie zagłosują.

Faktycznie, miał rację.

eprasa.pl c8499ac1c9

Listopad to dla Polski niebezpieczna pora

Słowa z „Nocy listopadowej" Stanisława Wyspiańskiego brzmią w tym roku złowróżbnie i proroczo.

Piotr Augustyniak

Wydarzenia pod Trybunałem Konstytucyjnym, zamach w Krakowie, Marsz Niepodległości w Warszawie. Lejąca się obficie mowa nienawiści, której nikt już nie tamuje, oraz krew niewinnych ludzi rozlana na krakowskim Rynku złowróżbnie rymują się ze sobą. Obawiam się, że właśnie zrobiliśmy kolejny krok, tym razem milowy, ku otchłani nienawistnego szaleństwa. Jego konsekwencje trudno dziś przewidzieć.

Nie wiem, czy to kwestia natury – nieprzerwanej niemal szarości, szybko zapadającego zmroku i zgniłej barwy opadłych liści – czy jednak przede wszystkim naszej powstańczo-dziadowskiej historii i tożsamości. Tak czy inaczej wraz z początkiem listopada rozpościera się nad nami jakaś niewypowiedziana, przytłaczająca groza i przez wiele miesięcy unosi się w powietrzu niczym mgła, która oblepia umysły i dusze. Nazwałem ją kiedyś polskim Thanatosem. Upiornym duchem autodestrukcyjnej paranoi i zbiorowego wzmożenia.

Na jego trop naprowadził mnie arcydramat krakowskiego wieszcza. Wyspiański utożsamia w nim Thanatosa z postacią Geniusza i opowiada naszą polską codzienność – polityczną, społeczną, kulturalną – jako obłędne oczekiwanie na jego powrót i królowanie. Wszystko jest u nas naznaczone jego zbliżaniem się. Na wszystkim kładzie się cień jego widma. Wszystkich dopada stupor wyczekiwania na jego objawienie.

Czy wreszcie przybył?

Oto stoi u drzwi i kołacze.

●

Wyspiański i listopad to osobny temat. Data śmierci: 28 listopada 1907. A wcześniej wigilia 1 listopada 1901, kiedy jako pierwszy wystawił na scenie „Dziady" Mickiewicza. 20 listopada 1900 to z kolei data wesela w Rydlówce, którego był świadkiem i któremu w kolejnych tygodniach nadał pod natchnieniem formę dramatyczną „Wesela". Tytuł „Nocy listopadowej", wystawionej po raz pierwszy 28 listopada 1908, dobrze oddaje inspirujące artystę przeczucie polskiej, listopadowej aury. Uchwycił ją przejmująco na obrazie „Planty o świcie" malowanym prawdopodobnie późną jesienią 1894 roku.

Kto zdobędzie się dziś na odwagę, aby powtórzyć słowa Konrada?

Geniusz w „Wyzwoleniu" wpisuje się w ten listopadowy kontekst. Przybywa bowiem do Krakowa na swoje dziady, które mają być krwawymi zaślubinami Polski ze śmiercią. Zbawienie tylko przez śmierć i w śmierci – to jego myśl zasadnicza. Zstąpienie narodu w samobójczym geście w krypty Wawelu, który skrywa nie narodową wielkość, ale wielką, zbiorową traumę. Rodacy pijani krwią z kielicha, który Geniusz błogosławi i podaje spragnionym. Oto polska przeszłość i przyszłość. Oto nasz rodowód i cel. Oto miara naszej potęgi.

Pomyśli ktoś, że to niedorzeczność, bo przecież polski rozwój, polskie zdobycze, polskie sukcesy, których bez liku. Nie chodzi tu jednak o nasze świadome zamierzenia i poczynania. Thanatos to nasza nieświadomość. Coś, co powoduje nami i pcha nas w stronę rozkładu, pomimo, a nierzadko również za sprawą naszych osiągnięć i naszej prosperity. Fala tegorocznej listopadowej nienawiści i przemocy jest niestety tego brutalnym potwierdzeniem.

Thanatos to jednak nie po prostu jawna autodestrukcja. To przede wszystkim ukrywanie jej pod maską czegoś wyższego. To wiara w „cud" narodowego zjednoczenia, które każdorazowo dokonuje się nad mogiłą, nad tragedią, nad krwią rozlaną. To „dar" symulowanej wspólnoty. To widmo nierealnego pojednania, gdy znów jesteśmy razem i „ponad podziałami" maszerujemy ramię w ramię. Gdy złamani bólem i wstrząśnięci odzyskujemy wiarę w polską solidarność. Tak wygląda nasz chocholi taniec.

Wyspiański tego właśnie bał się najbardziej. Z tym się zmagał w poczuciu osamotnienia i niezrozumienia. Pełen sarkazmu i wiedziony ostrą jak brzytwa myślą. Każdy, kto odwiedza jego szafirową pracownię na ul. Krowoderskiej w Krakowie, czuje trzeźwość i autonomię jego ducha, który w pojedynkę, w imię krytycznego osądu, zmagał się z narodowym fetyszem. Chłodny i głęboki szafir jego twórczości jakże odległy jest od rozpalonych i gorączkowych barw biało-czerwonych. Jak bardzo brak nam go dzisiaj.

„Co mnie obchodzi przede wszystkim mój naród? Co mnie obchodzi jego historia i jego plotki?". „Nie obchodzi mnie nic wasz naród".

Kto zdobędzie się dziś na odwagę, aby powtórzyć te słowa Konrada? Nawet lewica i liberałowie biją przecież w bęben narodu i jego wielkości.

Obnażając thanatyczne podłoże naszej społecznej więzi, jej autodestrukcyjny charakter, powiada Wyspiański zjadliwie ustami swojego scenicznego alter ego: „Nienawidzimy się wzajem i to nie jest nasze najgorsze złe. Niemal to jest nasze najlepsze".

Te wstrząsające, przewrotne słowa dźwięczą mi w głowie, gdy myślę o tym, co nam przyniósł ten listopad i jaką przyszłość nam zapowiada. ●

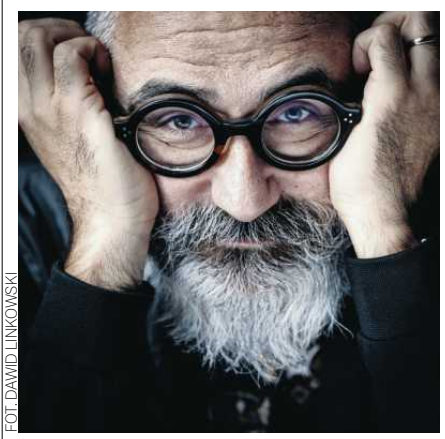

FOT. DAWID LINKOWSKI

Piotr Augustyniak

• (ur. 1977) Filozof, eseista, dramaturg, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Autor książek, m.in.: „Wyspiański. Burzenie polskiego kościoła", „Trans. Filozofia Cezarego Wodzińskiego", „Jezus Niechrystus", czy „Boga nie ma, jest życie". Kurator Festiwalu Schopenhauera oraz cyklu debat „Myślnik. Jazz – filozofia – stand up".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W ŚRODĘ W WYBORCZEJ DODATEK SPECJALNY

PORADNIK PSYCHOLOGICZNY

Jak samotne są nasze dzieci?

Więcej czytaj na niemamnietutaj.pl



GAZETA wyborcza

1 RP

eprasa.pl c8499ac1c9



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WYCIERANIE JĘZYKA

„Jeśli ktoś nie ma genów bolszewii, to jebaćpisem nie zostanie” – tu pobrzmiewa myśl z „Wesela” Wyspiańskiego

Z **KATARZYNĄ KŁOSIŃSKĄ,**
JĘZYKOZNAWCZYNIĄ,
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Czy można ustalić, kto po raz pierwszy po 1989 roku użył nośnego hasła politycznego, które podzieliło Polaków na lepszych i gorszych?
– W czasie prezydenckiej kampanii wyborczej w 2005 roku wykreowano podział na Polskę solidarną i Polskę liberalną. Pierwszą miał reprezentować Lech Kaczyński jako spadkobierca etosu „Solidarności”. Wyborcy Donalda Tuska i on sam jako kontrkandydat Kaczyńskiego zostali wtedy wykluczeni ze wspólnoty tych, którym bliskie są idee „Solidarności”, bo hasło kreowało sztuczną opozycję między wartościami „Solidarności” a wartościami liberalnymi.

Przecież jedno nie przeczy drugiemu.
– Ale podział się dokonał, przy czym – co charakterystyczne dla języka polityki – „solidarny” i „liberalny” były tylko etykietkami o bardzo niejasnych znaczeniach. Powstał wyraźny podział i wyraźna granica podziału – jesteś za, to należysz do Polski „solidarnej”, a jeśli jesteś przeciw – reprezentujesz Polskę „liberalną”. I tak naprawdę nie liczył się światopogląd (bo np. wielu opozycjonistów z czasów PRL-u nazywało siebie liberałami), tylko to, po której jesteś stronie.

Ten sztuczny podział tylko się pogłębiał. Funkcję Polski liberalnej przejął lewak, który przecież tradycyjnie oznacza – o czym prawie już nikt nie pamięta – osobę o skrajnie lewicowych, radykalnych poglądach, a teraz jest to ktoś, kto nie popiera PiS-u.

Gdybyśmy chcieli przypisać tym słowom jakiekolwiek znaczenie, to musielibyśmy ze zdumieniem stwierdzić, że ktoś, kto jeszcze parę lat temu miał poglądy liberalne, nagle przeistoczył się w zwolennika lewicy.

Swoją drogą tak też się mogło stać.
– Tak, ale te dwa wypadki wyraźnie pokazują, jak słowa kreują rzeczywistość.

W języku zwykle jest tak, że najpierw jest jakaś rzecz, jakieś zjawisko, jakaś osoba, a potem powstaje jej nazwa. Tu stało się odwrotnie – najpierw wybrano nośne perswazyjnie nazwy o dużym ładunku emocjonalnym i wyraźnym znaku wartości, a potem wykreowano elementy rzeczywistości, do których się one odnoszą.

Katastrofa smoleńska pogłębiła podział.
– I była przełomem w polskiej komunikacji. Kiedy chwilowo społeczeństwo zjednoczyło się w żałobie, podobnie jak po śmierci Jana Pawła II, zaczęły wybrzmiewać rozmaite narracje. Część z nich była wyrazem emocji, inne spekulacjami na temat tego, co się wydarzyło.

▲ **Marsz Niepodległości pod hasłem „Polak w Polsce gospodarzem” 11 listopada br. Aleje Jerozolimskie w Warszawie**

Antoni Macierewicz stwierdził jednoznacznie, że doszło do zamachu, mimo że nie powstała jeszcze żadna komisja, która wyjaśniłaby, jak doszło do tej tragedii, ani nie zebrano żadnych dowodów. Na tle innych kłamstw i kłamstewek polityków – dawnych i współczesnych – był to przekaz wyjątkowy, bo dotyczył sprawy fundamentalnej dla państwa i społeczeństwa. A także – bo był wygłaszany z całą stanowczością, jako oczywistość i nie pozostawiał miejsca na refleksję. Było tak, i koniec. Tak jak dwa razy dwa równa się cztery. No i wreszcie jego wyjątkowość polega na tym, że był i jest powtarzany po wielokroć, a jego autor nie poniósł ani nie ponosi żadnych konsekwencji politycznych.

Wtedy do języka trafiło „kłamstwo smoleńskie”.
– „Kłamstwo smoleńskie” wprowadza do języka pewien zamęt, bo posługują się nim obie strony. Jedni mówią, że kłamią ci, którzy zataili fakt zamachu, a drudzy – że kłamią ci, którzy mówią, że kłamią tamci. Takich sytuacji w języku jest całkiem sporo, gdy słowa oznaczające coś ważnego, jak np. praworządność, wolność, demokracja, mają zupełnie różne odniesienie.

To znaczy?
– To znaczy: jedna strona uważa, że praworządność to X, a druga – że praworządność to coś zupełnie odwrotnego niż X. Powstają dwa równoległe światy, a ludzie się w tym gubią i albo nakręcają się emocjonalnie, albo jest im wszystko jedno.

Tomasz Sakiewicz, relacjonując dramatyczne wydarzenia w Krakowie, kłamał w żywe oczy.
– Nie pierwsza i, niestety, nie ostatnia to sytuacja, kiedy tragedia zostaje wykorzystana do walki politycznej, pogłębiania podziałów albo do zwiększania zasięgów w mediach społecznościowych.

Jeśli Kraków sprawił, że wydarzyło się coś w języku, to to, że słowa zaczęły znaczyć to, co naprawdę znaczą.

Zaczęliśmy używać wielkich słów zaanektowanych przez prawicę?

eprasa.pl c8499ac1c9

– Nie tylko przez prawicę. Sytuację związaną z zamachem w Krakowie opisujemy, używając takich słów, jak bohaterstwo, patriotyzm, poświęcenie, naród. Był to pierwszy masowy akt terroru od czasów II wojny światowej i wielkie słowa są tu adekwatne. Proszę zwrócić uwagę na to, że słowa – szczególnie te, które odnoszą się do wartości, do wzniosłych spraw – się wytarły.

Kiedy Marcin Romanowski miał kłopoty z prawem, na ulicach pojawiały się transparenty i plakaty z napisem „Solidarni z Romanowskim" wykonane solidarycą. Pojawia się więc pytanie: jak opisywać wydarzenia, emocje, wartości z lat 80., skoro ten sam format przekazu służy do obrony człowieka, o którym nie można powiedzieć, że był krystalicznie uczciwy. W związku z wydarzeniami w Krakowie słowa „solidarność" czy „bohaterstwo" wróciły na swoje miejsce.

Chwilowo zapewne.
– Mam nadzieję, że będziemy je pamiętać i nie damy się zmanipulować, kiedy za jakiś czas usłyszymy je w kontekście, który z bohaterstwem nie ma nic wspólnego.

Przypuszczam, że to się stanie niedługo. Na prawicy.
– Możemy sprawdzić. Włączę TV Republikę. I proszę, co mamy? „Nie złamiecie mnie – Sakiewicz odpowiada na groźby i stawia 13 pytań o Kraków".

Niezłomny!
– Prezydent Duda też powiedział o sobie, że jest niezłomny. Swoją drogą, raczej nie wypada tak mówić o sobie, bo taka ocena może przyjść tylko z zewnątrz.

Nie wiem, kogo Sakiewicz bierze za wzór niezłomności. Ludzi, którzy nie dali się złamać w czasie wojny, czy stalinowskich prześladowań?

Ze wszystkich stron sceny politycznej docierają do nas wielkie słowa, słowa niosące ogromny ładunek emocjonalny, słowa, których używa się w sytuacjach szczególnych. I nagle okaże się, że brakuje nam języka, by opisać ludzi i wydarzenia w sposób, w jaki na to zasługują. Już nie wystarczą nawet hiperbole. Więc pojawiają się coraz to wymyślniejsze opisy, metafory, obrazy.

Te pod Trybunałem Konstytucyjnym wydają się groteskowe, podobnie jak wspólne śpiewanie przeboju Krzysztofa Krawczyka „Jak minął dzień".
– Fotomontaż z Tuskiem w mundurze Wehrmachtu albo Jaruzelskiego, sprzedaż zegarków na manifestacji organizowanej „w obronie Boga i ojczyzny", i wielkich wartości, na której ludzie stoją z transparentami: „My chcemy Boga w polityce, w pracy, w szkole", „Boże, wyzwól nas od Złego i sług jego", dla jednych są groteską, bo wyraźnie zderza się tu sacrum z profanum. Dla innych narzędziami w walce o najwyższe wartości.

Dla młodych ludzi, którzy nagrywali również dla tzw. beki rolki pod TK, stan wojenny to prehistoria, a protestujący to jacyś odklejeni od rzeczywistości ludzie. Swoją drogą to ejdżystowskie.
– Komuna skończyła się 37 lat temu, więc tak naprawdę nie bardzo wiadomo, do kogo kierowane są okrzyki: „Raz sierpem raz młotem czerwoną hołotę", „Ruda wrona orła nie pokona" i wyzwiska od komunistów czy ubeków. Trudno nazywać czterdziestokilkuletnich ludzi ubekami czy komunistami. Cóż mogli mieć wspólnego z ubecją, skoro urodzili się w połowie lat 80.?

Skoro te słowa straciły znaczenie, to dlaczego są tak nośne?
– Bo są nośnikiem wartości i emocji.
I w związku z tym komunistą można nazwać każdego, podobnie jak lewakiem czy liberałem, o czym mówiłyśmy. Słowa odnoszące się do PRL-u są wciąż żywe, bo kreują obraz świata, który pamiętamy z czasów stanu wojennego – zresztą nieprzypadkowo koalicja rządząca jest nazywana „koalicją 13 grudnia".

„Wierzym w Boga i w Karola" – intrygujący jest refren tej piosenki: „ Niech żyje Polska, polska demokracja, a uzurpatorów czeka defekacja"

To obraz Polski zagrożonej, w której granica między „dobrymi" a „złymi" jest wyraźna. Słowa te w połączeniu z sugestywnymi obrazkami i piosenkami nawiązującymi do tych śpiewanych w latach 80., by podtrzymać morale – to wszystko ma przenosić nas, nawet urodzonych po 1981 r., w klimat zagrożenia i heroicznej walki o najwyższe wartości. Mamy cały czas tkwić w oblężonej twierdzy, w której daliśmy się zamknąć w czasie rozbiorów. I cały czas musimy zagrzewać się do walki. Była pani pod Trybunałem?

Nie. Ale śledzę relacje koleżanki, która mieszka w sąsiedztwie i ma dość.
– Śpiewa się tam lub odtwarza różne piosenki, co uczestnicy nazywają demonstracjami patriotycznymi. Jedna, w stylu disco polo, śpiewana na taneczną melodię „Niech żyje wolność, wolność i swoboda", już swym tytułem „Akcja pod Trybunałem" przypomina, że walka toczy się o wielką sprawę, jak w akcji pod Arsenałem, w której członkowie Szarych Szeregów odbili z rąk gestapo Jana Bytnara, co i tak zakończyło się tragicznie. Proszę posłuchać na YouTubie.

Jej tekst i ilustracje użyte w teledysku wyraźnie zestawiają współczesną sytuację z tą z lat 80. Piosenkę poprzedza napis: „Nie lękajcie się" wywołujący skojarzenia z początkiem pontyfikatu Jana Pawła II, na tle twarzy Karola Nawrockiego. Mamy tu fotografie zomowców pałujących demonstrantów obok migawek z policjantami stojącymi na Al. Szucha, wyśpiewane: „My stoimy tam, gdzie wtedy, oni stoją tam, gdzie ZOMO", odwołania do Boga, ojczyzny, wielkich wartości.

„Wierzym w Boga i w Karola"! Nie chcę urazić fanów tej piosenki, ale mnie ona śmieszy również z powodu swojej językowej nieporadności.
– Intrygujący jest refren, a właściwie jego zakończenie: „Niech żyje wolność, wolność w Trybunale, Karol nas obroni i będzie wspaniale. Niech żyje Polska, polska demokracja, a uzurpatorów czeka defekacja".


FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Katarzyna Kłosińska**

• Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, pracownik naukowy w Instytucie Języka Polskiego na Wydziale Polonistyki UW, przewodnicząca Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Jest językoznawcą, zajmuje się m.in. językiem polityki i najnowszymi zjawiskami w leksyce. Autorka m.in. monografii „Etyczny i pragmatyczny. Polskie dyskursy polityczne po 1989 r.", współautorka (wraz z Michałem Rusinkiem) książki „Dobra zmiana, czyli jak się rządzi światem za pomocą słów" oraz (wraz z Rafałem Zimnym i Przemysławem Żukiewiczem) „Headlines of the Public Television New Service in Poland from 2016 to 2017 – a Pragmatic Linguistic Analysis". W 2026 r. odznaczona złotym medalem „Zasłużony dla Nauki Polskiej Sapientia e Veritas".

Nie chcę używać wulgaryzmów, ale jednym słowem: ze strachu przed Karolem puszczą im zwieracze. Nie wiem, czy pani pamięta, ale prezydent Duda używał frazy o podobnym znaczeniu: „Nie strasz, nie strasz..." między innymi wtedy, gdy obóz Donalda Tuska zapowiadał postawienie go przed Trybunałem Stanu.
– Popularna jest też piosenka „Byle nie Tusk!" nawiązująca do estetyki punk rocka, z jego agresywnym brzmieniem, szybkim tempem i ekspresyjnym sposobem śpiewania, trochę w stylu zespołów kontestujących rzeczywistość lat 80., w tym władzę, takich jak Dezerter czy KSU.

Pod TK znów pojawiło się też inne ulubione określenie prawicy i jej zwolenników – targowica.
– Jak wiemy, konfederacja targowicka działała przeciw Rzeczypospolitej, i to na życzenie obcego państwa.

Targowica jest synonimem zdrady. Prawica używa tego słowa wobec tych, którzy chcą naprawić system sądowniczy, jaki po swoich rządach zostawiła.
– Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – ci ludzie, którzy stoją pod TK, prawdopodobnie naprawdę są przekonani, że Tusk jest zdrajcą, bo z takim przekazem się stykali. Druga część społeczeństwa też jest naprawdę przekonana, że rządy prawicy doprowadziły do demontażu władzy sądowniczej, bo z takim przekazem się spotykała.

Czyli nie są ważne fakty, tylko przekaz?
– W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że od tego, co politycy „włożą" w pojęcie zdrady czy wolności, zależy, jak ich zwolennicy będą je rozumieć. Dla jednych ustawy podjęte po 2015 r., zmieniające sposób działania wymiaru sprawiedliwości były reformą sądownictwa, dla drugich działaniami bezprawnymi, które niszczyły praworządność.

Najgorsze, jeśli chodzi o nasze podziały społeczne, jest nie to, że my różnie rozumiemy słowa, bo na pewnym poziomie ogólności rozumiemy je mniej więcej tak samo, tylko to, że dla różnych grup te słowa mają różne odniesienie. I w związku z tym nie jesteśmy w stanie się dogadać. Bo gdyby jedni nazywali coś jakimś słowem, a inni innym, to nie żylibyśmy w dwóch alternatywnych światach.

Zastanawiam się, kto wygrał wojnę informacyjną dotyczącą „zamachu stanu". Celowo używam retoryki wojennej, bo zapytam dziś panią o jej nadużywanie również przez nas, dziennikarzy.
– Nikt jej nie wygrał. Zamach stanu to bezprawne i siłowe przejęcie władzy w kraju – i tak to widzą uczestnicy manifestacji pod Trybunałem, choćby dlatego, że znalazła się tam policja. Dla strony przeciwnej pełzającym zamachem stanu, choć te słowa nie wybrzmiewają tu tak silnie, jest zmiana ustaw sądowniczych prowadząca – jej zdaniem – do zmiany ustroju w Polsce i dająca nieograniczoną władzę jednej sile politycznej.

Przyprowadzona w ramach wycieczki szkolnej pod TK umundurowana młodzież krzyczała: „Jebać Tuska", tak jak przed laty młodzież w podobnym wieku i starsza uczestnicząca w „czarnych protestach" Strajku Kobiet skandowała: „Jebać PiS".
– Dziś „jebaćpisem" zwolennicy prawicy nazywają pogardliwie osobę, która nie popiera PiS-u, czy ogólnie ugrupowań konserwatywnych. Przypisuje się jej niesamodzielność myślenia, ślepe ufanie Tuskowi i TVN-owi nieuznającej polskości czy narodu za wartości.

Czyli z okrzyku, który był skierowany przeciwko PiS-owi, powstało słowo skierowane przeciwko tym, którzy wzięli ten okrzyk na sztandary. A więc hasło „Jebać PiS" stało się bronią obosieczną, podobnie jak kiedyś ciemnogród – synonim ciemnoty, wstecznictwa czy ignorancji przejęty przez Cejrowskiego stał się przewrotną nazwą łączącą ludzi wyznających tradycyjny system wartości i przywiązanie do Biblii.

Pewni pani zna wypowiedź: „Jeśli ktoś nie ma genów bolszewii, to jebaćpisem nie zostanie".
– Mówi pani o słowniku polskich neologizmów Obserwatorium Językowego UW. Nasz słownik notuje to, co się pojawia w języku i nie ma charakteru normatywnego, tzn. z faktu rejestracji nie wynika to, że jest to słowo akceptowalne, wraz z autentycznymi przykładami użycia.

Zdanie, które pani przywołała, jest właśnie takim cytatem. Tu pobrzmiewa „Wina ojca idzie w syna, niegodnych synowie niegodni" z „Wesela" Wyspiańskiego, czyli to, co później Kaczyński nazwał genem zdrady, który występuje u Polaków „najgorszego sortu".

Geny zdrady, geny bolszewii – ktoś był, jest i zawsze będzie zdrajcą, ba! nawet jego dzieci, wnuki i prawnuki będą zdrajcami, bo geny się dziedziczy. A więc nawet gdyby jakiś „lewak" chciał przejść na dobrą stronę mocy, to nie ma szans.

Lewica też dokłada liberałom, nazywając ich pogardliwie libkami.
– No tak, pogarda w życiu publicznym występuje od zawsze. Z III RP można przypomnieć takie określenia, jak „zdradzieckie mordy", „kanalie"...

To Kaczyński.
– „Moherowa koalicja"...

...to Tusk.
– „Zamknijcie mordy"...

Nie pamiętam.
– Pawłowicz. „Dorżniemy watahę"...

...niestety, Sikorski.
– To jeszcze z Kaczyńskiego „element animalny", z Niesiołowskiego „pisowski motłoch", „tęczowa zaraza" z abp. Jędraszewskiego – można by tak wymieniać i wymieniać.

Pogarda służy regulowaniu dystansu społecznego, zwykle wykluczaniu kogoś z własnej wspólnoty, bo uważa się tę osobę za gorszą, niezasługującą na szacunek. Politycy na ogół tłumaczą swoje pogardliwe zachowania potrzebą obrony norm.

Część z nich jest metaforyczna. I nawiązuje do bitew.
– Metafory wyjaśniają pojęcia nieznane w kategoriach pojęć znanych – i w ten sposób organizują nasze myślenie o świecie. Nasze, nie

eprasa.pl c8499ac1c9

tylko polskie, wyobrażenie życia politycznego zostało ukształtowane przez takie formuły jak: walka polityczna, kampania wyborcza, zawieszenie broni, front walki z opozycją, bitwa o głosy wyborców, przypuścić atak na rząd czy kapitulacja rządu.

Nic więc dziwnego, że brniemy w to, mówiąc, że trzeba odbić Trybunał czy że jakieś miejsce jest bastionem PiS-u albo bastionem PO. Gdy stosujemy retorykę wojenną do opisu polityki, to tych, którzy mają inną niż my wizję kraju, postrzegamy jako przeciwników, a coraz częściej nawet wrogów.

A przecież równie dobrze można sobie wyobrazić, że myślimy i mówimy o nich jak o partnerach, z którymi chcemy wspólnie zrobić coś dla kraju, dla społeczeństwa czy – jak kto woli – dla narodu. Reprezentujemy inne poglądy, ale wzajemnie się szanujemy i mimo różnic staramy się działać po partnersku.

Był czas, że tak idealistycznie w polskich sprawach myślano?

– Bardzo dokładnie przebadałam teksty polskich partii politycznych po 1989 r. i dostrzegłam w nich dwa sposoby mówienia o sprawach społecznych wynikające z dwóch wizji świata i wizję tę kształtujące. Wyjaśnię tu, że relacja między językiem a myśleniem jest dwustronna – myślenie wpływa na język, który z kolei je utrwala.

Pierwszy to „język misji", który nazwałam dyskursem romantycznym, opisujący politykę w kategoriach duchowych, kreujący przywódcę na wieszcza, który prowadzi naród – to określenie jest tu kluczowe – do wyzwolenia („Jarosław, Polskę zbaw!"; „Karol nas obroni i będzie wspaniale"; „Trybunału nie odpuścimy, Karol Polskę uratuje").

Często pojawia się słowo „suwerenność". Nieprzypadkowo kreuje się Tuska na Niemca, czyli przedstawiciela narodu, który zabierał nam suwerenność. W tej wizji naród jest zanurzony w przeszłości, która jest jednocześnie teraźniejszością i przyszłością.

Widać to choćby w retoryce „trybunałowej" – nieustanne są odwołania do historii, są Szare Szeregi i ZOMO, która – jak wynika z przekazu – jest teraźniejszością („My stoimy tam, gdzie wtedy, oni stoją tam, gdzie ZOMO"), a ma być też przesłaniem na przyszłość. Naród ma misję do wypełnienia, tak jak chciał tego Słowacki.

„ [...] niech żywi nie tracą nadziei/ I przed narodem niosą oświaty kaganiec/ A kiedy trzeba, idą na śmierć po kolei,/ Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec"?

– Echa tych słów pobrzmiewają choćby w wypowiedzi jednej z uczestniczek protestu pod TK, która mówi, że jest gotowa na wszystko: „Normalnie stanę i nie puszczę. Przecież policja mnie nie zastrzeli"; „Przygotowałam się. Mam w plecaku butelkę wody, kanapki, płaszcz i batony czekoladowe".

Słychać tam też odezwy typu: „Ani centymetra w tył! Patrioci, brońcie tego skrawka Polski!", określenia: szaniec wolności, ostatni bastion praworządności. Demonstrującym TV Republika nadała status obrońców ojczyzny – na sprzedawanych przez tę stację zegarkach widnieje grawerunek „Patriae Defensor".

A drugi język?

– To „język interesów". Nazwałam go dyskursem pragmatycznym, bo wytworzył wizję polityka jako fachowca wynajętego przez obywateli do skutecznego załatwiania konkretnych spraw, co ma sprawić, że w kraju będzie panował dobrobyt.

I właśnie takie słowa jak „skuteczność", „obywatel", „dobrobyt", a także „podatnik" czy „energia" – energia ludzi, energia do działania – są tu kluczowe. Przekaz jest tak konstruowany, że o polityku myślimy jako o jednym z „nas", a nie jednym z „was", jak to się dzieje w „języku misji".

To duża różnica, bo tu rządzić krajem mógłby właściwie każdy, kto się zna na gospodarce czy szkolnictwie, pod warunkiem że zostanie do tego „wynajęty" przez wyborców, a tam – rząd dusz sprawuje ten jeden, jedyny, który ma misję. Nie mówię, że tak jest w rzeczywistości, tylko że taki sposób myślenia wyłania się ze sposobu mówienia.

Coraz więcej polityków wypowiada się w mediach społecznościowych, gdzie obowiązuje inny język niż używany na trybunie sejmowej.

– Media społecznościowe rządzą się swoim prawem – przekaz musi być krótki, ma działać na emocje i nie musi być zgodny z prawdą, niestety. Lajkowanie, udostępnianie postów sprawia, że dostajemy coraz więcej podobnych treści od mniej więcej tych samych nadawców, a więc zamykamy się w bańce, która nie ma styczności z innymi bańkami, przez co nie możemy się dowiedzieć, jak myślą inni.

Posty, które są atrakcyjne, bo wywołują silne emocje i utwierdzają nas w tym, że „moja racja jest najmojsza", rozprzestrzeniają się lawinowo, generują kolejne podobne treści zamieszczane np. w komentarzach, a nam trudno określić, co jest prawdą, co fałszem, co fake newsem, co półprawdą, co faktem, co faktem dziennikarskim.

Proszę zwrócić uwagę, jak rozmyte stały się znaczenia słów „prawda" i „fałsz" oraz jak duża jest przestrzeń między tymi pojęciami. Media społecznościowe są idealną przestrzenią dla populistów, którzy kierują proste komunikaty: wystarczy nie kraść, trzeba tylko znieść podatki – które nie muszą tworzyć spójnej całości, bo są zanurzone w hipertekście.

Wyjaśni pani profesor?

– Klikam na 20-sekundową wypowiedź polityka X, który mówi, że trzeba znieść podatki, a za chwilę widzimy tego samego polityka w innym filmiku i słyszymy, że w Polsce jest za mało autostrad. Jedno się z drugim nie klei, ale nie musi, bo każdy z tych przekazów odbierany jest oddzielnie, jak w „Strasznych mieszczanach" Tuwima: „I oto idą, zapięci szczelnie,/ Patrzą na prawo, patrzą na lewo./ A patrząc – widzą wszystko oddzielnie:/ Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...".

Czasami pojawiają się wśród publicystów postulaty, że trzeba odzyskać język zaanektowany przez prawicę. Czy to jest w ogóle możliwe?

– Co to znaczy: odzyskać język? Język nie jest łupem. Strona prawicowa też mogłaby powiedzieć, że chce odzyskać język, bo obecna władza używa bezprawnie takich słów jak „wolność" czy „demokracja".

Niestety, żyjemy w dwóch różnych światach, ale używamy tych samych słów, tylko w każdym świecie inaczej. A to jest i skutkiem, i przyczyną podziałów. To taka samonapędzająca się machina zasilana dodatkowo mediami społecznościowymi, w których panuje wolnoamerykanka.

Jak uwspólnić język w czasach podziałów?

– Niestety, dopiero takie sytuacje jak ta z Krakowa – wzniosłe i tragiczne – uświadamiają nam, co słowa znaczą i że możemy ich wspólnie używać w jednakowy sposób. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414016



Magazyn do nabycia w punktach sprzedaży prasy, m.in: w salonach EMPIK, na stacjach benzynowych, w salonikach Media Relay, w sklepach sieci Żabka i LIDL oraz w innych dobrych punktach sprzedaży prasy. Zamówienia w internecie: **KulturalnySklep.pl**.

1 RP

eprasa.pl c8499ac1c9

Jak bardzo jesteśmy spacyfikowani

Nie trzeba wzniecać moralnej paniki wokół „GTA VI". Może paradoksalnie chroni nas przed agresją i rację ma Arystoteles, nie Platon.



Marcin Matczak

W zeszłym tygodniu miała premierę gra komputerowa „Grand Theft Auto VI". W dniu, w którym się pojawiła, pracownicy brali urlopy, żeby zagrać, a influencerzy lecieli do Nowej Zelandii, bo tam czasowo premiera odbywała się najwcześniej.

To nie gra, ale fenomen kulturowy, nad którym pracowano ponad dekadę, a którego koszt mógł przewyższyć łączny budżet ośmiu filmów o Harrym Potterze albo koszt czterech „Avatarów" Jamesa Camerona. Lepiej więc wyobrazić sobie „GTA VI" jak kilkudziesięciogodzinny film, w którym każdy może zostać bohaterem, spacerować po Vice City, czyli fikcyjnym Miami, ukraść auto, odstrzelić komuś głowę i rozczłonkować jego ciało.

Nie o brutalności chcę jednak pisać, choć pytanie, czy brutalne gry robią z ludzi bandytów, sięga sporu Platona (naśladowanie zła psuje) z Arystotelesem (katharsis oczyszcza). Ciekawsze, że gra proponuje milionom ludzi podejście do norm, które jest dla nich atrakcyjne. W tym podejściu miesza się paradoksalnie chęć przekroczenia i wola zachowania prawa.

„GTA VI", jak zawsze robiły to produkty kultury popularnej, mówi nam wiele o nas samych. Tak jak „Terminator" i „Matrix" odzwierciedlały nasz strach przed nadejściem świata mądrzejszych i silniejszych od nas maszyn, tak „GTA VI" mówi nam dużo o naszym podejściu do norm.

Ta gra oferuje bezpieczną, kontrolowaną transgresję. Możesz łamać wszystkie zasady, bo wiesz, że „to tylko gra". Ale jednocześnie jest to symptom społeczeństwa, które ma silną potrzebę przekraczania norm, nie chcąc ponosić realnych konsekwencji tego przekraczania.

Pisali o tym Norbert Elias i Eric Dunning. Społeczeństwa „ucywilizowane", które wymagają wysokiej samokontroli i wypierają przemoc z codzienności, potrzebują sfer, w których emocja jest prawdziwa, a niebezpieczeństwo udawane. „GTA" świetnie się do tego nadaje. Nie trzeba zatem wzniecać moralnej paniki: to, że symulowana przemoc jest tak popularna, nie musi świadczyć o tym, jak bardzo jesteśmy barbarzyńscy, ale może o tym, jak bardzo jesteśmy spacyfikowani.

Może więc „GTA" chroni nas przed agresją i rację ma Arystoteles, nie Platon? Pozwala popełnić straszny czyn, który jednocześnie niczego nie przesądza. Pozwala korzystać z wolności w sposób odwracalny, w którym nie ponosi się odpowiedzialności za konsekwencje swoich działań.

Dlaczego to ważne? Hannah Arendt wskazała dwie cechy ludzkiego działania, na których opierają się etyka i prawo: nieodwracalność (nie można cofnąć tego, co się zrobiło) i nieprzewidywalność (nie wiadomo, co z tego wyniknie). Na każdą wypracowaliśmy lekarstwo: na nieodwracalność przebaczenie, na nieprzewidywalność obietnicę.

A w „GTA" wszystko jest odwracalne. Śmierć bohatera kończy się napisem „Wasted" i powrotem przed szpital. W „GTA III" pościg policji dało się skasować, wychodząc i wczytując grę ponownie. To przekroczenie bez nieodwracalności, a więc bez winy. A ponieważ realizuje się ono wewnątrz wirtualnego świata, nie musi się realizować w świecie rzeczywistym.

Jednocześnie „GTA" pozwala na makabryczną przemoc i pokazuje nagość, ale nie pozwala głównym bohaterom, wzorowanym na postaciach z filmu „Bonnie i Clyde", zdradzać się nawzajem ani korzystać z usług prostytutek. W „GTA" ciało możesz więc zbezcześcić, ale nie wolno ci zbezcześcić zobowiązania.

Z dwóch lekarstw proponowanych przez Arendt „GTA" czyni przebaczenie zbędnym, bo niemal wszystko można cofnąć. Zachowuje jednak znaczenie obietnicy: w świecie, w którym wolno niemal wszystko, wierność wobec swoich pozostaje świętością. Moralność „GTA" to moralność wielkiej bandy rozbójników, magna latrocinia, o której Augustyn pisał w „Państwie Bożym". Taka banda ma przywódcę, wiążącą jej członków umowę i uzgodnione zasady podziału zdobyczy. Możesz kraść, ale powinieneś uczciwie podzielić łup. Ważne, komu dochowujesz wierności, nieważne, co robisz ludziom spoza własnego kręgu. To moralność, której zasięg kończy się na granicy grupy. Czyż to nie jest moralność naszych czasów, wielkich baniek i wielkich polaryzacji? Polityk może być oskarżany o wszystkie niemoralności świata, ale jeśli jest nasz, niewiele mu to szkodzi.

Czy „GTA" psuje, czy naprawia ludzi? Prawo próbowało rozstrzygać to pytanie. W roku 2011 Sąd Najwyższy USA w sprawie Brown v. Entertainment Merchants Association uchylił kalifornijski zakaz sprzedaży brutalnych gier nieletnim. Sąd uznał, że gra korzysta z ochrony wolności słowa, podobnie jak książki i filmy. One też mogą być okrutne i często pokazują przemoc. Jednak sędzia Breyer w zdaniu odrębnym wytknął prawu hipokryzję: trzynastolatkowi nie wolno sprzedać pisma ze zdjęciem nagiej kobiety, ale wolno sprzedać grę, w której może ją torturować i zabić.

Czym jest „GTA"? Czymś znacznie ciekawszym niż wirtualną zabawą w przestępczość. Jean Baudrillard pisał, że Disneyland udaje fikcję po to, abyśmy wierzyli, że wszystko poza nim jest rzeczywiste. Tymczasem, zdaniem filozofa, cała otaczająca Disneyland Ameryka coraz bardziej przypomina symulację. Może z „GTA" jest podobnie?

Uważamy ją za świat, w którym nie obowiązują nasze normy, aby łatwiej było nam uwierzyć, że w świecie rzeczywistym norm tych przestrzegamy. Tymczasem wystarczy przyjrzeć się naszym plemionom i naszej lojalności wobec swoich, żeby dostrzec, jak bardzo moralność prawdziwego świata przypomina moralność „GTA". ●

Ojciec z Ikei, ojciec abdykujący, ojciec, który poszedł po mleko, ojciec-fundator, ojciec-fanatyk, ojciec-gawędziarz... Którym ty jesteś? I czy wiesz, co zrobić, żeby – jako ojciec, partner, szef – zyskać trochę w oczach otoczenia, zamiast narażać się na śmieszność? Marcin Matczak szuka odpowiedzi w nowej książce „12 ojców, czyli memem w autorytet".
„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości", „Kraj, w którym umrę", „Jak zatrzymać koniec świata" – inne książki Marcina Matczaka w formie e-booków i audiobooków na Publio.pl.

Humanizm na nowo

Słownik Cambridge ogłosił właśnie słowo roku 2026. Ten wybór może być skutkiem ubocznym rozwoju AI.



Michał Rusinek

W XV wieku we Włoszech powstał ruch filozoficzny, kulturowy i moralny nazwany kilka wieków później humanizmem. Charakteryzował się z jednej strony fascynacją kulturami starożytnej Grecji i Rzymu, a z drugiej antropocentryzmem.

Filozofia przestała być podporządkowana teologii, a zamiast scholastycznego teocentryzmu pojawiło się przeświadczenie, że jednak najważniejszy jest człowiek.

Od tamtego czasu humanizm przyjmował różne formy, ale we wszystkich w jakimś sensie pojawiał się człowiek: nie tylko jego potrzeby, szczęście, godność, wolność, swobodny rozwój i racjonalne myślenie, ale i emocje, braterstwo i siostrzeństwo, myślenie prospołeczne czy model pedagogiczny.

W ostatnich dziesięcioleciach pojawiły się natomiast symptomy zmierzchu humanizmu. Zaczęto mówić o posthumanizmie i odrzucać antropocentryczną wizję świata: człowiek przestał być „panem" przyrody, lecz stał się częścią sieci powiązań w obrębie ekosystemów. Obwiniano humanizm za nadmierne podporządkowanie planety człowiekowi, zbyt dużą jej eksploatację i kryzys ekologiczny.

W naukach humanistycznych posthumanizm zaczął się od kwestionowania integralności podmiotu, także podmiotu literackiego, a więc odrzucenia modelu kartezjańskiego. Pojawiły się pytania, kim właściwie jest autor (Michel Foucault), czy wręcz obwieszczanie śmierci autora (Roland Barthes).

Chodziło nie o tożsamość realnej osoby, ale o ideę autora i autorstwa. Czy podczas czytania tekstu można dotrzeć do autora? Czy on się za nim kryje? Czy jest tylko etykietką, która pozwala historykom literatury uporządkować teksty? Czy autor pisze literaturę czy też pisze się ona sama: pisze nim język, konwencja literacka itp. Czy literatura jest komunikatem między konkretnym nadawcą a odbiorcą czy też grą znaków, przestrzenią w której – jak pisał Foucault – „podmiot nieustannie znika"?

Barthes odtworzył nawet historię tego znikania, a nawet „umierania" autora: od Mallarmégo (dla którego zamiast autora mówi sam język), przez Prousta (i odwróconą przez niego relację między autorem a dziełem), surrealistów (i ich écriture automatique), aż po strukturalizm, który wykazał, że wypowiedź doskonale obywa się bez rozmówców. Czyli także bez autora.

Ale umarł król, niech żyje król: śmierć autora to narodziny czytelnika.

Czytelnika, który nie potrzebuje autora: to on, czytając tekst, nadaje mu sens, bo znajduje w nim odniesienia nie do tego, co wskazuje autor, lecz do tego, co sam zna.

Wizja Foucaulta i Barthes'a spełniła się w sposób, którego żaden z nich się zapewne nie spodziewał. Od pewnego czasu mamy już przecież do czynienia z literaturą, która nie ma autora, lecz jest generowana przez sztuczną inteligencję.

Pierwsza książka napisana w całości przez AI ukazała się już w 2017 roku („1 The Road"): programista Ross Goodwin podróżował z Nowego Jorku do Nowego Orleanu z laptopem wyposażonym w kamerę, mikrofon i GPS i na podstawie zebranych przez nie danych komputer wygenerował tekst książki.

Pojawia się coraz więcej publikacji pisanych przez AI – jawnie lub potajemnie. Świadczy o tym olbrzymi wzrost liczby książek wydawanych w self-publishingu. Tak oto metafory „śmierci" czy „zniknięcia" autora Foucaulta i Barthes'a zostały udosłownione: literatura generatywna nie potrzebuje autora. Podobnie generatywne sztuki plastyczne, muzyka czy nawet film.

Zaskakującym skutkiem takiego stanu rzeczy jest powrót, a może nawet zmartwychwstanie autora. Rewolucja AI jeszcze się na dobre nie zaczęła, a już jesteśmy znużeni oglądaniem wygenerowanych grafik czy filmików, słuchaniem wygenerowanej muzyki i czytaniem wygenerowanych tekstów, także tych przełożonych przez leniwych tłumaczy wyręczających się AI.

Nasze oko i ucho bezwiednie zaczyna szukać tych artefaktów, które zostały stworzone ręką ludzką. Czytamy, słuchamy i oglądamy wnikliwiej i podejrzliwiej, by – mówiąc nieco patetycznie – szukać człowieka. Znowu. Być może nadchodzi właśnie nowy humanizm. Także w sensie zwrotu ku starożytności: Nagrodę Nobla otrzymała w tym roku poetka Anne Carson, garściami czerpiąca z kultury klasycznej, do finału tegorocznej Nagrody Nike weszła książka Krzysztofa Łapińskiego o Sokratesie, a jednym z najbardziej dochodowych filmów 2026 roku była „Odyseja" Christophera Nolana (którą warto obejrzeć, przeczytawszy wydaną też w tym roku książkę o Homerze Marka Węcowskiego).

Nie ma się więc co dziwić, że słownik Cambridge ogłosił właśnie, że słowem roku 2026 jest „human", w sensie przymiotnika „ludzki". Słownik definiuje ów przymiotnik jako określenie odnoszące się do cech, uczuć, zalet i wad właściwych ludziom, a nie bogom, zwierzętom czy – co najważniejsze – maszynom.

Ten wybór podyktowany był rosnącym znaczeniem rozróżnienia między działalnością człowieka a treściami generowanymi przez sztuczną inteligencję. Właśnie rozwój tej ostatniej zmusza nas bowiem do nowego humanizmu: zadania sobie na nowo fundamentalnych pytań o naszą tożsamość. Być może konieczność zadawania sobie takich pytań jest tylko skutkiem ubocznym rozwoju AI. Często jednak skutki uboczne mają większą wagę niż skutki nieuboczne.

Przymiotnik „ludzki" w języku polskim ma szersze znaczenie niż angielski „human", bo także jakościowe czy raczej moralne. Głosowanie na polskie słowo roku rozpocznie się 1 grudnia. Zachęcam Państwa do wzięcia udziału w plebiscycie: sloworoku.uw.edu.pl. Dla mnie, prywatnie, pytaniem roku 2026 (a więc poza konkursem) pozostaną słowa: „A Kuba żyje?". Nic bardziej ludzkiego. ●

eprasa.pl c8499ac1c9

ŚWIAT



Gringos przyjechali, ***żeby wszystko ukraść***

Nikt z demokratycznej opozycji w Wenezueli nie spodziewał się, że administracja USA stanie im na drodze.

Anne Applebaum

Płynęliśmy obok opuszczonych platform wiertniczych – upiornych pozostałości po lepszych czasach. Kormorany siedziały na metalowych prętach, susząc skrzydła w słońcu. Kiedy dotarliśmy do wirującej, brązowo-zielonej plamy ropy, Carlos zwolnił. Powiedział, że surowa ropa może uszkodzić silnik łodzi. Przez chwilę dryfowaliśmy.

Carlos, rybak na jeziorze Maracaibo, wskazał na pęcherzyki na powierzchni wody świadczące o nieszczelnym rurociągu. W powietrzu unosił się silny zapach gazu. Mimo to zapalił papierosa i się roześmiał. Tego ranka jego ekipa złowła 13 kg ryb przy słonawym ujściu rzeki, gdzie ponad 100 lat temu odkryto ropę. Późniejszy boom gospodarczy doprowadził do powstania miast Caracas i Maracaibo, zapewnił trzem pokoleniom bogactwa oraz cztery dekady demokracji. Sto lat później pod wodą pozostają rezerwy szacowane na dziesiątki miliardów baryłek. Część z nich może się dziś znajdować pod kontrolą rządu amerykańskiego.

Bonanza

Wydobycie nie będzie łatwe. Po okresie prosperity nastąpił upadek, początkowo powolny, a potem gwałtowny. Hugo Chávez, który rządził krajem jako lewicowy dyktator w latach 1999-2013, a następnie Nicolas Maduro, autokrata, który zastąpił Cháveza i rządził krajem, dopóki nie został usunięty w wyniku amerykańskiej operacji wojskowej na początku tego roku, osłabili przemysł, odstraszając inżynierów i doprowadzając pracowników do ubóstwa. Twierdzili, że budują „socjalizm boliwariański", a likwidowali świadczenia, obniżali pensje i tworzyli kapryśny, represyjny reżim. Miliony ludzi opuściły kraj.

Większość amerykańskich i europejskich firm też się wycofała. Rosyjskie i chińskie przedsiębiorstwa, które przybyły, by je zastąpić, inwestowały niewiele. Jezioro Maracaibo, największy akwen w Ameryce Południowej, stało się miejscem jednej z największych katastrof ekologicznych na kontynencie. Dwie dekady zaniedbań doprowadziły do wycieków i zatrucia wody. Rybacy opłukują kraby i krewetki benzyną, aby usunąć ropę naftową.

Potrzebne będą miliardy dolarów, aby zrekultywować teren i wydobyć więcej ropy. Tymczasem ludzie mieszkający wokół jeziora, podobnie jak miliony innych Wenezuelczyków, ciężko pracują i zarabiają bardzo mało. Ryby muszą sprzedawać natychmiast, bo dostawy prądu są nieprzewidywalne, a zamrażarki działają z przerwami.

Gwałtowna inflacja – 20 procent w lipcu, co w ujęciu rocznym daje 783 procent – sprawiła, że wszystko stało się niedostępne cenowo. Na targu w Caracas widziałam ceny i kursy walut zapisane na tablicach, bo zmieniają się każdego dnia.

Carlos pokazał mi bliznę na nodze: – To stara rana postrzałowa, pamiątka po napadzie jednego z piratów kontrolujących jezioro. Jeśli im nie zapłacisz, zabiją cię i zabiorą łódź. Straż przybrzeżna powinna patrolować jezioro, ale rzadko tu bywa.

W miasteczku nad jeziorem, którego plaże poczerniały od ropy, Francisco, były mechanik łodzi w państwowej spółce naftowej Petróleos de Venezuela (PDVSA), powiedział mi, że zrezygnował z pracy, bo miał dość braku odpowiednich narzędzi i części zamiennych.

Sąsiadka Francisco, Iliana, opowiadała, że jej mąż też odszedł z PDVSA, gdy jego pensja spadła z 50 dolarów dziennie do kilku centów. Pracuje teraz dla rosyjskiej firmy za 35 dolarów, ale większość nocy musi spędzać na platformie wiertniczej.

Z Waszyngtonu lub Mar-a-Lago Wenezuela bywa opisywana jako bonanza dla Ameryki, skarbiec. Trzeciego stycznia, w dniu, w którym amerykańskie siły zbrojne schwytały Maduro, Trump obiecał, że tak właśnie będzie.

– Będziemy nią zarządzać właściwie; będziemy nią zarządzać profesjonalnie – obiecywał podczas konferencji prasowej. – Sprowadzimy największe koncerny naftowe, które zainwestują miliardy i miliardy dolarów, a następnie zarobią pieniądze i wykorzystają je w Wenezueli. Największymi beneficjentami będą mieszkańcy Wenezueli.

Jednak podczas tej samej konferencji ogłosił, że będzie współpracował z nową prezydentką: Delcy Rodriguez, zastępczynią Maduro i czołową przedstawicielką reżimu, który doprowadził do zniszczenia kraju. Odrzucił liderkę opozycji Marię Corinę Machado, prawdziwą zwyciężczynię wyborów prezydenckich w 2024 roku – jako „miłą kobietę", która „nie cieszy się szacunkiem w kraju".

W Wenezueli takie słowa brzmiały szokująco. Od tamtej pory sytuacja stała się jeszcze bardziej niejasna. Kiedy pytałam ludzi mieszkających tuż obok jednych z największych pól naftowych, czy Rodriguez wniosła jakąkolwiek zmianę w branży lub w kraju, śmiali się lub szydzili.

• **Niszczejące kiwony naftowe w Cabimas nad jeziorem Maracaibo w Wenezueli. Okolica pełna jest zardzewiałych rurociągów i rozlewisk ropy, które zagrażają tutejszemu ekosystemowi**

FOT. REUTERS / LEONARDO FERNANDEZ VILORIA

eprasa.pl c8499ac1c9

Jose, inny rybak, który kiedyś pracował dla PDVSA, miał bardziej pesymistyczne spojrzenie: – Gringos przyjechali, żeby wszystko ukraść: ropę, minerały. Jesteśmy bogaci we wszystko, ale tutaj nie mamy nic.

Później lokalny inżynier naftowy powiedział mi, że żadna z amerykańskich umów i tak nie ma znaczenia, bo wenezuelski rząd jest nielegalny, a zatem „nic nie jest legalne".

Poglądy rybaków z Maracaibo nie odbiegają zbytnio od poglądów Ricardo Hausmanna, ekonomisty z Harvardu, który kilkadziesiąt lat temu pełnił funkcję w zupełnie innym rządzie Wenezueli – takim, który przejrzyście udostępnił zasoby naturalne kraju inwestycjom zagranicznym. W latach 90. umowy PDVSA były upubliczniane.

Pieniądze pochodzące z inwestycji w ropę od dawna finansowały programy społeczne, w tym stypendia na studia na amerykańskich uniwersytetach. Wywołało to ciepłe uczucia wobec Ameryki wśród wykształconych Wenezuelczyków, które przetrwały lata chavistowskiej antyamerykańskiej propagandy.

Relacje polityczne i biznesowe, które teraz nawiązują się między Ameryką a Wenezuelą, są inne. Nie jest to oczywiście relacja między dwoma równymi sobie podmiotami, ale nie jest to też do końca okupacja. Niektórzy porównują ją do anglo-perskiej umowy naftowej z początku XX wieku lub traktatu z 1905 roku, który dał rządowi USA kontrolę nad służbą celną Republiki Dominikańskiej, ale żadna z tych analogii nie jest do końca trafna.

Szukając punktu odniesienia, zapytałam Hausmanna, jak by to opisał. – Koalicja dwóch kleptokracji – odpowiedział.

Ropa i inne surowce

Co dzieje się z wenezuelską ropą, gdy zostanie wydobyta? Gdzie trafiają zarobione dzięki niej pieniądze? I co zmieniło się po ogłoszeniu przez Trumpa 28 sierpnia „największej transakcji naftowej w historii świata"? Na żadne z tych pytań nie ma prostej odpowiedzi. W ciągu kilku dni spędzonych w Caracas i Madrycie (gdzie przebywa znaczna część wenezuelskiej opozycji) oraz podczas rozmów telefonicznych prowadzonych z Bostonu i Houston poprosiłam sześć osób – dwie, które wcześniej pracowały w branży naftowej, dwie nadal w niej pracujące oraz dwie ze środowiska akademickiego – o wyjaśnienie szczegółów.

Wszyscy mieli z tym trudności. Być może sytuacja jest trudna do zrozumienia, bo ani reżim Rodriguez, ani administracja Trumpa nie chcą, aby ktokolwiek ją zrozumiał. – Wenezuelska konstytucja stanowi, że wszelkie sprawy leżące w interesie narodowym powinny być zatwierdzane przez parlament. Nie zrobili tego, więc chronią się przez niejasność – tłumaczył mi Hausmann.

Pomimo niejasności część tego, co mówi Trump, jest prawdą: Stany Zjednoczone rzeczywiście kontrolują sprzedaż „milionów i milionów baryłek ropy" w Wenezueli, a także sprzedaż złota i innych surowców.

Jako warunek zniesienia sankcji gospodarczych, które Stany nałożyły wcześniej na ten kraj, wszystkie opłaty licencyjne i podatki od licencjonowanych firm są wpłacane na specjalne konto pierwotnie założone w Katarze, a później przeniesione do Citibanku.

Analitycy branżowi szacują, że od stycznia sprzedano ropę o wartości ponad 13 miliardów dolarów, ale liczba ta jest wyłącznie szacunkowa. Podczas przesłuchania w Kongresie 15 września sekretarz skarbu Scott Bessent odmówił jej potwierdzenia. Wielokrotne prośby kongresowych Demokratów o dodatkowe informacje również spotkały się z wymijającymi odpowiedziami.

Podczas innego posiedzenia kongresowego urzędnik Departamentu Stanu poinformował ustawodawców, że pieniądze są przekazywane między innymi na pokrycie „wynagrodzeń pracowników rządowych w Wenezueli".

Twarda waluta jest również udostępniana wenezuelskim bankom. Choć nie ma dowodów, że pieniądze są kradzione lub wyprowadzane w celu sfinansowania innych projektów administracji Trumpa, nie ma też dowodów że nie są.

Firma audytorska KPMG przeprowadza podobno audyt procesu, ale mimo wniosków ze strony Demokratów w Kongresie raport nie został opublikowany w terminie wyznaczonym na 8 października.

Brak przejrzystości ma konsekwencje. Realizacja nowych, znaczących inwestycji niezbędnych do prawdziwego ożywienia gospodarczego przebiega powoli.

Stare pola naftowe, które widziałam w pobliżu Maracaibo, a także nietknięte rezerwy w pasie rzeki Orinoko będą wymagały miliardów dolarów i długiego czasu, aby je zagospodarować lub ponownie uruchomić. Każda firma musi mieć pewność, że jej umowy utrzymają się przez dekadę lub dłużej.

Francisco Monaldi, analityk branży naftowej z Uniwersytetu Rice'a, powiedział mi, że choć nowa ustawa o węglowodorach, uchwalona 29 stycznia pod presją Stanów Zjednoczonych, stanowi krok naprzód, nadal daje wenezuelskiemu ministerstwu ropy naftowej swobodę, by zaoferować przedsiębiorcy „najlepszą umowę w Ameryce Łacińskiej albo najgorszą", a następnie zmienić warunki tej umowy.

Nic dziwnego, że obecna sytuacja – niepopularny i bez legitymacji społecznej prezydent Wenezueli wspierany przez nieprzewidywalnego i ograniczonego kadencją prezydenta USA – budzi niepokój wśród wielkich firm.

Jeśli koncerny naftowe wolałyby wybranego w wyborach prezydenta Wenezueli i stabilny system polityczny, nie jest to kwestia szlachetnych, wzniosłych zasad. – Kierownictwo koncernów naftowych nie zajmuje się działalnością charytatywną; to nie są zakonnice – powiedział Monaldi. Ale ci ludzie wiedzą, kiedy sprawy są załatwiane w sposób, który w końcu przysporzy im kłopotów.

Z wyjątkiem Chevronu, który pozostał w Wenezueli przez całą erę Cháveza i Maduro i nadal inwestuje w tym kraju przychody uzyskane dzięki wydobyciu (choć nic ponadto), większość dużych firm ograniczyła się jedynie do wysłania przedstawicieli do Caracas, podpisania porozumienia i powrotu do domu.

„Największa umowa naftowa w historii świata" Trumpa wydaje się zatem zaprojektowana tak, by zachęcić amerykańskie firmy do szybszego rozpoczęcia wierceń oraz – co ważniejsze dla niego – odwrócić uwagę od kryzysu naftowego spowodowanego przez jego wojnę w Iranie. Jednak ta umowa jest jeszcze bardziej nieprzejrzysta niż dotychczasowe porozumienie i cieszy się jeszcze mniejszą popularnością.

Tysiące osób zamieściło gniewne komentarze na stronach ambasady USA w serwisach społecznościowych. I nic dziwnego: głównym partnerem biznesowym administracji amerykańskiej jest firma North American Blue Energy Partners (NABEP), której dyrektor generalny Alejandro Betancourt jest w Wenezueli powszechnie znaną postacią.

Betancourt był przedmiotem dochodzeń w sprawie prania brudnych pieniędzy w wielu krajach, w tym w Stanach, Szwajcarii i Hiszpanii. Nigdy nie postawiono mu zarzutów karnych. Po aresztowaniu na londyńskiej stacji Charing Cross na podstawie szwajcarskiego nakazu w listopadzie 2025 roku utknął w Anglii na ponad sześć miesięcy, podczas gdy toczyła się sprawa o ekstradycję. Hiszpańska policja przeszukała jego posiadłość pod Madrytem jeszcze 28 sierpnia.

„The Washington Post" poinformował, że administracja Trumpa wywierała presję na szwajcarskich urzędników, by wstrzymali śledztwo i wycofali wniosek o ekstradycję, najwyraźniej po to, by umożliwić Betancourtowi udanie się do Stanów Zjednoczonych i Wenezueli oraz sfinalizowanie umowy.

W kraju Betancourt jest znany z nieudolnej modernizacji sieci energetycznej, zawyżania cen za używany sprzęt niskiej jakości oraz wzbogacania się przy okazji.

Ludzie otwarcie obwiniają go za awarie i przerwy w dostawach prądu. Jeden z liderów opozycji powiedział mi, że już jako nastolatek słyszał nazwisko Betancourta jako przykład korupcji reżimu. Również rybacy z jeziora Maracaibo doskonale wiedzieli, kim jest, a analityk z Madrytu powiedział mi, że wszystko, co sądził na temat intencji USA wobec Wenezueli, zostało wywrócone do góry nogami przez umowę z Betancourtem.

Zapytałam kilku analityków rynku ropy i ekonomistów, czy administracja Trumpa i Betancourt mogliby po prostu przyznać kontrakty wiertnicze swoim grupom przyjaciół w Ameryce i Wenezueli. Wszyscy odpowiedzieli twierdząco.

Kilka osób próbowało jednak spojrzeć na szklankę jako w połowie pełną. Jeśli wydobywa się więcej ropy, to przynajmniej część pieniędzy w końcu trafi do ludzi, co jest lepsze niż brak pieniędzy.

– To proces – powiedział Enrique Novoa, były prezes Wenezuelskiej Izby Naftowej. – Mamy nadzieję, że jutro będziemy pracować nieco lepiej niż dzisiaj.

Ale nawet ci, którzy starali się przychylnie patrzeć na tę umowę, byli albo zaskoczeni, albo zdezorientowani tym, że Stany Zjednoczone – od dawna krytykujące marksistowską retorykę i etatystyczne praktyki reżimów Cháveza i Maduro – tak szybko i entuzjastycznie przyjęły korupcyjne nawyki oraz skorumpowaną kadrę elity chavistowskiej.

Pod koniec dnia, który spędziłam, dryfując po postapokaliptycznym krajobrazie jeziora Maracaibo, spotkałam Juana Pabla Guanipę, jednego z najbardziej znanych przywódców opozycji w Wenezueli. Guanipa, który mieszka w Maracaibo, został zwolniony w lutym po ośmiu miesiącach spędzonych w więzieniu. Następnego dnia zatrzymano go na ulicy, umieszczono w areszcie domowym, a potem ponownie zwolniono.

Nadal jest śledzony przez wenezuelskie służby bezpieczeństwa, dokądkolwiek się udaje.

Siedząc w pokoju wypełnionym książkami, rozmawialiśmy o umowie naftowej, słabej sytuacji gospodarczej i narastającej frustracji Wenezuelczyków.

Zapytałam go, czy uważa nowe porozumienie między Amerykanami a zwolennikami Cháveza za dziwne. – Oczywiście, że tak – odparł. Najbardziej zaskakujący wydawał mu się brak jankeskiego pragmatyzmu – podstawowej rzeczy, której Wenezuelczycy oczekiwali od Amerykanów. Amerykańscy kapitaliści powinni przynajmniej wiedzieć o zasadach praworządności. – Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie moment, w którym będziemy musieli przekonywać Stany Zjednoczone o tym, co oczywiste: że Wenezuela potrzebuje legalnego rządu, że potrzebujemy wyborów i że potrzebujemy zmian.



• Sekretarz obrony USA Pete Hegseth i wenezuelski minister spraw zagranicznych Oliver Blanco w drodze na spotkanie z pełniącą obowiązki prezydenta Wenezueli Delcy Rodríguez. Caracas, pałac Miraflores, 18 listopada br.
FOT. MIRAFLORES PALACE/ HANDOUT VIA REUTERS

Rubio: nie ma więźniów politycznych

Istnieje prosty sposób, by Wenezuela uzyskała legalny rząd, który zapewniłby i koncernom naftowym, i zwykłym obywatelom stabilny porządek polityczny i społeczny: reżim mógłby zorganizować wybory lub referendum i pozwolić ludziom wybrać następnego prezydenta. Administracja amerykańska, która nie tylko kontroluje najważniejsze źródła dochodów Wenezueli, ale także grozi dalszymi działaniami wojskowymi byłym poplecznikom Maduro, mogłaby pomóc w realizacji tego celu.

Sekretarz stanu Marco Rubio wielokrotnie powtarzał, że tak się stanie. Opisał trzyetapowy proces: stabilizację, odbudowę i transformację. Dzięki wsparciu ze strony Stanów Zjednoczonych reżim oraz część opozycji – członkowie ostatniego uznanego za legalne zgromadzenia ustawodawczego, wybranego w 2015 roku – rozpoczęli negocjacje dotyczące transformacji.

Kilka zaangażowanych w ten proces osób powiedziało mi, że choć przebiegają one po-

eprasa.pl c8499ac1c9

woli, są owocne. W pierwszej rundzie, która odbyła się w sierpniu, dyskusje skupiały się na reformie Sądu Najwyższego, podporządkowanego Maduro, który musi być niezależny, aby zapewnić, że reżim znów nie odmówi uznania wyników wyborów.

Niestety, wielu nadal nie jest przekonanych, że transformacja jest rzeczywista. Bo opis Wenezueli przedstawiony przez Trumpa – kraju, w którym, jak twierdzi, ludzie są „naprawdę szczęśliwi" i „tańczą na ulicach" – tak diametralnie odbiega od rzeczywistości, którą widzą. Ale również dlatego, że Trump wydaje się tak entuzjastycznie nastawiony do status quo, w którym figurują Betancourt, Rodriguez i cała rzesza innych postaci z przeszłości.

Kilka dni po spotkaniu z Rodriguez na marginesie Zgromadzenia Ogólnego ONZ opisał ją jako „bardzo miłą, naprawdę wspaniałą", nie podając jednak daty wyborów. 2 września, gdy dziennikarz zapytał go o wybory w Wenezueli, Trump odpowiedział: „Po prostu nie sądzę, żeby byli jeszcze gotowi. Wiecie, to wszystko jest bardzo nowe".

Czy demokracja w Wenezueli jest „nowa"? Czy Wenezuelczycy „nie są gotowi"? Ten język brzmi dla Wenezuelczyków równie dziwnie, jak gadanie o wielkim bogactwie rzekomo płynącym w ich stronę. W końcu odbyły się tam wybory prezydenckie, i to nie tak dawno temu. W lipcu 2024 roku, kiedy Rodriguez była wiceprezydentką, Maduro był kandydatem reżimu.

Przegrał zdecydowanie, nawet po ustawieniu wyników na swoją korzyść.

W Antimano i La Vega, dzielnicach w zachodniej części Caracas, spotkałam lokalnych aktywistów, którzy opowiadali mi fascynujące historie z tej kampanii. Słyszałam o kobietach, które chowały arkusze wyników w bieliźnie, o mężczyźnie, który schował jeden pod peruką. Jeden z lokalnych liderów opowiedział mi, że jego 8-letni syn jeździł po lokalach wyborczych na rowerze i zbierał wydruki, wiedząc, że nikt nie będzie podejrzewał dziecka.

Być może Trump „nie jest gotowy" na demokrację, ale spotkałam ludzi w Antimano i La Vega, którzy walczyli o nią dłużej i zacieklej niż większość Amerykanów.

Reżim nigdy nie opublikował dowodów na legalny wybór Maduro. Zamiast tego ogłosił zwycięstwo i rozpoczął jedną z najbardziej brutalnych kampanii represji w historii kraju. Siły bezpieczeństwa i formacje paramilitarne rozeszły się po całym kraju, aresztując tysiące osób i zabijając dziesiątki.

Jeśli Wenezuelczycy nie są przekonani, że ich kraj robi postępy w kierunku demokracji, to również dlatego, że aparat, który przeprowadził tę falę represji, nadal funkcjonuje. Według stanu na początek października od stycznia uwolniono ok tysiąca osób, ponad 320 pozostaje w więzieniu.

Spotkałam się z ich krewnymi, którzy rozbili obóz przed ambasadą USA, licząc, że Amerykanie im pomogą.

– Marco Rubio twierdzi, że nie ma więźniów politycznych – powiedział mi jeden z nich.

Do początku września nikt z amerykańskiej delegacji nie zwrócił uwagi na rodziny.

Nawet wśród uwolnionych więźniów politycznych setki osób, takich jak Juan Pablo Guanipa, są nadal nieustannie śledzone lub zmuszane do regularnego zgłaszania się w sądzie, jakby reżim przypominał im, że są jedynie tymczasowo wolni.

Perkins Rocha, prawnik, który był jednym z przedstawicieli kampanii opozycji przed radą wyborczą w 2024 roku, nadal przebywa w areszcie domowym. Zatrzymany na ulicy miesiąc po wyborach, został oskarżony o terroryzm, zdradę stanu, udział w zorganizowanej grupie przestępczej, podżeganie do nienawiści oraz spisek.

Został przewieziony do najbardziej znanego więzienia w kraju – El Helicoide, gdzie spędził dwa tygodnie w kajdankach, a głowę miał czasami zakrytą kapturem. Następnie żył wiele miesięcy w betonowych celach bez okien.

Od czasu zwolnienia w lutym pozostaje w domu w Caracas z bransoletką na kostce, żartuje, że to jak „więzienie, ale ze słońcem". Aby go odwiedzić, musiałam się zgłosić do policjantów w holu jego budynku. Jeden z nich zapisał moje imię na dłoni.

Machado jest niewygodna

Jednak najważniejszym powodem, dla którego Wenezuelczycy wątpią w perspektywy demokratycznej transformacji, jest długotrwała nieobecność Machado, liderki opozycji.

Machado ukryła się po wyborach w nieznanym miejscu na terenie Wenezueli. W grudniu 2025 roku w końcu uciekła z kraju łodzią rybacką na Curaçao, holenderską wyspę u wybrzeży Wenezueli, a następnie poleciała do Norwegii, by odebrać Pokojową Nagrodę Nobla.

W styczniu tego roku Machado odwiedziła Trumpa w Białym Domu i podjęła próbę zdobycia jego przychylności, wręczając mu swój medal Nobla w podziękowaniu za jego „wyjątkowe zaangażowanie" na rzecz wolności Wenezueli. Najwyraźniej chybiła: prawie rok później Trump nie zaproponował daty wyborów, a Machado nadal tkwiła za granicą, najpierw w Waszyngtonie, a potem w Panamie.

Po trzęsieniu ziemi nie widzieliśmy policjantów. Żadnej armii, nic. To byli ludzie pomagający ludziom, sąsiedzi pomagający sąsiadom

Początkowo administracja amerykańska odradzała jej powrót: nie można było zagwarantować jej bezpieczeństwa. Później próby powrotu zostały zablokowane, i to nie tylko przez reżim Rodriguez.

Rubio wyraźnie stwierdził – choć w wywiadzie w języku hiszpańskim, który zrozumieliby Wenezuelczycy, ale nie jego szef – że Machado ma „pełne prawo do wjazdu do swojego kraju, kiedy tylko zechce wrócić". Jednak prywatnym samolotom, które wynajęła, odmówiono prawa do lądowania, nawet na Curaçao i Arubie, kolejnym terytorium holenderskim. Łódź, którą wynajęła, w tajemniczy sposób doznała „awarii silnika". Komercyjna linia lotnicza nie wpuściła jej na pokład.

Wiele osób w Caracas powiedziało mi, że amerykańscy dyplomaci w tym mieście opisują Machado jako „problem".

Rzeczywiście, jeśli najważniejszym celem administracji Trumpa jest umocnienie umów naftowych ze skorumpowanymi osobami powiązanymi z Rodriguez, to być może tak właśnie jest. Machado wyrażała jaśniej niż inni potrzebę pociągnięcia reżimu do odpowiedzialności za zbrodnie. Od dawna argumentowała, że prywatne firmy powinny odgrywać większą rolę w wenezuelskiej gospodarce – stanowisko, które, jak na ironię, stawia ją w kontrze do tych członków administracji amerykańskiej, którzy chcą współpracować z państwem wenezuelskim w celu wydobywania surowców.

Rozmawiałam z nią w Panamie na początku września, i powiedziała mi, że jej głównym zmartwieniem poza powrotem do domu jest to, że zbyt wiele osób, w tym Amerykanie, „w ogóle nie rozumie, co się dzieje w Wenezueli".

„Wszystko, co słyszę, dotyczy konwencjonalnych schematów transformacji, które uwzględniają interesy i opinie wszystkich oprócz samych obywateli, jakby oni nie mieli znaczenia" – mówiła.

Jeśli jednak rząd USA chce przeprowadzić transformację bez Machado, ta próba przyniesie odwrotny skutek. Jeśli Betancourt jest najsłynniejszym symbolem dawnych nadużyć władzy i korupcji w tym kraju, to Machado pozostaje najsłynniejszym symbolem demokratycznej przyszłości. Bez niej żadne wybory nie będą miały legitymacji, a legitymizacja jest niezbędnym elementem zakończenia kryzysu w Wenezueli.

– W Stanach Zjednoczonych mieszka 1,1 mln Wenezuelczyków, a 65 procent z nich jest gotowych wrócić – powiedziała mi Machado. – Ale nie zrobią tego, dopóki ten sam reżim, który ich pierwotnie wygnał, nadal będzie u władzy.

Legitymizacja jest niezbędna do stworzenia wenezuelskich sił zbrojnych, które będą mogły współpracować ze Stanami Zjednoczonymi w walce z sieciami przestępczymi w regionie, zamiast być ich częścią. Legitymizacja jest również brakującym składnikiem reformy rynku ropy – gwarancją, której firmy potrzebują przed podjęciem długoterminowych inwestycji.

Mimo powrotu Machado do Wenezueli nikt nie wyobraża sobie, że droga tego kraju będzie prosta.

W ruchliwym biurze typu open space, pełnym ludzi rozmawiających przy małych, plastikowych kubeczkach czarnej kawy, spotkałam Henry'ego Alviareza, krajowego koordynatora Vente, partii politycznej Machado. Alviarez powiedział mi, że po tym, jak został zwolniony z więzienia w lutym, Vente musiało „zbudować wszystko od nowa – przegrupować się, odbudować organizację i odzyskać kierunek działania". Vente zaczynało od 55 tys. osób, powiedział Alviarez, a we wrześniu liczba ta wzrosła do 150 tys. – Mamy truktury w całym kraju i we wszystkich gminach, a według sondaży jesteśmy wiodącą partią w Wenezueli – opowiadał.

Partia zamierza zainicjować ogólnokrajową debatę na temat tego, co Machado nazywa „wielkim porozumieniem narodowym". Ma na celu zmianę konstytucji, systemu edukacji, systemu opieki zdrowotnej i nie tylko. Vente nie domaga się natychmiastowych wyborów. Jednak przywódcy partii chcą przynajmniej wiedzieć, kiedy one się odbędą, aby mogli odpowiednio zaplanować działania.

Niektórzy uważają, że należy poczekać: aż wpływ reżimu Rodriguez jeszcze bardziej osłabnie; aż administracja Trumpa straci władzę; aż kongresowi Demokraci i Republikanie popierający wenezuelską demokrację podejmą działania; aż zacznie płynąć więcej ropy.

W końcu transformacja wiąże się z pewnym ryzykiem. Nikt nie może być pewien, kiedy gospodarka znów zacznie rosnąć, a nowy rząd mógłby zostać obarczony winą, gdyby tak się nie stało. Ale jeśli czekanie wydawało się dobrą strategią sześć miesięcy temu, ryzyko szybko rośnie.

– Tutaj wszystko wygląda normalnie – powiedział Alviarez, wskazując na ludzi pijących kawę. Ale to pozór. – Panuje poczucie wyczerpania i pragnienie zmiany, które można ukierunkować jedynie przez jasne przywództwo i jasny cel. Problem ten da się rozwiązać tylko wtedy, gdy ludzie w końcu poznają datę wyborów.

Po tak długiej walce ze zwolennikami Cháveza i ich rosyjskimi, irańskimi oraz kubańskimi sojusznikami nikt z historycznie proamerykańskiej, demokratycznej opozycji w Wenezueli nie spodziewał się, że administracja USA stanie im na drodze.

Jeśli jednak tak się stanie, przygotowują się do walki również z tą przeszkodą.

Trzęsienie ziemi w La Guaire i Caracas

24 czerwca dwa trzęsienia ziemi wstrząsnęły Caracas, nadmorskim miastem La Guaira oraz kilkoma mniejszymi miejscowościami wzdłuż wybrzeża. Nagle ryzyko związane z czekaniem stało się oczywiste.

Zawaliło się kilka dużych budynków, w tym kompleks mieszkań socjalnych zbudowany przez reżim Cháveza dla ofiar osuwiska z 1999 roku. Uszkodzonych zostało dziesiątki tysięcy innych budynków. Zginęło co najmniej 6,5 tys. osób (pełna liczba ofiar nadal nie jest znana), ponad 16 tys. zostało rannych, a około 17 tys. straciło dach nad głową.

Niektóre rządy, nawet te autorytarne, mobilizują się w obliczu kryzysu. Reżim wenezuelski zamarł. Rodriguez dysponuje wystarczającą liczbą funkcjonariuszy policji, by pilnować windy Perkinsa Rochy. Nie miała jednak wystarczającej liczby żołnierzy, policjantów ani ratowników, by wydobyć Wenezuelczyków z gruzów, zapewnić im pomoc medyczną i żywność ani znaleźć dla nich schronienie w kolejnych dniach.

Odwiedziłam La Guairę, miasto najbardziej dotknięte katastrofą, na tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego. Nikt, kogo spotkałam w obozach dla uchodźców, nie wiedział, dokąd mają pójść ich dzieci. Jedna z lokalnych szkół została zajęta przez uchodźców, którzy nie mieli zamiaru jej opuścić, bo nie mieli gdzie się podziać.

Na terenie zawalonego kompleksu mieszkań socjalnych, gdzie w końcu przybyły buldożery, by usunąć gruz, spotkałam Ellie Solano, pogrążoną w żałobie matkę, która poprosiła mężczyzn obsługujących maszyny, by zostawili jedną część gruzu. Wiedziała, że leży ona nad boiskiem, na którym bawił się jej syn. Dwa miesiące po katastrofie szukała jego zwłok, kopiąc rankiem i wieczorami, kiedy nie było zbyt gorąco.

– Nie widzieliśmy policjantów. Żadnej armii, nic – powiedziała mi pewna kobieta. – To byli ludzie pomagający ludziom, sąsiedzi pomagający sąsiadom. I tak przez wiele, wiele dni.

Tak jest do dziś. Podobnie jak w Ukrainie, gdzie po rosyjskiej inwazji w 2022 roku powstały oddolne ruchy wspierające armię, tak w La Guairze po trzęsieniach ziemi nagle pojawiło się wiele organizacji wolontariackich. Niektóre z nich, takie jak Alimenta la Solidaridad, organizacja charytatywna założona 10 lat temu, miały już głębokie korzenie w społeczności. Przed 2024 rokiem Alimenta prowadziła ponad 200 jadłodajni w całym kraju.

Po wyborach reżim ograniczył działalność niezależnych organizacji i Alimenta musiała zamknąć jadłodajnie.

Jednak grupa odrodziła się po trzęsieniach ziemi, uznawszy, że sytuacja uległa zmianie i, jak powiedział mi Juan Andres Saavedra, jeden z liderów grupy: „rząd nie istniał". Saavedra organizuje zespoły wolontariuszy, którzy codziennie dostarczają jedzenie do kilku miejsc, w tym do obozu dla uchodźców znajdującego się na terenie szkoły.

W niektórych społeczeństwach brak państwa prowadzi do anarchii. W innych ludzie organizują się samodzielnie. Wenezuela jest jednym z tych drugich krajów, jak powiedziała mi sama Machado w wywiadzie w grudniu 2024 roku.

Nawet gdy się ukrywała, nawet gdy sytuacja polityczna była najtrudniejsza, Machado była przekonana, że doświadczenie związane z organizacją wyborów doprowadziło do „antropologicznej zmiany", tworząc więzi między ludźmi z różnych warstw społecznych i inspirując ich do chęci reformowania kraju od podstaw.

Prawie dwa lata później Wenezuelczycy powtarzali mi to samo. Pewna młoda aktywistka polityczna, która opuściła kraj i dopiero niedawno wróciła, powiedziała, że trzęsienia ziemi i chaos, który po nich nastąpił, były otrzeźwiającym przypomnieniem lekcji wyciągniętych podczas kampanii wyborczej w 2024 roku.

– Rząd nas nie uratuje i Amerykanie nas nie uratują, zatem musimy współpracować. Jesteśmy zdani na siebie – powiedziała.

eprasa.pl c8499ac1c9

SZUKAJ BAZY W POLU

Gdy przedstawiciele MON po spotkaniu z Hegsethem mówili o „zielonym świetle”, **Pentagon wydał zupełnie inny komunikat**

Mateusz Mazzini

Nic lepiej nie obrazuje problemu z obecnością wojsk amerykańskich w Polsce i podejścia Waszyngtonu do naszych starań niż porównanie oficjalnych komunikatów po ostatniej wizycie przedstawicieli MON w Waszyngtonie.

Minister Władysław Kosiniak-Kamysz oraz jego zastępcy: Magdalena Sobkowiak-Czarnecka i odpowiedzialny za negocjacje w sprawie bazy Paweł Zalewski 10 listopada spotkali się z szefem Departamentu Wojny, Pete’em Hegsethem. Po powrocie kierownictwo resortu zakomunikowało polskiej opinii publicznej, że w amerykańskiej stolicy pojawiło się „zielone światło” dla amerykańskiej stałej bazy.

Powiało optymizmem, bo w tej sprawie od dłuższego czasu brakowało konkretów, za to stała się przedmiotem wewnętrznego sporu politycznego – za ciszę i brak postępów w negocjacjach rząd obwiniał rzekomo biernych ludzi prezydenta, ci odpowiadali, że premier Donald Tusk jest w Waszyngtonie persona non grata, więc ewentualne fiasko rozmów będzie spowodowane właśnie słabymi notowaniami szefa rządu u samego Donalda Trumpa.

Tym razem miało być inaczej, pojawiły się nawet konkretne daty. Sobkowiak-Czarnecka mówiła Polskiej Agencji Prasowej, że decyzja w sprawie relokacji wojsk może zapaść już 3 lub 4 grudnia. Z kolei Zalewski w wywiadzie dla tygodnika „Polityka” stwierdził nawet, że 1 grudnia prezydent Trump może otrzymać rekomendacje Pentagonu odnośnie rozmieszczenia wojsk amerykańskich w Europie.

To skrót myślowy, wiceminister miał zapewne na myśli publikację „Force Posture Review”, dokumentu analizującego obecność militarną Stanów Zjednoczonych poza granicami kraju. Jego upublicznienie było już kilkukrotnie przekładane, pierwotnie miał ujrzeć światło dzienne w październiku – tak twierdzili chociażby dyplomaci z krajów bałtyckich, którzy obawiali się, że jesienią usłyszą decyzję o wycofaniu się USA z ich regionu.

Teraz, jak twierdzi serwis Bloomberg, powołując się na źródła w samym Pentagonie, ostateczna redukcja personelu na Starym Kontynencie będzie mniejsza, niż się obawiano. Ekipa z MON ma natomiast nadzieję, że akurat Polsce ten dokument przyniesie pozytywne zmiany, bo będzie zawierał utworzenie stałej bazy nad Wisłą.

Problem w tym, że poza kilkoma pozytywnymi sygnałami retorycznymi nic nie wskazuje na to, żeby decyzja o jej utworzeniu już zapadła.

Podczas gdy Polacy po spotkaniu z Hegsethem mówili o „zielonym świetle”, Pentagon wydał zupełnie inny komunikat.

•

Moment wizyty był dla nas niefortunny, bo przedstawiciele rządu Tuska byli w Waszyngtonie tydzień po wyborach połówkowych, kiedy w szeregach Republikanów zaczęła się panika z powodu nadchodzących śledztw i przesłuchań zapowiadanych przez Demokratów w nowym Kongresie.

Hegseth natomiast musiał liczyć się z możliwością utraty stanowiska, bo odchodzący kongresmen – z jego własnego obozu – Thomas Massie właśnie rozpoczynał przeciwko niemu procedurę impeachmentu.

Dlatego w nocie prasowej Departamentu Wojny nacisk położony został na wielokrotne podkreślanie, że były prezenter telewizji Fox News nadal kieruje resortem, podpisuje dokumenty i decyduje o linii programowej całego Pentagonu. „Zielonego światła” nigdzie tam nie ma.

I wcale nie jest powiedziane, że będzie, bo ostatecznie o wszystkim zdecyduje Trump.

A w polskim rządzie pojawiła się nerwowość po tym, jak amerykański prezydent spotkał się w chińskim Shenzhen z Władimirem Putinem, nazywając go „swoim przyjacielem”. Niewykluczone bowiem – takie podejrzenia krążą wśród polskich polityków – że temat stałej amerykańskiej bazy w Polsce pojawi się jako element negocjacji między Moskwą a Waszyngtonem. Niektórzy w kręgach rządowych są wręcz o tym przekonani. Do Trumpa nie mają zaufania, bo nikt nie jest w stanie przewidzieć, gdzie znajduje się kres jego możliwych ustępstw wobec rosyjskiego dyktatora.

Dotychczas, co trafnie zauważył Marek Menkiszak z Ośrodka Studiów Wschodnich, prezydent USA nie przekroczył jednej czerwonej linii – rozmawiając z Rosjanami, cały czas podkreśla, że reset polityczny i ekonomiczny jest możliwy dopiero po zawieszeniu działań na froncie. Do tego wciąż jednak daleko, bo Putin nie wykazuje gotowości do rozejmu, a Ukraińcy muszą atakować rosyjskie cele, żeby zredukować ofensywne zdolności Moskwy.

Niewykluczone więc, że znudzony polityką krajową, łaknący sukcesów dyplomatycznych i poddawany rosyjskiej presji Trump zdecyduje się zdjąć ostatnie utrzymywane sankcje na rosyjskie wehikuły inwestycyjne i wpuścić Putina z powrotem do krwiobiegu światowej gospodarki, nie bacząc, że ukraińscy cywile nadal będą umierać pod rosyjskimi rakietami i dronami.

Trudno wyobrazić sobie scenariusz, w którym Kreml nie porusza wówczas tematu stałej amerykańskiej bazy w Polsce. Tuż po spo-



• **Sekretarz obrony USA Pete Hegseth z żoną Jennifer Rauchet podczas wizyty w Polsce 14 lutego 2025 r. W siedzibie MON przy ul. Klonowej 1 w Warszawie przyjmuje ich wicepremier RP, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz z żoną Pauliną**

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl c8499ac1c9



• **Otwarcie amerykańskiej bazy przeciwrakietowej Aegis Ashore w Redzikowie koło Słupska, 13 listopada 2024 r.**
FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prezydent powinien teraz dzwonić do Białego Domu non-stop – słyszę od rozmówców w rządzie.

Cóż, gdy polskim dojściom w Waszyngtonie zaszkodziła rewolucja kadrowa Trumpa po wyborach połówkowych

tkaniu w Shenzhen Trump przekazał przecież europejskim przywódcom z Koalicji Chętnych, że powinni zaprzestać pomocy Ukrainie, gdyż w ten sposób „mogą oszczędzić pieniądze i ludzkie istnienia". O szczegółach jego pomysłu jako pierwszy doniósł serwis POLITICO, powołując się na pięć różnych źródeł dyplomatycznych z Europy.

Wygląda więc na to, że Amerykanie – w tym negocjujący w imieniu Trumpa jego przyjaciel i biznesowy znajomy z deweloperskich czasów Steve Witkoff oraz prezydencki zięć Jared Kushner – wreszcie połapali się w dynamice tego konfliktu. Waszyngton i Moskwa wiedzą już, że Ukraina nie przestanie walczyć, dopóki ma wsparcie finansowe i militarne od Europy.

Dlatego Rosjanie naciskają teraz na ekipę Trumpa, by wywierała presję na Europejczyków. Wstrzymanie pomocy dla Kijowa byłoby rzeczywiście najkrótszą drogą do zakończenia wojny. Co dla Putina oznaczałoby wygraną.

•

Na dobrą sprawę Polakom na pozytywne rozstrzygnięcie tematu bazy zostały trzy tygodnie. Mniej więcej w połowie grudnia okno się zamknie. Waszyngton wyłączy się na okres świąteczny, a 3 stycznia zaprzysiężony zostanie nowy Kongres. Na Kapitolu zacznie się festiwal komisji śledczych, ludzie Trumpa podzielą się na dezerterów i zaogniających polityczny spór radykałów, a sam prezydent będzie jeszcze bardziej ugodowy wobec Putina.

Problem w tym, że pomimo świadomości powagi sytuacji Polska ma ograniczone pole manewru i niewielkie zasoby, żeby przechylić szalę na swoją korzyść.

Najbliższe kilkanaście dni mogłoby być doskonałym momentem na wykazanie się dla Karola Nawrockiego, twierdzącego, że z Trumpem łączą go zażyłe stosunki. „Prezydent powinien właśnie teraz dzwonić do Białego Domu non-stop" – słyszę od rozmówców w rządzie. Tyle że ekipa z tak zwanego Dużego Pałacu też poniosła straty w amerykańskich wyborach połówkowych.

Tuż po nich ze stanowiska odeszła szefowa personelu w Białym Domu, Susie Wiles, wobec której Trump odczuwał respekt. A to z nią dobre relacje mieli ludzie prezydenta – jeden z najważniejszych spin-doktorów PiS Adam Bielan, prezydencki doradca, brat gwiazdora TV Republiki Nikodem Rachoń i Marcin Mastalerek, główny spec od spraw zagranicznych prezydenta Dudy, dziś związany z republikańskim thin-tankiem.

Zastąpił ją Stephen Miller, radykał i ksenofob, biały suprematysta skupiony na walce z imigracją i wojnach kulturowych, a przede wszystkim – zajadły izolacjonista. Dla Millera NATO nie jest priorytetem, polityka zagraniczna też nie – więc trudniej wylobbować u niego spotkanie w temacie takim jak stała baza USA w innym kraju. Wszak hasło „America First", w które wierzy, zakłada również, że wojska amerykańskie potrzebne są na granicy z Meksykiem, a nie w Europie Środkowo-Wschodniej.

Inny już odtrąbiony sukces, udział Polski w programie Nuclear Sharing, czyli możliwość przenoszenia przez polskie lotnictwo amerykańskich ładunków nuklearnych w przypadku wojny jądrowej, też jest kwestią znacznie bardziej złożoną, niż opisują to politycy i niektórzy publicyści. Nie jest bowiem tajemnicą, że Trump panicznie boi się konfrontacji nuklearnej i jest, podobnie jak kierujący Starlinkami Elon Musk, wyjątkowo wrażliwy na rosyjskie próby szantażu nuklearnego.

A broń przenoszona przez Polaków to nie to samo, co polska broń – decyzja o jej użyciu i tak zawsze należałaby do strony amerykańskiej. Jeśli zaś Rosjanie będą mieli pewność, że Biały Dom nie zamierza z niej skorzystać, trudno uznać to za skuteczny element odstraszania.

•

Jest też druga strona tego medalu – im bardziej staramy się o Amerykanów u nas, koncentrując nasze zasoby dyplomatyczne na odcinku waszyngtońskim, tym gorzej wypadamy w oczach innych sojuszników. Od akredytowanych w Warszawie dyplomatów z innych dużych krajów NATO można usłyszeć, że „Polska mówi o sobie jako o średniej potędze, chce być *middle power*, a zachowuje się jak klient Amerykanów".

Pod tym względem stajemy się wyjątkiem w Europie, bo wiele innych kluczowych państw na wsparciu USA położyło już kreskę. Mark Leonard, przewodniczący Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych, powiedział mi nawet, że Polska „ma strasznie romantyczne i nieprzystające do rzeczywistości wyobrażenie roli Amerykanów w europejskim bezpieczeństwie". Zauważa, że praktycznie wszystkie kraje europejskie idą już w innym kierunku, tak samo jak cała Unia.

Duńczycy, Holendrzy, nawet usiłujący wierzyć w komunikaty Waszyngtonu o „wyjątkowej relacji" i swą przydatność w roli „niezatapialnego lotniskowca USA" oraz hubu finansowego Brytyjczycy pod rządami Andy'ego Burnhama, mają coraz mniej złudzeń co do amerykańskich intencji, ale też zdolności militarnych w Europie.

Ewentualny sukces w negocjacjach w sprawie bazy byłby oczywiście bardzo stanowczym komunikatem dla Moskwy. Tyle tylko, że nie byłby komunikatem od Polaków, ale od amerykańskiej administracji.

A co urzędujący prezydent USA chce zakomunikować Putinowi – usłyszeliśmy w środę po jego przybyciu do Shenzhen. Samo to powinno otrzeźwić polskie elity polityczne, wciąż stawiające na partnerstwo transatlantyckie.●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński, Paula Skalnicka
MAGAZYN WYBORCZEJ: Michał Olszewski (szef), Marek Markowski (zastępca), Mirosław Maciorowski, Jan Cywiński, Ewa Wieczorek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl c8499ac1c9

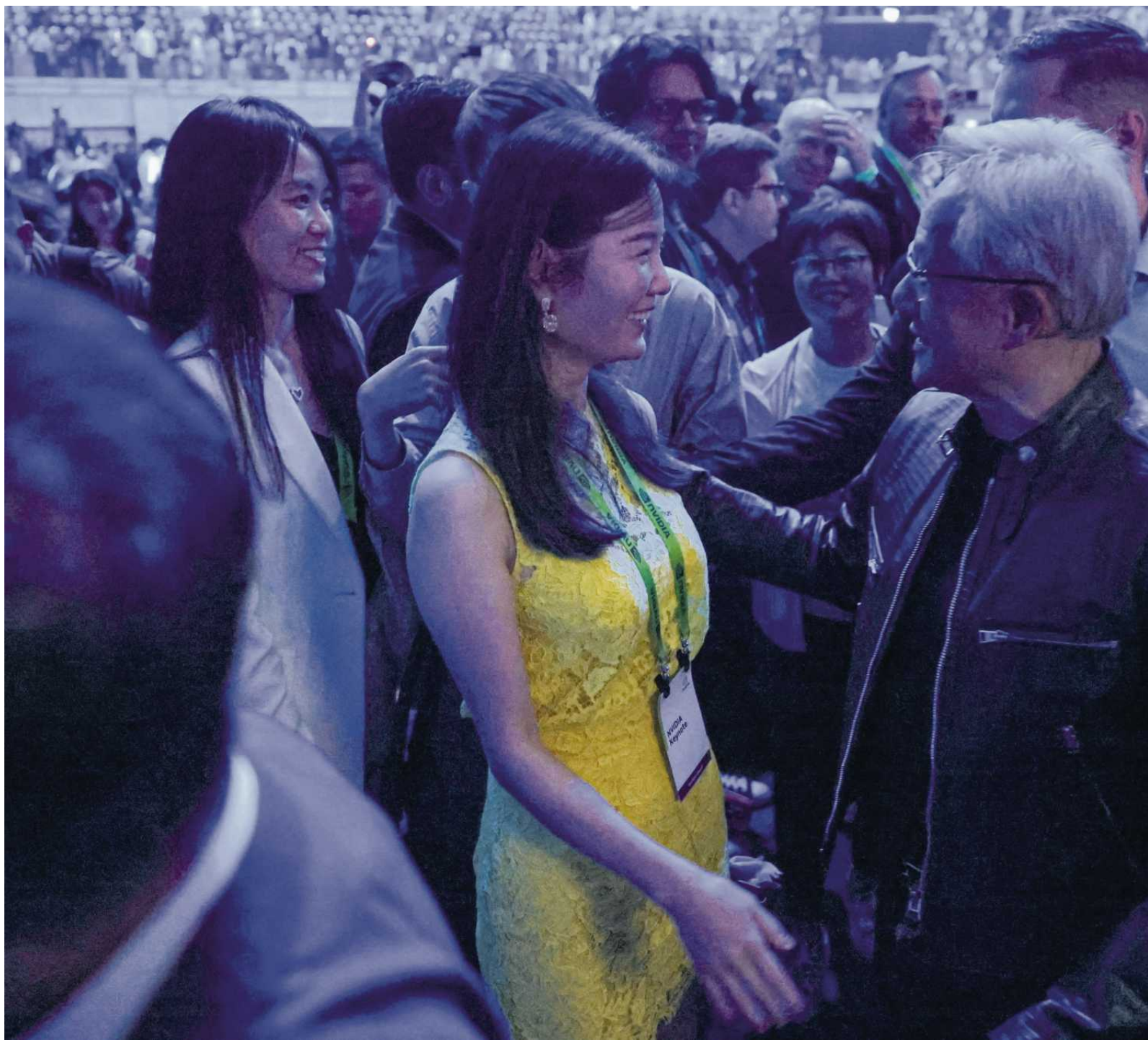

A NA KOŃCU I TAK JEST CZŁOWIEK

Pod rządami Trumpa sposób działania zmieniły prawie wszystkie instytucje amerykańskiego państwa – **ale nie CIA**

Mateusz Mazzini

Nie ma dostępnych publicznie dowodów na to, że Alice Huang, jedna z trzech kochanek Jensena Huanga, była chińskim szpiegiem. FBI jak na razie jedynie ją podejrzewa o szpiegowanie Nvidii, niemal monopolistki na rynku najbardziej zaawansowanych mikroprocesorów.

Huang, jeden z najważniejszych ludzi w amerykańskiej informatyce, po paru dniach wrócił na stanowisko prezesa Nvidii – firmy, którą sam stworzył i kierował przez 33 lata, przez 33 lata regularnie zaskakując innowacjami i wyprzedzając konkurencję. Najpierw, gdy podbił branżę kart graficznych, a teraz, gdy dominuje na rynku chipów AI.

A śledztwo w sprawie szpiegostwa nawet nie musi zostać doprowadzone do końca.

Jak poinformował „The Wall Street Journal", prokurator generalny Todd Blanche, zadzwonił w weekend do Donalda Trumpa, przekazując, że w sprawie Huanga nie toczy się żadne postępowanie i nie jest on uznawany za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA. Wszystko wskazuje, że potencjalnie największy skandal szpiegowski XXI wieku został skutecznie zamieciony pod dywan.

•

Historia z prezesem najważniejszej spółki najważniejszego sektora współczesnej gospodarki byłaby śmieszno-strasznym fragmentem kroniki towarzyskiej, gdyby nie to, że odsłoniła kilka bardzo niewygodnych dla Zachodu faktów na temat dzisiejszej rywalizacji wywiadowczej.

Okazało się bowiem, że Chińczycy, zaczynają korzystać nie tylko z nowych technologii, ale też z czegoś, co dzięki systemom w rodzaju Palantira miało odejść do historii. Czyli z zasobów ludzkich, których Amerykanie czy Brytyjczycy nie mają – olbrzymiej diaspory.

Z formalnego punktu widzenia nie ma znaczenia, czy Alice Huang, urodzoną w chińskiej prowincji Hunan inwestorkę technologiczną, naprawdę wytrenowało Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego (MSS). Zgodnie z chińskim prawem każdy obywatel Chińskiej Republiki Ludowej jest zawsze zobowiązany do udzielenia pomocy agentom i urzędnikom MSS, jeśli zostanie o to poproszony. A agenci nie zawsze proszą grzecznie i subtelnie. Czasami to zachęta, jak obietnica inwestycji państwa w firmę danej osoby czy preferencyjne warunki przetargowe lub dostęp do zagranicznych rynków. Ale równie często to zwykły szantaż, i to brutalny – represje wobec rodziny, kary finansowe, coraz częściej więzienie.

Dlatego w USA za najbardziej prawdopodobną uchodzi wersja, według której Alice najpierw zaczęła robić interesy z Jensenem, potem poszła z nim do łóżka, a dopiero na końcu weszła w układ z MSS, działając w interesie chińskiego reżimu.

To byłoby zresztą spójne z modus operandi chińskiego wywiadu, który, podobnie jak sowieckie KGB i jej spadkobiercy, GRU i FSB, po prostu korzystają z każdego dostępnego obywatela. Anna Puglisi, była agenta amerykańskiego kontrwywiadu zajmująca się Azją Południowo-Wschodnią, stwierdza, że dla Chińczyków „cała diaspora to ludzkie zasoby wywiadowcze".

Dlatego ludzie z administracji Trumpa nie są wcale ogarniętymi paranoją szaleńcami, kiedy mówią, że chińscy studenci na amerykańskich uczelniach, biznesmeni, a nawet restauratorzy prowadzący w Nowym Jorku czy Waszyngtonie knajpy popularne wśród bankierów i polityków, pracują przeciwko Ameryce.

Center for Strategic and International Studies prowadzi bazę danych wszystkich incydentów wywiadowczych z udziałem obywateli Chin na terenie USA od 2000 roku. Jedynie za co dziesiąty akt szpiegostwa czy współpracy odpowiada Amerykanin lub obcokrajowiec inny niż Chińczyk. Innymi słowy, aż 90 proc. działań za oceanem Pekin wykonał rękami własnych obywateli lub rodaków.

•

Ta statystyka pokazuje najważniejszą wywiadowczą asymetrię pomiędzy zachodnimi demokracjami a reżimami autokratycznymi.

CIA czy MI6 wciąż hodują swoich „śpiochów", zwłaszcza Brytyjczycy są uznawania za liderów NATO w zarządzaniu zasobami ludzkimi za linią wroga, w tym w Rosji. To dziedzictwo historii, zwłaszcza tej zimnowojennej, kiedy brytyjskiemu wywiadowi udawało się skutecznie przeciągać sowieckich szpiegów czy urzędników na swoją stronę. Próbują tego do dziś, dzięki czemu wybijają się na tle raczej miernych i biernych instytucji pozostałych państw sojuszniczych.

Problem leży nie w metodzie, a w skali. Przeciągnięcie obcokrajowca jest czasochłonne, wymaga pieniędzy i długiej pracy psychologicznej – tym większych pieniędzy i tym dłuższej pracy, im bardziej paranoiczny, zamknięty i odrębny kulturowo oraz obyczajowo jest reżim, który chce się zinfiltrować.

Natomiast zaszantażowanie obywatela własnego kraju podróżującego, pracującego czy studiującego za granicą, kiedy ma się pod kontrolą życie jego i jego rodziny, to często kwestia kilku godzin. Podobnie naturalizowanego rodaka, który jest i czuje się obywatelem kraju-celu, ale zachował więzi rodzinne z ojczyzną przodków.

Nie mówiąc o tym, że Amerykanów w Rosji czy w Chinach, zwłaszcza takich, którzy mieliby możliwość nawiązania relacji z wpływowym biznesmenem albo politykiem, zwyczajnie jest znacznie mniej niż Chińczyków i Rosjan w USA – i zdecydowanie bardziej rzucają się w oczy.

To dzisiaj podstawowy problem CIA ze zbieraniem informacji na temat reżimu Putina bardziej bezpośrednich i ludzkich niż te pozyskane z cyberinwigilacji, zhakowanych baz danych, przechwyconych korespondencji.

Owszem, Amerykanie mają swoje źródła osobowe w rosyjskim systemie, tak samo w Chinach, ale nieliczne – nie tylko z ideowej lojalności wobec przywódcy i kraju, ale ze zwykłego strachu. Konsekwencje zdrady dla ważnego chińskiego urzędnika, wysokiego rangą wojskowego czy kluczowego naukow-

eprasa.pl c8499ac1c9



FOT. REUTERS/ANN WANG

Prezes Nvidii Jensen Huang i Alice Huang podczas targów technologicznych COMPUTEX 2024 w Tajpej. Zdjęcie stało się sławne dwa lata później, gdy na jaw wyszła ich relacja i znaleźli się w centrum międzynarodowego skandalu obyczajowo-szpiegowskiego

ca, są bardziej opłakane niż dla przekupnego Amerykanina.

Łatwiej ulec pokusie wypchanej koperty, anonimowego konta na Kajmanach czy pakietu bitcoinów, kiedy ryzykuje się infamią oraz kilkuletnią odsiadką, a nie długoletnim ciężkim więzieniem i represjami wobec całej rodziny, a nawet śmiercią. Dlatego przewagę po stronie „źródeł osobowych" mają autokraci.

●

Konsekwencją tego jest jeden z najciekawszych wymiarów trwającej już prawie pięć lat wojny w Ukrainie. Dzisiaj bowiem głównym źródłem wiedzy CIA na temat sytuacji w Rosji są właśnie Ukraińcy.

To główny powód, dla którego wbrew prorosyjskim deklaracjom Trumpa, jego niegasnącemu pragnieniu gospodarczego resetu z Rosją, niechęci sekretarza wojny Pete Hegsetha oraz jego zastępcy w Pentagonie Elbridge'a Colby'ego do ukraińskich władz, współpraca wywiadowcza Waszyngtonu z Kijowem ani na moment nie ustała.

O jej szczegółach opowiedział mi oficer ukraińskiego kontrwywiadu, który ma regularny dostęp do raportów, jakie CIA wysyła ludziom Wołodymyra Zełenskiego.

– To nie są decyzje polityczne. O tym, czy dostajemy od nich informacje oraz jakie informacje, nie decyduje nikt w Pentagonie ani w Waszyngtonie, tylko dużo niżej, na szczeblu szefa misji CIA – mówi.

– Przy czym to wcale nie jest sytuacja dla nas idealna, bo nigdy nie wiemy, co nam przekażą i czy powiedzą wszystko. My nie mamy oczu na niebie, czyli podglądu satelitarnego Rosji, więc w praktyce to Amerykanie wybierają nam cele, bo sami nie trafilibyśmy w nic. I czasami to wygląda tak, że oni identyfikują jakąś rafinerię, jakąś wyrzutnię, i mówią: »hej, byłoby dla was dobrze, gdyby wasz dron spadł pod tymi współrzędnymi«. Ale doskonale wiemy, że z dnia na dzień te współrzędne mogą przestać do nas trafiać. Dlatego staramy się rozwijać alternatywy.

Jakie? Właśnie stare dobre „zasoby ludzkie" – czyli werbunek na terytorium wroga.

Dzięki temu, że znają język, kulturę, realia codziennego życia sąsiadów, przez lata niepodległości utrzymywali – również po aneksji Krymu i ataku na Donbas – kontakty rodzinne, podróżowali do Rosji w interesach i tak po prostu, Ukraińcy mają tam olbrzymią sieć szpiegów.

Co wykorzystują jako kartę przetargową w rozmowach z Zachodem, zwłaszcza z Waszyngtonem. Bez skrupułów, bo wiedzą, że w każdej chwili współpraca może zostać zablokowana. W końcu w USA instytucje wywiadowcze podlegają cywilnej władzy wykonawczej, a ta akurat wykazuje sporo życzliwości dla Putina.

Mój rozmówca opowiada, że Rosjan kaptują tradycyjnymi metodami, najczęściej po prostu przekupują. Większość zwerbowanych to zwykli oportuniści, gotowi zarobić spore jak na rosyjskie warunki pieniądze. Inni chcą doprowadzić do końca wojny, niekoniecznie z pobudek moralnych, często z nadzieją na przetasowania w elitach, na czym skorzystają. Wreszcie, twierdzi agent ukraińskiego kontrwywiadu, pomocni bywają liberalni członkowie rosyjskiej diaspory na Zachodzie, wykorzystujący znajomych i rodzinę w kraju do zbierania informacji.

Werbunek z pomocą pieniędzy nie jest specjalnie nowatorską metodą, ale coraz skuteczniejszą w zubożałym wskutek sankcji i kosztów wojny społeczeństwie. Z tego samego powodu coraz więcej informacji na temat rosyjskich strat, stanu gospodarki, a nawet danych agentów FSB i GRU, można po prostu kupić w darknecie, często za śmieszne pieniądze. To akurat Amerykanie mogliby robić sami, ale Ukraińcom łatwiej dogadywać się z oferentami albo inicjować transakcje.

●

Tak więc Amerykanów nie stać na całkowite zerwanie współpracy z Kijowem. Inna sprawa, że CIA wcale do tego nie dąży.

Druga kadencja Trumpa niszczy całą tkankę instytucjonalną amerykańskiego państwa – a ta jedna agencja nadal robi to, czym zajmowała się nieprzerwanie od końca II wojny światowej. Czyli walczy z Moskwą w każdym kolejnym jej wcieleniu politycznym. Jakim sposobem CIA udało się zachować niezależność, a jej szef John Ratcliffe robi swoje?

Ratcliffe, chłodny pragmatyk, unika mieszania się w spory polityczne – wszystko jedno, wbrew prezydentowi czy po jego myśli – wychodząc z założenia, że to może wyłącznie zaszkodzić agencji.

Ale przede wszystkim Langley – jak potocznie mówi się o CIA od jego głównej siedziby – pomaga kapryśny, oparty na impulsach i instynktach sposób działania Trumpa.

Prezydent nie czyta raportów wywiadowczych wysyłanych na jego biurko przez FBI, CIA czy inne agencje śledczo-wywiadowcze. Nie uczestniczy w rozmowach na temat bezpieczeństwa narodowego tak często i chętnie, jak jego poprzednicy. A ponieważ CIA to kraina cieni, jej pracownicy działają z dala od fleszy, bez łatwych do zademonstrowania czy możliwych do upublicznienia efektów, to Trump po prostu się nimi nie interesuje.

To nie Departament Sprawiedliwości, który można wykorzystać do ścigania politycznych wrogów. Ani FBI, które jest efektowne, nosi kurtki z krzykliwymi napisami i przeprowadza spektakularne aresztowania wewnątrz kraju, a nie skomplikowane operacje na drugim końcu planety. Innymi słowy, CIA jest niekompatybilne ze stylem rządzenia Trumpa, ale że jednocześnie nie wchodzi mu w paradę, nie drażni, więc go nie interesuje.

●

Z punktu widzenia Polski najważniejsza jest jednak informacja o płynnej współpracy z innymi krajami sojuszniczymi. Co prawda i tu zdarzały się zgrzyty.

Co do zasady wszyscy w NATO ufają CIA, ale kiedy jesienią ubiegłego roku amerykańska marynarka wojenna zbierała olbrzymie siły w basenie Morza Karaibskiego i zaczęła zatapiać małe jednostki, rzekomo przemycające narkotyki z Wenezueli, podejrzliwi Brytyjczycy uruchomili swoje zasoby wywiadowcze.

London nie uwierzył sprzedawanej przez Hegsetha wersji o szmuglu twardych narkotyków kutrami rybackimi jako uzasadnieniu dla siłowych działań wokół Wenezueli. Brytyjczycy mieli wątpliwości, więc rozpoczęli własną obserwację wenezuelskich elit. A zebranymi informacjami nie podzielili się z Amerykanami. MI6 przychylało się bowiem do stanowiska ONZ, że strzelanie do wenezuelskich rybaków na wodach międzynarodowych to po prostu morderstwo, więc nie chciało przykładać ręki do kolejnych ataków – bo kto wie, jak „kuzyni" zinterpretowaliby otrzymane dane.

Ludzie z administracji Trumpa nie są ogarniętymi paranoją szaleńcami, kiedy mówią, że chińscy studenci na amerykańskich uczelniach, biznesmeni, a nawet restauratorzy prowadzący w Nowym Jorku czy Waszyngtonie knajpy popularne wśród bankierów i polityków, pracują przeciwko Ameryce

To jednak jedyny znany przypadek poważnego zgrzytu pomiędzy najważniejszymi zachodnimi agencjami wywiadowczymi w czasach Trumpa. A już na pewno nic się nie zmieniło we współpracy sojuszniczej NATO względem Rosji, nawet jeśli Trump nazywa Putina przyjacielem. I całe szczęście, bo bez wkładu technologicznego oraz informacyjnego CIA państwa zachodnie byłyby w bardzo trudnej sytuacji.

Amerykanie wciąż jako jedyni w Sojuszu mają do dyspozycji zaawansowane zdjęcia satelitarne w czasie rzeczywistym, narzędzia do śledzenia transakcji w cyberprzestrzeni i oprogramowanie oparte o sztuczną inteligencję, które analizuje wiadomości wysyłane na komunikatorach w rodzaju Telegrama. Zwłaszcza ostatnie to dziś kluczowa zdolność, bo Rosjanie właśnie w ten sposób werbują swoich „jednorazowych terrorystów" – najczęściej bezideowych młodych członków ukraińskiej, białoruskiej czy tureckiej diaspory, dokonujących za opłatą aktów sabotażu w całej Europie.

Nikt na Starym Kontynencie nie dysponuje porównywalnymi możliwościami wychwytywania takich zagrożeń na wczesnym etapie. Pozostałe kraje są albo zbyt małe, żeby inwestować w tak drogie i globalne rozwiązania, albo skupione na zupełnie innych kwestiach. Dobrym przykładem jest Kanada, kraj bogaty, od dawna zakotwiczony w zachodnich strukturach instytucjonalnych, ale wywiadowczo skupiony niemal w całości na przeciwdziałaniu krajowemu ekstremizmowi i tendencjom separatystycznym.

Francja, Holandia i Belgia mają nieźle rozwinięte sieci agentów i podwykonawców w swoich dawnych koloniach, ale koncentrują się raczej na radykalnym islamie, przemycie narkotyków i ludzi, a nie na tym, co robi Rosja. Choć ta nie tylko werbuje w Afryce najemnicze mięso armatnie na front w Ukrainie, ale też rozpycha się politycznie i wojskowo.

Przypadki takie, jak głośna operacja przejęcia przez Holendrów agenta GRU, który miał dostęp do danych wrażliwych z telefonu Jareda Kushnera, a więc zięcia Trumpa i jego głównego negocjatora w sprawie Gazy i Ukrainy, są efektowne, ale odosobnione.

●

Skandal z udziałem Kushnera, w amerykańskich mediach niemal przemilczany, bo wybuchł tuż przed wyborami połówkowymi, jest doskonałym przykładem wyzwań, z którymi mierzyć musi się dzisiaj CIA.

Matthew Cole, reporter zajmujący się powiązaniami zięcia prezydenta, napisał w książce „Princes and Thieves", że najpierw do telefonu Kushnera włamali się Rosjanie, a potem wskutek werbunku jeden z nich przeszedł na stronę Holandii, przekazując, czego dowiedziała się Moskwa. Mianowicie, że mąż Ivanki Trump obsługuje ze swojego smartfona konta bankowe założone w instytucjach finansowych z Zatoki Perskiej, na które wielomilionowe kwoty regularnie wpłacali członkowie saudyjskiej rodziny królewskiej.

W kontekście CIA istotny jest nie konflikt interesów tak ważnego przedstawiciela Białego Domu, tylko nepotystyczne, lekceważące instytucje i procedury, podejście Trumpa do dyplomacji, które wsadza agencje wywiadowcze na miny.

Zięć prezydenta nie ma bowiem żadnego umocowania w rządzie federalnym. Nie jest urzędnikiem, nie pracuje dla administracji, nawet nie został przesłuchany przez Kongres przed rozpoczęciem powierzonych mu przez teścia misji, więc nie podlega oficjalnym procedurom bezpieczeństwa i nie przysługuje mu ochrona wywiadowcza. Oczywiście CIA chroni go, zwłaszcza wtedy, kiedy podróżuje z prezydentem albo w czasie państwowych delegacji – ale pełnej kontroli nad jego czasem i kalendarzem nie ma. A Kushner, który sam o sobie mówi, że jest „dyplomatycznym innowatorem", jest zwyczajnie nieostrożny, bo nawet nie wie, na co powinien zwracać uwagę. To samo dotyczy drugiego osobistego wysłannika Trumpa, Steve'a Witkoffa, który na pierwsze spotkanie z Putinem wszedł sam, bez tłumacza czy obstawy analitycznej, oddając Rosjanom na przechowanie telefon i laptopa.

Co gorsza, obaj, tak samo jak Trump, nienawidzą ekspertów, których uznają za reprezentantów blokującego ich nowatorskie inicjatywy Deep State, „głębokiego państwa". Co oznacza nie tylko, że nie mają ochoty słuchać instrukcji i porad specjalistów z CIA, ale też, że nie wiadomo, co mówią Rosjanom w cztery oczy. Jakie tajemnice państwowe zasłyszane od prezydenta mogą wyjawić, z premedytacją lub niechcący.

Niewiele lepiej ma się sprawa z Chinami. Co prawda tam Witkoff czy Kushner nie udzielają się, codziennymi relacjami zajmują się dyplomaci i inni urzędnicy – ale zagrożenie stanowi, gdy spotyka się z Xi Jinpingiem, sam Trump. Nieprzygotowany, impulsywny, kierujący się instynktem, który może na przykład podpowiedzieć mu nadmierną szczerość dla zdobycia zaufania rozmówcy.

W takich warunkach CIA nie musi przejmować się szpiegami z diaspory, sztuczną inteligencją czy sceptycznymi Brytyjczykami. Największe zagrożenie dla samej agencji i interesów państwa znajduje się w Białym Domu. ●

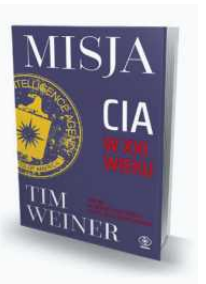

O dokonaniach i klapach najsłynniejszej, najwszechstronniejszej – a może najbardziej przereklamowanej – agencji wywiadowczej świata opowiada również zajmujący się od dwóch dekad amerykańskimi tajnymi służbami laureat Pulitzera Tim Weiner w **„Misji. CIA w XXI wieku".** Książka dostępna w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa Rebis i w formie e-booka na Publio.pl.

eprasa.pl c8499ac1c9

SZYBCY i WŚCIEKLI NA AMERYKĘ

Nikt wcześniej w kulturze masowej nie mówił tak wiele do tak wielu o przemocy policji, patodeweloperach, ubożeniu, zakłamaniu klasy politycznej, obyczajowej hipokryzji. **Co umyka moralistom zwalczającym „Grand Theft Auto”.**

Jan Radomski



FOT. MATERIAŁY ROCKSTAR GAMES

▶ **Główni bohaterowie gry „Grand Theft Auto VI” (GTA VI) Lucia Caminos i Jason Duval, to para przestępców inspirowana legendą Bonnie i Clyde'a. Fabuła gry koncentruje się na ich relacji oraz wspólnych napadach (i ucieczkach), których dokonują w fikcyjnym stanie Leonida i jego głównym mieście Vice City**

Do znajomego lekarza już kilka tygodni temu zaczęli się zgłaszać pacjenci z prośbą o L4. W konkretnym terminie – 19 listopada. Z góry wiedzieli, że wtedy będą niedysponowani – pobudzeni, niewyspani, rozkojarzeni. Bo to dzień premiery „GTA VI”.

– I co robisz? – zapytałem. – Wypisuję. Przecież sam nie będę wtedy pracować – odpowiedział szczerze.

Nic lepiej nie pokazuje, jak ważne jest to wydarzenie dla milenialsów.

Jeżeli dobrze wiecie, czym jest „Grand Theft Auto”, postaram się, abyście jeszcze czegoś się dowiedzieli. Ale jeśli znacie genezę tej gry, tło społeczne i polityczne czasów jej powstania, towarzyszące jej kontrowersje, nie miejcie za złe szczegółowej opowieści. Bo przy okazji premiery szóstki odkrywam, jak wiele osób nawet nie z pokolenia moich rodziców czy dziadków, ale mojego „GTA” kojarzy, ale nie zna całego obrazoburczego, obyczajowego, a nawet politycznego wymiaru tego fenomenu kultury popularnej.

●

Historia najbardziej amerykańskiej gry w historii wcale nie zaczyna się w Ameryce.

Jej ojcem jest David Jones, który dorastał w Dundee w Szkocji. To miasto robotnicze, kojarzone z przemysłem jutowym i kilkoma fabrykami elektroniki. Po skończeniu szkoły średniej Jones znalazł zatrudnienie w jednym z tych zakładów, ale na skutek redukcji etatów szybko je stracił.

Ten dzień okazał się jednym z ważniejszych momentów w historii kultury popularnej.

Młodziutki technik wychowany na ZX Spectrum, pierwszym prostym, tanim, ale w pełni funkcjonalnym komputerze osobistym, postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

Całą odprawę wydał na Amigę 1000 – maszynę o wyjątkowej na owe czasy grafice i dźwięku, budzącej takie emocje jak dziś nowy iPhone – co wywołało w domu poważną kłótnię (na dzisiejsze pieniądze komputer kosztował około 30 tys. zł).

Decyzja może nie była aż tak ryzykowna, bo jako nastolatek, a później chwilowy pracownik Timexa, czyli fabryki, która prócz popularnych zegarków wypuszczała właśnie Spectrum, wiedział, jaki szał budzą gry komputerowe, lecz jego rodzice nie wierzyli, że to inwestycja w przyszłość. Oczekiwali, jak wszyscy z ich pokolenia w ubogim regionie ludzi skupionych na przetrwaniu, że syn podejmie poważną i stabilną pracę na etacie.

Jones całe noce spędzał na nauce programowania, co w tamtych czasach nie było tak łatwe jak później, gdy upowszechniły się czasopisma komputerowe, a następnie internet. Pod koniec lat 80., tuż po dwudziestce, założył firmę DMA Design. Dlaczego DMA? „Doesn't Mean Anything” (nic nie oznacza) – żartował później, chociaż skrót wywodzi się z informatycznego terminu Direct Memory Access.

Pierwsze biuro firmy mieściło się w ciasnym pomieszczeniu nad barem z rybą i frytkami.

Akronim DMA mówi coś tym, którzy dwie czy trzy dekady temu młodość spędzali w salach informatycznych, w których stały zakurzone pecety z Windowsem 95 i kilkoma grami. Jedną z nich zazwyczaj było „Lemmings” – gra, w której naszym zadaniem było bezpieczne przeprowadzenie przez różne krainy pełne przeszkód grupy sympatycznych lemingów, które bezmyślnie maszerowały przed siebie.

Gra odniosła ogromny sukces – przeszło 50 tys. sprzedanych dyskietek pierwszego dnia. David Jones po raptem trzech latach na swoim udowodnił rodzicom, że Amiga naprawdę nie służyła mu do marnowania czasu.

Firma z dnia na dzień się rozrastała, a Jones zatrudniał kolejne osoby. Głównie kolegów, których doświadczenie sprowadzało się do tego, że w liceum zarywali noce, grając na Commodore 64, Atari albo ZX Spectrum. Komputerze, który składano kawałek dalej, w tej fabryce, z której zwolniono twórcę DMA Design.

Jej losy dobrze pokazują, w jakim momencie historii wszystko się działo. Kilka lat później, w styczniu 1993, robotnicy zastrajkowali przeciwko kolejnym zwolnieniom. Firma nie podjęła dialogu, zwolniono ponad 300 osób i zatrudniono nowych. Doszło do starć, które media porównywały z najgorszymi scenami ze strajków górniczych za Margaret Thatcher.

BBC nazwała ten spór „ostatnim prawdziwym strajkiem w Szkocji”. Pół roku później fa-

eprasa.pl c8499ac1c9

brykę zamknięto. Nowa gospodarka – cyfrowa i rozrywkowa – rodziła się na gruzach starej.

●

Jones zatrudniał ludzi bez doświadczenia z prozaicznej przyczyny. Innych wokół nie było. Dundee nie było Kalifornią, gdzie przemysł gier wideo rozwijał się od lat 70. w cieniu Doliny Krzemowej, a firmy takie jak Atari podkupowały sobie całe zespoły programistów.

Wtedy wydawało się to problemem, ale po jakimś czasie ten brak doświadczenia stał się kluczowy dla ogromnego sukcesu.

W 1995 roku DMA Design dostało zamówienie na cztery gry od BMG Interactive, nowego oddziału potężnego prasowo-telewizyjno-muzycznego koncernu Bertelsmann, który miał się zajmować grami wideo i potrzebował głośnych tytułów na nowe generacje konsol i coraz popularniejsze komputery osobiste.

Jedną z tych gier miała być „Race'n'Chase" – komputerowa wariacja na temat klasycznej podwórkowej zabawy w policjantów i złodziei. W zamyśle była zwykłą zręcznościówką, w której gracz wcielał się w stróża prawa. Projekt od początku miał pecha, wszystko szło jak po grudzie. Premiera co chwilę była opóźniania. Zespół borykał się z szeregiem problemów technicznych, ale prawdziwy problem leżał gdzie indziej. Zdaniem wszystkich gra była po prostu przeraźliwie nudna. Sytuacja stała się na tyle kryzysowa, że menedżerowie z BMG Interactive stracili cierpliwość i poważnie rozważali skasowanie projektu.

Legenda głosi, że grę uratował błąd w kodzie popełniony przez jednego z programistów. Sterowane przez komputer radiowozy, zamiast jeździć zgodnie z przepisami, zaczęły brutalnie taranować gracza. Błąd tak spodobał się twórcom, że zbudowali wokół niego całą konwencję – gracz stał się przestępcą, a nie policjantem, przestał liczyć się porządek, a zaczął chaos.

Jednocześnie Jones sprzedał wydawcy prawa do projektu przemianowanego na „Grand Theft Auto", a w 1997 roku – jeszcze przed premierą pierwszej części – samo DMA Design poszło w ręce brytyjskiego Gremlin Interactive.

Gra, która z Jonesa zrobiła legendę branży, nie przyniosła mu więc kokosów, choć przynajmniej cała historia na stałe zmieniła miejsce, w którym się wychowywał. Tamtejszy Uniwersytet Abertay jako pierwszy na świecie uruchomił studia z projektowania gier, a w 2014 roku Dundee jako pierwsze brytyjskie miasto otrzymało od UNESCO tytuł Miasta Designu, między innymi za przemysł gier wideo.

●

BMG Interactive od początku wiedziało, że ma w rękach kurę, która znieść może złote jaja. Nie traciło więc czasu. Wynajęło Maxa Clifforda, jednego z najsłynniejszych w Wielkiej Brytanii specjalistów od tabloidowych afer.

Clifford jeszcze przed premierą spotykał się z konserwatywnymi politykami, opowiadając im historie o niespotykanej brutalności gry i przekonując, że muszą coś zrobić z nadchodzącą premierą, która raz na zawsze zdemoralizować może brytyjską młodzież.

W kraju wybuchła panika moralna, która od tego czasu jest jednym ze znaków rozpoznawczych całej serii. W maju 1997 szacowny legendarny torys Gordon Campbell pytał w Izbie Lordów, co rząd zamierza zrobić z grą, która nie trafiła nawet jeszcze do sklepów. Traf chciał, że na Downing Street wprowadził się właśnie Tony Blair i afera wokół „Grand Theft Auto" była jedną z pierwszych spraw, którymi musiał się zająć nowy centrolewicowy rząd.

Wiceminister spraw wewnętrznych stwierdził, że to pierwsze pytanie, na które odpowiada w tej roli, a gabinet jest „bardzo zaniepokojony". Równocześnie obolała po latach rządów torysów Wielka Brytania zachłystywała się – z pomocą wyzwolonych Spice Girls, chuliganów o niewyparzonych językach z Oasis, amanta skandalisty Hugh Granta oraz walącego na odlew narkotykowym upodleniem i deklasacją „Trainspotting" – nowym, seksownym wizerunkiem Cool Britannia.

Ostatecznie grze przyznano kategorię 18+, co nie zadowoliło jej przeciwników, którzy domagali się całkowitego zakazu sprzedaży.

Pierwsze kontrowersje były więc produktem marketingowym. Twórcy wynieśli z nich ważną lekcję: każde oburzenie konserwatywnych polityków działa jak darmowa reklama.

●

Żeby w pełni zrozumieć historię „GTA", trzeba opowiedzieć jeszcze o dwóch postaciach.

Sam i Dan Houserowie nie byli chłopcami z robotniczej rodziny. Ich ojciec Walter po ciężkich dniach w londyńskiej kancelarii prawnej relaksował się, organizując legendarny klub jazzowy Ronnie Scott's i grając na saksofonie, a matka Geraldine Moffat była aktorką, której pozycję na salonach zapewniła rola kochanki gangstera w kultowym filmie „Dorwać Cartera". Bracia chodzili do elitarnej St Paul's School.

Do świata gier trafili przypadkiem i głównie dzięki znajomościom, choć z niemałą dawką tupetu i talentu. W 1990 r.19-letni Sam dostał pracę w londyńskiej siedzibie koncernu BMG. W dziale korespondencji, ale jak to często bywa w przypadku ludzi zdolnych, wierzących w siebie i przebojowych, zaczepienie się na samym dole korporacyjnej hierarchii było dobrym pretekstem do kolejnych etapów kariery.

Wkrótce zaczął reżyserować teledyski, a gdy w 1994 r. BMG postanowiło zainwestować w branżę gier wideo, przeszedł do nowego oddziału i po dwóch latach stał się szefem produkcji. Młodszy Dan dołączył w 1995 r., zaraz po Oksfordzie. Po latach żartował, że w branży znalazł się „głównie dzięki nepotyzmowi".

Obaj byli więc tak brytyjscy, jak tylko można. Również pod względem zaczepnego stosunku do establishmentu i tego, co wypada. A jednocześnie jako Europejczycy urodzeni w latach 70. zakochali się w amerykańskiej kulturze popularnej, którą znali z płyt i kina.

Jako dzieci z wypiekami na twarzy oglądali w telewizji filmy o pościgach i charyzmatycznych złoczyńcach, takie jak „Ucieczka gangstera" czy „Francuski łącznik", a kilka lat później odkrywali nowojorski rap. Dobrze wiedzieli więc, że przyszłość branży jest nie w Dundee czy w Londynie, ale po drugiej stronie oceanu.

W 1998 r. amerykańska spółka Take-Two kupiła BMG Interactive, a bracia z kilkoma współpracownikami założyli w Nowym Jorku Rockstar Games. Już nazwa firmy była manifestem. Nie miała to być kolejna firma informatyczna, która robi dobre gry, chwaląc się kodem, renderami, trybami rozrywki, ale nikogo nie pociąga poza środowiskiem graczy i geekami, tylko coś na kształt seksownej wytwórni płytowej.

Gry miały się ukazywać jak albumy muzyczne, a ich twórcy mieli być gwiazdami. Nie branży, ale popkultury, na równi z raperami, sportowcami, topowymi aktorami.

●

Prawdziwy przełom miał nadejść w 2001 r. Na początek października twórcy zaplanowali premierę trzeciej części serii, w której głównym bohaterem był Nowy Jork – mroczne miasto nazywane w grze Liberty City miało kontrastować z konwencją. W której żartuje się – krwawo, skatologicznie, przekraczając granice dobrego smaku – ze wszystkich i wszystkiego.

Wszystko szło zgodnie z planem aż do 11 września. Dwie wieże WTC runęły kilka kilometrów od biura firmy, a świat na dłuższą chwilę stał się miejscem, w którym nie wolno żartować z niczego, a zwłaszcza obrazoburczo, a już zwłaszcza w Nowym Jorku. Twórcy przesunęli premierę o kilka tygodni i przejrzeli grę scena po scenie. Zmieniono barwy radiowozów, które za bardzo kojarzyły się z nowojorską policją, usunięto fragmenty mogące się kojarzyć z zamachami terrorystycznymi.

„GTA III" trafiło do sklepów 22 października i z miejsca okazało rewolucją. Po raz pierwszy na taką skalę gracze dostali do dyspozycji całe trójwymiarowe miasto, w której można było robić – wbrew moralistom: nie tylko upajając się bezczelnym łamaniem prawa i przemocą – niemal wszystko: wykonywać zlecenia mafii, rozwozić pasażerów taksówką czy gasić pożary. Albo po prostu godzinami jeździć bez celu i słuchać radia, w którym między piosenkami parodiowano amerykańskie reklamy i audycje.

Dzisiaj tzw. otwarty świat jest w grach powszechny, ale wtedy było to novum. Trzecia część serii była techniczną rewolucją, która ukształtowała branżę na ćwierć wieku.

W pierwszym roku sprzedano 6 milionów egzemplarzy. „GTA" przestało być ciekawostką z pobocza kultury masowej, sprawiło, że gry komputerowe znalazły się w centrum uwagi mainstreamu, dołączając do kina czy seriali.

Również dlatego, że bracia przekroczyli granice „poważnej" kultury dosłownie, zatrudniając hollywoodzkie gwiazdy. Owszem, producentom gier zdarzało się wynajmować zdesperowanych chałturzystów jako głosy, ale w „GTA III" gracze usłyszeli takich aktorów, jak Michael Madsen czy Kyle „Twin Peaks" McLachlan.

Liberty City z „GTA" to miasto ery po 11 września i tuż przed upadkiem Lehman Brothers. Wszędzie są kamery monitoringu i patrole policji, a imigranci żyją w ciągłym strachu przed deportacją. Gra opowiada o tym, że amerykański sen to towar, który sprzedaje się najsłabszym, tym, którzy nie mają nic do stracenia

Rockstar stał się jedną z najważniejszych firm na rynku, a wyobrażenie o niej było dokładnie takie, jak zaplanowali bracia Houserowie: coś pomiędzy backstage'em koncertu hiphopowego a piętrem hotelowym wynajętym na imprezę przez supergwiazdę rocka.

Tyle że przy okazji zauważyła ich ta część Ameryki, która interesowała się nie grami komputerowymi, ale moralnością publiczną, zbawieniem i Kapitolem.

●

Sukces „GTA" łatwo sprowadzić do kwestii technicznych – trójwymiarowe miasto, swoboda, pościgi, strzelaniny. Ale to połowa prawdy.

Od 2001 r.każda kolejna część była też opowieścią o Ameryce, o jej mitach, lękach i obsesjach, które Rockstar bezlitośnie rozbierał na części. Kto przeszedł wszystkie części serii, ten poznał społeczną i obyczajową historię Stanów Zjednoczonych ostatnich dekad.

Gry Houserów zawsze pakowały się w środek jakiegoś sporu i zabierały donośny głos.

W 2002 r. USA rządził George W. Bush. Republikański neokon rok wcześniej przeprowadził jedną z największych obniżek podatków, na której najwięcej zyskali najzamożniejsi Amerykanie. Właśnie wtedy seria przeniosła się do Vice City, czyli Miami z połowy lat 80. To świat znany z „Policjantów z Miami": szerokie, pastelowe marynarki i różowe neony, kokaina i przeboje z syntezatorami, czerpanie garściami z życia i „Greed is good".

Niejaki Tommy Vercetti (głos użyczył mu Ray Liotta, gwiazda „Chłopców z ferajny") wychodzi z paki po 15 latach i zostaje wysłany na Florydę, żeby dopilnować transakcji narkotykowej. Ta kończy się katastrofą, a Tommy zaczyna od zera, by przejąć kontrolę nad miastem.

To historia amerykańskiego snu w erze Ronalda Reagana, którego Bush był ideowym wychowankiem i kontynuatorem: każdy może się wzbogacić, a droga, jaką obrał, nie ma znaczenia, liczy się cel – indywidualny i demonstracyjny sukces.

Świetnie widać to w postaci Avery'ego Carringtona, teksaskiego dewelopera, którego zagrał sam Burt Reynolds. Carrington najpierw zleca Tommy'emu wywołanie wojny gangów w dzielnicy, w której planuje interesy. „Nic tak nie obniża cen nieruchomości" – wyjaśnia bez ogródek.

Oto podsumowanie dekady, w której deregulacja stała się państwową ideologią. Vice City przypominało, czym taka polityka skończyła się kilkanaście lat wcześniej.

●

Dwa lata później gracze trafili do Los Santos, odpowiednika Los Angeles z 1992 r. Carl Johnson wraca do rodzinnej dzielnicy po pięciu latach na Wschodnim Wybrzeżu, bo jego matka zginęła w strzelaninie. Zanim zdąży dojechać do domu, zatrzymują go skorumpowani policjanci z jednostki C.R.A.S.H.

Zabierają mu pieniądze, wrabiają w morderstwo i wyrzucają z radiowozu na terytorium wrogiego gangu. CJ podnosi się, rozgląda i mówi: „Ah shit, here we go again" (O cholera, no to zaczynamy od nowa). Scena stała się jednym z najpopularniejszych memów, symbolem sytuacji, w których historia zatacza koło.

San Andreas była pierwszą grą tak wprost mówiąca o przemocy i patologiach policji. W tle są wojny gangów i epidemia cracku, która spustoszyła czarne dzielnice amerykańskich miast. Scenariusz nawiązuje tże do afery Rampart: pod koniec lat 90. wyszło na jaw, że policjanci z antygangowej jednostki policji z Los Angeles (która naprawdę nazywała się CRASH), fabrykowali dowody, kradli narkotyki i strzelali do nieuzbrojonych osób.

Gdy gra trafiła do sklepów, ta sprawa wciąż była świeża, procesy dopiero się toczyły, a amerykańskie społeczeństwo dyskutowało o ograniczeniach, które należy nałożyć na policję.

Finał rozgrywki odwołuje się do zamieszek z 1992 r., które wybuchły po uniewinnieniu policjantów oskarżonych o pobicie czarnoskórego Rodneya Kinga – zdarzenie, które odcisnęło się na amerykańskiej świadomości podobnie jak lata później uduszenie George'a Floyda przez funkcjonariusza i protesty Black Lives Matter.

W 2008 r.seria wróciła do Liberty City, ale było to już zupełnie inne miasto. Niko Bellic, weteran wojen na Bałkanach, przypływa do Ameryki statkiem towarowym. Wita go Statua Szczęścia – parodia Statui Wolności, która zamiast pochodni trzyma w ręce typowo amerykański tekturowy kubek z kawą.

Ściągnął go kuzyn Roman, opisujący kraj w samych superlatywach. Ziomek pisał o sportowych samochodach, którymi jeździ, i pięknych kobietach, którymi się otacza. Rzeczywistość wygląda nieco inaczej: zapuszczona kamienica na Brooklynie, firma taksówkarska na skraju bankructwa i długi u lichwiarzy.

Dla Polaków ta historia może być szczególnie bliska. Iluż rodaków przez dekady poleciało za ocean, skuszonych opowieściami bliskich, którym się udało, i fotografiami przy pożyczonym Cadillacu. Jeden z przyjaciół opowiadał mi, że nie mógł grać w tę część serii, bo czul się jak wtedy, gdy jako dziecko poleciał do Chicago, a tam się okazało, że jego ojciec, w mailach człowiek sukcesu, od lat żyje jak kloszard.

Niko nie jest jednak naiwny. To człowiek, który zdążył już zrozumieć, jak działa świat, i zmęczyć się przemocą. „Wojna to miejsce, gdzie młodzi i głupi są oszukiwani przez starych i zgorzkniałych, by się wzajemnie zabili". Tę refleksję trudno było czytać bez jeszcze jednego kontekstu. Amerykanie od pięciu lat walczyli w Iraku, a weterani wracali do kraju z traumą, goryczą i pytaniami o sens ich poświęcenia.

Liberty City to też miasto ery po 11 września. Wszędzie są kamery monitoringu i patrole policji, a imigranci żyją w ciągłym strachu przed deportacją. Gra opowiada o tym, że amerykański sen to towar, który sprzedaje się najsłabszym, tym, którzy nie mają nic do stracenia.

Kilka miesięcy po premierze przesłanie ekipy braci Houserów okazało się prorocze: upadł bank Lehman Brothers i rozpętał się globalny kryzys, który miliony ludzi pozbawił pracy, domów i nadziej na lepszą przyszłość dla dzieci.

eprasa.pl c8499ac1c9

W 2013 r. ukazało się „GTA V". Po kryzysie finansowym Rockstar wrócił do współczesnego Los Santos. Po raz pierwszy gracz mógł przełączać się między trzema postaciami, z których każda reprezentowała inną Amerykę.

Michael De Santa to emerytowany złodziej, który dzięki układowi z agentami federalnymi żyje w luksusowej willi pod przybranym nazwiskiem. Ma wszystko, o czym marzył, a jednocześnie jest kompletnie nieszczęśliwy.

Franklin to czarny chłopak z biednej dzielnicy, który odzyskuje samochody od dłużników. To praca, która wtedy stała się istotnym elementem amerykańskiej gospodarki – milionom kredytobiorców odbierano auta i domy.

No i Trevor, psychopata, który na środku pustyni handluje metamfetaminą. Pozbawiona perspektyw, sfrustrowana, poprzemysłowa amerykańska prowincja, o której kilka lat później przy okazji wyboru Trumpa pisały media na całym świecie, była w tej grze doskonale widoczna.

Ta część jest ważnym głosem w wielu dyskusjach. Lifeinvader to parodia Facebooka, jedna z misji kończy się tym, że szef portalu ogłasza premierę nowego telefonu, a gracz detonuje ładunek ukryty w urządzeniu przy jego twarzy. Gra wprost mówi o naruszaniu prywatności i manipulacjach portali społecznościowych.

Najwięcej kontrowersji wywołała jednak misja „By the Book", w której agenci federalni zlecają Trevorowi brutalne przesłuchanie podejrzanego. Gracz musi własnoręcznie wyrywać zęby i razić prądem. Wypisz, wymaluj outsorcing przemocy przez państwo, od prywatnych korporacji najemnicznych w rodzaju Blackwater, przez prywatne więzienia, po prywatne systemy inwigilacji w rodzaju Palantira.

A także komentarz do federalnej świętoszkowatości i hipokryzji klasy rządzącej.

Wiele instytucji – w tym organizacje pozarządowe – oskarżyły Rockstar o przekroczenie granic, tyle że umknęło im przesłaniewyrażone przecież wprost. W grze słyszymy dialog wręcz dydaktyczny: „Media i rząd chcą, żebyśmy uwierzyli, że tortury to jakaś konieczność, że potrzebujemy ich, żeby wyciągnąć informacje. Tortury są dla oprawcy albo dla gościa, który wydaje oprawcy rozkazy. Torturuje się dla czystej frajdy – jako sposób wydobywania informacji są bezużyteczne".

Rok po premierze „GTA V" komisja Senatu opublikowała raport o metodach przesłuchań CIA. Wniosek był taki sam jak Trevora: stosowanie tortur nie przyniosło amerykańskim służbom żadnych wartościowych informacji.

O ile wcześniejsze części serii były sukcesem, o tyle to, co wydarzyło się po premierze „GTA V", przerosło wszystkie oczekiwania.

Gra okazała się największym komercyjnym sukcesem w historii popkultury. Wychodziła na trzy kolejne generacje konsol i sprzedała się w prawie 230 milionach. Więcej na koncie ma tylko „Minecraft", który pod wieloma względami trudno porównać. Zarobiła 11 miliardów dolarów. Żaden film, płyta czy książka w historii nawet się do tego wyniku nie zbliżyły.

Kluczem okazało się „GTA Online", czyli tryb, w którym gracze z całego świata współpracują przez internet. Kto nie ma cierpliwości, żeby zarabiać w grze, może kupić wirtualną gotówkę za prawdziwe pieniądze. Te drobne wydatki, nazywane mikropłatnościami, przyniosły według szacunków 5 miliardów dolarów.

Taka forma grania wywołuje kontrowersje. Krytycy porównują ją do hazardu i zwracają uwagę, że zachęca do kompulsywnego wydawania pieniędzy, szczególnie dzieci i nastolatki. Trudno im nie przyznać racji, bo „GTA" po raz kolejny zmieniło branżę, tym razem na gorsze. Twórcy nie wymyślili mikropłatności, ale przyczynili się do ich upowszechnienia - szybko podchwyciły je nie tylko „dorosłe" studia, ale i producenci gier dla najmłodszych.

Jeśli w jakiejś grze widzisz monety, żetony czy skrzynki z nagrodami do kupienia za prawdziwe pieniądze, to zasługa właśnie Rockstara. Gra, która tak często kpi z konsumpcjonizmu, stała się jego najdoskonalszym narzędziem.

Fani oraz dziennikarze wytykali studiu tak dumnemu z rock'n'rollowego, rebelianckiego nastawienia, że w pogoni za mamoną porzuca artystyczno-publicystyczne ambicje i zamiast po paru latach zabrać nowy głos w nowej sprawie, wyciska ostatnie soki z bestsellera – na premierę kolejnej części gracze musieli czekać 13 (!) lat. Cóż, „GTA Online" co roku przynosiło setki milionów dolarów, a „GTA V" wciąż biło rekordy sprzedaży.

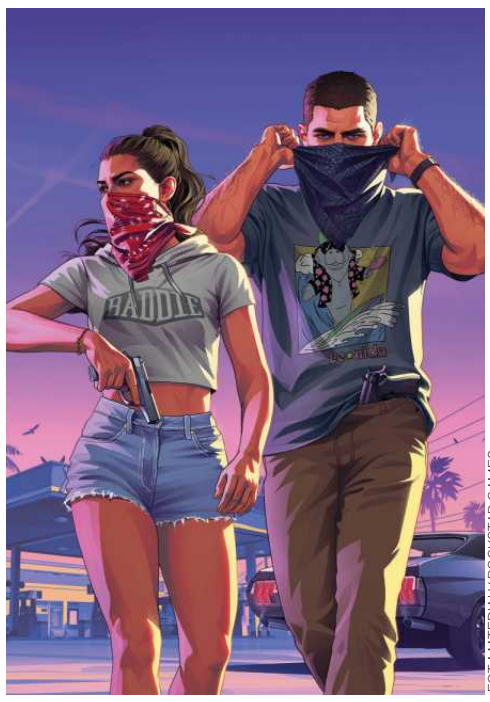

FOT. MATERIAŁY ROCKSTAR GAMES

Rockstar Games – już nazwa firmy od „Grand Theft Auto" jest manifestem. To nie miała być kolejna firma informatyczna, która robi dobre gry, chwaląc się kodem, renderami, trybami rozgrywki, tylko coś na kształt seksownej wytwórni płytowej

Zmienił się też sam Rockstar. Rok temu zwolnił ponad 30 pracowników w Wielkiej Brytanii i Kanadzie. Związek zawodowy oskarżył firmę o łamanie praw związkowych, a ta straszy, że zwolnieni ujawniali poufne informacje.

Historia, która zaczęła się od „optymalizacji" w fabryce w Dundee, zatoczyła koło.

O skali zainteresowania „GTA VI" świadczą liczby. Pierwszy zwiastun w ciągu doby obejrzano ponad 90 milionów razy. To nie tylko rekord wśród gier: tak szybko nie oglądano dotąd na YouTubie żadnego filmu poza teledyskami. Przedsprzedaż przerosła oczekiwania wydawcy, a Sony i Microsoft informowały o rekordach zamówień swoich konsol. Kto czekał z zakupem Playstation czy Xboxa do ostatniej chwili w nadziei na promocje, ten się przeliczył – musi zapłacić niebotyczną cenę, ponieważ zapasy magazynowe są bliskie zera właśnie ze względu na premierę „GTA VI".

Rockstar nie ujawnia budżetu gry, ale analitycy szacują go na mniej więcej 2 mld dol. „Lalka" Macieja Kawelskiego kosztowała 63 mln zł. A więc za cenę jednej gry można było nakręcić około 125 takich filmów. A mówimy o superprodukcji. Średni koszt polskiego filmu wynosi mniej więcej dziesięć razy mniej, co oznacza, że „GTA VI" kosztowało tyle co ponad tysiąc filmów wyprodukowanych w naszym kraju.

Seria wraca do Vice City. Miasto leży w Leonidzie, czyli karykaturze Florydy, stanu, który sam z siebie w amerykańskiej popkulturze stał się symbolem absurdu.

Wskutek splotu kilku czynników – klimatu przyciągającego wszelkie typy ludzkie, od emerytów przez hipsterów, bieda-turystów i dziwaków, kryzysu opioidowego, cięć w opiece psychiatrycznej oraz otwartego dostępu do stanowych baz danych, włącznie z sądowymi – internet od lat wypełniają historie o Florida Manie. Takich jak te o mężczyźnie okradającym sklep w przebraniu krokodyla albo kobiecie wzywającej policję, bo w barze zabrakło nuggetsów.

Bohaterami są Jason i Lucia, para przestępców w stylu Bonnie i Clyde'a, która zaczyna od napadów na przydrożne sklepy. Pierwszy raz w serii na pierwszym planie jest związek dwojga ludzi i pierwszy raz pierwszoplanową bohaterką jest kobieta z własną historią.

Recenzje są niemal jednogłośnie entuzjastyczne, krytycy porównują jej rozmach do największych dzieł kinowych.

O drodze, którą przeszła seria, wiele mówi to, co w ostatnich tygodniach działo się w Miami.

Władze hrabstwa Miami-Dade ogłosiły warty niemal 4 miliony dolarów pakiet reklamowy, którego celem jest zamienienie miasta w Vice City. W kilku miejscach pojawiły się plakaty „Welcome to Vice City". Koszykarze Miami Heat wyszli na parkiet w czarno-różowych strojach z nazwą fikcyjnego miasta. Odniesienia do gier pojawiają się w komunikacji miejskiej czy na plażach. Słynny klub E11EVEN, na noc premiery zmienił się na NINE1NINE. Tak nazywa się jego odpowiednik w grze.

Co ciekawe, tym razem panika moralna nie jest gorąca. Prawicowa szeryfka hrabstwa Rosie Cordero-Stutz sprzeciwiła się wykorzystywaniu publicznych zasobów do promocji gry, która jej zdaniem nagradza przestępczość. Protestowała część miejskich radnych i tyle.

Ćwierć wieku temu, w epoce liberalizacji obyczajów i permisywizmu, politycy zastanawiali się, jak powstrzymać premierę „GTA". Dzisiaj, kiedy polityka stała się purytańska, piętnując każde naruszenie konserwatywnego czy progresywnego katalogu wartości, do bólu amerykańskie miasto, które gra od lat wyśmiewa, samo się do niej przymila.

„GTA" od początku chciała poruszać ważne tematy społeczne. Jednak w codziennym odbiorze te ambicje umykały opinii publicznej, która skupiała się na skandalach, zazwyczaj związanych z przemocą albo obyczajówką - machismo czy uprzedmiotowienie kobiet).

Zgodnie z rytmem narzuconym zresztą przez Rockstar politycy – zwłaszcza amerykańscy – i dziennikarze uwielbiali się tarzać w różnego rodzaju panikach moralnych.

Laboratorium paniki moralnej w amerykańskim stylu stała się walka Jacka Thompsona. Prawnik i *born again* chrześcijanin w imieniu, jak tłumaczył, swojego niewinnego synka symbolizującego wszystkie narażone na demoralizację dzieci podjął misję usunięcia Rockstara z życia publicznego.

Nie pierwszą taką – wcześniej, porównując się do Batmana, zwalczał rap i inne przełomowe gry, dziś klasyki, strzelankę „Quake" czy kopankę „Mortal Kombat".

Firma braci Houserów podpadła mu już wcześniej wypuszczoną od niechcenia grą „Bully", w której prześladowany przez rówieśników chłopak bierze krwawą pomstę.

Thompson bombardował kongresmanów listami, krążył po mediach, od małych lokalnych rozgłośni po największe telewizje, kręcił filmiki – i regularnie stawał przed sądem, czy to jako pozew, czy reprezentant w sprawach przeciwko studiu.

Miał podkładkę. Niedługo po premierze „GTA III" nastoletni Dustin Lynch, pasjonat tej gry, zamordował koleżankę. Następnie dwóch nastolatków z Tennessee, inspirując się „GTA", strzelało w kierunku autostrady; nie celowali w nikogo, ale śmiertelnie postrzelili 45-letniego kierowcę i ciężko ranili niewiele starszą od nich dziewczynę. Potem nastolatek z Albuquerque zabił ojca, macochę i przyrodnią siostrę, a Thompson starał się udowodnić, że „ćwiczył" zabijanie i pozbywanie się zwłok na „Vice City".

Ale im bardziej się rozkręcał – od kampanii przeciwko grom typu FPS, czyli strzelankom w trybie pierwszoosobowym po tropienie ukrytej nagości w „The Sims" – tym bardziej popadał w śmieszność.

Choć był bezstronny – z równą pasją potępił misyjny produkt jego własnego środowiska. Czyli grę opartą na serii bijących rekordy popularności w USA postapokaliptycznych powieści „Left Behind" o świecie, w którym na gruzach cywilizacji chrześcijanie toczą wojnę z siłami Antychrysta.

Thompson był najbarwniejszym przeciwnikiem „GTA", ale lista oburzonych na Rockstar jest imponująca. Są na niej:

Haitańczycy i Kubańczycy zdiaspory rozgniewani na rasistowski obraz obu grup;

organizacje rodziców oburzone pokazaniem przyrodzenia w scenie z senatorem, piewcą rodzinnych wartości, u masażystki;

Hillary Clinton, która domagała się zaostrzenia kontroli dystrybutorów gier po aferze „Hot Coffee", czyli bezpośredniej scenie seksu.

Twórcy odpowiadali tak samo: to przecież satyra na amerykańskie tabu i zakłamania. A najbardziej rozpalająca media od lewa do prawa, konserwatywnych aktywistów i środowiska progresywne „Hot Coffee" akurat nie była celową prowokacją, tylko ryzykownym żarcikiem na etapie produkcji. Scena miała być usunięta przed premierą, lecz w pośpiechu schowano ją pod programistyczną łatką.

Łowców skandali nowa odsłona serii rozczaruje, za to krytycy zarzucający twórcom pazerną bezideowość muszą odszczekać. „GTA VI" kontynuuje tradycję braci Houserów, znów podejmując aktualne tematy: teorie spiskowe, manosferę, bańkę wokół sztucznej inteligencji.

W Vice City polityka jest na każdym kroku, na plakatach i graffiti, w dialogach bohaterów i audycjach radiowych. Oto gubernator Leonidy ogłasza delegalizację furry, a więc osób przebierających się za zwierzęta. W telewizji widzimy reklamy Stowarzyszenia przeciwko Furry, na ulicach policjanci z bronią osaczają osobę, która spokojnie spaceruje w kostiumie lisa.

Skąd to znamy? Może z obław – w Minneapolis, i nie tylko, zakończonych tragicznie – ICE na migrantów, a w praktyce łapanek każdego, kto agentom tak się kojarzy.

Twórcy punktują również bańkę sztucznej inteligencji, którą ukazują jako połączenie korporacyjnego bełkotu i społecznej nieudolności.

W fikcyjnych reklamach niemal każdy produkt sprzedawany jest jako taki, który używa AI. W smartfonach bohaterów algorytmy platform społecznościowych podbijają najbardziej absurdalne teorie spiskowe i patostreamy. W rozmowach słyszanych w radiu i prowadzonych na ulicach co rusz wraca strach, że lada moment wszystko zastąpią maszyny. Abstrakcyjnie kontrastujący z biedą, chaosem i materialnym rozpadem świata bohaterów.

O tym, że to nie bezrefleksyjne wykorzystanie bieżących wątków, lecz przemyślany polityczny komentarz, świadczy deklaracja twórców, że „GTA VI" to rękodzieło, nie skorzystano z modeli sztucznej inteligencji, choć AI znacząco obniżyłaby koszty.

W 2018 roku Dan Houser mówił, że cieszy się, iż Rockstar nie wydaje akurat nowego „GTA", bo tego, co dzieje się w Ameryce, nie da się już sparodiować. Czy osiem lat później jednak się udało? Najlepiej przekonać się samemu. Nie trzeba brać kija bejsbolowego do ręki ani nawet przechodzić całej gry. Wystarczy wsiąść do pierwszego lepszego samochodu, włączyć radio i przez kilka godzin bez celu jeździć po rozgrzanych ulicach Vice City.

Prędzej czy później zorientujemy się, że wszystko, co nas otacza, wygląda, niestety, dziwnie znajomo.

eprasa.pl c8499ac1c9

KULTURA OBYCZAJE



FOT. OKSANA SCHMIDT / GETTY IMAGES

Jeże nie gromadzą jabłek na kolcach. Podstawą ich diety są bezkręgowce np. chrząszcze, gąsienice, larwy owadów, dżdżownice czy pająki

Do szewskiej pasji doprowadza mnie jeż z jabłkiem, to fake news wszechczasów

Z ZOOLOŻKĄ **DR JOANNĄ BAGNIEWSKĄ**,
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Wampir wampirowi wyczyści futerko

We wstępie do książki ostrzega pani, że nie jest to bajka dla dzieci: pojawiają się w niej m.in. matryfagia i apofallacja. Dlaczego tak ważne jest pokazywanie przyrody bez pruderii?

– Po pierwsze, patrząc historycznie – 100 czy 200 lat temu – naukowcy bywali bardziej pruderyjni niż dziś. Przefiltrowywali swoje obserwacje przez własne sumienie i obyczajowość epoki i w efekcie pomijali niektóre odkrycia. Bali się reakcji społeczeństwa.

Głośnym przykładem jest raport z antarktycznej ekspedycji Roberta Scotta z lat 1911-12. George Murray Levick zaobserwował zachowania homoseksualne u pingwinów Adeli. Uznał jednak te obserwacje za obyczajowo nieakceptowalne i obsceniczne, część zapisał nawet po grecku, aby nie wpadła w niepowołane ręce.

Obserwacje usunięto z oficjalnego raportu wyprawy. W 1915 roku wydrukowano jednak 100 egzemplarzy osobnej broszury przeznaczonej do ograniczonego obiegu naukowego. Ponownie odkryto ją i opublikowano dopiero w 2012 roku.

Choć jako naukowcy staramy się zachowywać obiektywizm, jesteśmy tylko ludźmi i ulegamy domniemaniom na temat tego, co moralne lub niemoralne. Kiedy ukrywamy wyniki badań niepasujące do naszych poglądów, traci na tym cała nauka.

Po drugie, jako ludzie mamy tendencję do wyciągania wygodnych dla nas wniosków i próbowania uzasadniania własnych zachowań czy przyzwyczajeń tym, że coś w biologii jest „naturalne" lub „nienaturalne".

Tymczasem świat zwierząt jest tak niezwykle różnorodny, że wybierając odpowiednie przykłady – tak jak opisuję je w „Bestiariuszu naszych czasów. Opowieści o niezwykłych stworzeniach" – można by usprawiedliwić niemal każdą ludzką zbrodnię.

Im więcej wiemy o przyrodzie, tym wyraźniej widzimy, że nie wolno nam wybiórczo dobierać przykładów z natury pod gotowe tezy społeczne.

Natknąłem się niedawno na doniesienie o relacji seksualnej między osłem a bykiem. Czy nietypowe interakcje międzygatunkowe mogą mieć groźne konsekwencje?

– To może mieć bardzo poważne konsekwencje, co pokazują przypadki z afrykańskich parków narodowych. Po przesiedleniu z Parku Krugera młodych samców słoni do innych rezerwatów obserwowano niebezpieczne zachowania wobec nosorożców. W części takich populacji brakowało starszych samców, które zwykle regulują zachowania młodszych.

Część badaczy mówiła nawet o próbach kopulacji z nosorożcami, które podejmowały młode słonie, które nie mogły znaleźć samic własnego gatunku. Ze względu na ich wagę kończyło się to oczywiście często złamaniem kręgosłupa u nosorożców.

W rezerwacie Pilanesberg młode samce słoni atakowały nosorożce, przewracały je i raniły kłami. W latach 1992-97 zabiły tak ponad 40 białych nosorożców.

U młodych słoni przedwcześnie pojawiał się również musth, czyli stan silnego pobudzenia hormonalnego i agresji. Gdy do rezerwatu sprowadzono sześć dojrzałych samców, ataki na nosorożce ustały. To pokazuje, jak dotkliwe skutki dla innych gatunków może mieć niewłaściwie przeprowadzona relokacja.

Zajmuje się pani zoologią od wielu lat. Co najbardziej panią irytuje w powszechnym odbiorze przy-

eprasa.pl c8499ac1c9

rody? Które mity na temat zwierząt są najbardziej szkodliwe?
– Jest jedna rzecz, która doprowadza mnie do szewskiej pasji – najdłużej funkcjonujący fake news wszech czasów. Mowa o jeżu z jabłkiem na plecach.

Ten mit ciągnie się od czasów Pliniusza Starszego. W średniowiecznych bestiariuszach i późniejszych ilustracjach masowo przedstawiano jeże zbierające owoce w sadach, wspinające się na drzewa, zrzucające śliwki czy jabłka i celowo nabijające je na igły.

Wszystko to funkcjonuje bez refleksji nad biologią tych zwierząt. Sedno mitu jest nieprawdziwe: jeże nie wspinają się na drzewa, żeby zrywać owoce, ani nie gromadzą jabłek na kolcach. Podstawą ich diety są bezkręgowce. Co więcej, zimą hibernują, więc nie miałyby nawet możliwości zjedzenia zapasów.

Prawdopodobnie mit wziął się stąd, że jeże mają słaby wzrok, ale doskonały węch. W sadach potrafią wywęszyć nadgniłe, opadłe owoce, w których gromadzą się bezkręgowce – i to właśnie tymi bezkręgowcami się żywią. Niestety, motyw jeża z jabłkiem jest powszechny w kolorowankach, na kryształowych figurkach i na skarpetkach.

Powtarzam: zróbcie wreszcie jeża z bezkręgowcami na obrazku, a nie z jabłkiem.

Przejdźmy do mroczniejszych tematów. Matryfagia, czyli zjadanie własnej matki, brzmi jak biologiczny koszmar. Dlaczego ewolucja dopuszcza tak skrajną formę opieki nad potomstwem?
– Warto rozróżnić zabicie matki od matryfagii, która oznacza dosłowne zjedzenie własnej rodzicielki. Pewną formą matryfagii może być dermatofagia u marszczelców, czyli płazów beznogich. Ich młode skubią skórę matki (stąd nazwa – derma: skóra, fagia – zjadanie), lecz jej nie zabijają. Prawdziwa matryfagia zdarza się za to u niektórych zaleszczotków przypominających miniaturowe skorpiony bez ogona z kolcem jadowym.

U marszczelców skóra matki jest wyjątkowo bogata w substancje odżywcze i odrasta po tym, jak młode ją skubią. Trochę przypomina to karmienie mlekiem u ssaków.

Natomiast u zaleszczotków mamy do czynienia z ostateczną formą poświęcenia. Kiedy brakuje pożywienia, matka opuszcza schronienie i nie broni się przed młodymi. Te wbijają się w szczeliny jej egzoszkieletu na złączeniach stawów i wysysają z niej płyny ustrojowe, aż zostanie z niej jedynie pusta skorupka.

Z punktu widzenia biologii nadrzędnym celem każdego organizmu jest przekazanie własnych genów kolejnemu pokoleniu. Jeśli mama zaleszczotka nie zapewni potomstwu pożywienia, jej geny wyginą. Zjedzenie matki daje młodym szansę na przetrwanie. Możemy nazwać to altruizmem, ale sprawa nie jest prosta: matka pomaga przecież własnemu potomstwu, a więc zwiększa szanse na przekazanie swoich genów.

Mówię tutaj o biologicznym sukcesie rozrodczym, a nie o tym, jak ludzie powinni układać sobie życie. Nie chciałabym, żeby z zoologii wyciągać moralny nakaz posiadania dzieci.

Tylko jak zdefiniować altruizm w świecie przyrody? Jakie są jego najciekawsze przykłady?
– Na najbardziej podstawowym poziomie altruizm to działanie przynoszące korzyść innemu osobnikowi własnym kosztem.

Moim ukochanym przykładem są tutaj nietoperze wampiry, które żywią się wyłącznie krwią. Jeśli osobnik nie zdobędzie pożywienia danej nocy, grozi mu szybka śmierć głodowa ze względu na wysokie tempo metabolizmu.

Tymczasem wampiry, a zwłaszcza wampirzyce, okazują sobie niezwykłą solidarność: po powrocie do kolonii chętnie dzielą się zebraną i lekko przetrawioną krwią z głodnymi towarzyszkami. Często głodny nietoperz ma wręcz więcej ofert posiłku, niż może przyjąć.

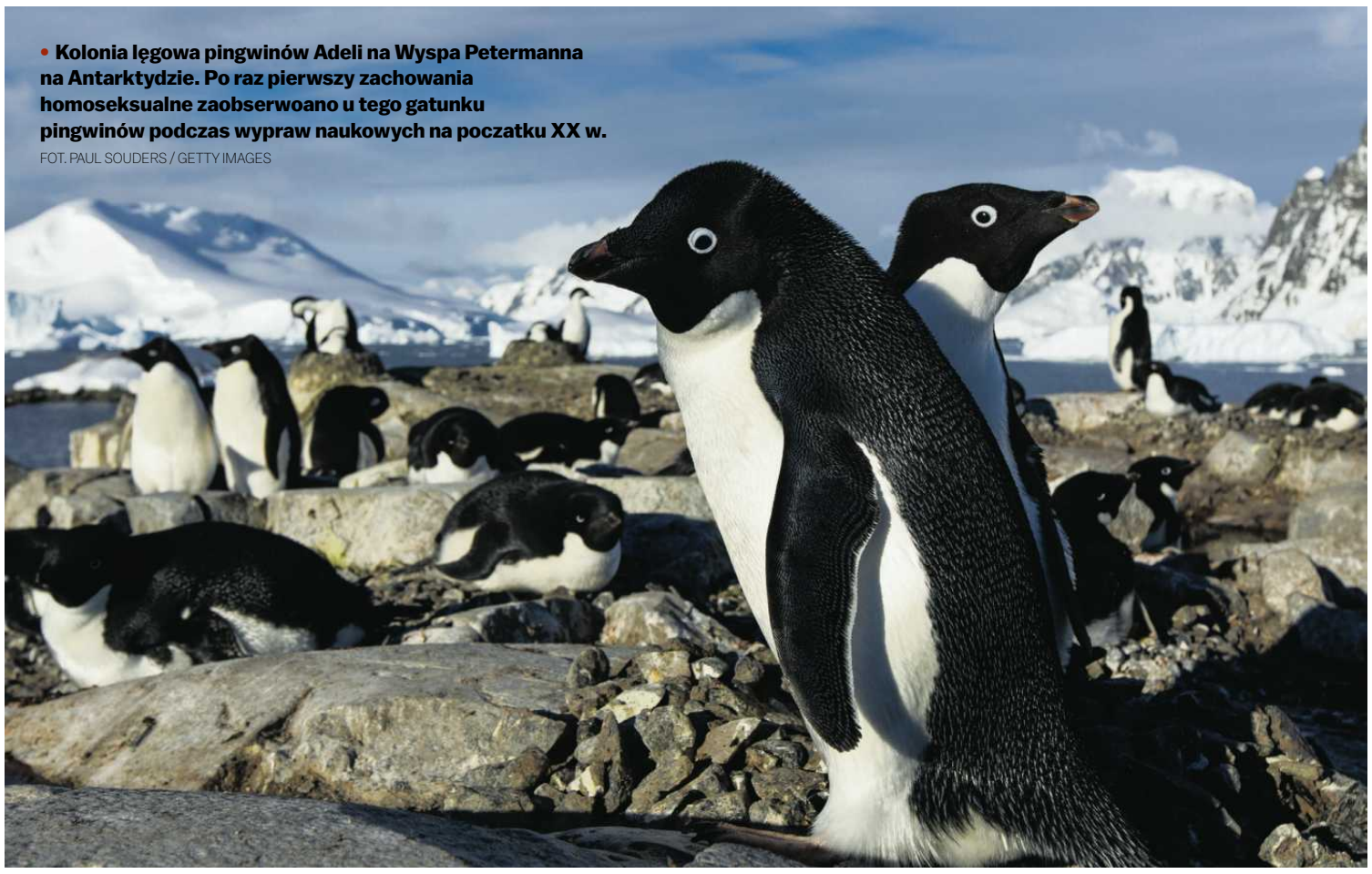

• **Kolonia lęgowa pingwinów Adeli na Wyspa Petermanna na Antarktydzie. Po raz pierwszy zachowania homoseksualne zaobserwoano u tego gatunku pingwinów podczas wypraw naukowych na poczatku XX w.**
FOT. PAUL SOUDERS / GETTY IMAGES

Nie chciałabym, żeby z zoologii wyciągać moralny nakaz posiadania dzieci

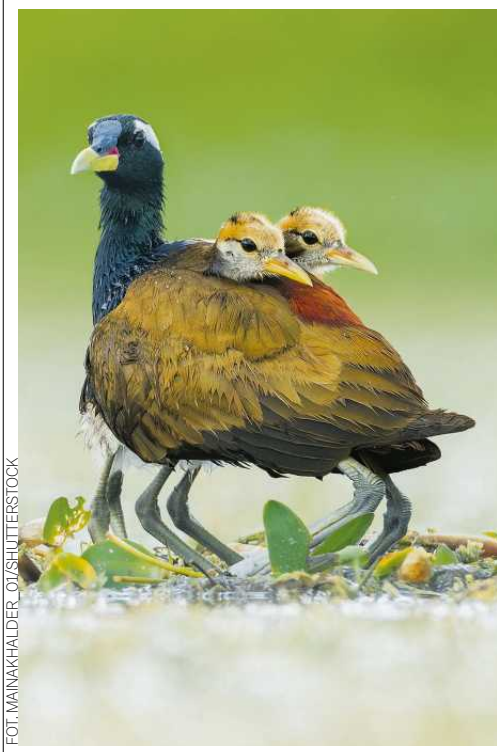

FOT. MAINAKHALDER_01/SHUTTERSTOCK

• **Brązowoskrzydła jacana żyje na podmokłych terenach Azji Południowej. U tego gatunku to samiec najczęściej wysiaduje jaja i opiekuje się młodymi, przenosząc pisklęta ukryte pod skrzydłami**

Można więc przebierać w propozycjach, czyją zwróconą krew wybrać dziś na kolację.

Działa to na zasadzie wzajemnego ubezpieczenia oraz budowania więzi społecznych, również poprzez iskanie i czyszczenie futerka. Więcej, jeśli samica umrze, jej przyjaciółka z kolonii potrafi zaopiekować się osieroconym młodym – nosić je na plecach i dokarmiać, co jest ogromnym ciężarem i wydatkiem energetycznym.

Nie wszystkie gatunki mają własne samce do rozrodu. Jak to możliwe, że np. spokrewnione z salamandrami ambystomy utrzymują się od milionów lat, korzystając z nasienia samców innych gatunków?



FOT. JASIUS/GETTY IMAGES

• **Pomrów wielki, jeden z największych ślimaków lądowych Europy, dorasta zwykle do 10-20 cm długości. Słynie ze sposobu godów, podczas których dwa splątane osobniki zwisają z gałęzi na długiej nici śluzu**

– W ich przypadku to nie klasyczna partenogeneza, czyli dzieworództwo, lecz proces zwany kleptogenezą. Mieszkające na danym terenie samicekradną pakiety nasienia zostawiane na podłożu przez samce spokrewnionych gatunków. Najczęściej nasienie pobudza jedynie rozwój jaj, a materiał genetyczny samca nie wchodzi w skład DNA potomstwa. Zdarza się jednak, że część jego DNA zostaje włączona do genomu młodych. Genetykom trudno sklasyfikować takie linie: nie mieszczą się łatwo w naszych sztywnych definicjach gatunku.

U niektórych zwierząt życie seksualne może skończyć się utratą penisa. Na czym polega zjawisko apofallacji?
– Apofallacja występuje u niektórych gatunków ślimaków lądowych, które są obojnakami. W czasie kopulacji oba osobniki wyciągają penisy i wzajemnie się zapładniają. Zdarza się jednak, że penis jednego utknie i osobniki nie mogą się rozdzielić. Wówczas ślimak odgryza organ rozrodczy własny lub partnera.

Utrata penisa nie oznacza jednak dla ślimaka końca życia – od tego momentu może uczestniczyć w rozmnażaniu wyłącznie w roli żeńskiej, przyjmując nasienie od innych osobników.

Penisy w świecie zwierząt przybierają zdumiewające formy – u kangurów są dwugłowe, u kolczatek czworogłowe. Z kolei u dwurożków dochodzi do tzw. szermierki penisami.
– Dwurożki to morskie płazińce będące, podobnie jak wyżej wymienione ślimaki, obojnakami. Posiadają po dwa członki i podczas pojedynku na penisy próbują przebić skórę przeciwnia w dowolnym miejscu i wstrzyknąć nasienie.

Osobnik, który skutecznie dźgnie rywala, odpływa bez zobowiązań. Z kolei osobnik dźgnięty zostaje zapłodniony i musi ponieść znaczny wydatek energetyczny związany z wytworzeniem i utrzymaniem jaj.

Wygrany pojedynku oszczędza energię. Takie starcie może także ujawniać sprawność partnera.

A co sprawia, że opieka rodzicielska w świecie przyrody przyjmuje tak skrajne formy – od pełnego poświęcenia po zupełną obojętność?
– Historycznie takie różnice opisywano za pomocą podziału na strategie „r” (maksymalne tempo rozrodu) i „K” (pojemność środowiska). Dziś wiemy, że jest on zbyt uproszczony, bo strategie rozrodcze zwierząt są znacznie bardziej zróżnicowane.

Pierwszy kraniec, strategia „r”, to w dużym uproszczeniu stawianie na liczbę potomstwa. Gatunki bliższe temu krańcowi składają ogromne liczby jaj, idące w tysiące lub setki tysięcy, po czym porzucają potomstwo. Robią tak zazwyczaj żaby, żółwie morskie, wiek-

eprasa.pl c8499ac1c9

szość ryb i bezkręgowców. Większość młodych ginie na początku życia, ale nieliczne osobniki, które przeżyją, wystarczają do podtrzymania gatunku.

Drugi kraniec, strategia „K", wiąże się z większą inwestycją w pojedyncze młode. Gatunki żyjące dłużej, takie jak ludzie, słonie czy albatrosy, wydają na świat nieliczne potomstwo, ale inwestują ogromne ilości energii w jego ochronę, wykarmienie i wychowanie.

Przywykliśmy myśleć o matce jako głównej opiekunce, ale u niektórych ptaków to samice rywalizują o samców, a ojciec nosi pisklęta pod skrzydłami. Jak różnorodny jest podział obowiązków rodzicielskich u zwierząt?
– U ssaków rola matki jest dominująca ze względu na ciążę oraz karmienie mlekiem, choć w wielu rodzinach na przykład u drapieżników czy naczelnych samce i inni członkowie stada pomagają w dostarczaniu pożywienia czy pilnowaniu młodych.

U zdecydowanej większości gatunków ptaków w opiece uczestniczą oboje rodzice, choć proporcje obowiązków bywają bardzo różne.

U jednego procenta gatunków ptaków, m.in. u długoszponów, występuje całkowite odwrócenie ról płciowych. Tam samice walczą o terytorium i samców, składają jaja wielu partnerom, po czym zostawiają ich z obowiązkiem wysiadywania i opieki nad pisklętami. Tatusiowie długoszponów mają skrzydła, pod którymi potrafią ewakuować młode w razie zagrożenia.

Na zdjęciach wyglądają niemal jak Edward Nożycoręki: spod skrzydeł wystają im długie szpony pisklaków!

A wychowanie potomstwa? W niektórych gatunkach obowiązuje bratobójstwo.
– Bratobójstwo lub siostrobójstwo występuje u wielu ptaków. Dochodzi do niego w trudnych warunkach, gdy brakuje pożywienia i silniejsze pisklę zabija słabsze. U niektórych gatunków, np. u głuptaków maskowych, jest jednak obowiązkowe. Starsze pisklę niemal zawsze eliminuje młodsze rodzeństwo, które pełni jedynie rolę polisy ubezpieczeniowej na wypadek, gdyby pierwsze jajo uszkodziło się lub nie wykluło.

Eksperymenty polegające na zamianie jaj między głuptakami maskowymi a łagodniejszymi głuptakami niebieskonogimi pokazały, że zachowania rodziców mogą zmieniać los młodych. Pisklęta głuptaków maskowych wychowywane przez niebieskonogie były mniej skłonne do zabijania rodzeństwa, a pisklęta niebieskonogich wychowywane przez maskowe częściej zachowywały się agresywnie. Znaczenie mają więc nie tylko cechy piskląt, lecz także środowisko wychowu.

My, ludzie, żyjemy zazwyczaj w luksusowej sytuacji: nie musimy codziennie wybierać, które dziecko wykarmić. W przyrodzie zwierzęta stale mierzą się z niedoborem zasobów i zagrożeniem ze strony drapieżników, stąd decyzje, które z naszej perspektywy wydają się tak okrutne.

A trwałość związków? U niektórych głębinowych ryb samiec dosłownie zrasta się z samicą. Jak działa taki związek?
– Prym wiodą głębinowe ryby matronicowate. Ich samice są znacznych rozmiarów i mają świecącą przynętę na głowie. Samce są zaś miniaturowe, a ich jedynym zadaniem jest odnalezienie samicy.

Gdy samiec odnajduje partnerkę, wgryza się w jej ciało i z czasem dosłownie zrasta się z nią na całe życie, tworząc połączenie tkanek i wspólny układ krążenia. U tych ryb ewolucja zmodyfikowała mechanizmy odpornościowe tak, że samica toleruje tkanki przyczepionego samca.

Zjawisko to jest badane również jako model tolerancji immunologicznej mogący pomóc w zrozumieniu mechanizmów odrzucania przeszczepów.

Czyli taki samiec jest trochę jak osoba towarzysząca?
– Osoba towarzysząca! To chyba najlepsze określenie.

Gdybyśmy chcieli zbudować z rozmaitych zwierzęcych zdolności biologicznego superbohatera – takiego Avengersa – od jakich gatunków pożyczylibyśmy wytrzymałość? Niesporczaki, żaby, które potrafią przetrwać zamarznięcie?
– Warto wymienić chociażby cykady, których larwy potrafią spędzić 17 lat pod ziemią, zanim masowo wyjdą na powierzchnię i przeobrażą się w dorosłe owady. Innym zdumiewającym przykładem są mrówki pustynnice żerujące na Saharze w temperaturach przekraczających 45 stopni Celsjusza. Potrafią błyskawicznie nawigować na skróty do gniazda, by nie ulec przegrzaniu.

W świecie natury zdarza się również niewolnictwo. Jednak zniewolone robotnice potrafią wzniecić bunt. Jak?
– Mrówki z gatunku wysmuklicy amerykańskiej najeżdżają sąsiednie kolonie, zabijają królową oraz robotnice, po czym kradną larwy. Porwane larwy wyrastają na niewolnice wykonujące prace na rzecz oprawców.

Po pewnym czasie porwane robotnice zaczynają jednak prowadzić sabotaż. Zamiast opiekować się potomstwem najeźdźców, zabijają larwy przyszłych samic, oszczędzając samców – to przyszłe robotnice uczestniczyłyby w kolejnych najazdach.

Mimo że im samym nie przyniesie to już wolności, uderza to w potencjał rozrodczy oprawców i chroni inne spokrewnione kolonie przed kolejnymi najazdami. To prawdziwy bunt Spartakusa w skali mikro. A pomyśleć, że podobne wojny rozgrywają się czasami w koloniach mieszczących się w łupinie orzecha, dosłownie pod naszymi stopami.

Uwielbiam pani wykład o funkcjach zwierzęcych zadków. To chyba najlepszy wykład o zadkach w internecie.
– [Śmiech] A pan szuka w internecie wystąpień o zadkach? Może mój jest po prostu jedyny i dlatego najlepszy.

Dobry argument. A do czego w przyrodzie służy ta część ciała?
– Zadki pełnią w przyrodzie niezliczone role: od komunikacji – szympansy rozpoznają się po wyglądzie zadków, przez obronę i napęd, jak u larw ważek, aż po wymianę gazową przez kloakę np. u niektórych żółwi.

Może po prostu nie przyglądamy się zadkom przez nasze kulturowe ograniczenia związane z wydalaniem. Kiedy zaczniemy traktować je jak każdą inną część ciała, odkrywamy całą różnorodność funkcji.

Niezwykłym przykładem są strzykwy. W odbytach pojedynczych strzykw potrafi mieszkać nawet 15 podłużnych rybek, karapów. Niektóre traktują wnętrze strzykwy jedynie jako bezpieczne, dobrze natlenione lokum, inne jednak podskubują narządy wewnętrzne gospodarza. Dla tych ostatnich to nie tylko mieszkanie, lecz także lokum ze śniadaniem.

W odpowiedzi niektóre gatunki strzykw wykształciły tzw. zęby analne – twarde struktury anatomiczne blokujące niechcianym lokatorom wstęp do wnętrza ciała.

Nowe technologie dużo zmieniły w pracy zoologa? Bez nich nie byłoby tych odkryć?
– Miniaturyzacja nadajników, drony czy fotopułapki pozwalają nam zbierać ogromne ilości danych bez konieczności ingerencji w środowisko. W badaniach z lat 60. opisywano albatrosy wysiadujące puszki po piwie czy inne przedmioty podłożone przez naukowców w miejsce jaj. Dziś takie doświadczenia nie mogłyby mieć miejsca – eksperymenty ingerujące w lęgi wymagają szczególnej ostrożności etycznej.

Może jeszcze ważniejszym przełomem jest zresztą nauka obywatelska. Aplikacja Seek wykorzystuje rozpoznawanie obrazu, aby pomóc nam rozpoznać owada czy roślinę, i zachęca do kolejnych odkryć odznakami.

Możemy też dzięki niej przekazać swoje obserwacje do iNaturalist, gdzie społeczność pomaga w identyfikacji gatunków. Takie obserwacje bywają cennymi danymi o ich występowaniu i zasięgach.

Popularność zwierząt w sieci bywa jednak niebezpieczna. Jak walczyć ze szkodliwymi modami?
– Dobrym przykładem są kukangi – słodko wyglądające ssaki naczelne o wielkich oczach. Nagrania, na których podnoszą łapki przy łaskotaniu, stały się hitem w sieci. W rzeczywistości podnoszenie łapek to reakcja obronna tych jedynych jadowitych małpiatek. Aby sprzedawać je jako domowe maskotki, kłusownicy wyrywają im zęby bez znieczulenia.

Kampania Tickling Is Torture stworzona przez prof. Annę Nekaris z udziałem celebrytów pokazała dramat zwierząt stojący za tymi słodkimi filmikami.

Podobne działania edukacyjne są niezbędne w przypadku turystyki wykorzystującej zwierzęta – pomyślmy o przejażdżkach na słoniach czy robieniu zdjęć z tygrysami w Tajlandii. Turyści często zakładają, że gdyby taka atrakcja szkodziła zwierzętom, byłaby zakazana. A przecież tak nie jest.

Dzięki presji organizacji zajmujących się ochroną zwierząt i kampaniom edukacyjnym serwisy takie jak TripAdvisor zaczęły wycofywać ze sprzedaży bilety na niektóre atrakcje wykorzystujące dzikie zwierzęta, m.in. pokazy słoni czy głaskanie tygrysów.

Zachowuje pani optymizm w sprawie ochrony przyrody. Jak to możliwe w dobie zmian klimatu?
– Skupiam się na działaniu i szukaniu rozwiązań. Czerpię inspirację z inicjatyw takich jak Conservation Optimism, które co tydzień publikują zestawienia konkretnych sukcesów w ochronie gatunków na świecie. Zasypywanie ludzi wyłącznie katastroficznymi wizjami prowadzi tylko do bezradności i paraliżu. Musimy pokazywać, że przemyślane kroki przynoszą realne efekty.

Mam nadzieję, że po lekturze mojej książki ktoś wyjdzie z domu, przyjrzy się choćby trawie, kwiatom czy chrząszczowi pod nogami i zechce je sfotografować. Taka obserwacja może się okazać ciekawa, a nawet ważna dla naukowców, zwłaszcza jeśli trafi do iNaturalist. Poza tym częstszy kontakt z przyrodą może pomóc także naszemu zdrowiu psychicznemu. ●

Dr Joanna Bagniewska

• Zoolożka, popularyzatorka nauki. Wykładowczyni nauk o środowisku na Uniwersytecie Oksfordzkim, absolwentka tejże uczelni. Autorka „Bestiariusza naszych czasów" (Insignis, 2026).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

W SPRZEDAŻY

Temat numeru:
Longevity – jak żyć dłużej, zachowując pełnię zdrowia, energii i sprawności umysłowej

wysokieobcasy extra

Numer dostępny z kalendarzem ściennym na 2027 rok z pięknymi zdjęciami zjawisk astronomicznych i kalendarium obserwacji nieba

Zamów na prenumerata24.pl z dostawą do domu lub z bezpłatną dostawą do paczkomatu



1 RP

eprasa.pl c8499ac1c9



FOT. RONNIE KAUFMAN / GETTY IMAGES

EMERYTURA NIE SŁUŻY LUDZKIEMU DUCHOWI

Badacz długowieczności: Za cztery lata pierwsi millenialsi skończą 50 lat. To ogromna grupa ludzi, którzy będą myśleć o starzeniu się w pionierski sposób.

Z **MICHAELEM CLINTONEM*** ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Czy naprawdę stoimy u progu rewolucji długowieczności? Bo temat „longevity" stał się tak wszechobecny, że można podejrzewać, iż jesteśmy świadkami narodzin kolejnej wielkiej branży usiłującej wylansować się na jakimś odwiecznym ludzkim marzeniu.
– W większości krajów rozwiniętych i uprzemysłowionych ludzie dożywają dziś do 80 czy 90 lat. W ciągu ostatnich 100 lat oczekiwana długość życia wzrosła dramatycznie dzięki czystej wodzie, zmianie stylu życia i rozwojowi nauki. A więc ten temat ma realne podstawy.

Długowieczność to trend, którego nie da się zignorować. Japonia ma najstarsze społeczeństwo na świecie. Pytanie brzmi: jak mamy się do tego przygotować jako ludzie? Jak zadbać, by to długie życie było w zdrowiu i sprawności?

Już mamy wiele narzędzi pozwalających nam zarządzać zdrowiem w miarę starzenia się. Rzecz w tym, by były dostępne dla każdego.

W książce prognozuje pan, że dzisiejsze pięciolatki mają 50-proc.szansę dożycia stu lat. Tymczasem naukowcy na łamach „Nature Aging" przekonują, że radykalne wydłużenie lżycia w XXI wieku jest mało prawdopodobne, a postęp w tej dziedzinie wyraźnie zwolnił.
– W nauce uwielbiam to, że zawsze istnieje wiele różnych punktów widzenia. Jestem członkiem Center on Longevity na Uniwersytecie Stanforda. Badania prowadzone przez ten ośrodek, jak i wiele innych prac naukowych, potwierdzają tezę, że dzisiejszy amerykański pięciolatek ma 50 proc. szans na dożycie setki.

Oczywiście żyjemy w nierównym świecie, więc dotyczy to przede wszystkim osób mających dostęp do opieki zdrowotnej, odpowiedniego odżywiania i tym podobnych czynników. Niemniej dane ONZ wskazują, że obecnie na świecie żyje około 700 000 stulatków. Według prognoz do roku 2100 będzie ich niemal 25 milionów. A więc wielu z nich to dzisiejsze młode pokolenie.

W nauce spory są naturalne, jednak większość analiz wskazuje na postępującą normalizację 100-letniego życia. Sto lat temu w USA średnia długość życia wynosiła 62 lata, a w krajach europejskich, takich jak Polska, poniżej 50 lat. Gdybyś wtedy powiedział ludziom, że normą będzie 80 lat, uznaliby to za szaleństwo.

A co głośnym przemówieniem Billa Clintona, który powiedział, że „dzieci rodzące się dzisiaj mogą należeć do pierwszego pokolenia w historii Ameryki, które będzie żyło krócej niż ich rodzice, ponieważ tak wiele z nich je zbyt dużo niewłaściwych produktów i za mało się rusza". Nawet ubogi obywatel Holandii czy Niemiec żyje dłużej niż zamożny Amerykanin.
– To prawda. Średnia długość życia w USA jest obecnie niższa niż w wielu innych krajach właśnie z powodów, o których wspomniałeś. Mamy na tym polu jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Ultra-przetworzona żywność i fast foody wywierają bardzo negatywny wpływ.

A czy istnieje biologiczna granica ludzkiego życia? Rekordowe około 120 lat to naturalny sufit czy tylko granica, której współczesna medycyna nie potrafi przekroczyć?
– Najstarsza udokumentowana osoba na świecie, Francuzka Jeanne Calment, żyła 122 lata. Obecnie najstarszy żyjący człowiek ma 117 lat i mieszka w Wielkiej Brytanii. A niektórzy naukowcy – jak dr David Sinclair z Harvardu – twierdzą wręcz, że pierwszy człowiek, który dożyje 150 lat, już się urodził.

Wierzę, że ludzkie życie ulegnie dalszemu wydłużeniu. To będzie wypadkowa stylu życia oraz niesamowitych osiągnięć medycyny i technologii – nowych leków, diagnostyki i testów. Przekroczymy granicę 122 lat.

Kiedy dokładnie? Nie potrafię podać daty, ale jestem przekonany, że jeszcze za twojego i mojego życia.

A może starzejemy się szybciej, niż powinniśmy, ponieważ społeczeństwo przekonuje nas, że po pięćdziesiątce najlepsze lata mamy już za sobą? Jak duże znaczenie dla zdrowia, sprawności poznawczej i długości życia mają stereotypy dotyczące starości?
– Jesteśmy w środku tego, co nazywam kolejnym wielkim globalnym ruchem społecznym. Jeśli masz 50 lat i jesteś zdrowy, istnieje duże prawdopodobieństwo, że pożyjesz kolejne 30 lub 40 lat. A co istotniejsze, druga połowa życia będzie wyglądać zupełnie inaczej niż u poprzednich pokoleń. W wieku 60 lat możesz rozpocząć nową karierę, w wieku 70 lat wejść w nowy związek małżeński, a w wieku 80 lat zająć się nową dziedziną twórczości.

Na Stanfordzie opracowano raport „The New Map of Life". Dziewięciu stypendystów na stażu podoktorskim opisuje, jak będzie wyglądać nowa druga połowa życia: kładzie nacisk na uczenie się przez całe życie, ciekawość świata jako nawyk długowieczności oraz ruch.

Za cztery lata pierwsi millenialsi skończą 50 lat. To ogromna populacja ludzi, którzy będą myśleć o starzeniu się w pionierski sposób. Nazywamy ich innowatorami wieku, *age innovators* – to oni napędzają zmianę kulturową.

Dotychczas ludzkie życie, przynajmniej w krajach rozwiniętych, dzieliło się na trzy etapy: edukację, pracę zawodową i emeryturę. Ten podział staje się przeżytkiem?
– Lubię powtarzać, że żyjemy w XXI wieku według konstrukcji z XX. Jeśli przechodzisz na emeryturę jako 65-latek, przed tobą pozostaje jeszcze 25 lat życia! Dziś emerytura w tradycyjnym kształcie to sztuczny koncept społeczny, wymyślony sto lat temu. Wcześniej ludzie pracowali aż do śmierci, a po wprowadzeniu emerytur spędzali na nich krótką chwilę – pamiętasz, co mówiłem o długości życia w Europie przed wiekiem.

A emerytura nie służy ludzkiemu duchowi – potrzebujemy celu i poczucia sensu. To nie musi oznaczać pracy na pełen etat, ale zachęcam do zasady: *Don't retire, rewire* – nie przechodź na emeryturę, przeprogramuj się. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wiele zależy od naszej sytuacji finansowej i stanu zdrowia.

To marzenie każdego rządu – brak konieczności wypłacania emerytur.
– Patrząc na sytuację w Europie i napięcia wokół reform systemów emerytalnych, na przykład niedawno we Francji – coś w tym jest. W Danii oficjalny wiek emerytalny zostanie niedługo podniesiony do 70 lat, a prognozy na rok 2070 mówią o 74 latach. Żyjąc dłużej, ludzie muszą i mogą – a niemało również chce – pracować dłużej, co bez wątpienia pomoże rozwiązać kryzys systemów emerytalnych.

Zachęca pan ludzi do podejmowania nowych wyzwań zawodowych po sześćdziesiątce. Ale czy wizja 60-letniej kariery zawodowej nie jest przywilejem osób zamożnych, wykształconych i zdrowych? Co z ludźmi, którzy przez całe życie wykonywali ciężką pracę fizyczną albo tyrali w niskopłatnych, wyczerpujących, monotonnych usługach.
– Doskonale rozumiem, o czym mówisz, bo mój ojciec pochodził z klasy robotniczej i bardzo cieszył się z zakończenia pracy fizycznej. Z drugiej strony, mój szwagier, który jest hydraulikiem i nadzoruje zespół w firmie budowlanej, opowiadał mi, że jego najlepszy fachowiec ma 80 lat i ani myśli odchodzić na emeryturę. Wiele zależy od indywidualnych preferencji i wyboru. Praca na budowie to ciężki trud fizyczny, więc tam trudniej spodziewać się chęci przedłużenia życia zawodowego.

Ale spójrz na to z innej perspektywy: obecnie – w USA, w Europie, w całym zwesternizowanym świecie – jest łatwy dostęp do edukacji online i kursów certyfikacyjnych, które pozwalają zdobyć nowe kwalifikacje. Pojawia się wielki popyt na wsparcie pielęgniarskie, techników farmaceutycznych czy trenerów fitness dla osób po 65. roku życia, które potrzebują ruchu. To profesje niewymagające wieloletnich studiów, lecz konkretnych umiejętności, które można opanować w każdym wieku.

Mam wrażenie, że branża długowieczności będzie przywilejem bogatych. Tych, których stać na najlepszych ludzkich lekarzy i diagnostów wspartych specjalistycznymi modelami sztucznej inteligencji - a nie na

eprasa.pl c8499ac1c9

darmowego agenta AI - na świeżą, wysokiej jakości żywność i mogą sobie pozwolić już w młodym wieku na poświęcenie wielu godzin na ćwiczenia, badania, sen. Długowieczność stanie się największym przywilejem klasowym XXI wieku?
– Jeśli pytasz z punktu widzenia medycznego czy szerzej, zdrowotnego – to trafny zarzut. Wszystko, co rozwijamy, musi być powszechnie dostępne. Na szczęście wiele badań profilaktycznych – kardiologicznych czy takich jak kolonoskopia, pomiar poziomu glukozy – jest częścią publicznych systemów ochrony zdrowia i staje się coraz łatwiej dostępna.

Zadaniem rządów i społeczeństwa jest zagwarantowanie, by osoby o niższym statusie społeczno-ekonomicznym miały pełny dostęp do diagnostyki w szpitalach publicznych.

Na razie w USA ubożsi ludzie żyją coraz krócej i w gorszym zdrowiu, bo nie stać ich na dobrą żywność, o porządnej profilaktyce i służbie zdrowia medycznej nie mówiąc.
– Ale każdego stać na spacer, rzucenie palenia czy kupno fasoli, która jest tanim źródłem białka. Zdrowe odżywianie nie musi być drogie – to kwestia edukacji i nawyków. Relacje międzypokoleniowe, które utrzymują dobrą formę psychiczną, również nic nie kosztują.

Kiedyś miliarderzy marzyli o podboju kosmosu, dzisiaj inwestują fortuny w pokonanie starości. Chodzi o postęp naukowy czy o strach przed śmiercią?
– Śmierć to jedno z ostatnich tabu. Wszyscy kiedyś umrzemy – to fundament ludzkiego doświadczenia. W USA rozwija się nowy zawód – doula umierania. To osoba, która przeprowadza człowieka przez emocjonalny, społeczny i psychologiczny proces odchodzenia.

Potrzebujemy takich przewodników duchowych i psychologicznych. Ważna jest też wspólnota i relacje z osobami starszymi od nas, które zaakceptowały fakt skończoności życia.

Czyli raczej długie życie niż nieśmiertelność. Ale i je będziemy zawdzięczać zaawansowanej nauce i technice. Wiele publikacji, w tym pańska książka, opisuje możliwości sztucznej inteligencji, tak zwanej medycyny precyzyjnej i analizy tysięcy biomarkerów. Które rozwiązania są już rzeczywistością, a które pozostają technologiczną obietnicą?
– Diagnostyka biomarkerów jest już dostępna. Dynamicznie rozwija się rynek urządzeń przenośnych – w USA ma je już 57 proc. obywateli. Sam noszę pierścień Oura. Takie urządzenia pozwalają śledzić tętno, jakość snu czy VO2 max, czyli pułap tlenowy - parametry sygnalizujące wczesne problemy zdrowotne.

Niektórzy naukowcy twierdzą, że pierwszy człowiek, który dożyje 150 lat, już się urodził

Jeśli chodzi o farmakologię, leki z grupy GLP-1 wielu lekarzy i naukowców uważa za przełomowy lek naszej ery – nie tylko w leczeniu cukrzycy i otyłości, ale również w profilaktyce układu krążenia czy bezdechu sennego. Ich ceny będą spadać, dzięki czemu staną się pierwszym powszechnie dostępnym lekiem sprzyjającym długowieczności.

Nadal nie jestem pewien, czy branża longevity nie sprzedaje nam złudzeń. W książce opisuje pan firmy, które chcą odwrócić procesy starzenia. A nadal nie mamy przekonujących dowodów, że któraś z oferowanych komercyjnie terapii potrafi znacząco wydłużyć maksymalną długość ludzkiego życia.
– Leki GLP-1 są stosunkowo nowe, więc jeszcze brak wieloletnich badań podłużnych, w których wraca się co jakiś czas do tych samych grup. Wyniki wczesnych prób klinicznych są jednak niezwykle obiecujące.

Przypomina mi się wywiad z wybitnym biologiem prof. Janem Kozłowskim. Gdy zapytałem, czy chciałby żyć wiecznie, odpowiedział: „Nie. Nawet przy nierealistycznym założeniu, że bym się nie starzał, nieśmiertelność musiałaby być strasznie nudna. Ile podróży można odbyć? Ile kościołów zwiedzić?”.
– W pełni się zgadzam. Kiedy mowa o stuletnim życiu, chodzi o budowanie świadomości, że możemy żyć dłużej, ale kluczem jest zachowanie zdrowia, sprawności poznawczej i jakości życia przy krótkim okresie schyłkowym.

Genetyka odpowiada jedynie za 25–30 proc. naszej długowieczności. Reszta to wpływ stylu życia: aktywności fizycznej, właściwej diety i niepalenia tytoniu. Chodzi o to, by żyć lepiej przez jak najdłuższy czas, a nie tylko dłużej.

W pana książce spotykamy ludzi, którzy po siedemdziesiątce zakładają firmy i rozpoczynają nowe kariery. Czy nie tworzy pan nowego, równie opresyjnego ideału starości? Kiedyś senior miał spokojnie odpoczywać, teraz oczekuje się, że będzie biegał maratony i nieustannie się rozwijał.
– To kwestia indywidualnego wyboru. Siedzący tryb życia jest jednak obiektywnie niezdrowy. Ruch, nauka i ciekawość są niezbędne dla sprawności mózgu i ciała. Mój ojciec żył 92 i pół roku w pełnej sprawności umysłowej. Przestał się ruszać na rok przed śmiercią, upadł – i nastąpił gwałtowny regres.

Nie trzeba biegać maratonów ani rozpoczynać kolejnej kariery zawodowej. Ważne, żeby pozostać zaangażowanym w życie i zachować aktywność fizyczną oraz umysłową.

A czy ludzki mózg jest psychologicznie gotowy na życie trwające na przykład 150 lat?
– Mózg i społeczeństwo ewoluują i adaptują się. Sto lat temu w Polsce średnia długość życia wynosiła poniżej 50 lat. Wtedy wizja życia do osiemdziesiątki wydawała się absurdalna, a jednak się dostosowaliście.

Warto wspomnieć o technologii – w USA niektóre stany finansują robota-towarzysza AI dla samotnych i odizolowanych seniorów. Urządzenie uczy się zachowań użytkownika i pomaga mu utrzymać aktywność umysłową. „New York Times” opisał niedawno historię 85-latki, której ten robot odmienił życie.

Co tylko potwierdza, że jesteśmy zgodni – długowieczność nie może być celem samym w sobie, musimy na nowo odnaleźć sens życia. 150 lat bez celu i pracy twórczej byłoby udręką.

Praca, bez względu na to, czy jest fizyczna, czy umysłowa, daje człowiekowi nie tylko pieniądze, ale także poczucie sensu i celu. Organizuje znaczną część naszego dnia. Jeśli po przejściu na emeryturę nie zastąpimy jej czymś innym, to może doprowadzić nie tylko do kryzysu jednostki, ale całych społeczeństw.

Przesunięcie granic sprawności widać po zmianie nawyków demograficznych – w USA kobiety po czterdziestym roku życia rodzą obecnie więcej dzieci niż nastolatki, a macierzyństwo w wieku 45 lat przestaje dziwić.
– Widzimy, że ludzkie zachowania i biologia dostosowują się do nowych realiów szybciej, niż uświadamia to sobie społeczeństwo.

Elon Musk twierdzi, że nie chciałby nieśmiertelności, bo jego zdaniem ludzie nie zmieniają przekonań, więc przedłużanie życia przywódców, twórców, autorytetów może prowadzić do stagnacji społeczeństwa. Kreatywność jest przecież domeną ludzi młodych. Czy nie obawia się pan świata, w którym te same osoby przez sto lat sprawują władzę i blokują nowe idee?
– Instytucje kulturowe ulegną zmianie. Obserwujemy narodziny nowych wzorców – aktywnych 60-, 70-, a nawet 90-latków. Coraz więcej starszych osób uczestniczy w zawodach sportowych dla dojrzałych, inni wracają na uczelnie. Niekoniecznie po to, żeby zdobywać kolejne dyplomy, chcą po prostu uczyć się nowych rzeczy.

Dawniej w filmie postać po sześćdziesiątce siedziała w fotelu, piła herbatę i głaskała psa. Dziś to aktywni ludzie uprawiający sport, pracujący, podróżujący po świecie. To proces analogiczny do ruchu praw kobiet z ostatnich siedmiu dekad. Dawniej kobiety ukazywano tylko w rolach domowych, ewentualnie na prostych stanowiskach – sekretarka, robotnica niewykwalifikowana – a dziś kierują państwami, instytucjami naukowymi, korporacjami, zasiadają w parlamencie. Nowe wzorce społeczne sprawią, że młodzi ludzie zobaczą, jak wiele możliwości otwiera się przed nimi po 60. czy 70. roku życia. ●



*Michael Clinton

• Ma 72 lata. Założyciel ROAR Forward – przedsięwzięcia rozwijanego z koncernem mediowym Hearst Corporation, poświęconego społecznym i biznesowym konsekwencjom długowieczności. Były prezes Hearst Magazines, wcześniej wiceprezes Conde Nast, wydawcy m.in. „New Yorkera” i „Vogue”. Zaczynał w latach 70. jako reporter. Przebiegł maratony na siedmiu kontynentach. Jego książka **„Longevity Nation. Ludzie, idee i trendy, które kształtują drugą połowę naszego życia”** dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl.
Tam także **„Homo longevus. Dlaczego możemy zestarzeć się lepiej niż nasi rodzice”,** w której Tomasz Ulanowski, dziennikarz naukowy „Wyborczej”, rusza śladem badań nad starzeniem się.

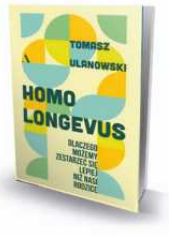

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34423354

JAK WYKORZYSTAĆ TO, CO ZYSKUJEMY Z WIEKIEM I DOBRZE PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA DŁUŻSZE ŻYCIE?



Zobacz, jak przekuć dojrzałość i doświadczenie w zawodową przewagę na kolejne lata.

TŁUM. MONIKA SKOWRON

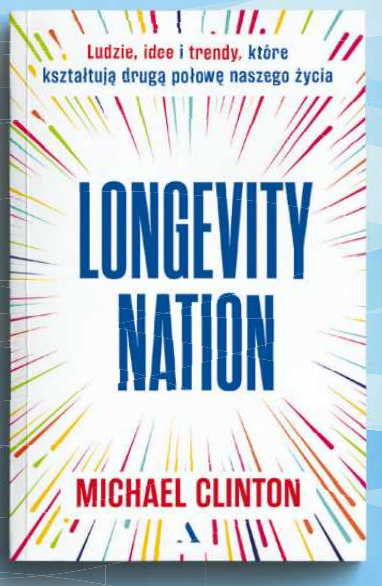

Odkryj, jak długowieczność zmienia nasze życie i jakie możliwości otwiera przed nami jego druga połowa.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora
1 RP

eprasa.pl c8499ac1c9

MOJA WIELKA GRECKA MOZAIKA

Potrzeba nam jednego życia, by dobrze poznać grecki kontynent, oraz drugiego, żeby poznać greckie wyspy.

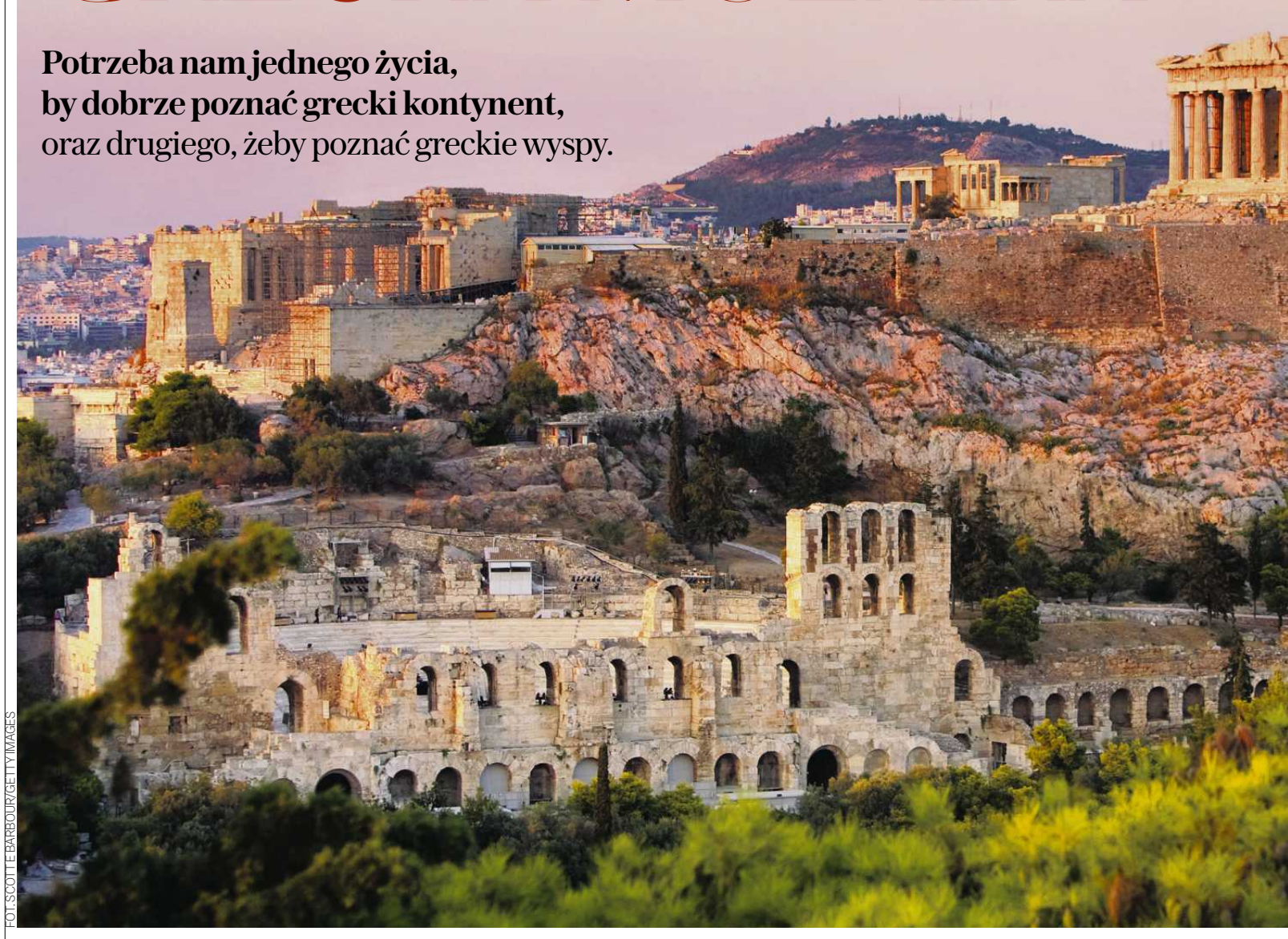

FOT. SCOTT BARBOUR/GETTY IMAGES



FOT. G. SIOEN/DE AGOSTINI/GETTY IMAGES

▲ **Grecka klasyka. Widok na ateński Akropol z Partenonem, Erechtejonem oraz Odeonem Heroda Attyka, jednym z najlepiej zachowanych teatrów starożytnej Grecji**

◀ **Muzycy w tradycyjnych strojach podczas wielkanocnych uroczystości w Arachowie w górach Beocji. Miasteczko słynie z pielęgnowania lokalnego folkloru**

Z **TOMASZEM PIOTREM KOZŁOWSKIM*** BIOLOGIEM, MIŁOŚNIKIEM GRECJI, AUTOREM KSIĄŻKI „SZAFRAN, MASTYKS I FIGA. GRECKIMI DROGAMI” ROZMAWIA **ALICJA DĄBROWSKA**

Odbył pan już blisko 70 podróży do Grecji. Co sprawiło, że stała się ona pańską równoległą ojczyzną?
– Na zakończenie szkoły podstawowej w lipcu 1997 r. – niejako w nagrodę – pojechaliśmy na rodzinne wakacje na Kretę. I od razu zakochałem się po uszy: krajobraz, przyroda, kuchnia, muzyka, serdeczność ludzi – wszystko mnie zachwyciło! Niemal natychmiast pojawiła się też wewnętrzna potrzeba nauki greckiego, którego stale uczę się od tamtej pory.

Język jest nieodzowny do głębszego poznania kraju i jego mieszkańców...

– ...a z czasem również do zdobycia przyjaciół. Bo tam nietrudno o nowych znajomych. Grecy są bardzo komunikatywni; bywa, że sami nagabują przybysza. Są narodem ciekawym innego człowieka.

W książce „Szafran, mastyks i figa. Greckimi drogami” opisał ich pan następująco: „Grecja to kraj oczarowujący nie tylko widokami, historią czy muzyką, ale i niezwykłą spontanicznością Greków, okazywaną tu niemal na każdym kroku gościnnością, miłym słowem i niewymuszoną uważnością, aby goście wyjechali z dobrymi wspomnieniami”.
– Po tych pierwszych wakacjach obłożyłem się książkami o Grecji, starożytnej i nowożytnej. Nie ukrywam, że ta druga, współczesna odsłona kraju, silniej do mnie przemówiła niż antyk, choć też go kocham i lubię zgłębiać.

Grecja leży na kontynencie i na wyspach. Czy to dwa różne światy?
– Część kontynentalna i wyspy różnią się niezwykle, zarówno pod względem geograficznym, przyrodniczym, jak i kulturowym. Ale z punktu widzenia administracji jest to homogeniczne państwo bez terytoriów autonomicznych. Wyjątek stanowi Republika Mnichów, czyli wspólnota monastyczna istniejąca od ponad tysiąca lat na półwyspie Athos, gdzie znajduje się 20 prawosławnych klasztorów. Ta rządzi się swoimi prawami.

Cały kraj jest podzielony na regiony zwane periferies (zauważmy od razu, jak wiele słów w języku polskim pochodzi z greckiego!). Na czele periferii stoi periferiarchis, czyli odpowiednik naszego wojewody, który ma dosyć szerokie kompetencje. Status wszystkich regionów jest taki sam, ale jakże są one odmienne! Bo tak naprawdę Grecja składa się z niezliczonych mikroświatów. Usłyszałem tam kiedyś powiedzenie, że potrzeba nam jednego życia, by dobrze poznać grecki kontynent, oraz drugiego, żeby poznać tamtejsze wyspy. Chyba się z tym zgadzam!

A tych wysp nawet dokładnie nie policzono. Jedne źródła mówią o dwóch tysiącach, inne aż o sześciu.
– Bo czasem trudno określić, która większa skała jest już wyspą. Zamieszkanych jest ponad 100. Ale i tu są różnice, bo niektóre mają jedynie kilku mieszkańców, na innych przebywają oni okresowo, zaś jeszcze inne znajdują się w rękach prywatnych.

Na czym polega wyjątkowość tego kraju?
– Dwa i pół razy mniejsza od Polski Grecja (pod względem powierzchni lądu) to dla mnie harmonijna synteza czterech różnych światów: Śródziemnomorza i Bałkanów, Zachodu i Wschodu. Spotyka się tu ogrom historii, tradycji, obyczajów. To kraj naprawdę mozaikowy, niejednorodny, na każdym kroku zaskakujący!

Polacy widzą tam przede wszystkim śródziemnomorskie piękno. Bałkany zaś wielu kojarzą się nadal z wydarzeniami z końca XX wieku: rozpadem byłej Jugosławii i wywołaną skutkiem tego wojną.
– Grecja nie była wprawdzie wciągnięta w bałkański kocioł, ale oczywiście jest na Bałkanach graczem geopolitycznym. I ma tam silną pozycję w kontekście gospodarczym, handlowym, a poniekąd i militarnym.

Jeśli udamy się na południowe wyspy, dostrzeżemy tej bałkańskości niewiele, ale w Epirze czy w Macedonii Zachodniej od razu ją odczujemy. W tym ostatnim regionie popularne są np. orkiestry złożone z instrumentów dętych, kwintesencja bałkańskiej muzyki. Między innymi w Epirze znajdują się osady Wołochów, którzy z mateczników południowej części Półwyspu Bałkańskiego wywędrowali ze stadami w dalej położone obszary górskie.

Wracając do mozaiki światów, moim zdaniem Zachód i Wschód spotykają się w tym kraju w podobnych proporcjach. Grecja już w 1981 r. weszła do zachodniej Wspólnoty Europejskiej [ta 1 listopada 1993 r., na mocy traktatu z Maastricht, przekształciła się w Unię Europejską] jako dziesiąty jej członek. Ćwierć wieku temu znalazła się w strefie Schengen, a od 2002 r. drachmę zastąpiło euro. Ale nadal sporo jest tam Wschodu, zwłaszcza w muzyce, w kuchni, w pewnych obyczajach, choćby w wierze w złe oko.

Te cztery światy mieszają się niczym w wielkim tyglu, jego szczególną emanacją są zaś Ateny oraz Saloniki, dwa największe miasta skupiające ponad połowę obywateli ok. 10-milionowego kraju.

Stołeczne Ateny są obecnie dosyć bezkształtne, jak wiele europejskich metropolii rozlały się w różnych kierunkach. To gęsta siatka ulic pełna samochodów, latem nierzadko piekielnie gorąca.

Mnie trudno było się tam odnaleźć.
– Na temat Aten toczą się spory. Czy są piękne czy brzydkie? Wspaniałe czy okropne? Ja

eprasa.pl c8499ac1c9

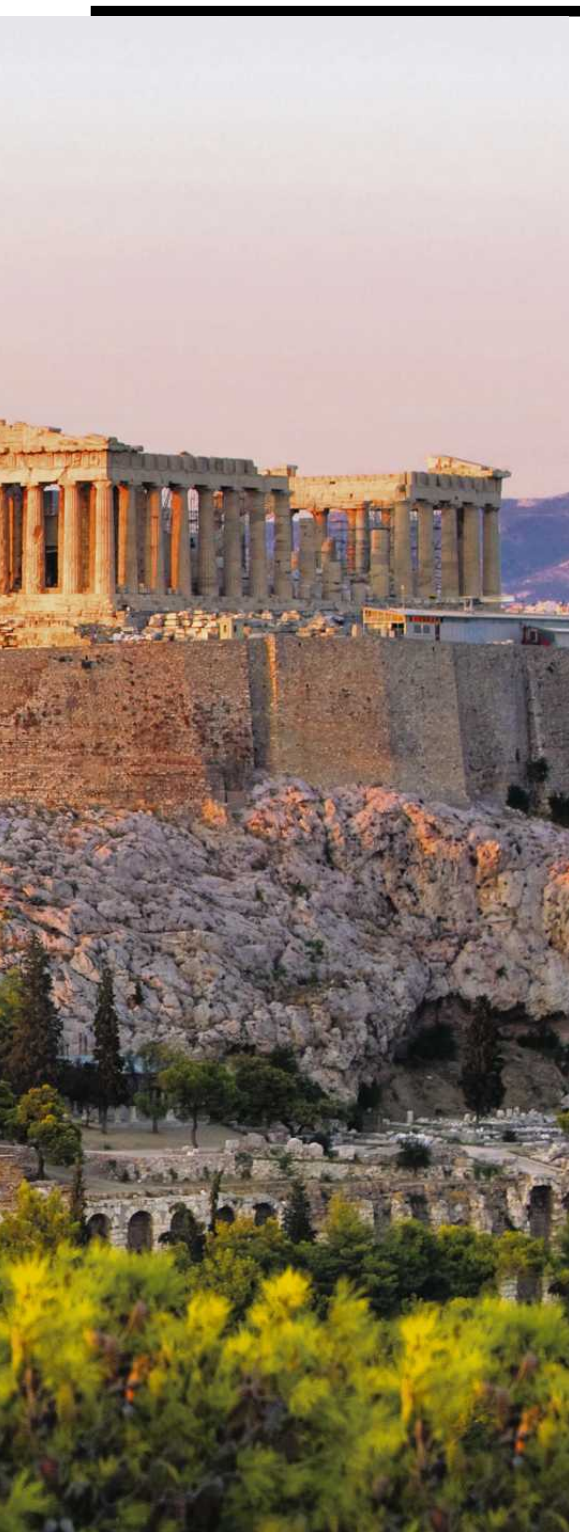



FOT. IVO ANTONIE DE ROOIJ / SHUTTERSTOCK

Wodospady w Edessie w Macedonii Środkowej utworzone przez rzekę Edessaios. Największy to Karanos, który ma 70 m wysokości. Za kurtyną spadającej wody wytyczono ścieżkę widokową



FOT. TOMASZ PIOTR KOŻŁOWSKI

Okolice Kozani w północnej Grecji słyną z tzw. „szafranowych wiosek", gdzie od wieków uprawia się krokusy, żeby pozyskiwać z nich wysokiej jakości szafran

jestem ich wielkim orędownikiem. To absolutne centrum greckiej kultury, myśli, polityki. Saloniki zaś nazywane bywają stolicą pomocniczą, trochę z Atenami rywalizują, choć są oczywiście dużo mniejsze [ok. 1 mln mieszkańców w szeroko rozumianej aglomeracji]. |Od lat aspirują do miana ośrodka, który współkształtuje życie Grecji.

Spróbujmy opisać nieco dokładniej grecką mozaikę.
– Mozaikowość to jeden z największych atutów kraju. Przemierzając choćby niewielką przestrzeń, pokonując nieduże odległości, doświadczymy spotkań z różnymi światami. Już sam fakt, że w tak wielu miejscach góry spotykają się z morzem, jest zachwycający. I wystarczy przejechać godzinę czy pół krętymi zazwyczaj drogami, by znaleźć się w zupełnie innej okolicy, ujrzeć inną roślinność. Tak dzieje się i na archipelagach, i na kontynencie.

Za przykład niech posłuży półwysep Pelion w Tesalii, wedle mitologii letnia rezydencja bogów olimpijskich oraz ojczyzna centaurów, gdzie nad samym brzegiem mamy bujną roślinność śródziemnomorską, ale po dotarciu na górę (widoki są oszałamiające!) nagle znajdziemy się w lasach bukowych.

Poza tym krajobraz na północy kraju niesłychanie różni się od tego na południu. Każdy, kto był na Krecie czy innych wyspach, ma w pamięci surowy pejzaż: nagie góry, z rzadka zalesione, sporo gajów oliwnych (wielu wyspiarzy mawia na nie „nasze lasy"). Z kolei na północy, a także w Grecji środkowej, wciąż możemy podziwiać przepiękne lasy jodłowe i sosnowe. Kraj ma tam oblicze bardzo zielone. W północno-zachodniej części, w pobliżu miasta Edessa, zobaczymy nawet spektakularne wodospady.

Grecka mozaika jest niezwykła zarówno w skali makro, jak i mikro. Nawet na jednej niezbyt dużej wyspie doświadczymy kontrastów. Pamiętam moje zdziwienie, gdy wybrałem się pieszo w góry na popularnej także wśród Polaków Santorini i niespodziewanie znalazłem sosny. Dotarłem do zakątka w dolince, gdzie była i woda, i cień, co w tym miejscu nieco przeczyło stereotypowi bardzo surowej krajobrazowo wyspy.

Dodajmy, że góry zajmują ponad 70 proc. powierzchni kraju...
– To bardzo zaskakuje wielu gości Grecji! I ja, mimo iż od wielu lat odwiedzam te góry, wciąż nie mogę się nasycić ich różnorodnością. I przyrodniczą, i kulturową.

Nam kojarzą się przede wszystkim z Olimpem, domem mitycznych bogów.
– Istotnie, to najwyższy grecki szczyt [2918 m n.p.m.], ale niewiele mu ustępuje drugi co do wielkości Smolikas [2637 m], położony nieco bardziej na zachód.

Dodam przy okazji, że wędrując po górach, często korzystam z usług zaprzyjaźnionych przewodników.

Indywidualnie się nie da?
– Tereny te są na ogół słabo zaludnione, są też domem dzikich zwierząt. Samych niedźwiedzi w górach na północy kraju żyje co najmniej 500-700 (nie znają granic, więc jest to przybliżona liczba). Łatwo spotkamy też stada owiec czy krów, którym towarzyszą psy pasterskie, nie zawsze przyjaźnie usposobione do intruzów, którzy wkraczają na ich teren. Zatem ja czuję się zdecydowanie lepiej, gdy chodzę z przewodnikami, bo znają te góry jak własną kieszeń.

O ile wiem, działają tam również liczne stowarzyszenia wędrowców.
– Tak, jest ich wiele. W istocie Grecy najczęściej wędrują razem, w niedużych grupach.

Są socjalni, lubią działać wspólnie.
– Także z troski o bezpieczeństwo. Bo góry są często naprawdę rozległe i wysokie, łatwo się w nich zgubić. Szlaki nie zawsze są dobrze oznaczone, ich liczba jest ograniczona przede wszystkim do miejsc znanych. A przecież są tam tysiące możliwości i w wielu okolicach szlak może wręcz nie istnieć. Poza tym pamiętajmy o dość intensywnych zjawiskach meteorologicznych, zwłaszcza w okresie zimowym. Zdarzają się choćby powodzie błyskawiczne, które potrafią zacierać ślady i szlaki.

A najprzyjemniejszy czas na wędrówki to moim zdaniem maj-czerwiec oraz wrzesień-październik. W niższych górach jest to możliwe i zimą, bo znacznie rzadziej leży tam śnieg.

W książce napisał pan: „Grecja to tysiące górskich, najczęściej mało znanych mikroświatów rozsianych po całym obszarze helleńskiej mapy, a jednocześnie dom niezwykle bogatej przyrody. Mimo katastrof (pożary) wciąż przeważnie lesisty. (...) Bardzo lubię zaglądać do tych krain, wyruszać na szlak, karmić oko panoramami, których próżno szukać w popularnych przewodnikach, zanurzać się w zieleni i spotykać żyjących tu ludzi. To inny pejzaż od klasycznego turystycznego folderu. Zdominowany przez dwie królowe górskich puszcz – sosnę i jodłę".
– Górski kręgosłup Grecji, który ciągnie się od granicy północno-zachodniej aż po Zatokę Koryncką na południu, to łańcuch gór Pindos. Na przestrzeni setek kilometrów mamy niezwykle piękne góry, bardzo dzikie. Jest tam nawet pasmo Agrafa, którego nazwa oznacza „nieopisane", ponieważ przez wieki było białą plamą na mapach. Prócz fascynującego świata przyrody mamy i ciekawe, malownicze miejscowości, jak choćby moje ulubione Metsovo, znane z bogatych tradycji wołoskich oraz najwyżej położonych w kraju winnic!

Grecja ma bardzo długą linię brzegową, jedną z najdłuższych na świecie, to 14-16 tys. km z uwzględnieniem wysp. Chyba właśnie ów pejzaż nadmorski i wyspiarski jest w naszej pamięci najbardziej utrwalony.
– Nie bez powodu. To regiony najczęściej odwiedzane, o charakterze śródziemnomorskim, zarazem jedna z kolebek naszej kultury.

Dla mnie świat wyspiarski jest równie piękny i niezwykły jak ten górski. Zaznaczmy jednak, że Wyspy Jońskie na zachodzie kraju są zupełnie inne niż te położone na wschodzie czy w centrum (np. Cyklady). A w dodatku każda z nich ma odmienną tożsamość. To są osobne mikroświaty, nawet w ramach jednego archipelagu. Tu zanurzymy się w starożytność, tam w epokę Bizancjum czy Republiki Weneckiej. Co wyspa, to zupełnie inna opowieść, inne historie i tradycje.



FOT. SIMPLEIMAGES/GETTY IMAGES

• **Prosta przystawka: ser feta z bazylią i świeżymi oliwkami polany oliwą z oliwek. Ten zestaw można kupić wszedzie, ale nigdzie nie smakuje tak dobrze, jak w Grecji**

eprasa.pl c8499ac1c9

Na przykład niewielka Kalimnos w archipelagu Dodekanezu to od wieków wyspa poławiaczy gąbek. Z kolei Egina, jedna z Wysp Sarońskich, słynie z orzeszków pistacjowych. Chios – z żywicy o nazwie mastyks. Kreta to oczywiście dawna cywilizacja minojska. Na Lesbos mamy wspaniałe zamki genueńskie, tzw. skamieniały las w wulkanicznej części wyspy i wyborne odmiany fig.

W Grecji wieją liczne wiatry o niezwykle zróżnicowanym charakterze.
– Często z potężną siłą, co bardzo utrudnia żeglugę. Ja co prawda nie jestem żeglarzem, ale śledzę doniesienia o wiatrach, gdy korzystam z promów. Te nawet latem mogą zostać unieruchomione, a wtedy utkniemy na jakiejś wyspie na dłużej.

Do najbardziej znanych należy meltemi, wiatr północny, silny, dość chłodny i suchy. Wieje latem i bywa nie tylko błogosławieństwem, bo przyjemnie obniża temperaturę, szczególnie w południowej części Morza Egejskiego, ale też przekleństwem, ponieważ utrudnia podróżowanie, no i zwiększa zagrożenie pożarowe.

Z kolei vardaris to lodowaty wiatr zimowych miesięcy, północno-zachodni, znany dobrze w Salonikach, bo potrafi z dużą siłą spaść na miasto.

Z południa nadciąga zaś ciepły notias, głównie wiosną i jesienią, i często przynosi pył znad Sahary. Prowokuje spektakularne zjawiska, jak choćby niebo zabarwione na pomarańczowo (w związku z dużym stężeniem pyłu).

A jeszcze maistros, gregos, punendes, levandes...
– Jak wiemy z mitologii, to bóg Eol władał wichrami tego świata, a starożytne ich personifikacje, np. Boreasza czy Zefira, do dziś możemy podziwiać na Wieży Wiatrów na ateńskiej agorze. Podczas przemierzania Hellady wiatr czasem jest naszym sprzymierzeńcem, a czasem wyzwaniem. Raz umila dzień i orzeźwia, innym razem smaga i zapędza do tawerny.

Grecja chlubi się także bioróżnorodnością, w tym wielką liczbą endemitów.
– Ponieważ od dziecka jestem zamiłowanym przyrodnikiem, a z wykształcenia biologiem, odkrywanie przyrody sprawia mi wielką przyjemność. Tym bardziej że Grecja to kraj bardzo bioróżnorodny, z mnóstwem gatunków endemicznych. Są endemity ogólnokrajowe, choćby jodła grecka *Abies cephalonica*, która rośnie wyłącznie w południowej, greckiej części Półwyspu Bałkańskiego i na pojedynczych wyspach (np. na Kefalonii), oraz endemity małych obszarów, np. tzw. sałata skalna, *Petromarula pinnata*, znana tylko z Krety. Mogą też występować regionalnie, przekraczając granice kraju. Przykładem może być jedyna drzewiasta palma Europy, daktylowiec *Phoenix theophrasti*, który rośnie głównie na Krecie, ale i na kilku mniejszych wyspach Morza Egejskiego oraz na nielicznych stanowiskach w Turcji. Bardzo wiele endemitów znajdziemy też na Eubei, no i oczywiście w górach, np. w paśmie Parnasu, Giony i Vardusii.

Są one szczególnie wrażliwe na zmiany siedlisk, klimatu i wszelkie interwencje człowieka, bo nieumyślnym działaniem możemy doprowadzić do ich wyginięcia. Na Grekach spoczywa więc duża odpowiedzialność – sprostać ochronie bioróżnorodności, by mogła cieszyć kolejne pokolenia.

Zmiany klimatu wywołują w przyrodzie coraz gwałtowniejsze zjawiska.
– Ich dynamika musi budzić niepokój. To nie tylko pożary, ale i powodzie błyskawiczne oraz różne ekstrema, jak choćby nagły mróz, który pojawia się czasem w okresie zakwitania oliwek.

Ale to nasilające się pożary budzą największą grozę.
– Zwłaszcza latem. Także z tego powodu ubywa lasów, przede wszystkim sosnowych


FOT. TOMASZ PIOTR KOZŁOWSKI

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

i jodłowych, te ostatnie zagrożone są najsilniej. Bo o ile śródziemnomorskie gatunki sosen dość łatwo odradzają się po pożarach, to jodły takich regeneracyjnych mechanizmów nie mają. Ich siewki muszą wzrastać w cieniu. Lasy jodłowe kiedyś nie płonęły albo działo się to bardzo rzadko. Tymczasem obecnie giną coraz częściej, np. w zeszłym roku żywioł unicestwił bardzo cenny ich obszar na Peloponezie. I będzie niezwykle trudno doprowadzić do tego, by – w obecnych warunkach klimatycznych – ten las mógł się odrodzić w dawnej formie.

W związku ze zmianą klimatu przybywa też problemów z oliwkami. W wielu rejonach są obecnie mniej płodne, w dodatku jest w nich mniej oliwy. Dzieje się tak m.in. za sprawą częstszych susz i zbyt ciepłych zim (drzewo to potrzebuje również okresu chłodu), które mają wpływ na ich kwitnienie oraz na obfitość owocowania.

Jak silne są dziś związki Greków z naturą? Bo większość z nich żyje w miastach, wedle statystyk aż 80 proc.
– Istotnie, jest to społeczeństwo, które bardzo licznie emigrowało, także wewnętrznie, zwłaszcza po II wojnie światowej i po następującej po niej wojnie domowej [1946-49]. Po tym krwawym i dramatycznym okresie nastąpił gwałtowny odpływ ludności z prowincji do miast. I właśnie wtedy najbardziej rozrosły się Ateny oraz Saloniki. To oczywiście również jeden z głównych powodów odwrotu Greków od natury. Współcześnie często nie potrafią już nazwać nawet pospolitych roślin (ale zapewne i w Polsce jest podobnie). Choć obecnie może coś się powoli zmienia. Coraz częściej natrafiam na artykuły opowiadające o ludziach, którzy porzucili stolicę i wrócili do starych domów swoich dziadków. Bo wciąż większość Greków ma korzenie właśnie w małych wioskach, na wyspach czy w górach, Ateńczyków z dziada pradziada jest stosunkowo niewielu.

Przeczytałem niedawno wypowiedź mieszkańca okolicy Aspropotamos (w górskiej Tesalii), który napisał z goryczą: „Zamknęliśmy domy po przodkach na wsi, mówiąc sobie, że wrócimy do nich latem, po czym wracamy do nich po dekadach i zdejmujemy zardzewiałe kłódki. Za bardzo wciągnęło nas życie wielkich miast". Poruszyła mnie.

Opisywane przez pana rośliny i pozyskiwane z nich dobra w niesamowity sposób łączą się z wielką historią, a nawet z mitologią.
– Rośliny od zawsze karmiły ludzkość, pomagały stanąć na nogi całym społecznościom, osiągać dobrobyt. No i współtworzyły kulturę, kształtowały wierzenia, były przedmiotem kultów. Bardzo mnie ciekawi to, jak pozyskiwane z nich produkty wpłynęły na rozwój i dobrostan wielu greckich mikroświatów. Oczywiście numerem jeden jest oliwka, uprawiana tam od zarania dziejów.

Święte drzewo, podobnie jak figowiec, i uwielbiane przez ludzi, bardzo pożyteczne.
– Było takim już dla Minojczyków z Krety, 1-3 tys. lat p.n.e., będącej praojczyzną kultury oliwnej kraju i Śródziemnomorza. Wybitny poeta, laureat nagrody Nobla Odiseas Elitis [1911-96] jako podstawowe atrybuty Grecji wymienił w jednym ze swoich utworów okręt, winnicę i oliwkę; pisał, że po rozłożeniu kraju na czynniki pierwsze te trzy pozostają i z tych samych składowych można go złożyć z powrotem.

Grecy uwielbiają oliwę, dużo jej wytwarzają (obecnie zajmują w produkcji czwar-


FOT. ANDREW HOLT/GETTY IMAGES

• **Grób Nieznanego Żołnierza na placu Sintagma w Atenach. Wartę pełnią ewzoni, elitarna jednostka greckiej Gwardii Prezydenckiej, znana z tradycyjnych strojów i ceremonialnego kroku**

eprasa.pl c8499ac1c9



◀ **Widok na dachy Molivos i Morze Egejskie z genueńskiego zamku górującego nad miastem. Twierdza to jeden do najlepiej zachowanych zabytków na wyspie Lesbos**



FOT. TOMASZ PIOTR KOZŁOWSKI

▶ **Zbiory oliwek rozpoczynają się zwykle jesienią i trwają do zimy, w zależności od regionu i odmiany**



FOT. TOMASZ PIOTR KOZŁOWSKI

▶ **Tygielki do kawy w sklepie w Atenach. W Grecji picie kawy i spotkania w kafenionach to rytuał, ważny element codziennego życia społecznego**

te miejsce na świecie) i konsumują – per capita najwięcej na naszym globie, choć wzrost cen i w Grecji powoduje ostatnio istotny spadek spożycia.

Mieszkańcom Chios, miejsca pretendującego do miana ojczyzny Homera, znacznego bogactwa przysporzył mastyks. Pamiątką po tej epoce są istniejące do dziś mastichochoria, wioski mastyksowe.
– Znajdziemy je w południowej części wyspy, która od wieków słynie z upraw pistacji mastyksowej (a konkretnie endemicznej odmiany pistacji kleistej) wydzielającej tę żywicę. Kupimy tam – a także choćby na greckich lotniskach – wiele produktów na bazie mastyksu: kosmetyki, olejki, ciasteczka, likiery...

Ma on też zastosowanie w medycynie.
– Lecznicze działanie mastyksu udowodniono naukowo. Pomaga m.in. w zwalczaniu bakterii *Helicobacter pylori*, która stoi za chorobą wrzodową żołądka i jego nowotworami.

Wracając do wiosek mastyksowych, pochodzą z XIV-XVI w., wyróżniają się niezwykłą architekturą: grube mury, małe okienka, bramy, tunele, ślepe zaułki. Mają układ labiryntowy – by chronić mieszkańców zarówno przed wiatrem, który gubi się w plątaninie uliczek, jak i przed piratami. Napadali oni na osady, łupili je i porywali mieszkańców. Korsarze mieli swoje gniazda na Morzu Egejskim aż do XIX w.

Wygląd tych wiosek zawdzięczamy Genueńczykom, którym w średniowieczu podupadające Bizancjum przekazało nad nimi kontrolę. Wiele architektonicznie nawiązuje do miasteczek w regionie Ligurii, którego stolicą jest Genua.

Są też wioski szafranowe.
– Krokochoria. Bo „krokos" to po grecku szafran. Był zbierany przez starożytnych, uprawiany jest i dziś, choć już raczej w innych regionach z uwagi na zmiany klimatyczne, bo to bardzo wymagająca roślina. Obecnie najlepiej udaje się w Macedonii Zachodniej, na płaskowyżu w rejonie miasta Kozani, dość chłodnym zimą i bardzo ciepłym latem. Tam właśnie znajdziemy te wioski. Współcześnie szafran nazywany bywa czerwonym złotem. To nie tylko najdroższa przyprawa świata, ale też barwnik czy ceniony składnik perfum.

Przejdźmy do innego aspektu kultury. Już od pierwszej wizyty w Grecji zachwyciła pana muzyka...
– I od razu zwróciłem uwagę na jej różnorodność, którą w Polsce słabo znamy. By lepiej ją zrozumieć, podjąłem podyplomowe studia etnomuzykologiczne. Należę też do zespołu tańca greckiego Ilios, który działa w Warszawie.

Warto podkreślić, że Grecy chętnie kultywują wciąż żywe tradycje muzyki ludowej, używają bogatego instrumentarium. I łatwo da się zauważyć istotne różnice między regionami. Na kontynencie, choćby w Epirze, Macedonii czy na Peloponezie, dominują ludowe klarnety. Kiedyś częste były też zurny, czyli surmy, obecnie spotykane głównie pod Salonikami. Z kolei na wyspach grywa się najczęściej na skrzypcach i lutniach, takich jak popularne na Krecie lauto. Ale Kreta to przede wszystkim liry!

Poza wiejską istnieje przebogaty świat tradycji muzycznej miejskiej, zwanej laiko, która wciąż przybiera nowe formy i ewoluuje.

Mnie zafascynowało rebetiko, znane też jako grecki blues.
– Początkowo była to muzyka biednych przedmieść, a nawet półświatka, przejęta od Greków z Azji Mniejszej, którzy przybyli po 1922 r., po przegranej przez Ateny wojnie grecko-tureckiej [1919-22]. Z czasem dźwięki te zostały pokochane przez masy. Pod koniec lat 50. brzmienie rebetiko się unowocześniło, rozszerzyła się tematyka tekstów i od tego momentu mówimy już o wspomnianej muzyce laiko.

W rebetiko słychać przede wszystkim buzuki. To właśnie na tym instrumencie i na pokrewnych mu lutniach grywano od wieków zwłaszcza w Stambule (do dziś nazywanym w Grecji Konstantynopolem) i w miastach Azji Mniejszej, gdzie mieszkało bardzo wielu Greków. Zapożyczyli oni stamtąd motywy, które potem w niemałym stopniu wpłynęły na muzykę współczesnej Grecji i jej regionów. To niezwykle różnorodny świat, gorąco zachęcam do jego eksploracji. Kto choć raz się weń zagłębi, już w nim pozostanie.

FOT. TOMASZ PIOTR KOZŁOWSKI



A w Polsce możemy posłuchać rebetiko w doskonałym wykonaniu Jorgosa Skoliasa, notabene urodzonego w Polsce syna greckich emigrantów politycznych z lat 40. XX w. W 2019 r. wraz z akordeonistą Jarosławem Besterem nagrał płytę „Rebetiko Poloniko".
– To arcyciekawe i nowatorskie spojrzenie na rebetiko, które spotyka się tu z innymi gatunkami muzycznymi. A w dodatku Jorgos Skolias niesamowicie improwizuje.

„Klasyczne" rebetiko możemy czasem usłyszeć na koncertach czy w restauracjach greckich z muzyką na żywo. A jeśli ktoś znajdzie się w Atenach, polecam świetny lokal Kapnikarea, obok kościoła bizantyjskiego o tej nazwie, w samym centrum. To rodzaj tawerny muzycznej, grają tam pięknie rebetiko i laiko.

Czyli nie tylko Mikis Theodorakis (1925-2021), który zyskał wieczną sławę za sprawą filmu Nikosa Katzanzakisa „Grek Zorba".
– Theodorakis wciąż stanowi ważny punkt odniesienia. Grecy bardzo mocno przeżyli jego śmierć kilka lat temu. Ale muzyka grecka to dużo, dużo więcej niż tylko twórczość tego kompozytora.

Od muzyki przejdźmy do celebrowania codzienności. Wszędzie w Grecji chętnie pije się kawę, prawda?
– Nazywam kawę greckim eliksirem porannym. Pije się ją w dużych ilościach, w różnej postaci, nie tylko tę przyrządzaną w tygielku. Jest to bardzo ważny rytuał. Nawiasem mówiąc, Grecy to jedna z pierwszych nacji w Europie, do których kawa dotarła. Bo, jak wiemy, jej droga na nasz kontynent wiodła przez imperium osmańskie, we władaniu którego większość Grecji znajdowała się przez blisko cztery wieki. Jednym z pierwszych europejskich miast, które raczyły się kawą, były Saloniki.

A czy rozpracowano już sekret greckiej długowieczności?
– Rzeczywiście nie brak tam miejsc, gdzie żyje się wyjątkowo długo. Należy do nich choćby wyspa Ikaria, jedna z najpiękniejszych na Morzu Egejskim; dożycie stu lat nie jest tam czymś szczególnie niezwykłym.

Podcast „Poznajmy naszą Europę"

FOT. TOMASZ PIOTR KOZŁOWSKI

• **CZTERY ŚWIATY W GRECKIM TYGLU**
• **Alicja Dąbrowska** z rozmawia z ***Tomaszem Piotrem Kozłowskim** – biologiem, przyrodnikiem, etnomuzykologiem, popularyzatorem kultury i przyrody Grecji, który przez ok. 20 lat współkierował nieistniejącym już Towarzystwem Przyjaciół Grecji, od niemal siedmiu lat prowadzi **blog „Greckimi drogami"**, a niedawno opublikował książkę **„Szafran, mastyks i figa. Greckimi drogami".**

Konkluzja licznych analiz tematu sprowadza się do tego, że decydują nie tylko geny, ale i styl życia.

No i pewna życiowa filozofia.
– Ta jest na Ikarii unikalna, ale kolosalne znaczenie ma też sposób odżywiania, przede wszystkim tradycyjna dieta śródziemnomorska.

Zyskała sławę na całym świecie i wciąż jest w czołówce przeróżnych rankingów.
– Trzeba jednak dodać, że w dzisiejszych czasach silnej urbanizacji tradycja ulega nowoczesności, pośpiech narzuca inne tempo życia, więc i ta dieta ustępuje pola gotowym produktom czy lokalom typu fast food. Ale małe społeczności wiejskie, w tym wyspiarskie, które pozostają bliżej natury, nadal odżywiają się w sposób bardziej zrównoważony i świadomy.

A w dodatku ich członkowie tworzą prawdziwą wspólnotę, często ze sobą przebywają, rozmawiają, popijają kawę w kafenionach...
– Muszę tu jednak zaznaczyć, iż wedle badań Grecy należą do tych europejskich narodów, które pracują najdłużej, zwłaszcza świat miejski jest mocno zapędzony. W kafenionach częściej przesiadują emeryci i urlopowicze.

Natomiast, istotnie, silna wspólnotowość pomaga Grekom zachować dobrostan duchowy. To oczywiste, że bycie razem, w trwałych relacjach społecznych, korzystnie oddziałuje na psychikę, co ma znaczenie także dla ciała. Owa towarzyskość, wspólne przeżywanie nie tylko szczęśliwych, ale i trudnych momentów, pielęgnowanie kręgów przyjacielskich bardzo mnie wzruszają. Taki krąg nosi w Grecji nazwę paréa, a jego uczestnicy mogą sobie dać naprawdę wiele.

Wiadomo, że rodziny trzymają się razem, ale i grupy znajomych też. Zatem żywotność Greków ma zapewne swoje korzenie i w tym, że pielęgnują wzajemne relacje, są dla siebie życzliwi.

Za patrona pańskiej książki należałoby uznać Teofrasta z Eresos (ok. 370-287 p.n.e.), pierwszego uczonego, który tak wiele miejsca poświęcił przyrodzie i roślinom w szczególności: zaczął czynić obserwacje, analizować je i opisywać. Zachowało się wiele z jego licznych dzieł.
– Jego rodzinna wioska Eresos na południowym zachodzie wyspy Lesbos istnieje do dziś. Teofrast jest uważany za ojca botaniki, gdyż był jednym z pierwszych badaczy w tak systematyczny i przekrojowy sposób opisujących rośliny. Jego prace stały się kanonem w świecie starożytnym, a i setki lat później wciąż inspirowały przyrodników. Był uczniem Arystotelesa, a więc i kontynuatorem jego myśli. Jego dzieła możemy czytać także w tłumaczeniu polskim.

Co ciekawe, z tej samej miejscowości pochodziła Safona, słynna poetka z przełomu VII i VI w. p.n.e. Pomniki obydwojga stoją obok siebie nad morzem, w przepięknej scenerii. I na tym również polega niebywały urok Grecji: nawet w małych wioskach znajdziemy często artefakty związane z niezwykłymi postaciami.

W tym roku Nobla w dziedzinie literatury zdobyła kanadyjska poetka Anne Carson, miłośniczka starożytnej greki i badaczka twórczości Safony, autorka wspaniałych książek, także eseistycznych, wśród których poczesne miejsce zajmują „Słodko-gorzki Eros" oraz „Autobiografia czerwonego".
– Greków bardzo ucieszył ten Nobel, informacje o Carson i jej twórczości były szeroko komentowane w tamtejszych mediach. Podkreślano wagę związków jej literatury z grecką kulturą i starożytną myślą. ●

eprasa.pl c8499ac1c9

GEN AKTORSKI WIDAĆ OD RAZU

Szukali ciemnoskórej aktorki, a przyjechałam ja – blondynka z warunkami, do tego typowa Polka z lat 80., wystrojona. Roli wtedy nie dostałam, ale chodziło o to, żeby mnie zobaczyli.

Z **DOROTĄ ZIĘCIOWSKĄ,** AKTORKĄ I PEDAGOŻKĄ
ROZMAWIA **MARTA GÓRNA**



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Przygotowujesz młodych aktorów do egzaminów, a twoi uczniowie łącznie zdobyli 750 indeksów w czołowych polskich szkołach aktorskich. Co musiałybyśmy zrobić, żebym została aktorką?
– O nie, takiego pytania mi nie zadawaj. Musiałabym powiedzieć sporo rzeczy, które by ci się nie spodobały. Najlepiej odkrywać je stopniowo.

Za późno, już zadałam.
– Wiele osób przychodzi do mnie z nadzieją odkrycia czegoś o sobie. A jeśli chodzi o aktorstwo, niezbędna jest ta iskra, o której sporo się mówi, ale niewiele osób rzeczywiście ją ma. Iskra to temperament i wyobraźnia. Za nimi dopiero idzie warsztat.

Po naszym wywiadzie przyjdą do mnie na odbiór tekstów moi uczniowie. To taki egzamin, który robię im pierwszy raz od półtora miesiąca. Może to być dla nich zimny prysznic. Zobaczą, jak wielu z nich zmaga się nawet z prostą narracją, np. Reymonta. Bo takie teksty wcale łatwe nie są.

Tę iskrę rozpoznajesz od razu?
– Często tak bywa, ale zdarza się też, że ktoś zaskakuje mnie po sześciu miesiącach, choć wcześniej rozwijał się powoli. I nagle powie tekst z takim przekroczeniem, harakiri, jak to nazywam, że jestem zachwycona. Czasami walczę o tych, którym idzie słabo, ale mają potencjał, bo potrafią się otworzyć. A finalnie się okazuje, że dostają się np. do dwóch szkół aktorskich, i to w cuglach. Gen aktorski widać od razu.

Mam taką uczennicę. Przyszła do mnie w klasie maturalnej. Rewelacyjnie śpiewała, świetnie się ruszała, poszła do Krakowa i była pierwsza pod kreską na oba wydziały – aktorski i wokalny. W następnym roku nie przeszła nigdzie pierwszego etapu. Podeszła znów w kolejnym i doszła do finałów w Łodzi, Krakowie i Wrocławiu. Ale znów nigdzie jej nie przyjęli. Rozpaczała strasznie. Powiedziałam jej: „Słuchaj, studiuj dalej, ucz się dalej".

W następnym roku dostała się już do Łodzi i do Krakowa, a teraz jest moją koleżanką z zespołu Teatru STU. Wybitnie śpiewająca dziewczyna, a musiała zdawać przez cztery lata. Zrozumiesz to?

Nie. Z czego to wynika?
– Czasami kandydat trafi na złą atmosferę, ktoś będzie miał gorszy humor, w komisji będą siedzieć ludzie, którzy nie dostrzegą jego potencjału.

Jak rozpoznajesz, kto chce być aktorem, a kto celebrytą?
– Rzadko przychodzą do mnie ludzie z ambicjami celebryckimi, a jeśli już przychodzą, wyczuwam to od razu. Często sami szybko rezygnują, bo mój program jest trudny i wymaga ciężkiej pracy. Jeśli ktoś nie uczy się tekstu, nie przychodzi na zajęcia i nie wynika to z wrażliwości czy choroby, to widać. Tacy uczniowie nie walczą też o siebie i swój rozwój.

Praca aktora to ciągła walka. Jeśli ktoś czuje opór przed wychodzeniem na scenę, obnażaniem się, mówię mu, że to chyba nie dla niego.

„Dużo się u nas nauczyłeś. Fajnie. Ale sam widzisz, że nie sprawia ci to przyjemności. Gdyby sprawiała ci frajdę praca nad materiałem, przyszedłbyś przygotowany, chciałbyś się popisać". Przychodzą do mnie czasami dziewczyny po to, żeby same sobie powiedzieć: „Spróbowałam, ale się nie nadawałam". Nie chodzi o to, że jestem sceptyczna, po prostu jestem realistką.

Robisz wstępne testy przed przyjęciem na zajęcia?
– Owszem. Z roku na rok jest coraz gorzej, większość osób w tym roku oddała mi puste kartki. Prosiłam m.in. o to, by wymienili pięciu polskich prozaików po 1945 roku.

eprasa.pl c8499ac1c9

Czy problemem było słowo „prozaik”?
– Myślę, że ich to załatwiło. Podobnie jak pytanie: „Wymień pięciu polskich poetów po II wojnie światowej poza Szymborską i Miłoszem”. Czasami jakaś dziewczyna wpisze Pawlikowską-Jasnorzewską, choć to nie ten okres, ale na tym koniec. O wierszach współczesnych zapomnij. Podsuwam im moją ulubioną poetkę Annę Świrszczyńską, wręcz ją wciskam, podobnie jak Herberta.

Robię też testy z wiedzy, pytam o wielkie nazwiska polskiej sceny i kina – Holoubek, Englert, Zelwerowicz, Kantor, Grotowski. Nie chodzi o to, że lubię młodych torturować. Chcę, żeby u mnie chociaż zetknęli się z tymi nazwiskami. A dlaczego? Bo wiem, że profesor Wojciech Malajkat na egzaminach po prostu pyta np.: „A wie pan, kto to był Kazimierz Dejmek?”. Uważa, że uczeń, który zdaje do szkoły teatralnej w Warszawie i dostał się do finału, powinien to wiedzieć.

Smutno ci, kiedy stykasz się z taką niewiedzą? Ukończyłaś PWST w Krakowie w czasach, w których zajęcia prowadziły legendy, mogłaś im uścisnąć dłoń.
– I chyba właśnie dlatego zależy mi na tym, żeby poszerzyć ich wiedzę. Ludzie, którzy wychodzą z moich zajęć, zdobywają wiedzę filmową, znają klasykę polskiego i światowego kina. Wypożyczają ode mnie filmy, mają też zajęcia z historii kinematografii. Dowiadują się, czym była nowa fala, a czym polska szkoła filmowa, oglądają „Ojca chrzestnego” czy „Lot nad kukułczym gniazdem”, jeśli wcześniej ich nie znali.

Cała moja kadra pedagogiczna zwraca uwagę również na ten aspekt rozwoju intelektualnego ucznia, poszerzania horyzontów, bo przecież wszyscy musimy mieć inspiracje, a ktoś im musi te genialne dzieła, wykonania, podać na tacy. Patrzcie, zachwycajcie się, był taki Fellini, Visconti czy Andrzej Wajda lub Krzysztof Kieślowski.

Pamiętaj, że rośnie nam zupełnie nowe pokolenie. Dzisiejsi 19-latkowie siedzieli w pandemii w domu, byli wówczas 13-latkami, młodymi ludźmi w wieku formacyjnym, jeśli chodzi o chłonięcie kultury czy własne poszukiwania. Nie w każdym domu panuje, nazwijmy to, „artystyczna atmosfera”. Za poprzedniej władzy nie było też dobrego Teatru Telewizji. Na czym więc dzieciaki miały się uczyć, czym zachwycać?

Trzeba jednak dodać, że to pokolenie ma wiele cech, których my nie mieliśmy. Mówią świetnie językami, często zdają dwujęzyczne matury, czują się obywatelami Europy. Nie mają takich lęków, jak mieliśmy my przed sięganiem po to, co oferuje Europa czy świat. Odkąd jesteśmy w UE, mają szansę na studia również poza Polską. Przygotowałam ponad 20 osób w języku angielskim, które dostały się do najbardziej prestiżowych szkół np. Londynie, jak RADA, Central School of Speech and Drama, East 15 czy wielu innych. I to jest w tej dzisiejszej młodzieży fantastyczne i godne podkreślenia: mają odwagę, nie czują barier, znają języki i sięgają po to, co najlepsze.

Są dla mnie niezapisanymi kartkami i tak do nich podchodzę. Choć czasami bywa ciężko, kiedy na teście muzycznym dzieciaki z ambicjami musicalowymi nie potrafią odpowiedzieć, kim byli: Gene Kelly, Louis Armstrong, Ella Fitzgerald, Mieczysław Fogg, Frank Sinatra, Judy Garland czy nawet Ricky Martin, którego wpisałam dla żartu, a ostatecznie nie było mi do śmiechu.

Dzięki tobie poznają te nazwiska. Jak reagują na tę muzykę?
– Nie mogą się nasłuchać. Czasami znajomi pytają mnie, dlaczego nie sformalizuję mojego studia, nie zrobię z niego prywatnej szkoły aktorskiej z dyplomem po trzech latach nauki.

Dla mnie wyzwaniem jest przygotowanie młodych aktorów do egzaminów. Wiesz, jaka to satysfakcja, kiedy dostają się do szkoły, jaka to dla mnie duma?



▲ **Nigel Williams i Dorota Zięciowska w serialu „Crossroads” – niezwykle popularnej brytyjskiej operze mydlanej, którą stacja ITV emitowała w latach 1964–88**
FOT. ITV/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS



◀ **W serialu TVN „Przepis na życie” (2011-13) Dorota Zięciowska grała matkę lekarki Beaty (Maja Ostaszewska), jednej z wiodących bohaterek. Na zdj. także Piotr Adamczyk jako mąż Beaty i Jerzy Fedorowicz jako jej ojciec**
FOT. KAROLINA KARWAN/EAST NEWS

Kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, jak wiele aktorek i aktorów pracowałam w restauracji. To był okres, kiedy zdobyłam już rozpoznawalność w Londynie, ale w USA musiałam zacząć od nowa. W tej restauracji pracowałam z Jamesem Gandolfinim, który potem się wybił dzięki „Rodzinie Soprano”. W tym lokalu był tygiel, wymienialiśmy się informacjami o castingach, występach i o tym, że ktoś organizuje showcase.

Gandolfini bardzo chciał się dostać do agencji, do filmu. Zorganizował swój pokaz w jakiejś piwnicy na East Village, skrzyknął grupkę znajomych, w tym mnie, odgrywał sceny z „Tramwaju zwanego pożądaniem”, a na występ zaprosił jakiegoś szefa castingu. Nie opowiadam o tym, żeby się pochwalić, że go znałam, ale żeby pokazać ci, że zawód aktora to ciągła walka o zaistnienie. Szkoły aktorskie do tego nie przygotowują. Dają ci dyplom, a ty idź w świat, człowieku, z tym dyplomem i radź sobie. Wychodzą z nich ludzie kompletnie psychicznie nieprzygotowani do zawodu, niewyposażeni mentalnie. Jak mają sobie radzić?

Za komuny aktor po szkole szedł na etat do teatru, ktoś zobaczył go w jakiejś roli, a kino ewentualnie stało przed nim otworem. Dziś młody człowiek często się nie odnajduje. Agencje aktorskie są przepełnione, etatów w teatrach nie ma. Jeśli początkujący aktor nie nawiąże w szkole kontaktów, to jest spalony.

Dorota Zięciowska

• Rocznik 1960. Absolwentka PWST (obecnie Akademia Sztuk Teatralnych) w Krakowie, a także London Academy of Music and Dramatic Art. W latach 80. wyemigrowała do Londynu. W kinie brytyjskim i amerykańskim wystąpiła m.in. w serialu „Crossroads” oraz filmach: „Burzliwy poniedziałek” i „Superman IV”. Po powrocie do Polski zagrała w kilkudziesięciu filmach i serialach, użyczyła też głosu Wróżce Chrzestnej w filmie „Shrek 2”. Założyła i od prawie 20 lat prowadzi Studio Aktorskie Doroty Zięciowskiej.

Czym jest dla ciebie aktorstwo?
– Mieszkałam w trzech krajach, a aktorstwo zawsze było dla mnie najważniejszą częścią życia. Cud, że wyszłam za mąż, urodziłam dziecko, mam rodzinę i wspaniałego męża. Coś mnie jednak zawsze gnało, musiałam się sprawdzać i rozwijać. Dlatego właśnie wyjechałam do Anglii. To był 1981 rok i poczułam, że to ostatnia chwila, kiedy mogę wyemigrować.

Zagrałam Blanche w „Tramwaju zwanym pożądaniem” i już mnie nie było. Brzmi, jakby to było proste, ale dniami i nocami czekałam w kolejce po paszport.

Dobrze znałaś angielski?
– Tak. Byłam dziewczynką z dobrego krakowskiego domu, rodzice wysłali mnie na prywatne lekcje angielskiego. Kiedy więc przyjechałam do Londynu i zrozumiałam, że tam zostanę, zaczęłam szukać pomysłu na siebie. Co studiować, jak udowodnić, że jestem aktorką, a nie dziewczynką z zapomnianego kraju, po którym najpewniej biegają białe niedźwiedzie? Nic tam nie znaczyliśmy dla brytyjskich agentów, nieważne, jakie miało się osiągnięcia w Polsce.

Dostałam się na roczny kurs podyplomowy dla dyplomowanych aktorów, przyniosłam ze sobą magnetofon typu jamnik i zapowiedziałam komisji, że zaśpiewam. Próbowali mnie powstrzymać, ale miałam plan. Wykonałam piosenkę Jenny z „Opery za trzy grosze” i się dostałam. Potem znów ją zagrałam, tym razem w przedstawieniu dyplomowym, sama podałam im się na tacy. Tak trzeba robić w życiu, nieważne, czy osobistym czy zawodowym.

To przedstawienie „Opery za trzy grosze” zmieniło wszystko.
– Przyszedł na nie reżyser z BBC Jeremy Mortimer, który szukał aktorki z akcentem do serialu radiowego. Dzięki tej pracy zdobyłam agenta, a on wysłał mnie na casting do serialu „Crossroads”.

To legendarna telenowela emitowana przez ponad ćwierć wieku.
– Szukali ciemnoskórej aktorki, a przyjechałam ja – blondynka z warunkami, do tego typowa Polka z lat 80., wystrojona. Roli nie dostałam, ale chodziło o to, żeby mnie zobaczyli. W pokoju siedzieli producent Jack Barton, pięciu reżyserów i wszyscy scenarzyści. Podziękowali mi, a po pół roku odezwali się, że napisali dla mnie rolę.

Występowałam w tym serialu przez dziewięć miesięcy, było to wspaniałe doświadczenie. Mieszkałam w Birmingham, gdzie kręciliśmy serial, przez tydzień, a na weekendy wracałam do Londynu. Tak bardzo stałam się jednością z moją postacią, że nie dostałam trzech kolejnych ról w BBC, bo wszyscy kojarzyli mnie z „Crossroads”.

A widzowie? Rozpoznawali cię?
– Bywało, że tak bardzo utożsamiali mnie z moją bohaterką, że dostawałam w jej imieniu komentarze w sklepie. Bo przecież byłam postacią wodzącą mężczyzn za nos. W tamtym czasie, w pierwszej połowie lat 80., popularność mierzono liczbą listów od widzów. Przychodziły całe worki z prośbami o autograf czy zdjęcie. Im więcej takich listów przychodziło, tym producent był bardziej zadowolony.

Twoja bohaterka też była Polką.
– Ale wyobraź sobie, że napisali tę rolę tak: kobieta, która jeździ po drogich światowych hotelach i szkoli się w zakresie szampanów, łososi oraz układu widelców i noży. Kiedy mnie obsadzili i przeczytałam scenariusz, zaprosili mnie na spotkanie. Powiedziałam im, że właśnie byłam w Polsce, gdzie kelnerki w hotelowych restauracjach zabierają cukier ze stołów, żeby nikt nie wpakował go sobie do torebki.

W luksusowych hotelach do wyboru były wtedy dwa wina: białe i czerwone. A oni każą mi grać Polkę bywałą w świecie. Pamiętaj, to był rok 1984.

Powiedziałam im, że taka postać nie ma u nas racji bytu, to nierealistyczne, chyba że mowa o córce komunistycznego ministra turystyki, która za państwowe pieniądze podróżuje i się uczy. Ale nawet jeśli, to gdzie miałaby tę wiedzę spożytkować? Przecież nie w ojczyźnie.

Pamiętam, że producent przerwał spotkanie, zaprosił mnie na lunch i zapytał w cztery oczy, czy mówię prawdę. Okazało się, że scenarzysta dostał bardzo dużo pieniędzy za research na temat tego, jak wygląda życie w Polsce. Kiedy wróciliśmy, zapytał mnie już na forum, jaka jest sytuacja w Polsce i jaka jest sytuacja Polaków za granicą. Powiedziałam: „Ludzie, ja tu wyemigrowałam jak tysiące innych wykształconych osób, które mogą u was teraz np. sprzątać, opiekować się dziećmi, zaczynać nowe życie”. Uznali w końcu, że moja bohaterka będzie tłumaczką.

W czasie stanu wojennego, kiedy już mieszkałaś w Londynie, Jerzy Stuhr zaproponował ci rolę w „Łuku Erosa”. A ty dla niej odrzuciłaś występ w „Supermanie IV” u boku Christophera Reeve’a. Prawda?
– Prawda. To zabawna historia. Jerzy Stuhr był moim profesorem i zapytał mnie, czy nie chciałabym zagrać w tym filmie razem z nim. Odpowiedziałam, że pewnie, a w tym samym czasie przyszła od mojego londyńskiego agenta oferta roli w „Supermanie”. Zdjęcia miały się odbywać dokładnie w tym samym terminie, więc powiedziałam agentowi, że muszę zrezygnować z „Supermana”. Mój agent, wielkiej klasy Brytyjczyk, zapytał, czy dobrze to

eprasa.pl c8499ac1c9

REKLAMA Kraj/34458729

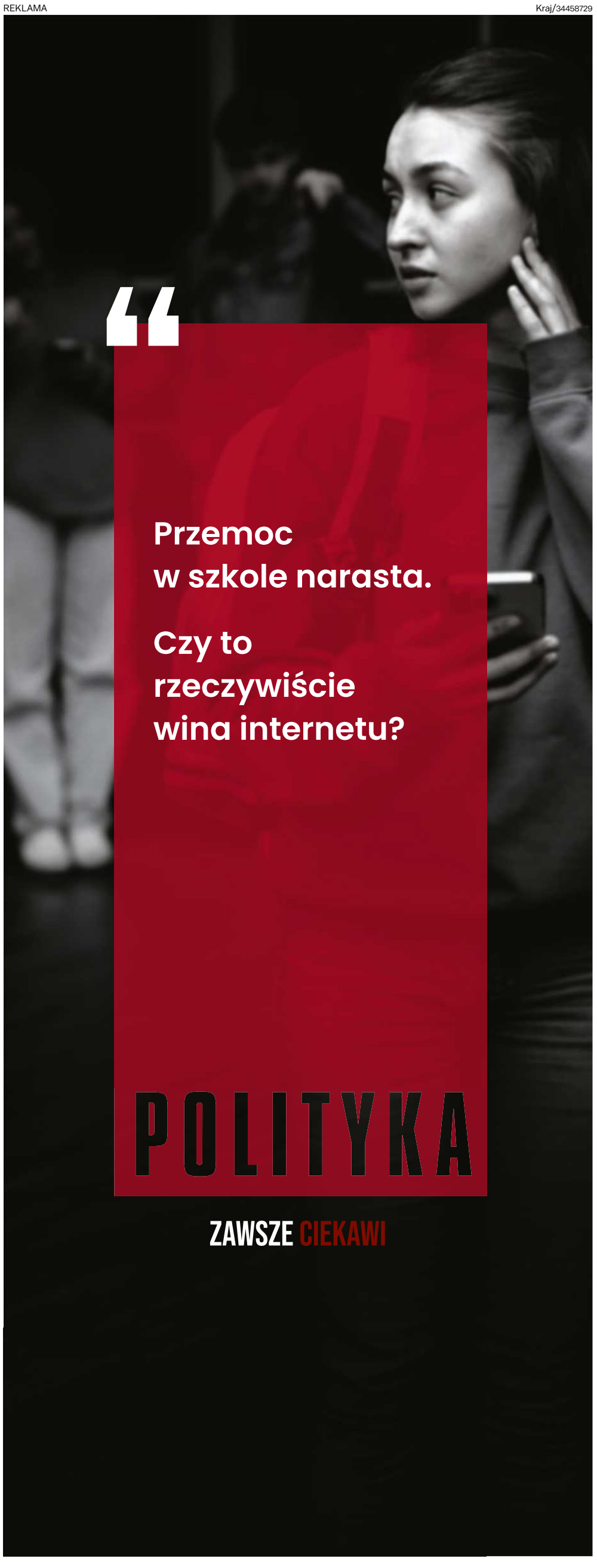

przemyślałam, bo pieniądze, które zarobię w Polsce, są niczym w porównaniu z gażą za „Supermana". Powiedziałam, że na „Łuku Erosa" pewnie nic nie zarobię, jadę tam w ogóle na własny koszt.

Ale minęło trochę czasu. Czekam na telefon i czekam, dzwonię i dzwonię do Łodzi, a nikt nie odbiera. Zdążyłam już wrócić do Londynu i poprosiłam ojca, żeby dzwonił w moim imieniu. W końcu udało mu się złapać jakiegoś kierownika. Tato miał sekretarkę i mógł ją poprosić, żeby dzwoniła do upadłego, takie to były czasy. Kierownik produkcji powiedział: „Nie, ta pani już u nas nie gra, bo jest na paszporcie konsularnym". A taki wtedy musiałam mieć, aby mieszkać na Wyspach.

Co zrobiłaś?
– Pojechałam do mojego agenta z szampanem i zapytałam, czy możemy to jakoś odkręcić. Powiedział: „Dorota, ja z tobą nie wytrzymam. Oni już zatrudnili inną dziewczynę, uszyli dla niej kostium". Ale zadzwonił. Producent powiedział, że mamy przyjść na plan zdjęciowy razem z drugą kandydatką i pokazać się w kostiumach astronautek, bo o to chodziło w mojej roli. Ubrali mnie i okazało się, że im się podobam. Na planie spędziłam dwa tygodnie, choć zdjęcia miały trwać tylko trzy dni.

Potem do współpracy zaprosił cię Mike Figgis, który realizował właśnie „Burzliwy poniedziałek" z Tommym Lee Jonesem, Melanie Griffith, Seanem Beanem i Stingiem.
– Nigdy nie zrobiłam większego filmu niż ten. Druga połowa lat 80. była dla brytyjskiego kina trudna. Kiedy kręciliśmy „Burzliwy poniedziałek" w 1986 roku, nie powstawało na Wyspach zbyt wiele produkcji, dlatego ten film dostał nie tylko doskonałą obsadę, ale i rewelacyjną ekipę techniczną – operatorem był Roger Deakins, dziś dwukrotny laureat Oscara. Wątek polski został wprowadzony przez grupę jazzową, a ja miałam nauczyć Melanie śpiewać piosenki po polsku. Grałam postać drugoplanową, która ginie tragicznie w wybuchu samochodu.

Podczas zdjęć Tommy Lee Jones zaprosił mnie na lunch i zapytał, czy grałam może w „Nocach i dniach" Jerzego Antczaka, bo pomylił mnie ze Stanisławą Celińską. Powiedział, że to rewelacyjny film, wielkie kino. Napiszmy o tym, pan Jerzy Antczak musi o tym wiedzieć. To zresztą mój ukochany film. W wersji serialowej też go oglądam. Za każdym razem, kiedy w telewizji emitują jakiś odcinek, nie mogę się oderwać. „Noce i dnie" to lekcja aktorstwa.

Ty za to dawałaś lekcje Maggie Smith.
– Mój agent, ten, którego doprowadziłam do białej gorączki „Supermanem", zadzwonił do mnie pewnego dnia i powiedział, że Maggie Smith chce mnie poznać. Oczywiście zapytałam, o co chodzi. Okazało się, że miała zagrać Polkę z akcentem i chciała, by ten akcent był wiarygodny. Pojechałam, spotkałyśmy się w barze przy teatrze. Zapytała mnie, czy nagrywałam kasetę demo dla aktorów. Odparłam, że nie. Po chwili zapytała znowu, czy aby na pewno nie. Zaproponowała mi, że mnie podwiezie. W aucie włączyła kasetę magnetofonową, a ja usłyszałam swój głos.

Opowiadałam różne historie o komunizmie, jego absurdach. O tym, że nawet gdy kupowało się buty w sklepie, można było dostać dwa lewe, a potem reklamować je w fabryce i otrzymać prawy. Na tym nagraniu przez pół godziny opowiadam, zaśmiewam się, zupełnie wyleciało mi to z głowy. Przypomniałam sobie, że przed laty moja brytyjska przyjaciółka, aktorka, przyjechała do mnie i namówiła mnie na te opowieści, które nagrywała. Przekazała je potem słynnej nauczycielce wymowy i akcentów, a ta dała je właśnie Maggie Smith.

Maggie Smith powiedziała mi, że codziennie słucha mojego głosu i dlatego postanowiła mnie odnaleźć. Kiedy dostała tę rolę, spotykałyśmy się, czytałyśmy wspólnie jej kwestie albo ja czytałam, a ona powtarzała, naśladując mój akcent.

Dlaczego wróciłaś do Polski?
– W pewnym momencie się zorientowałam, że język mimo wszystko jest moim hamulcem, nigdy nie będę grała takich ról, jakich pragnę. Kiedy Joanna Szczepkowska ogłosiła, że w Polsce skończył się komunizm, wróciłam wraz z mężem Polakiem, którego poznałam w USA, i naszym synem.

Zaczęłam uczyć piosenki w PWST w Krakowie, najlepiej czułam się oczywiście w musicalach, bo oglądałam je także na żywo w Londynie czy Nowym Jorku. Takie były moje początki pedagogiczne. Potem zaczęłam współpracę z Teatrem STU i trwa ona już 35 lat. Moja praca to moja wizytówka.

Twoją wizytówką jest też praca przy „Shreku 2". Jako jedyna aktorka dubbingowa na świecie nie tylko użyczyłaś głosu swojej bohaterce Wróżce Chrzestnej, ale też zaśpiewałaś „Holding Out for a Hero" Bonnie Tyler.
– To było niezwykłe doświadczenie. Po pierwszej części Jurek, Zbyszek i Agnieszka byli już rozpoznawalni, a ja dołączyłam do obsady. Moja bohaterka i to, co z nią zrobiłam, spodobały się fanom. Nieskromnie powiem, że na przestrzeni lat Wróżka stała się kultowa. Wiedziałam, że pierwowzór będzie trudny do pobicia – Jennifer Saunders to ikona. Próba naśladowania jej była karkołomna.

Casting był tak zorganizowany, że wiadomo było, iż ja dubbinguję, a śpiewa ktoś inny, ale poprosiłam o szansę przystąpienia także do castingu na wykonawczynię piosenki. Polegało to na tym, że musiałam zaśpiewać w wygłuszonej przestrzeni, oglądając animację na ekranie. No więc zaśpiewałam, a kiedy wyszłam, okazało się, że wszyscy ucichli. Przez chwilę nic nie mówili. W końcu reżyserka powiedziała, że chce właśnie mnie. I tak casting na wykonawczynię piosenki już się nie odbył.

Czujesz większą satysfakcję z uczenia czy grania?
– Nie mierzę tego. Gram teraz w serialu „Szpital Świętej Anny" dla stacji TVN i cieszę się z tej pracy, jak zresztą z każdej. W moim studio aktorskim nie tylko pracuję – realizuję tu także misję. Pomagam, tak jak mnie kiedyś pomógł np. Vladek Sheybal, legendarny polski aktor, który od lat 60. do 90. robił karierę za granicą.

Grał na przykład w „Pozdrowieniach z Rosji" i u Kena Russella.
– Miałam wielki zaszczyt z nim pracować. Wspierał mnie, polecił swojemu agentowi, właśnie temu od „Supermana". A znany był z tego, że nigdy nic nie robił w teatrze dla Polonii. Kiedy zaczynałam w Anglii, Urszula Święcicka, dyrektorka Teatru Nowego w Londynie, zastanawiała się, jak przekonać Vladka, żeby do nas przyszedł i zobaczył, że jesteśmy młodymi aktorami z Polski. Przyszedł, przełamał się, robił z nami próby w swoim domu. Kiedy miałam casting do „Crossroads", zadzwonił, żeby zapytać, jak mi poszło. To właśnie on na wieść o tym, że szukali kogoś innego, powiedział, żebym się nie martwiła, bo „jak zna życie, to się odezwą". Jest mi bardzo drogi.

Czego cię to wszystko nauczyło?
– Kiedy przychodzi do mnie młody człowiek z aspiracjami, którego coś pcha do zawodu aktora, muszę być czujna i zastanowić się, co mogę mu zaproponować. Rozwój wyobraźni? Warsztatu? A może ma już poszerzone horyzonty? A jeśli nie ma, ale ma instynkt? Ten instynkt jest ważniejszy niż wszystko inne. ●

1RP

eprasa.pl c8499ac1c9

POLECA MICHNIK ADAMA

„Nie lekceważ tej mojej roboty”. JAK CZAPSKI Z GIEDROYCIEM

Prawdziwa wolność słowa nie jest tożsama z wolnością mówienia czegokolwiek. A jak z tym było w „Kulturze”?

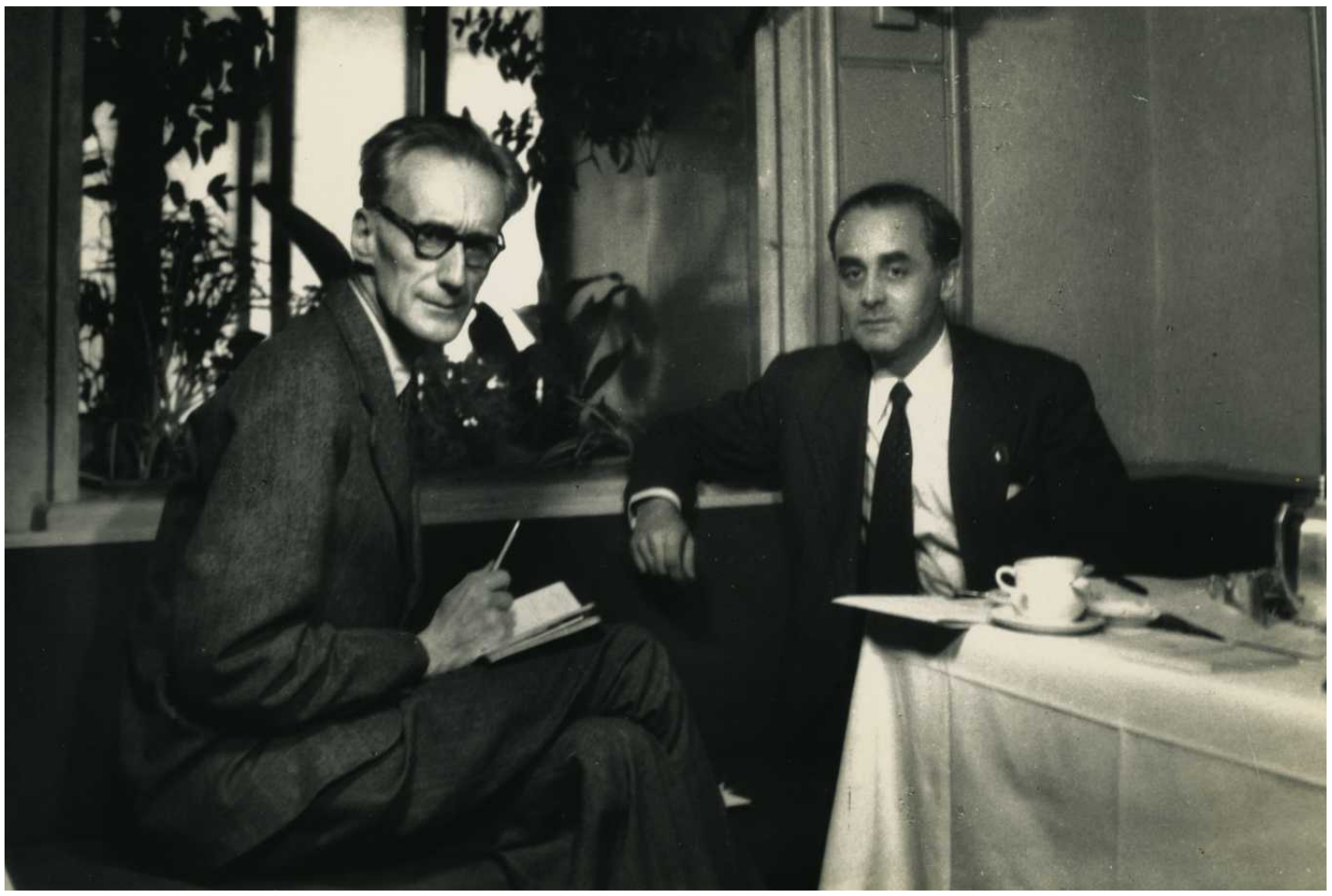

• **Józef Czapski i Jerzy Giedroyc podczas Kongresu Wolności Kultury w Berlinie w 1950 r.** FOT. CHARLOTTE WILLOTT

Jakub Kloza
antropolog, publicysta

Paryska „Kultura” jako instytucja, formacja intelektualna i krąg ludzi dążących do uprawiania niezależnej myśli to już dziś monolit. Dlatego znikają nam z pola widzenia różne pomniejsze sprawy, momentalne raczej niż monumentalne, dla których trudniej o miejsce w narracji o środowisku Maisons-Laffitte.

Myślę tu o osobistych relacjach pracowników „Kultury”, aktach czułości i niezgody, o tytanicznym trudzie zamierzonym niekiedy na niebotyczne i absurdalne projekty, a także o indywidualnych wizjach politycznych i estetycznych, które nie zawsze były ze sobą zgodne.

W roku Józefa Czapskiego i Jerzego Giedroycia sięgam po wielostronicowe tomy listów ludzi „Kultury” i pytam: co, poza źródłem historycznym, możemy w nich odnaleźć dzisiaj?

Od Sienkiewicza po Gombrowicza

Po raz pierwszy o „Kulturze” usłyszałem lata temu od mojego licealnego kolegi, który interesował się trochę twórczością Gombrowicza i Miłosza. Co miałem wtedy w głowie, słysząc hasło „Kultura” paryska? Nic szczególnie mądrego. Jakiś mętny obraz polskich pisarzy i intelektualistów, którzy zamiast użerać się z realiami PRL-u, siedzą w miłym podparyskim zaciszu i debatują nad tematami wysoce kulturalnymi.

Zaryzykuję, mówiąc, że powszechny obraz środowiska Maisons-Laffitte jest z grubsza właśnie taki. Dla nas, młodych, którzy urodziliśmy się w XXI wieku, to już odległa historia. Jeśli mieliśmy okazję doświadczać materialnej spuścizny „Kultury”, to tylko poprzez oglądanie bądź trzymanie w rękach pięknych wydań Instytutu Literackiego, które często osiągają dziś wysokie ceny na aukcjach serwisu Allegro.

Uładzony obraz „Kultury” pomija trudne kulisy powstawania pisma w zasadzie na powojennych zgliszczach, najpierw pod patronatem gen. Władysława Andersa, w którego armii poznali się na dobre Czapski z Giedroyciem, a później mimo braku tego patronatu i mimo rozmaitych kłopotów finansowych oraz instytucjonalnych. Błędem jest też pomijanie bardzo konkretnego wymiaru pisma, który znika nam z pola widzenia przez wielość autorów związanych z miesięcznikiem, a także długi i zróżnicowany okres działalności: od 1947 r. aż po rok 2000, rok śmierci Giedroycia.

Najważniejsze cele były dwa: stworzenie platformy dla artykułowania nowoczesnej kultury polskiej i projektowanie nowego ładu wschodnioeuropejskiego. Drogą do tego była publikacja nie tylko pisma, ale także książek. Zarówno polskich autorów nieżyjących (Mickiewicz, Reymont, Sienkiewicz), jak i współczesnych (Miłosz, Gombrowicz, Barańczak), a także zagranicznych sław (Orwell, Huxley, Camus).

Jaki prezent dla Stalina?

Giedroyc zatem poprzeczkę zawiesił wysoko. Ponadto, gdy spojrzymy na cele oraz plany „Kultury” z uwzględnieniem permanentnego braku funduszy, trudności w pozyskiwaniu prenumeratorów i nieporozumień w komunikacji z autorami, wyjdzie na to, że całość mogła działać tylko dzięki nadludzkiej pracy najbliższych współpracowników Redaktora. A nikt nie był mu pod tym względem bliższy niż Józef Czapski. To zasługa cierpliwości i bezinteresowności, którymi malarz był hojnie obdarzony, a których brakowało Giedroyciowi.

Nie bez znaczenia była też głęboka sympatia, która zrodziła się już przy pierwszym bliższym spotkaniu obu w armii Andersa i przez lata narastała do tego stopnia, że w pewnym momencie przyjaciele zaczęli doświadczać tęsknoty za sobą jako permanentnego braku. Giedroyc wyrażał to uczucie za pomocą pięknej epistolarnej formuły „bardzo mnie brakujesz”, w której gramatycznie intensyfikuje się obraz nieobecności drugiego z korespondentów.

Dzięki tej bliskości Czapski był w stanie wysłuchiwać kolejnych pomysłów dotyczących rozwoju pisma formułowanych przez Giedroycia, który upominał się żartobliwie: „brak mi odpowiedzi na szereg moich genialnych pomysłów”. By unaocznić ich liczbę, wystarczy przywołać obawę autora „Na nieludzkiej ziemi”, który wzdryga się przed przedstawieniem redaktorowi „Kultury” nowego potencjalnego autora, bo przewiduje konsekwencje tego działania. Pisze Czapski do Giedroycia: „zbudujesz już na tym 1700 pomysłów i to w chwili, kiedy jesteśmy w ślepej ulicy”. Przywołana liczba to tylko nieznaczna hiperbola.

Pomysły Giedroycia, nie dość, że liczne, były na dodatek szalenie nierówne. Często też niewiarygodne, tak jak na poły żartobliwy projekt sprzedania ogromnej liczby książek na raz. Gdy komuniści z całego świata zbierali prezenty na 70. urodziny Stalina, Czapski przeczytał w liście od Jerzego, że trzeba „akcję zorganizować i zorganizować wysłanie na adres: Józef Stalin, Moskwa, książek, a mianowicie »La justice soviétique«, »Le bolchévisme et la religion«, »Terre inhumaine« i »Starobielsk« do wyboru”. Wybór należeć miał oczywiście do prenumeratorów pisma, którzy chcieliby sekretarza generalnego nagrodzić odpowiednią pozycją, wpłacając jednocześnie pieniądze prosto na konto „Kultury”.

Inny, też godny uwagi pomysł Giedroycia zakładał stworzenie makiety obozu koncentracyjnego, którą Czapski miałby pokazywać Amerykanom w trakcie swojej zaoceanicznej podróży w celu zebrania środków na działanie pisma. Plan ten, choć zupełnie poważny, budzi dziś raczej nasze niedowierzanie i kojarzy się z pra-

eprasa.pl c8499ac1c9

cą Zbigniewa Libery „Lego. Obóz koncentracyjny".

„Z trudem Twój list rozszyfrowałem"

Każdy, kto otworzy listy Czapskiego i Giedroycia, zorientuje się, że w większości składają się z wypisów aktualnych problemów „Kultury", list książek do wydania i honorariów do wypłacenia. Specyfika tej korespondencji sprawia, że piszącym łatwo było stracić nawzajem siebie z pola widzenia. Zresztą nawet takiemu aniołowi jak Czapski czasem puszczały nerwy.

Trudności w komunikacji obu przyjaciół miały dwie główne przyczyny. Najczęściej były to zwyczajne nieporozumienia. Na przykład gdy malarz nie był w stanie zrozumieć toku myśli przyjaciela bądź gdy ten drugi doszukiwał się w Czapskim braku zaufania do swoich pomysłów i koncepcji. Odbijało się to też na najbardziej materialnej płaszczyźnie ich komunikacji, w piśmie i jego czytelności.

Obaj byli znani z trudnego do odszyfrowania charakteru pisma. W czasach dobrego pożycia trud odczytywania liter był obopólny i wzajemny. We wczesnym liście z 1944 r. Czapski tak pisał do Jerzego: „teraz musisz cierpieć i czytać moje pismo kaligraficzne, bo rzeczy ważne, których nie chcę dyktować na maszynie". Jakże ironicznie ciepły w wymowie wydaje się ten zapisek skontrastowany ze znacznie późniejszym fragmentem z listu Giedroycia piszącego: „Nareszcie Twój list. Z trudem go rozszyfrowałem".

To już rok 1951. Urywa się na nim wydana i opracowana dotąd korespondencja. To też moment znaczących tarć między Czapskim a Giedroyciem, które sprawiły, że przyjaźń ostatecznie zastąpiła wzajemna tolerancja.

Nie miał usposobienia demokraty

Drugim powodem trudności komunikacyjnych były oczywiście różnice w poglądach, które coraz mocniej dochodziły do głosu. Czapski zżymał się czasem na przesadnie agitacyjną politykę „Kultury" forsowaną przez Giedroycia. Oczywiście proste przypisanie jednemu z przyjaciół ambicji politycznych, a drugiemu – kulturalnych, byłoby znaczącym uproszczeniem. Niemniej trzeba podążyć tym tropem, bo narzuca go sam Czapski, twierdząc, że Książę Redaktor (jak nazywano czasem Giedroycia), drukując za dużo publicystyki Juliusza Mieroszewskiego i rzeczy tym podobnych, pozbawia czasopismo ambicji „kulturotwórczych". Mówi Giedroyciowi wprost, „że jakimś prawem ciężkości, »Kultura« coraz bardziej przestaje być »Kulturą« i staje się »Polityką«". A miejsca na taką dyskusję z Redaktorem nie było.



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na tę kwestię zwrócił uwagę ostatnio Adam Michnik w książce-rozmowie z Jarosławem Kurskim „Adam, syn Ozjasza": „Giedroyc, ten jeden z architektów demokracji w Polsce, sam nie miał usposobienia demokraty".

Za tą różnicą wrażliwości szedł głębszy problem. Czapski przez intensywną współpracę z Giedroyciem często i na wiele miesięcy musiał odkładać paletę i pędzel. Gdy Redaktor zaproponował mu zastąpienie Konstantego Jeleńskiego na Kongresie Wolności Kultury, malarz zareagował na tę propozycję z wyraźnym rozgoryczeniem: „to by było możliwe tylko, gdybym przestał malować – a naprawdę nie mógłbym się teraz na to zdobyć bez poczucia, że zamykam nad sobą »płytę grobową«. Żebyś wiedział, jak »uczciwie« się »kurwię« i wszystkie pozory, że to musi do czegoś doprowadzić i... NIC".

Czapski, mistyk z wyboru, mimo przestojów w procesie twórczym był przeświadczony o konieczności malowania. Malarstwo jako sposób głębokiego kontaktu z rzeczywistością, kształtującą się „in statu nascendi", w trakcie tworzenia, dzięki spojrzeniu twórcy i ruchowi jego pędzla, to forma mistycyzmu, która pozostawała jedyną drogą duchową dla chwiejnego w wierze artysty. Pod tym względem malowanie stało w hierarchii ważności Czapskiego znacznie wyżej niż literatura czy polityczne zapędy „Kultury".

Dzielił się tym przeświadczeniem z Giedroyciem i prosił przyjaciela: „nie lekceważ tej mojej roboty i nie podganiaj – wiele, wiele godzin będzie mnie kosztowało, zwężając strasznie możliwości innej pracy, ale mam zupełne przekonanie, że jeżeli tę robotę porzucę, tracę jedyną platformę, gdzie mam wiarę, że mogę być »uniwersalny«, gdzie mogę mieć znaczenie, sens naprawdę".

Czy ten prawdziwy sens miałby stać w sprzeczności z politycznym wymiarem działalności artystycznej, czy mógłby być przejawem takiego pięknoduchostwa i ignorancji? Błędem byłoby posądzać Czapskiego o tego rodzaju naiwność.

Jednym z jego pomysłów było kompozycyjne oderwanie „czystej literatury" od pozostałych treści drukowanych w „Kulturze". W żadnym razie nie chodziło tutaj o stworzenie izolowanego kącika przyjemności estetycznych. W liście do Giedroycia z 1950 r. twierdził, że pisanie jest „formą opowiadania się, przede wszystkim formą, pretekstem STAWIANIA ZAGADNIEŃ". Powtórzenie słowa „forma" służyło pokazaniu, że autonomia dzieła literackiego (a nawet szerzej – estetycznego) jest warunkiem jego sprawczości w kwestii wysuwania na pierwszy plan spraw ważnych.

Zwięźle ujął ten problem Andrzej Mencwel w „Książce o »Kulturze«", notując, że „tym, czym dla Giedroycia była polityka, dla Czapskiego była sztuka i to zarówno malarska, jak i pisarska". Nie ma tu przeciwstawienia. Dla niego sztuka była tym samym, czym dla Giedroycia myśl polityczna – sposobem działania.

Artysta i cudowny chłopak

By lepiej wniknąć w istotę myślenia Czapskiego o sztuce, trzeba odwołać się do innego bloku korespondencji. Malarz nie mógł wszystkich swoich myśli wyartykułować w rzeczowej i użytkowej korespondencji z Giedroyciem. Potrzebował w tym celu innego partnera dialogu. Tę rolę doskonale odegrał Wojciech Karpiński.

Zaczęli korespondować ze sobą w 1965 r., gdy Karpiński był zaledwie 22-letnim młodzieńcem, studentem romanistyki na UW, już wcześniej znanym jako „Wunderkind" i erudyta niebywałej klasy.

Warto wspomnieć, że był to dobry czas dla Czapskiego, który odbił się już od okresu twórczej posuchy i miał teraz na koncie sporo nowych płócien, a także tekstów eseistycznych poświęconych malarstwu, które zebrał w „Oku" (1960). Już w tym zbiorze znajdziemy najważniejsze dla Czapskiego założenia, jak choćby to, by zawsze „myśleć o malarstwie z paletą w ręku". Nigdy na zimno i z teoretycznego dystansu.

Mimo różnicy wieku kierowała nimi niemal ta sama ciekawość oraz intelektualna pasja. Oczywiście nie zrozumieli się dobrze od razu. W tych listach też powraca wspominany już dosłowny i metaforyczny problem nieczytelnego pisma, którego trzeba się wzajemnie uczyć, by móc nawiązać kontakt. Trudno o to winić Karpińskiego, którego drobne pismo jest eleganckie i wystudiowane. Co innego Czapski – od zawsze piszący jak kura pazurem.

I to właśnie on, jak na ironię, wytyka młodszemu korespondentowi tendencję do niezrozumiałości. Tylko ma ku temu dobre powody. Pisze do Karpińskiego wprost: „ja Pana nie rozumiem". Dlaczego? Przez nadmiar cytatów i buńczuczne wręcz wysubtelnianie własnego intelektu.

Zdławiony przez książki Karpiński nie potrafił przemówić swoim własnym głosem w pierwszych latach znajomości z Czapskim. Przypominał pod tym względem francuskiego pisarza przełomu XIX i XX wieku, Anatole'a France'a, którego osobistą oryginalność i pomysłowość tłumiła przytłaczająca erudycja.

„Pisać będziesz, pisać musisz"

Czapski, jako miłośnik Norwida, wskazuje tutaj na znacznie głębszy problem. Bo samą obecność zbędnych cytatów i nawiązań łatwo zbyć (mówiąc kurtuazyjnie jak Czapski: „Pana referencje są mi nieznane"). Chodzi jednak o to, że w tej pozornej swobodzie intelektualnej nie ma miejsca na prawdziwą wolność słowa, tylko na estetyzm i „nieodpowiedzialne paplanie", które Czesław Miłosz w wierszu „Czego nauczyłem się od Jeanne Hersch?" nazwał nałogiem intelektualistów XX wieku. Prawdziwa wolność słowa nie jest tożsama z wolnością mówienia czegokolwiek. Tej lekcji Norwida z „Rzeczy o wolności słowa" Czapski był dobrze świadomy.

Chodziło zatem o to, i tego właśnie musiał nauczyć się Karpiński, by mówić i pisać w sposób odpowiedzialny, czyli taki, gdzie twórca bierze na siebie ciężar słów, z których korzysta, ale także oddaje im coś z samego siebie. To ma na myśli Czapski, gdy wielokrotnie powraca w listach do problemu stylu, do francuskiego pojęcia „écriture" i odkrywania „pisarza w jego jedyności". Pismo nieidiomatyczne, pozbawione indywidualnej sygnatury jest pismem nieodpowiedzialnym, „pismem kastrata", by użyć pojęcia Czapskiego. Jest przede wszystkim nieoryginalne.

Lektura listów malarza i Karpińskiego jest zapisem długiego procesu dochodzenia do tak pojętej oryginalności. Dopiero po ponad dziesięciu latach znajomości młody autor dostępuje zaszczytu, by Czapski namaścił go na pisarza.

Czytamy w liście: „Już dobrych parę tygodni temu przeczytałem Twoją »Wenecję jako sen«. Czytam, co piszesz, jak tylko to uchwycić mogę; zdaje mi się nigdy Twój tekst nie dał mi tak silnej pewności uczucia, że pisać będziesz, pisać musisz, że zdajesz się po jakiemuś »jedyny«, niepowtarzalny – to, co cechuje naprawdę pisarza. Nie umiem tego wyrazić, ale sam się dziwię, dlaczego dopiero teraz szok był tak silny".

Nie możemy tylko pomylić tej indywidualności wpisanej w styl z formalnym nowatorstwem, bo to zupełnie inne kwestie. Za poglądami Czapskiego i Karpińskiego nie stoją żadne literaturoznawcze banialuki, tylko nowoczesne myślenie teoretycznoliterackie, które nie jest im obce. Obaj piszą już po triumfie francuskiego strukturalizmu, patrzą także na jego schyłek i rodzące się nowe nurty krytyczne, sygnowane choćby nazwiskami Michela Foucaulta czy Rolanda Barthesa.

Mimo że początkowo są do obu filozofów nastawieni krytycznie i postrzegają ich jako niezaskakujących, to ujawniają mnóstwo zbieżności z ich sposobem myślenia. Czapski, pisząc o stylu, piśmie, „écriture", a także o doświadczaniu jedyności pisarza i przyjemności tekstu, posługuje się tym samym słownikiem co Barthes.

Wczesna książka teoretyka, „Stopień zero pisania" z 1953 r., zgłębia istotne przecież także dla Czapskiego i samej „Kultury" napięcie między indywidualnym gestem artystycznym a polityką. Filozof pokazuje, że pisanie zawiera się między językiem (tym, co społeczne), a stylem (tym, co jednostkowe, pochodzące z indywidualnej przeszłości i z ciała). Konkretny tekstowy zapis jest zatem „indywidualnością uzyskiwaną przez wybór etosu". Właśnie dlatego sposób pisania, wywodząc się ze znaczącego gestu pisarza, „styka się z historią w sposób bardziej wyczuwalny niż jakikolwiek inny wycinek literatury".

Bez wielkich słów

Ten sposób myślenia stał się bliski Karpińskiemu, który w późnym szkicu „Czwarta polszczyzna" pisał o powstałym w 1941 r. wierszu Miłosza „Równina" jako przykładzie „całkowitego obnażenia, zejścia na stopień zero – świadomości stylu".

Ten wiersz, pokazując „równinę pod chmurami niskimi rozpiętą", jest przejmującym opisem kraju zniszczonego wojną za sprawą zejścia na najbardziej podstawowy poziom pisania. Nie ma tu jednoznacznych myśli ani dużych słów jak „ojczyzna" czy „wojna". Zamiast nich są obrazy i słowa, które za tymi obrazami próbują nadążyć. To oczyszczenie z elementu ideologicznego jest warunkiem „stopnia zero pisania", który nigdy nie może się zrealizować w czystej postaci, ale może być nieustannie horyzontem odniesienia.

Dokładnie o tym myślał Gombrowicz, gdy tłumaczył się Giedroyciowi ze swojej decyzji, by nie pisać publicystycznego artykułu politycznego w 1968 r. Redaktorowi trudno było pojąć te słowa: „jak Ci już kiedyś pisałem, byłoby z mojej strony wielkim błędem, gdybym się upolitycznił. Wtedy właśnie straciłbym wszelkie znaczenie polityczne".

Być może mądrzejsi niż redaktorzy, politycy i myśliciele bywali pisarze, którzy podskórnie dobrze rozumieli, czym jest wolność słowa. To przesłanie dzisiaj, gdy coraz ważniejsza staje się troska o twórczą autonomię oraz intencjonalność w kontrze do algorytmizacji i automatyzacji, jest jedną z ważniejszych lekcji udzielonych nam przez ludzi „Kultury". ●

Tytuł i śródtytuły – „Wyborcza".

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ryszard Krynicki

Haiku

Wiosenna powódź –
jakże groźną się stała
rzeczka bez nazwy!

Patrz, cała w kwiatach –
chociaż stoi samotnie
ta dzika wiśnia.

Kwitnący rzepak –
na zachodzie krąg słońca,
na wschodzie księżyc.

Upojny zapach
śliwy rozkwitającej
na cześć księżyca –

Rozkwitła grusza:
dziewczyna czyta listy
w świetle księżyca –

Kwitnie piwonia:
kotka cała ze srebra,
motyl ze złota –

Przemija wiosna –
przytulam cicho lutnię
ciężką od żalu

Pełnia księżyca!
Dziś nawet herszt złoczyńców
nic, tylko pisze –

Tekst za: Ryszard Krynicki, **„Haiku. Haiku mistrzów"**, wydanie nowe, rozszerzone, Wyd. a5, Kraków 2026



Czapski mówił Giedroyciowi wprost, że „jakimś prawem ciężkości »Kultura« coraz bardziej przestaje być »Kulturą« i staje się »Polityką«". Ale miejsca na taką dyskusję z Redaktorem nie było

eprasa.pl c8499ac1c9

KULTURA PAMIĘCI TO NIE KONKURS PIĘKNOŚCI

W obliczu wojny w Ukrainie niezbędna jest polsko-niemiecka wspólnota odpowiedzialności

Anna Wolff-Powęska*

Pamięć historyczna i polityka wobec pamięci, tzw. polityka historyczna, to integralny element tożsamości wspólnot narodowych i etnicznych. Mówi wiele o kondycji moralnej społeczności, kulturze politycznej i intelektualnej obywateli.

Zmagania Niemców z własną historią budziły od początku powszechne zainteresowanie. Bo mimo licznych wojen i barbarzyństw, do jakich dochodziło w dziejach, nie dysponujemy żadnym ogólnie akceptowanym wzorcem, który pozwoliłby ocenić, jak zbiorowość, w imię której dopuszczono się gwałtów i zbrodni, ma się uporać z wyrządzonym złem, co i jak długo ma pamiętać, jakie są dopuszczalne formy uzewnętrzniania pamięci.

Mnożyły się pytania: jak być niemieckim patriotą po Auschwitz? Jak wyznać winę, która może stygmatyzować?

Proces ewolucji kultury i polityki pamięci Niemców ciągle trwa. Naznaczony był od początku sprzecznościami. Między tłumionym, wypartym bądź nieuświadomionym poczuciem winy społeczeństwa niemieckiego a oczekiwaniami narodów i państw, ofiar polityki III Rzeszy, istniała przepaść. Po jej upadku naród niemiecki musiał stawić czoło płynącemu ze świata uzasadnionemu oskarżeniu o ludobójstwo.

W dotychczasowych praktykach kulturowych przez żałobę rozumiano pochylenie się nad własną stratą, nad poległymi za ojczyznę. To ich śmierć nadawała sens narodowej tożsamości. Historia nowożytna nie zna dotąd przypadku obchodzenia żałoby po obcych ofiarach przez naród lub państwo, w którego imieniu dokonano zbrodni. Jak opłakiwać tych, których wcześniej wykluczono z niemieckiej wspólnoty i uznano za „podludzi"? Czy wreszcie Niemcom wolno opłakiwać własne ofiary?

Debaty na temat przeszłości w RFN, w NRD i w zjednoczonych Niemczech pokazały, że jednostka nie szuka usprawiedliwienia dyktatury, lecz tylko własnego życia. Strategia uwalniania się od zarzutów współuczestnictwa w nazistowskim systemie wynikała z potrzeby uwolnienia się od napiętnowania jako ludzi o fałszywej biografii, żyjących w fałszywych czasach.

Specjaliści od sztuczek z pamięcią

Do dziś pozostaje sporne pytanie o cenę, jaką przyszło zapłacić za budowę nowego państwa. Powojenna demokracja niemiecka potrzebowała pozytywnej tożsamości pozwalającej integrować ludzi wokół wartości demokratycznych. Do jakiej przeszłości miała się jednak odwołać, skoro w historię ostatnich 12 lat wpisane było ludobójstwo i wyniszczająca wojna? Negatywna pamięć była nie do pogodzenia z kształtowaniem pozytywnego wizerunku państwa.

Nad pytaniem, jak odbudować duchową substancję Niemców, ciążyła od początku ambiwalencja ducha i polityki. Wyraził ją dobitnie pisarz Günter Kunert:

„Słowo Niemcy z trudem przechodzi mi przez usta. (...) Nazwa ta jest jakby naczynie wypełnione po brzegi starymi i nowymi sprzecznościami. Nierozerwalnie ze sobą połączeni Heinrich Heine i Heinrich Himmler, Weimar i Buchenwald. Arcydzieła mistrzów sztuki, a zarazem śmierć jako mistrz z Niemiec. Bogactwo artystów i jeszcze więcej specjalistów od sztuczek z pamięcią".

Tezy wyrwane z kontekstu

Zmagania Niemców z przeszłością, z rozpoznaniem istoty, skuteczności narodowego socjalizmu i jego mechanizmów uwiedzenia mas jest procesem, w którym liczy się przede wszystkim jego oddziaływanie na teraźniejszość. Bo zbiorowa pamięć to ogromny potencjał polityczny.

W tym kontekście obiecująco brzmi tytuł książki zbiorowej wydanej ostatnio przez Ośrodek Studiów Wschodnich „W służbie przyszłości. Polityka historyczna zjednoczonych Niemiec" pod red. Anny Kwiatkowskiej. Reklamująca książkę notka odredakcyjna zachęca do jej lektury jako inspirującej, bo „stawia pytanie: jak my, w Polsce, chcemy prowadzić własną politykę historyczną?".

Jako autorka m.in. wprowadzającego rozdziału formułuje Kwiatkowska tezy, które rzutują na charakter całej pracy. Nie kryje przy tym, że głównym zamysłem autorów jest pokazanie, jak Niemcy wykorzystali politykę pamięci dla odbudowy swej pozycji moralnej, politycznej i gospodarczej na świecie. Wniosek dla autorki jest prosty: tylko państwa, które dbają o swoje miejsce w historii, mają możliwość kreowania swego wizerunku w świecie i realizacji własnych interesów.

Książka ta budzi we mnie sprzeciw. Tezy autorki wyrwane są z kontekstu historycznego i spuścizny całej ogromnej literatury na omawiany tu temat. Nie dostrzega ona, że w ciągu 80 lat od zakończenia II wojny światowej ukazały się w Niemczech, w Polsce i na świecie opracowania, w których dokonano głębokiej analizy wszystkich fundamentalnych problemów związanych z polityką historyczną Niemiec.

Zanim OSW wydał „W służbie przyszłości", ukazało się m.in. 50 tomów w serii Poznańska Biblioteka Niemiecka pod redakcją Huberta Orłowskiego i Christopha Kleßmanna, podejmujących najważniejsze zagadnienia obecne w niemieckiej myśli politycznej. A Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie wydało w języku polskim i niemieckim monumentalne „Polsko-niemieckie miejsca pamięci".

Polskie i niemieckie uniwersytety, centralne i lokalne muzea, pisma zajęły się szczegółową problematyką dotyczącą zróżnicowanych instrumentów kultywowania pamięci historycznej w obu krajach.

Przyznali się do winy? Spryciarze!

Główne założenia książki dotyczą nie tylko polityki wobec przeszłości Niemców; mają też być memento dla Polski. Chodzi tu o aktualne relacje polsko-niemieckie i kreowanie wizerunku naszego sąsiedztwa w Europie. Książka zakłada, że Niemcom udało się odbudować utraconą po wojnie moralną podmiotowość, a sukces ten zawdzięczają „narracji konwersji, która zakłada, że im większe było zło popełnione w przeszłości, tym większe może być nawrócenie, a tym samym moralna nagroda". Nie kryje przy tym oburzenia, że „potomkowie sprawców zyskują dziś wyższy status moralny niż potomkowie ich ofiar", co powinno być sygnałem alarmowym.

W książce mnożą się uogólnienia, bezosobowe oskarżenia. Posługiwanie się dziś w odniesieniu do Niemców i Polaków prostą dychotomią: „potomkowie sprawców" i „potomkowie ofiar" prowadzi w ślepą uliczkę. Historia pokazała, że bycie ofiarą z jednej strony jest przywilejem; pozwala mieć roszczenia, oskarżać. Nie czyni jednak lepszym narodem ani lepszym człowiekiem.

Nie uzyskujemy od autorki odpowiedzi na pytanie, w czyjej opinii Niemcy zyskują obecnie wyższy status moralny niż Polacy. Wątpliwości budzi teza, że Polska przez minione dekady była prawie nieobecna w „obiegu narracji historycznych", jak też zasadność wezwania: „Polska ma prawo i obowiązek mówić swoim głosem, domagać się własnych miejsc pamięci". Bo czy ktoś nam dzisiaj zabrania mówić we własnym imieniu?

Pisarz Günter Kunert:
Słowo Niemcy z trudem przechodzi mi przez usta. Nazwa ta jest jak naczynie wypełnione starymi i nowymi sprzecznościami. Połączeni ze sobą Heine i Himmler, Weimar i Buchenwald

Argumentem mającym przemawiać za słusznością przekonań Anny Kwiatkowskiej jest odwołanie się do konstatacji Michała Łuczewskiego, autora cenionej pracy „Odwieczny naród. Polak i katolik w Żmiącej" (2012). Redaktorka mówi jego słowami, przekonana o zasadności jego teorii, która ma polegać na krytyce niemieckiego „modelu konwersji". Jego istota polega na tym, że Niemcy świadomie odcięli się od zbrodniczej przeszłości, by podkreślić moralną wyższość współczesnej wspólnoty nad przodkami.

Tok rozumowania jest prosty: Niemcy oczekują moralnego odkupienia, a w swej narracji przechodzą z pozycji absolutnego zła do absolutnego dobra. Przyznali się do winy i owo „odkupienie" osiągnęli. Mogą teraz „budować obszar działań pozornie altruistycznych: poświęcenie wynika nie z interesu, lecz z pokuty".

Podążając tym tropem, należy przyjąć, że przyznając się do winy, Niemcy osiągnęli moralny zysk. Największe historyczne obciążenie potrafili przekształcić w źródło godności i prestiżu. Za kluczowy element gry o kapitał moralny uznana została zdolność do narzucenia swojej wizji przeszłości – co oznacza konieczność konkurowania z innymi aktorami. Paradoks: im większe zło w przeszłości, tym większe dobro może być udziałem narodu w przyszłości. Im dramatyczniejszy był upadek, tym większe ma znaczenie nawrócenie.

Byle nie konkurencja

Wbrew twierdzeniu autorki Niemcy nie stworzyli nigdy żadnego modelu pamięci. Nie przejawiali roszczenia, by inne narody podążały ich „modelową drogą". Nie dokonali również konwersji. Ewolucja postrzegania własnej historii to nie jednorazowy zwrot, lecz długotrwały proces. Każda generacja Niemców zmaga się z pytaniem, jaki był stopień uwikłania ich przodków w nazistowską ideologię.

„Nieprawdą jest, twierdzi Anna Kwiatkowska, że nie jesteśmy w stanie uświadomić społeczeństwu RFN tragicznej wyjątkowości okupacji niemieckiej w Polsce ani domagać się adekwatnego i sprawiedliwego zadośćuczynienia". Oczekuje niemieckich debat, które doprowadzą do konfrontacji z mitem „pełnego rozliczenia". Przewiduje otwarcie trudnych tematów w relacjach z Polską. Domaga się przywrócenia sprawiedliwości i „pełnej opowieści". Książka nie odpowiada na postawione we wstępie pytanie, jak chcemy w Polsce budować własną politykę historyczną.

Przekonanie, że „niemiecki model uprawiania polityki historycznej uchodzi obecnie za wzorcowy", nie znajduje żadnego uzasadnienia. Polska nie zaniechała pielęgnacji miejsc pamięci. Badaczom polskim i niemieckim, muzealnikom, bibliotekarzom czy nauczycielom po obu stronach granicy udało się wspólnie przepracować wiele trudnych tematów.

Kształtowanie polityki historycznej narodów i państw nie może polegać na konkurencji; kultura pamięci to nie konkurs piękności. W czasach kryzysu przywództwa politycznego na świecie, a także w obliczu wojny w Ukrainie niezbędna jest polsko-niemiecka wspólnota odpowiedzialności. Rozbudzanie konfliktów na tle interpretacji przeszłości nie służy racjonalnej polityce.

Warto pamiętać, jak wiele udało się nam po 1990 r. razem osiągnąć i jak wiele ryzykujemy, poddając w wątpliwość treść i wartość tego dorobku. ●

Tytuł i śródtytuły – „Wyborcza".
Więcej: Wyborcza.pl/magazyn



FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***prof. Anna Wolff-Powęska**

• Historyk idei, politolog, emerytowany pracownik UAM w Poznaniu.

eprasa.pl c8499ac1c9

ALE HISTORIA



PRAWDZIWA HISTORIA RÓŻY

Prorok, żołnierz, mąż

Jako kobieta na imię miała Catharina, jako mężczyzna – Anastasius. Jej (jego) historia zainspirowała Markusa Schleinzera do nakręcenia filmu „Róża", w którym główną rolę brawurowo zagrała Sandra Hüller.

Joanna Banaś

Austriacki reżyser urodził się 8 listopada 1971 roku, dokładnie w 250. rocznicę egzekucji Cathariny Margarethy Linck (1687-1721), ostatniej w Europie kobiety skazanej na śmierć za sodomię, a konkretnie za stosunki seksualne z kobietą. O tej zbieżności dat Schleinzer dowiedział się od zaprzyjaźnionej historyczki w swoje 50. urodziny. Wtedy zaczął badać historie kobiet żyjących jako mężczyźni w XVII i XVIII wieku. Znalazł ich około trzystu, a musiało ich być znacznie więcej, bo świat dowiadywał się tylko o tych, które zostały zdemaskowane.

Dominowały wśród nich protestantki, co reżyser tłumaczył wcześniejszym wydawaniem za mąż dziewcząt w rodzinach katolickich. Te dwa-trzy lata różnicy dawało młodym protestantkom czas na przemyślenie, czego chcą w życiu, i siłę do walki o swoje. Jedne kobiety uciekały przed gwałtami czy przymusowymi małżeństwami, inne szły na front za swoimi partnerami; jedne chciały się uczyć, inne wykonywać prace zastrzeżone dla mężczyzn. Były wśród nich transseksualistki i lesbijki. „Jednak zmiana płci na męską zawsze i pod każdym względem oznaczała awans i poprawę sytuacji materialnej i społecznej kobiety" – twierdzi Angela Steidele, autorka biografii Cathariny Margarethy Linck „In Männerkleidern" (W męskim stroju).

Schleinzer, także współscenarzysta filmu „Róża", umieścił jego akcję tuż po wojnie trzydziestoletniej (1618-1648), oszpecił twarz swojej małomównej i zamkniętej w sobie bohaterki, kazał jej gwałcić jeńców sztucznym członkiem, wręcz przymusił do małżeństwa i pozwolił być ojcem, by po gwałcie zbiorowym, którego padła ofiarą w areszcie, musiała zostać matką. Kazał jej też dowiedzieć się przed śmiercią, że jej żona również została zamordowana w majestacie prawa.

Reżyser przyznaje się do inspiracji dziejami Cathariny Margarethy Linck, ale podkreśla, że filmowa Róża to postać fikcyjna. Z prawdziwą łączą ją jedynie niełatwe dzieciństwo i fakt, że obie w męskim przebraniu walczyły na wojnach i próbowały żyć jako mężczyźni. Szczegóły życia Cathariny Margarethy są znane dzięki zachowanym protokołom jej procesu.

W SZKOLE PASTORA FRANCKEGO

Wojna trzydziestoletnia spustoszyła środkowe Niemcy, a w latach 1682-1683 wybuchła tam jeszcze epidemia dżumy, wskutek której w niektórych okolicach ludność stopniała o połowę. Magdalena Linck, matka Cathariny Margarethy, po śmierci męża tkacza została markietanką. Nieślubną córkę urodziła w Zielone Świątki – 15 maja 1687 roku w Gehofen w dzisiejszej Turyngii. Dziewczynka nigdy nie pozna imienia swego ojca, dowie się tylko, że był żołnierzem.

10 lat później Magdalena wraz z córką znalazły się w miejscowości Glaucha, która dziś jest częścią Halle. Ziemia była tu nierodzajna, miasto często zalewała rzeka Soława, a mieszkańcy żyli występnie – głównie z produkcji alkoholu i wyszynku. Nieobyczajnie zachowywał się nawet miejscowy pastor, który za napaść seksualną podczas spowiedzi został usunięty z Glauchy.

Zastąpił go August Hermann Francke (1663-1727), jak się okazało, ważna postać dla późniejszych losów Cathariny. Pastor Francke wcześniej został wypędzony z Lipska i Erfurtu za odprawianie nabożeństw w nurcie pietystycznym. Pietyści, odnowiciele luteranizmu,

eprasa.pl c8499ac1c9



◀ Za główną rolę w filmie „Róża” niemiecka aktorka Sandra Hüller została nominowana do Europejskiej Nagrody Filmowej
▼ Róża z dzieckiem i żoną Suzanną, w którą wcieliła się Caro Braun podczas ucieczki przed ścigającą ich za sodomię wiejską społecznością
FOT. GUTEK FILM (2)

stawiali na indywidualne przeżycie wiary. Ortodoksyjni luteranie traktowali ich jak sektę, a określenie „pietysta” było w ich ustach obelgą.

W 1695 roku Francke, który wykładał też grekę i języki orientalne na uniwersytecie w Halle, założył w Glausze szkołę dla ubogich dzieci, a rok później również dom dla sierot. Właśnie w nim jako służąca zatrudniła się i zamieszkała wraz z córką matka Magdalena Linck. Po raz pierwszy dziewczynka miała co jeść i gdzie spać, a także mogła się uczyć, co nie było wówczas dane dzieciom nędzarzy i sierotom.

Pastor pomagał im ze szlachetnych pobudek: chciał, by dzieci przezwyciężyły swoją złą naturę i unikały pokus prowadzących do wiecznego potępienia. Kary cielesne stosowano rzadko – dopiero po trzykrotnym nieskutecznym upomnieniu albo po spektakularnych złamaniach dyscypliny.

W szkole Catharina spotkała się z przykładem nierównego traktowania ze względu na płeć: podczas gdy dziewczynki mogły tylko śpiewać pieśni ze śpiewnika, chłopcy uczyli się gry na instrumentach, mogli też prowadzić eksperymenty. Najzdolniejsi kontynuowali potem naukę w liceum, dziewczynki nie miały takiej możliwości.

Mimo starań pastora Catharina nie chciała unikać pokus. Pewnego dnia w środku lata zniknęła. Matka odnalazła ją dopiero po kilku dniach i przyprowadziła z powrotem. Ostatecznie Catharina dom sierot opuściła jako trzynastolatka, dwa lata wcześniej niż większość dziewczynek. Umiała już czytać i pisać, znała Biblię. Catharinę wziął do siebie miejscowy kołodziej, ale kiedy się okazało, że zamiast poznać rzemiosło, ma sprzątać i usługiwać w kuchni, zmieniła pryncypała – postanowiła nauczyć się fachu guzikarza i farbiarza tkanin, co później bardzo jej się przydało.

PROROK RÓŻANA ŁODYGA

Nie wiadomo, co skłoniło Catharinę do opuszczenia Glauchy. Może uciekała przed molestowaniem, wszak po latach przed sądem zeznała, że wybrała męski strój, by żyć cnotliwie. W każdym razie wiosną 1703 roku spakowała swój skromny dobytek w węzełek i samotnie, bez pieniędzy, ruszyła do oddalonego o 55 km miasteczka Calbe. Tu właśnie odmieniła swe życie, po raz pierwszy zakładając spodnie.

Wysoka, postawna, wyglądała jak młodzieniec. Włosy, wcześniej czesane w warkocz, obcięła na wysokości ramion, tak jak nosili je wówczas mężczyźni. W spodnie wsadziła sobie coś w rodzaju lejka, dzięki któremu mogła sikać na stojąco. Przedstawiała się odtąd jako Anastasius Lagrantinus Rosenstengel. Nazwisko było przewrotne: po niemiecku der Stängel (do 1996 roku obowiązywała pisownia „Stengel”) znaczy zarówno „łodyga”, jak i potocznie „kutas”. „Rosenstengel” mogłoby więc oznaczać zarówno łodygę róży, jak i różanego kutasa. Imię Anastasius pochodzi od greckiego anástasis – zmartwychwstanie. Natomiast drugie – Lagrantinus – wymyśliła sama, jak siebie nową.

Po tej przemianie Anastasius wrócił [we fragmentach, w których Catharina występuje jako Anastasius, stosuję rodzaj męski] potajemnie do Halle. Spotkał tam grupę radykalnych pietystów, do których się przyłączył. Przewędrował z nimi pół Niemiec: z Halle do Sory koło Budziszyna, potem przez Czechy i Pragę do Norymbergi. Nie wiemy, jak podczas wspólnych noclegów w drodze zdołał ukryć cechy płciowe oraz menstruację.

W przeciwieństwie do umiarkowanych pietystów ci radykalni byli zwolennikami chrztu przyjmowanego świadomie. Anastasius przystąpił do niego w Norymberdze, wchodząc jak inni katechumeni do rzeki Pegnitz. Podczas ceremonii miał na sobie długą, białą koszulę, a pod nią piersi ściśnięte bandażem. Po trzykrotnym zanurzeniu się w wodzie stał się certyfikowanym mężczyzną.

Jako urodzony w Zielone Świątki czuł szczególną więź z Duchem Świętym. Już w dniu swego drugiego w życiu chrztu, być może za sprawą jakiegoś narkotyku, wpadł w pierwszy trans. Toczył pianę z ust, walił głową o ścianę i zaczął prorokować. Nie zawsze go jednak słuchano: gdy zalecił jednej z kobiet czterdzieści dni bez jedzenia i picia, inny członek grupy natychmiast wpadł w kontrtrans, podczas którego zakazał jej tak drakońskiego postu.

Z kolei pewnego kupca z Norymbergi Anastasius przekonał, że jeśli jego wiara jest wystarczająco mocna, będzie chodził po wodzie. Kupiec mu zaufał i na oczach świadków wszedł do rzeki Pegnitz. O mało jednak nie utonął, bo nie umiał pływać.

To publiczne wydarzenie nadwątliło wiarę w proroctwa Anastasiusa, na dodatek rada miasta wypędziła grupę z Norymbergi. Karierę proroka ostatecznie zakończył w Kolonii, gdzie znów zalecił komuś drakoński post i chodzenie po wodzie. Oczywiście z takim samym żałosnym skutkiem. Został za to wypędzony z grupy. Uciekał trzy dni i noce przez las bez jedzenia i picia. Podczas marszu, jak zezna po latach, diabły walczyły o jego duszę.

MUSZKIETER ZE SKÓRZANYM DILDEM

Po 350-kilometrowym marszu wrócił do Halle – do matki, do kobiecej sukni i imienia Catharina. Ale na krótko, bo już wiosną 1705 ponownie w męskim ubraniu opuścił miasto, by zostać żołnierzem.

W Europie trwała wojna o sukcesję hiszpańską (1701-1714), Anastasius zaciągnął się do najemnych oddziałów księcia Hanoweru walczących po stronie koalicji antyfrancuskiej. Na kontrakcie podpisał się nazwiskiem Beuerlein. Jako prosty piechur, muszkieter uzyskał skromny dochód i męską tożsamość. Zapewne kusiło go też poznawanie świata.

Siarczyście klął i opowiadał sprośne historyjki, więc nikt nie zwracał uwagę na jego wysoki głos i brak zarostu. Piersi ściskał arkuszem blachy, tłumacząc, że to tarcza przydatna w boju. Oprócz skórzanego lejka, dzięki któremu sikał na stojąco, za pomocą pasków przywiązywał sobie do bioder skórzane dildo i dwa sztuczne *testiculi* (jądra). Nie musiał jak inni żołnierze gwałcić kobiet: wdowy i panny same ulegały jego urodzie i urokowi. Niewielu żołnierzy umiało wtedy czytać i pisać, a Anastasius pięknie się wysławiał i rozumiał kobiety. Żadna nie zauważyła, że coś jest nie tak z jego męskością.

Anastasius szybko zrozumiał, że w armii może się stać mięsem armatnim, a nie zamierzał ginąć. Pod koniec maja 1708 roku wraz z dwoma kolegami zdezerterował. Szybko zostali schwytani i skazani na śmierć. Kiedy jego kolega zawisł już na stryczku, Anastasius, stojąc pod szubienicą, postanowił zawalczyć o życie. Tuż przed własną egzekucją wyznał pastorowi, że jest kobietą. Błagał jednak, by ten nikomu tego faktu nie zdradzał, bo to przyniesie wstyd jego wysoko postawionym krewnym. Przejęty pastor go nie posłuchał i natychmiast zgłosił sprawę dowództwu. W obliczu nowych okoliczności wstrzymano egzekucję, Anastasius wrócił do celi, a wyrok śmierci wkrótce anulowano. Po wypuszczeniu z więzienia dawny muszkieter stał się ponownie Cathariną. Miała grzecznie wrócić do matki, do Halle, ale wcale nie zamierzała dotrzymać słowa i szybko ponownie włożyła męski strój.

Po zdemaskowaniu w armii księcia Hanoweru Anastasius jeszcze kilka razy zaciągnął się do wojska. Najpierw do oddziałów pruskich, skąd na skutek donosu pastora Franckego został jednak zwolniony. Następ-



eprasa.pl c8499ac1c9

nie latem 1709 roku przemaszerował 75 km do Wittenbergi, gdzie pod nazwiskiem Peter (lub Lagrantinus) Wannich zaciągnął się do saskich wojsk Augusta II Mocnego. Walcząc w ich szeregach, dostał się pod Brukselą do francuskiej niewoli, z której jednak brawurowo zbiegł. Po ucieczce, tym razem pod nazwiskiem Cornelius Hubsch, przyłączył się do oddziałów heskich. Kiedy zimą stacjonowały one w Rheinfels, wdał się jednak w bójkę, za co spadła na niego surowa kara – „ścieżka zdrowia", czyli bieg wzdłuż szpaleru żołnierzy biczujących skazanego po gołych plecach. Nawet gdyby pozwolono mu zostać w koszuli, zamieniłaby się ona w strzępy i zostałby zdemaskowany. Nie wiadomo jak, ale zdołał uciec tuż przed kaźnią.

I to był koniec jego służby wojskowej.

CZY NA PEWNO JESTEŚ KOBIETĄ?

W 1712 roku 25-letnia Catharina wróciła do Halle. Znalazła tam pracę jako prosta prządka, ale dzięki umiejętności farbowania tkanin szybko awansowała. Pozwalano jej nawet pracować w męskim stroju jako praktyczniejszym. Jednak matkę w Glausze odwiedzała zawsze w spódnicy, żeby uniknąć złych języków.

Choć Anastasius pożegnał się z wojskiem, to okazało się, że ono wcale nie chce pożegnać się z nim. Od 1714 roku w Halle mieściło się dowództwo regimentu księcia Leopolda von Anhalt-Dessau, którego werbownicy wręcz polowali na ludzi. W 1716 roku w ich łapy wpadł także Anastasius, który nie zamierzał jednak wracać w kamasze. Dlatego od razu przyznał się, że jest Cathariną. Mimo to werbownicy, którzy od każdego kontraktu dostawali prowizję, nie chcieli go wypuścić. Skoro udaje mężczyznę, może zostać żołnierzem. Za Cathariną wstawili się jednak pastor Francke, a także jej pracodawca oraz oczywiście matka. Ratusz zlecił oficjalne badania, a kiedy biegli stwierdzili, że bez wątpienia jest kobietą, werbownicy odpuścili.

Ludzie pomogli Catharinie, ale w zamian miała odtąd wyglądać i zachowywać się jak kobieta. „Halle nie chciało jej jako mężczyzny – a więc ona nie chciała już Halle" – pisze Angela Steidele. Catharina znów przebrała się w męski strój i Anastasius opuścił miasto. Poszedł do oddalonego o 90 km Halberstadtu, gdzie osiedliła się liczna grupa Francuzów – hugenotów uciekających przed prześladowaniami ze strony katolików. Tam zatrudnił się u francuskiego wytwórcy pończoch jako drukarz tkanin i farbiarz.

PODEJRZLIWA TEŚCIOWA

Po sąsiedzku mieszkała urodzona w 1697 roku Catharina Margaretha Mühlhahn, córka zmarłego w 1701 roku sztygara płuczki i browarnika. Anastasius zakochał się w niej na zabój.

Początkowo podobał się matce narzeczonej: miał stałą pracę i mógłby utrzymać rodzinę. Przyszła teściowa szybko jednak wyczuła, że kandydat na zięcia jest jakiś dziwny. Jeszcze przed ślubem dopadła go w ogrodzie i kazała pokazać męskie instrumentarium. Stanowczo odmówił. Miał jej odpowiedzieć, że pokaże je wyłącznie żonie. Matka przestrzegła więc córkę, by w noc poślubną dobrze przyjrzała się mężowi. Podczas późniejszego procesu Catharina Margaretha Mühlhahn twierdziła – w co trudno było sędziom uwierzyć – że niczego podejrzanego u Anastasiusa nie dostrzegła. Angela Steidele sugeruje, że być może wyszła za niego właśnie dlatego, że był kobietą.

Ślub wzięli 12 września 1717 roku, a pan młody tak mocno pragnął swej żony, że podczas nocy poślubnej zamierzał zaspokoić ją aż 24 razy. Ostatecznie, jak opowiadała na procesie Linck, udało się trzy lub cztery. Na początku małżeństwa często rozkoszowali się swoimi ciałami, a kochali się tak namiętnie, że podczas jednej z miłosnych igraszek pękło skórzane dildo. Z czasem potrzeby seksualne męża stały się znacznie większe niż temperament żony, która z tego powodu utyskiwała.

Krótko po ślubie Anastasius sprzedał jej mienie wniesione w posagu, a kiedy zaprotestowała, solidnie ją obił. Teściowa zaczęła wówczas namawiać córkę na rozwód i Catharina przeniosła się do matki. Kolejne kłopoty spadły na Anastasiusa, gdy pastor z Halberstadtu dowiedział się, że nie pochodzi on wcale spod Pragi, jak twierdził, tylko z Halle. Nie powiadomił jednak władz, ponieważ bał się skandalu w swojej parafii. Wolał, żeby przebieraniec sam z niej zniknął.

Anastasius oprócz skórzanego lejka, dzięki któremu sikał na stojąco, za pomocą pasków przywiązywał sobie do bioder skórzane dildo i dwa sztuczne *testiculi* (jądra)

NA KŁOPOTY KATOLICY

Anastasius rzeczywiście postanowił uciec z Halberstadtu. Nie był tylko pewien, czy żona pójdzie razem z nim, przecież mogłaby bezpiecznie okrzyknąć się jego ofiarą. A jednak go nie zostawiła. Szli razem od wioski do wioski, przymierając głodem i żebrząc. Po pół roku takiej tułaczki, gdy ich ubrania zamieniły się w łachmany, Anastasius przekonał żonę, że muszą się na jakiś czas rozdzielić. Ona wróciła do matki, on poszedł do oddalonego o 100 km Hildesheimu.

Poznał tam benedyktyna, który obiecał pomoc, pod warunkiem że oboje małżonkowie przejdą na katolicyzm. Anastasius przystał na tę propozycję i wyruszył do Halberstadtu po Catharinę. Gdy dotarł na miejsce, podejrzliwa teściowa jeszcze raz postanowiła sprawdzić, czy nie jest kobietą. Wraz z koleżanką upiły go i próbowały się dobrać do jego spodni. I wtedy wydarzyło się coś, co wprawiło obie kobiety w zdumienie. Anastasius wstał i zaczął na nie sikać – jak stuprocentowy mężczyzna. Po 15 latach posługiwania się swoim lejkiem doszedł już bowiem do nie lada wprawy. Teściowa była pod takim wrażeniem, że pozwoliła córce jechać z mężem do Hildesheimu.

Benedyktyni skierowali ich jednak stamtąd aż do Münsteru (200 km), do klasztoru jezuitów. Tam po kilkumiesięcznej formacji zostali ochrzczeni i wzięli drugi ślub. On bez wahania, ona ze skrupułami. Pozostali w mieście, ale musieli sobie radzić bez pracy i pomocy zakonników.

Anastasius namawiał żonę, by poczęła dziecko z innym mężczyzną, ale ona nie chciała. Żeby uciszyć plotki, rozpowiadał nawet, że żona jest przy nadziei, a potem – z żalem – że poroniła.

KATASTROFA LUTERANINA

Pod koniec lutego 1720 roku Anastasius zostawił żonę w Münsterze, by na prowincji prosić o wielkopostną jałmużnę. Wrócił na Wielkanoc, jednak wciąż biedny jak mysz kościelna. Ona miała pretensje, on znów ciężką rękę. Wtedy Catharina postanowiła wrócić do matki. Anastasius towarzyszył jej wprawdzie w 300-kilometrowej pieszej wędrówce do Halberstadtu, ale do miasta nie wszedł.

Udał się do oddalonego o 35 km Helmstedtu, licząc na to, że uda mu się wykorzystać misjonarską żarliwość tamtejszych luteranów. Już na miejscu z wielkim przejęciem opowiedział pastorowi Johannowi Friedrichowi Heinemu, jak to życie zniszczyli mu religijnych fanatycy: najpierw rodzice kwakrzy, potem sekta pietystów, wreszcie jezuici, którzy zakazali mu czytać Biblię. Poprosił duchownego, by nauczył go jedynie słusznej wiary Lutra.

Pastor dał się nabrać na jego bajki: zaoferował mu miejsce w klasztorze, dał pracę i uczył religii. 12 maja 1720 roku w miejscowej bazylice Anastasius ochrzcił się po raz czwarty w życiu i został luteraninem. Jego rodzicami chrzestnymi byli szanowani obywatele miasta, którzy w prezencie dali mu aż 25 talarów. Wówczas postanowił przywieźć do Helmstedtu także Catharinę, by wziąć z nią trzeci ślub, tym razem w obrządku luterańskim. Ten plan zakończył się katastrofą.

Gdy tydzień po chrzcie zjawił się u teściowej, by zabrać stamtąd żonę, ta wyrzuciła go z domu. Gdy dzień później wrócił, zasadziła się na niego z sąsiadką i męskim pomagierem. Kobiety wyrwały mu rapier, przywiązały do krzesła i rozcięły spodnie, z których triumfalnie wyjęły skórzane dildo oraz kule imitujące jądra. Matka Chatariny triumfalnie zaniosła do sądu dowody winy zięcia. Jakież było jej przerażenie, gdy nazajutrz aresztowano także jej córkę jako współwinną sodomii, podczas gdy ona tylko chciała się pozbyć niechcianego zięcia.

SEKS BEZ PENISA? NIEMOŻLIWE

W więzieniu umieszczono je w osobnych celach. Na przesłuchania Catharinę Margarethę Linck prowadzono w kobiecym stroju.

Obie oskarżono o sodomię, za którą w tamtych czasach uważano nie tylko seks pomiędzy kobietami lub mężczyznami, ale także masturbację, stosunki oralne, analne (także małżonków), z poganami, przedmiotami, zwierzętami, zwłokami lub z diabłem. Za dozwolony uważano jedynie taki seks, którego celem było sprowadzenie na świat nowego chrześcijanina.

W trakcie procesu sędzia i ławnicy byli bardzo dociekliwi, niezwykle szczegółowo dopytywali o współżycie oskarżonych kobiet: jak głęboko penetrowana była pochwa żony i czy sztuczny członek męża był ciepły czy nie.

Catharina Linck była przekonana o swojej winie i wiedziała, że czeka ją śmierć. Podczas przesłuchań detalicznie opowiadała zarówno o swoim życiu, jak i o współżyciu z żoną. Z kolei Catharina Mühlhahn konsekwentnie zapewniała, że nie miała pojęcia, że obcuje z kobietą. Twierdziła, że Anastasius nigdy nie był w łóżku nago, nie wyczuła też pasków, którymi mocował do bioder sztuczny penis i jądra. Broniła się, że jako prosta dziewczyna i dziewica nie znała budowy męskiego ciała, dlatego skórzane dildo uznała za prawdziwy członek. A mąż jej tłumaczył, że niektórzy mężczyźni mają po prostu pełniejsze piersi.

Nie było więc niezbitych dowodów jej winy: przyznania się samej oskarżonej albo zgodnych zeznań dwóch naocznych świadków. Był tylko jeden świadek: mąż, który twierdził, że skoro pieściła jego piersi i robiła mu fellatio, to pewnie wiedziała, że obcuje z kobietą.

Po przesłuchaniach akta sprawy przesłano na uniwersytet w Duisburgu, by tam orzeczono karę. Profesor prawa tej uczelni orzekł dla Cathariny Linck śmierć na szubienicy oraz spalenie jej zwłok na stosie. Natomiast Catharinę Mühlhahn skazał na tortury, na których miała wyznać swoje winy.

Zgodnie z zarządzeniem króla Prus wszystkie wyroki śmierci musiały przejść jeszcze w Berlinie przez dwie instancje: 35-osobowe Kolegium Kryminalne, a po nim przez dziewięcioosobową Tajną Radę. Kolegium po analizie sprawy wcale nie było jednomyślne. Wprawdzie większość jego członków uważała, że Catharina Linck powinna zostać ścięta, ale część ekspertów uznała, że w ogóle nie doszło do sodomii, bo gdzie nie ma penisa, tam nie ma seksu. I nie było też spermy, której marnowanie uważano za istotę sodomii.

Te opinie trafiły 13 października 1721 roku do Tajnej Rady, która zaleciła, żeby Linck najpierw solidnie obić, a potem umieścić dożywotnio w ciężkim więzieniu i przetrzymywać w nim tak, by nie mogła nikogo uwodzić. Natomiast Mühlhahn miała spędzić w więzieniu trzy lata.

O losie kobiet ostatecznie zdecydował sam król Prus Fryderyk Wilhelm I, oficjalnie homofob, prywatnie wielbiciel wysokich młodzieńców w mundurach. Władca kazał ściąć Linck mieczem, a dla Mühlhahn zatwierdził więzienie.

POCHOWAĆ W MIEJSCU HAŃBIĄCYM

Egzekucja Cathariny się opóźniła, ponieważ władze Halberstadtu nie wiedziały, co mają zrobić z jej ciałem: spalić publicznie czy pochować, a jeśli tak, to czy w poświęconej ziemi? Smoła i drewno były drogie, więc burmistrz wolał uniknąć rozpalania stosu. Szczęśliwie król orzekł, że ciało ma spocząć w miejscu hańbiącym.

Catharina Margaretha Linck została ścięta mieczem 7 lub 8 listopada 1721 roku na Rynku Rybnym Halberstadtu. Kat wywiózł jej ciało za miasto i zakopał obok szczątków innych skazańców.

Gdy wycieńczona Catharina Margaretha Mühlhahn wychodziła na wolność po pięciu latach spędzonych w areszcie i więzieniu, miała ledwie 27 lat. Niespełna rok później wyszła za mąż za Johanna Levina Petersa, prawdopodobnie syna mężczyzny, który pomógł matce zdemaskować Anastasiusa. Urodziła mu troje dzieci, z którymi została z nimi sama, bo mąż nicpoń uciekł po kilku latach. Zmarła w sędziwym na owe czasy wieku 78 lat.

Współżycie seksualne kobiet zostało w Prusach zdepenalizowane w 1851 roku. ●

Film „Róża" Markusa Schleinzera został nominowany do Europejskich Nagród Filmowych w kategoriach: europejska aktorka roku – Sandra Hüller (otrzymała za tę rolę już nagrodę na Berlinale), muzyka – Tara Nome Doyle, scenografia – Olivier Maidinger, kostiumy – Doris Bartlet. Rozstrzygnięcie 16 stycznia 2027 roku.

Korzystałam z: biografii „In Männerkleidern. Das verwegene Leben der Catharina Margaretha Linck alias Anastasius Lagrantinus Rosenstengel, hingerichtet 1721. Biographie und Dokumentation" Angeli Steidele oraz wywiadu Karin Schiefer z Markusem Schleinzerem „Rose ist keine Revolutionärin" (Austrianaustrianfilms.com)

eprasa.pl c8499ac1c9



• **Petro Fedun ps. „Połtawa” (1919-51), działacz OUN, pułkownik UPA, jeden z głównych ideologów zwrotu w lewo ukraińskiego nacjonalizmu**

FOT. ZBIORY ZBIGNIEWA MARCINA KOWALEWSKIEGO

Rewolucja W REWOLUCJI

U schyłku wojny w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów nastąpił zwrot w lewo. „Wypracowaliśmy nasze poglądy w sposób czysto empiryczny”, wyjaśniali jego główni wykonawcy – dwaj młodzi ideolodzy podziemia.

Zbigniew Marcin Kowalewski

W grudniu Moskwa ogłosiła, że odtąd »Międzynarodówka« nie jest już hymnem państwowym”, pisano na początku 1944 roku w zbiorze materiałów szkoleniowych Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). „Komintern już dawno przestał istnieć jako idea, teraz zaś utracił swoją funkcję przykrywki dla imperializmu rosyjskiego. Ile ofiar, wysiłków, krwi i łez – a czyżby wszystko po to, aby garstka ohydnych pasożytów i zdrajców ludu wyprzedała za bezcen zdobycze Wielkiej Ludowej Rewolucji Październikowej z 1917 roku?”.

Rozwiązanie Kominternu „jest ostatnim nikczemnym plunięciem tyrana w twarz milionów robotników, którzy wierzyli w jego uczciwość. Ocierając plwocinę z oczu, miliony pozbędą się jednocześnie trującej zasłony dwudziestu lat kłamstw. I dostrzegą, gdzie leży ocalenie, i odnajdą drogę, która do niego prowadzi. Pod naporem rewolucji narodowych tyrani upadną, imperia się rozpadną, a z ruin i popiołów wyrosną prawdziwe, niezależne i równoprawne państwa, w których, obok niepodległego i zjednoczonego państwa ukraińskiego, będą swobodnie funkcjonowały równie niepodległe państwa reprezentujące wszystkie narody świata. Dopiero wtedy znikną przemoc i wyzysk narodu przez naród, klasy przez klasę, człowieka przez człowieka”.

Autor tych słów – 22-letni wówczas Osyp Diakiw (1921-50) – przeszedł do historii pod pseudonimem „Hornowy”. U boku starszego o dwa lata Petra Feduna zwanego „Połtawą” (1919-51) stał się jednym z głównych teoretyków i ideologów radykalnego zwrotu organizacji dotychczas zdominowanej przez skrajnie prawicowy nacjonalizm integralny na pozycje rewolucyjno-demokratyczne. „Połtawa” i „Hornowy” nadali ton temu zwrotowi i przebudowie OUN, bezlitośnie oczyszczając organizację z dziedzictwa nacjonalizmu integralnego ze względu na jego – jak mówił „Połtawa” – historyczne „bankructwo”.

PRZESŁANIE ZE WSCHODU

Zwrot zaczął się bez ich udziału w latach okupacji niemieckiej na wschodzie Ukrainy, gdzie OUN wysłała z Galicji działaczy, aż do Donbasu. W dotychczas nieznanych realiach radzieckich głównie w kontakcie z młodzieżą ośrodków wielkomiejskich i wielkoprzemysłowych to oni, a wraz z nimi ich przywódca w tej części Ukrainy, Wasyl Kuk, jako pierwsi zrozumieli, że dla ich nacjonalizmu integralnego – produktu prowincjonalizmu słabo rozwiniętej Galicji – nie ma miejsca w tym społeczeństwie, ukształtowanym przez rewolucję z 1917 roku, obalenie kapitalizmu, bolszewizację i stalinizm, i że należy wyrzucić go na śmietnik historii. Zrozumieli, że to nie Galicja powinna narzucać Ukrainie swoje wzorce, lecz Donbas, Krzywy Róg, Odessa, Kijów.

Ich przesłanie padło w zachodniej Ukrainie na podatny grunt lewego skrzydła OUN, dotąd rozproszonego i przygniecionego przez nacjonalizm integralny. W kierownictwie OUN zasiadał marksista Mychajło Stepaniak „Serhij” (1905-67), a na jej czele na Wołyniu stał Jakiw Buseł „Kyjiwski” (1912-45), dla którego traumatyczna była masowa i mordercza antypolska czystka etniczna przeprowadzona tam przez Ukraińską Powstańczą Armię (UPA). Teraz powrócił ze wschodu Kuk (1913-2007). Połączyli swoje siły, aby podjąć walkę o kierownictwo OUN.

eprasa.pl c8499ac1c9

W organizacji pojawiło się też młode pokolenie działaczy ukształtowane przez doświadczenia pierwszej okupacji stalinowskiej, a następnie okupacji nazistowskiej. Na jego czele stanęli „Połtawa" i „Hornowy".

W gimnazjum aktywnie działali w Junactwie OUN, a podczas pierwszej radzieckiej okupacji zachodniej Ukrainy (1939-41) wstąpili na Uniwersytet Lwowski: „Hornowy" studiował filozofię, „Połtawa" – medycynę. „Hornowy", aresztowany przez NKWD za działalność nacjonalistyczną i skazany na 10 lat robót przymusowych, zbiegł z obozu pracy po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej.

„Połtawa", zmobilizowany do Armii Czerwonej, na początku wojny dostał się do niewoli, ale jako Ukrainiec został zwolniony, jak dziesiątki tysięcy rodaków. Wznowił działalność w Junactwie OUN, a następnie w jego kierownictwie.

Wtedy „Hornowy" i „Połtawa" zaprzyjaźnili się i do końca życia ze sobą ściśle współdziałali. Przeszli szkolenie prowadzone przez Busła, na którym ten wprowadził do programu studia nad marksizmem oraz ewolucją ZSRR – nad jego, jak pisał, „staczaniem się po równi pochyłej, od idei budowy światowego państwa robotniczego do idei budowy Imperium Rosyjskiego".

KIEROWNICY IDEOWI

Po aresztowaniu Stepaniaka przez NKWD w sierpniu 1944 roku Buseł stał się głównym teoretykiem zwrotu w lewo. Kiedy we wrześniu 1945 roku zabiło go NKWD, kierownictwo OUN i Komenda Główna UPA zaznaczyły w nekrologu, że wypracował „nowe idee walki rewolucyjnej z ZSRR, a szerzej – z całym światowym systemem imperialistycznym". „Hornowy" i „Połtawa" stali się jego spadkobiercami ideowymi. „Połtawa" objął kierownictwo Głównego Ośrodka Propagandy – aparatu ideologicznego – OUN oraz Wydziału Wychowania Politycznego Sztabu Generalnego UPA, „Hornowy" został jego zastępcą.

Byli autorami kilkudziesięciu tekstów, w tym fundamentalnych w historii zwrotu OUN w lewo. Wszystkie opublikowano z aprobatą kierownictwa, a konkretnie przewodniczącego gen. Romana Szuchewycza „Tarasa Czuprynki" (1907-50) oraz wiceprzewodniczącego płk. Wasyla Kuka „Łemisza", jako wykładnie oficjalnych stanowisk OUN. Kiedy ich publikacje wywołają poruszenie w kręgach skupionej wokół Stepana Bandery integralnie nacjonalistycznej emigracji i gdy ostro zakwestionują one reprezentatywność ich pism dla krajowej OUN, kierownictwo w kraju oświadczy, że mają one charakter oficjalny, zapewniając zarazem, że „nie ma w nich żadnych »odchyleń marksistowskich«".

Poparcie Kuka nie dziwi, był przecież jednym z tych, którzy w 1944 roku skonsolidowali lewe skrzydło OUN. Jego spory z „Połtawą" są znane: Kuk czytał przedłożony mu do zatwierdzenia rękopis „Połtawy", wykreślał słowo „socjalizm" i wpisywał w jego miejsce „społeczeństwo bezklasowe". Autor protestował, argumentując, że to, o czym mówi, na świecie nazywa się „socjalizmem". Kuk pozostawał nieugięty: jeśli Stalin mówi o socjalizmie, my mówmy o społeczeństwie bezklasowym. Między nim a Kukiem nie doszło do poważniejszych rozbieżności.

A Szuchewycz, choć był dawnym nacjonalistą integralnym, wprawdzie bardziej pragmatycznym niż fanatycznym, teraz pisał do Bandery w ślad za „Połtawą", że „nasz światopogląd zbankrutował jeszcze przed wojną". Co więcej, nie ukrywał, że widzi w „Połtawie" swego następcę na czele OUN.

RADZIECKA KLASA WYZYSKIWACZY

Najważniejsze pisma „Połtawa" i „Hornowy" poświęcili wyzyskowi pracy i imperialistycznemu charakterowi klasy panującej w reżimie stalinowskim, a także poglądowi, że ZSRR ani nie zmierza ku komunizmowi, ani nie buduje socjalizmu.



◀ **Z prawej Osyp Diakiw ps. „Hornowy" (1921-1950), działacz OUN, pułkownik UPA oraz Roman Szuchewycz ps. „Taras Czuprynka", generał, od sierpnia 1943 komendant główny UPA**





▼ **Stepan Bandera (1909-59), przywódca radykalnej frakcji OUN-B, zwolennik integralnego nacjonalizmu i gen. UPA Wasyl Kuk (1913-2007), opowiadający się za nacjonalizmem rewolucyjnym**

FOT. UKRAIŃSKI INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ (2), DOMENA PUBLICZNA

„Hornowy" stwierdzał: „Stalinowscy wielmoże, wychodząc z założenia, że w ZSRR zbudowano już pierwszą fazę komunizmu, socjalizm, twierdzą, że obecnie przechodzi się do drugiej, wyższej fazy, czyli do rozwiniętego komunizmu – innymi słowy, że buduje się społeczeństwo, w którym będzie obowiązywała zasada »od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb«, zaś różnice między miastem a wsią, między pracą fizyczną a umysłową znikną". Lecz „przejście do komunizmu jest niemożliwe, gdyż w Związku Radzieckim nie zbudowano socjalizmu. Ponieważ w ZSRR nie ma społecznej własności środków produkcji, ponieważ panuje okrutny wyzysk człowieka i nie wdrożono zasady podziału według pracy (od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy), nie można mówić o przejściu do komunizmu".

„Wyzysk człowieka przez człowieka opiera się nie tylko na własności prywatnej, która umożliwia gromadzenie ogromnych bogactw w rękach wąskiej mniejszości (obszarników i kapitalistów) – kontynuował „Hornowy". – W ZSRR nie ma prywatnej własności narzędzi i środków produkcji, które odebrano obszarnikom, kapitalistom i kułakom (zresztą tych wytępiono fizycznie), lecz panuje wyzysk człowieka, istnieją wyzyskiwane masy pracujące oraz partyjni wyzyskiwacze. W ZSRR klasa wyzyskiwaczy ukształtowała się nie na podstawie własności prywatnej, lecz na podstawie nieograniczonej władzy partii".

Z tego powodu „w ustroju bolszewickim obserwujemy proces przeciwny do tego, jaki zachodzi w ustroju kapitalistycznym", gdyż „w ustroju tym to bogactwo prywatne zapewnia władzę polityczną w państwie, natomiast w ustroju bolszewickim to władza polityczna pozwala na gromadzenie dóbr materialnych i swobodne nimi dysponowanie".

W publikacjach OUN analizowano specyficzne dla ZSRR formy wyzysku: najważniejszą pozycją w tej dziedzinie stanie się książka Kuka „Niewola kołchozowa".

Dlatego, stwierdzał „Połtawa", aby obalić władzę tej „klasy pasożytniczej", nie potrzeba rewolucji zmieniającej istniejący system własności, lecz rewolucji wprowadzającej demokrację polityczną. „Ustrój demokratyczny w przyszłym państwie ukraińskim, gdzie władza będzie wybierana przez lud i sprawowana pod jego kontrolą, wykluczy możliwość powstawania klas wyzyskiwaczy na podstawie przywilejów politycznych". Aby jednak podział narodu ukraińskiego na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych się nie odrodził, tym razem na gruncie społeczno-ekonomicznym, „aby narodu tego nie rozdarła walka klas", ani aby nie był narażony na kryzysy gospodarcze, konieczne jest „uspołecznienie wszystkich sektorów gospodarki". Dlatego ukraiński nacjonalizm rewolucyjny „uważa, że takie uspołecznienie stanowi podstawę nowego systemu społeczno-gospodarczego" oraz że „jednym z mechanizmów pozwalających uniknąć kryzysów jest wprowadzenie planowania do życia gospodarczego – planowa organizacja produkcji i dystrybucji. Takie planowanie jest możliwe wyłącznie w ramach gospodarki uspołecznionej".

W 1950 roku, opierając się na dorobku myślowym „Połtawy" i „Hornowego", kierownictwo OUN sprecyzowało, że aby zapewnić w Ukrainie uspołecznienie głównych środków produkcji, należy: 1) odebrać te środki „rosyjsko-bolszewickim kolonizatorom" i przekazać je „ich prawowitemu właścicielowi, tj. narodowi ukraińskiemu"; 2) zlikwidować polityczny monopol „klasy wielmożów bolszewickich" i zaprowadzić „ład demokratyczny"; 3) wyzwolić masy pracujące, zapewniając im „udział w kierowaniu procesami produkcyjnymi".

ROSYJSKI LUD NIE JEST IMPERIALISTYCZNY

„Połtawa" w wytycznych dla podziemnych redaktorów z 1946 roku sporządzonych wspólnie z „Hornowym" wskazywał, że błędem jest określanie reżimu radzieckiego mianem komunistycznego, ponieważ rządzący ZSRR „wcale nie są komunistami", lecz „zdradzili idee komunistyczne". „Prawdziwi komuniści powinni walczyć tak jak my, ze Stalinem – wyzyskiwaczem robotników i narodów uciskanych". Wyjaśniał również, że błędem jest nazywanie ich „czerwonymi", ponieważ przywódcy ZSRR, „nie mając nic wspólnego ani z komunizmem, ani z socjalizmem", ani „z czerwonym sztandarem, który symbolizuje słuszną walkę klasy robotniczej o swoje wyzwolenie".

„Połtawa" wezwał również do zachowania w pracy propagandowej jasności w sprawie imperializmu stalinowskiego. Nie chodzi tu o imperializm narodu – pisał – bo lud rosyjski nie ponosi odpowiedzialności za politykę reżimu stalinowskiego. Reżim ten uciska i wyzyskuje nie tylko wszystkie inne narody, ale także lud rosyjski, dlatego jednym z zadań ukraińskiego ruchu wyzwoleńczego jest zjednoczenie się z masami rosyjskimi w walce ze „stalinowskim reżimem wyzysku".

W państwach Europy Wschodniej włączonych do bloku rządzące „tzw. partie lewicowe" są radzieckimi agenturami, stwierdzał „Połtawa". Jednak pod istotnymi względami „programy tych rządów i partii w różnych krajach są słuszne z punktu widzenia potrzeb mas ludowych, a reformy, które wprowadzają, są konieczne". „Gdyby za reformami nie stały dążenia bolszewickiej Moskwy do politycznej, gospodarczej i kulturowej dominacji nad tymi krajami, wszystko byłoby w porządku".

Dlatego ukraińscy nacjonaliści nie powinni atakować ani programów tych partii, ani reform przeprowadzanych przez te rządy, ale „wyłącznie kierownictwa tych partii i rządów jako agentów, zdrajców i renegatów na obcym żołdzie". Jednak trzymając się tego, „nie będziemy iść ramię w ramię z reakcyjnymi grupami w tych krajach, które – kierując się swoimi egoistycznymi interesami klasowymi – sprzeciwiają się wszelkim reformom".

Ponadto chcemy, aby środowiska antybolszewickie innych narodów „były świadome, że walkę z bolszewizmem można wygrać tylko wtedy, gdy będzie prowadzić się ją pod hasłami prawdziwie postępowymi i ludowymi oraz gdy przyjmie się rzeczywiście zaawansowany program polityczny i społeczno-gospodarczy", podkreślał „Połtawa". I wymieniał podstawowe punkty programu:

a) system wolnych państw narodowych dla wszystkich narodów; b) demokracja jako

eprasa.pl c8499ac1c9

ustrój polityczny każdego państwa; c) budowa społeczeństwa bezklasowego w oparciu o społeczną własność głównych narzędzi i środków produkcji.

„Jeśli nie przyjmą tego programu, poniosą porażkę, ponieważ nie uda się im uzyskać poparcia mas".

ROZŁAM W DIASPORZE

W 1950 roku w imieniu kierownictwa OUN „Połtawa" wysłał list, w którym wyjaśnił zasady nowego kursu. Skierował go do działaczy na wygnaniu, którzy dzielili się na dwie śmiertelnie wrogie frakcje.

Jedną stanowiły Sekcje Zagraniczne OUN (ZCz OUN) kierowane przez Banderę. Potępiały one „Połtawę" i „Hornowego" za ich rzekomego „ducha pojednawczego", „oportunizm" i „niewolniczy konformizm wobec realiów radzieckich", a jednocześnie oskarżały OUN w Ukrainie o „chwiejność ideologiczną".

Druga frakcja, antybanderowska, skupiała się wokół Zagranicznego Przedstawicielstwa Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej (ZP UHWR), na którego czele stał Mykoła Łebed'. Pod nieobecność uwięzionego w czasie okupacji Bandery pełnił on obowiązki przewodniczącego OUN, a pod koniec wojny został wysłany na Zachód. ZP UHWR popierało nowy kurs OUN w kraju. Traktowało go jako „rewolucję w rewolucji", która była przede wszystkim owocem „rewolucyjnego spotkania działaczy OUN z ludnością ukraińską na terenach centralnych i wschodnich", tj. w okupowanej przez Niemców radzieckiej Ukrainie. Pisma „Hornowego" i „Połtawy" środowisko to rozpowszechniało w diasporze i trzymało się tego kursu pod kierownictwem Łebedia, Myrosława Prokopa i Iwana Koszeliwca – na łamach wzorowanej na „Kulturze" paryskiej i współpracującej z nią „Suczasnisti".

W swoim liście „Połtawa" bronił stanowiska, zgodnie z którym pewne idee propagowane przez bolszewików były słuszne. Na przykład „zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka, kulturalne i dostatnie życie dla jak najszerszych mas ludowych, zniesienie antagonizmów między miastem a wsią, między pracą fizyczną a umysłową". Słuszne były też niektóre posunięcia społeczne, np. „wprowadzenie szkolnictwa średniego i systemu punktów pierwszej pomocy na wsi, bezpłatna opieka medyczna". Uznał, że nacjonaliści nie mogli zwalczać ich jako takich, gdyż byłoby to podejście reakcyjne.

Inaczej wygląda sytuacja, gdy bolszewicy „bronią tych idei jedynie formalnie, ale nie stosują ich w praktyce, a za ideami, które same w sobie są postępowe, ukrywają swoją politykę, która jest całkowicie antyludowa". W takim przypadku „walczymy z praktyką bolszewików, a nie z ich ideami". Natomiast „inaczej to wygląda, gdy mamy do czynienia z fałszywymi teoriami ideologii bolszewickiej, na przykład z teorią Stalina o możliwości budowy komunizmu w jednym kraju, teorią o wyższości narodu rosyjskiego itp. W takich przypadkach zwalczamy również teorię".

NACJONALIŚCI I MARKSIZM

W 1948 roku „Hornowy" i „Połtawa" – mając po swojej stronie Szuchewycza i Kuka – prowadzili walkę ideową z tymi działaczami OUN, którzy bronili dawnego „światopoglądu woluntarystycznego" oraz, ogólniej, filozofii idealistycznej jako podstawy wychowania działaczy. Skarżyli się, że w organizacji nieustannie toczą się dyskusje o rewolucji październikowej, co ludziom „mąci w głowach".

„Hornowy" wyjaśniał, że po pierwsze, działaczy OUN nie obowiązuje żadna konkretna filozofia, lecz ideologia i program organizacji, która ma w szeregach zarówno idealistów, jak i materialistów. Po drugie, „należy odróżnić materializm dialektyczny i historyczny Marksa i Engelsa od materializmu dialektycznego Stalina. Uważamy, że ten pierwszy stanowi filozoficzną szkołę materializmu, a jego krytyka to sprawa nauki", nie zaś organizacji politycznej. „Natomiast zdecydowanie i stanowczo zwalczamy stalinowską wersję materializmu dialektycznego i historycznego, ponieważ jest ona antynaukowa" oraz „stanowi narzędzie partii bolszewickiej służące do legitymizacji jej polityki kolonialnego wyzysku. Nie ma ona nic wspólnego z materializmem Marksa i Engelsa".

„Hornowy" stwierdził: „Wielmożom stalinowskim coraz trudniej jest dostosować się do marksizmu właśnie dlatego, że marksizm jest teorią, która godzi w nich najbardziej, jako zaprzeczenie teorii bolszewików i demaskując ich politykę. Dziś marksizm staje się zagrożeniem dla bolszewizmu, tak jak niegdyś był nim dla caratu".

Ukraińska Partia Rewolucyjno-Demokratyczna (URDP), socjalistyczna, działająca na Zachodzie, bacznie śledziła zwrot OUN w lewo. Popierała nowy kurs nacjonalizmu ukraińskiego i propagowała go na europejskiej i amerykańskiej lewicy antystalinowskiej, a także wśród ruchów antykolonialnych Trzeciego Świata. Miało to odbicie na łamach prasy tych nurtów i ruchów.

W 1950 roku, za pośrednictwem Łebedia i ZP UHWR, URDP nawiązała kontakt z kierownictwem OUN w Ukrainie. Bardzo chciała poznać jego stosunek do marksizmu, ponieważ zgodnie z jej analizami w OUN istniały dwie tendencje: rewolucyjno-nacjonalistyczna reprezentowana przez „Połtawę" oraz marksistowska reprezentowana przez „Hornowego".

W długiej, uzgodnionej z „Hornowym" odpowiedzi „Połtawa" stwierdził: „Zgadzamy się jedynie z istotą krytyki kapitalizmu przez Marksa, podobnie jak pozytywnie oceniamy koncepcję socjalistyczną (tj. prezentowaną przez socjalistów z różnych nurtów) dotyczącą budowy społeczeństwa, które powinno zastąpić społeczeństwo kapitalistyczne". Jednak „nie należy nas zaliczać do marksizmu, ponieważ w najszerszym znaczeniu tego słowa jesteśmy ruchem narodowym, a nie klasowym". „Wypracowaliśmy nasze poglądy w sposób czysto empiryczny, wychodząc od naszych nacjonalistycznych koncepcji ideologicznych".

W sposób empiryczny: to znaczy, jak wyjaśnił „Hornowy" w swoich pismach, wychodząc od tego, że „w ZSRR robotnicy nie chcą ani kapitalizmu, ani stalinowskiego pseudosocjalizmu. Pragną prawdziwego społeczeństwa bezklasowego, prawdziwej demokracji ludowej i wolnego życia we własnych, niepodległych państwach". Innymi słowy, wychodząc od tego, jak twierdził „Połtawa", że „masy radzieckie nienawidzą bolszewickiego »socjalizmu«, ale nie oznacza to, że marzą o kapitalizmie, który obalono na terytorium obecnego Związku Radzieckiego w latach 1917-20. Absolutna większość ludu radzieckiego wyraźnie opowiada się przeciwko przywróceniu kapitalizmu. To wynik rewolucji".

TU NIE MA ŻADNYCH ODCHYLEŃ

Choć „Połtawa" podkreślał, że on i „Hornowy" nie negują „walki klas, ponieważ jest ona faktem i ponieważ w życiu każdy postęp, w tym społeczny, jest niemożliwy bez walki", jako nacjonaliści, nad walką klasową przyznawali prymat walce o wyzwolenie narodowe. Ich koncepcja społeczeństwa bezklasowego nie była socjalistyczna, lecz rewolucyjno-nacjonalistyczna. Uważali, że w następstwie rewolucji narodowych, a tym samym społecznych, budowa takich społeczeństw mogła przebiegać wyłącznie w ramach niepodległych państw narodowych oraz w ramach światowego systemu takich państw. Natomiast z punktu widzenia marksizmu ich powstanie jest niemożliwe, jeśli od samego początku nie wpisuje się on w proces obumierania państw i nie przebiega w skali międzynarodowej. Z tym jako nacjonaliści „Hornowy" i „Połtawa" zgodzić się nie mogli.

Przywódca URDP Iwan Majstrenko skomentował te wyjaśnienia: „Nie znając biografii »Hornowego« i opierając się wyłącznie na jego pismach, w przeszłości charakteryzowaliśmy go jako rewolucyjnego marksistę", lecz „ostatnio zachowaliśmy większą ostrożność", toteż „stwierdziliśmy, że u »Połtawy« dostrzega się szkołę nacjonalistyczną, u »Hornowego« – szkołę marksistowską. Nawet teraz uważamy, że dzieło »Hornowego« »Na bolszewickim froncie ideologicznym« jest marksistowskie. Fakt, że »Hornowy« uważa inaczej, nie dowodzi czegoś przeciwnego".

Mylił się jednak Majstrenko, a nie „Połtawa". On i „Hornowy" zdawali sobie sprawę z różnicy między nacjonalizmem – choćby tak rewolucyjnym jak ich własny – a socjalizmem marksistowskim i nie dopuszczali w tej sprawie żadnych dwuznaczności. Kierownictwo OUN miało rację, oświadczając, że w ich pismach „nie ma żadnych »odchyleń marksistowskich«".

Ignorowanie zwrotu w lewo i sprowadzanie historii i charakteru nacjonalizmu ukraińskiego wyłącznie do jego zwrotu w prawo sprzyja tym, którzy utożsamiają go z faszyzmem

Wiadomo, że lektury „Kapitału" i innych dzieł marksistowskich szerzyły się w kierownictwie OUN, a nawet zachęcało ono do nich, zwłaszcza w pionach podległych Kukowi, który od dawna znał „Kapitał" i „Połtawie". Studiowano je jako jedno z uznanych teraz za ważne, a nawet niezbędne źródło inspiracji dla własnej myśli rewolucyjno-nacjonalistycznej, jak również dla krytyki stalinizmu, a nie dlatego, że przechodzono na marksistowskie pozycje.

Majstrenko pisał dalej: „Informacja przekazana nam przez »Połtawę«, zgodnie z którą »Hornowy« jest długoletnim działaczem OUN i nie wywodzi się z żadnej szkoły marksistowskiej, tylko potwierdza nasze dawne przekonanie, że w realiach ukraińskich naukowe argumenty marksizmu są tak potężne w walce z bolszewizmem, że nawet taki stary nacjonalista jak »Hornowy« musi do nich się odwoływać, aby kształcić młode pokolenie nacjonalistów w kraju".

POLEGLI W WALCE REWOLUCYJNEJ

Majstrenko nie zdawał sobie sprawy z tego, że „Hornowy", podobnie jak „Połtawa", należał do tego młodego pokolenia i był uczniem starszych działaczy nacjonalistycznych z lewego skrzydła. Ci ostatni, pod dominacją nacjonalizmu integralnego, a nawet w okresie jego wołyńskiego paroksyzmu, przetrwali w OUN i zaczęli przełamywać tę dominację. Ich młodzi spadkobiercy już całkowicie ją obalili.

W ostatnim okresie życia „Hornowy", podobnie jak „Połtawa", awansował do kierownictwa OUN i obu mianowano również wiceprzewodniczącymi Sekretariatu Generalnego Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej – najwyższego symbolicznego organu podziemnej władzy walczącej Ukrainy. Ścigany przez wiele miesięcy przez wojska Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego zginął wraz z trzema innymi bojownikami w podziemnym schronie 28 listopada 1950 roku. Trzynaście miesięcy później „Połtawa" zginął w podobnych okolicznościach: również otoczony w podziemnym schronie, on i jego trzej towarzysze popełnili samobójstwo 23 grudnia 1951 roku.

HISTORIA POMIJANA

Najpierw po klęsce Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, którą nacjonaliści proklamowali we Lwowie w 1918 roku i w imieniu której walczyli z odradzającym się państwem polskim, a następnie, po klęsce Ukraińskiej Republiki Ludowej, proklamowanej w 1918 roku w Kijowie i pokonanej przez Rosję radziecką, w nacjonalizmie ukraińskim dokonał się zwrot w prawo.

„Zwrot w prawo" – tak właśnie brzmi tytuł znakomitej pracy Alexandra Motyla „The Turn to the Right: The Ideological Origins and Development of Ukrainian Nationalism, 1919-1929" (1980). To właśnie na gruncie zwrotu w kierunku nacjonalizmu integralnego powstała OUN i działała na nim przez wiele lat.

Z kolei w obliczu radzieckiej okupacji zachodniej Ukrainy w 1944 roku, a następnie w walce prowadzonej z nią aż do 1954, w OUN nastąpił równie radykalny zwrot w lewo, w kierunku nacjonalizmu rewolucyjno-demokratycznego. W ukraińskiej i polskiej historiografii OUN ten zwrot nie stał się przedmiotem badań, ponieważ nie pasuje do polityki historycznej ani do dominujących ideologii. Mówiąc konkretnie, nie pasuje fakt, że w następstwie tego zwrotu OUN przyjęła program opowiadający się za niepodległą Ukrainą nie tylko „bez komisarzy bolszewickich", ale również „bez kapitalistów i obszarników", łączący demokrację polityczną z budową „społeczeństwa bezklasowego, wolnego od wszelkiego wyzysku człowieka przez człowieka".

Zarazem dorobek archeografii ukraińskiej na polu badań nad OUN, najpierw w diasporze, a następnie w samej Ukrainie, jest ogromny i obficie dokumentuje ten zwrot. Część źródeł jest rozproszona w 86 ogromnych tomach dwóch serii „Litopysu UPA" (1978-2024). Zgromadzone zaś są w „Koncepcji niepodległej Ukrainy" (2008, 2013): w dwóch wydanych przez Narodową Akademię Nauk Ukrainy (UNAN) obszernych tomach pism „Połtawy". Wszystkie odnalezione pisma „Hornowego" zebrano zaś w jednym z tomów „Litopysu UPA" (2011).

Lecz paradoksalnie historiografia OUN – z równą starannością, co uporem – pomija to, co ujawnia ogromna i wzorowa archeografia ukraińska. Ignorowanie zwrotu w lewo i sprowadzanie historii i charakteru nacjonalizmu ukraińskiego wyłącznie do jego zwrotu w prawo sprzyja tym, którzy utożsamiają go z faszyzmem. Należy postrzegać jego ewolucję w całości, od początku do końca, ponieważ tylko pod tym warunkiem można zrozumieć, czym był: ani faszyzmem po pierwszym zwrocie, ani socjalizmem – marksistowskim czy innym – po drugim, ale nacjonalizmem narodu uciskanego.

Ten zaś – w zależności od fazy i okoliczności rozwoju – może być zarówno najbardziej reakcyjny, jak i najbardziej postępowy, gdyż w jego łonie toczy się zawsze, ze zmienną intensywnością i różnym powodzeniem, walka ideowo-polityczna. ●

Zbigniew Marcin Kowalewski

• historyk, badacz ruchów rewolucyjnych, w latach 1975-79 pracował na Kubie. W 1981 r. był członkiem Prezydium NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej i działał na rzecz samorządności pracowniczej.

eprasa.pl c8499ac1c9

Fado się nie śpiewa, ono się wydarza...

...to słowa Amálii Rodrigues, która przeniosła fado z knajp lizbońskiego półświatka na światowe sceny. 27 listopada obchodzimy międzynarodowy dzień tej muzyki, tego dnia w 2011 roku fado zostało wpisane na światową listę dziedzictwa UNESCO.

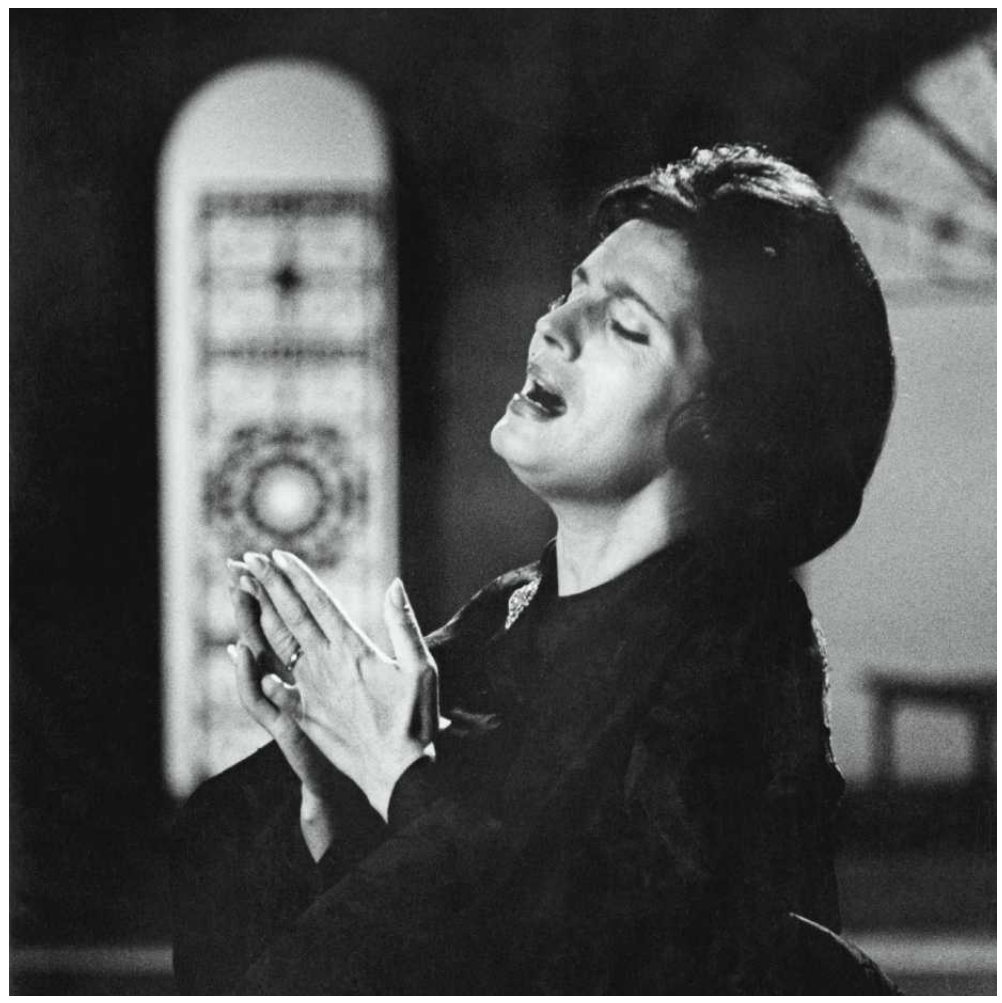

• **Amáli Rodrigues (1920–1999) podczas nagrywania piosenki dla BBC, 4 września 1962 roku**
FOT. ERICH AUERBACH/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

Iwona Słabuszewska-Krauze

Gdyby ktoś tak do niej powiedział „»Amálio, pani jest bardzo ładna«, nie wiedziałaby, gdzie ma się schować. Była okrutnie nieśmiałą osobą" – wspomina Estrela Carvas, przez 30 lat asystentka i przyjaciółka portugalskiej artystki wszech czasów, która nagrała ponad 150 albumów, sprzedała 30 milionów płyt i podbiła cały świat – od rozśpiewanego Madrytu i nieufnego Paryża przez wybredny Nowy Jork po powściągliwą Japonię.

Urodziła się 23 lipca 1920 roku w Lizbonie. Albo 1 lipca, albo 14 – nawet jej rodzina nie była pewna, kiedy Amália przyszła na świat. Ale wiadomo przynajmniej gdzie – w domu na Rua de Martim Vaz pod numerem 86. Łatwo tam dojść od ruchliwego placu Rossio w centrum miasta, wystarczy podejść wąską uliczką trochę pod górę. To dom jej dziadków ze strony matki, Any Rosário i Antónia. Tu się wychowała.

Rodzice Amálii – Albertino de Jesus Rodrigues i Lucinda da Piedade Rebordão – byli zbyt biedni, żeby wychować kolejne dziecko. W sumie urodziło im się ich dziewięcioro, piątka zmarła w niemowlęctwie. Zostawili Amálię u dziadków, a sami, po nieudanych próbach znalezienia pracy w Lizbonie, wrócili do Fundão w regionie Beira Baixa. Dziewczynka miała wtedy nieco ponad rok, do rodziców powróciła dopiero w wieku 14 lat.

Śpiewała, odkąd skończyła cztery. Potrafiła wrócić do domu z kieszeniami wypchanymi cukierkami, które dostała za zaśpiewaną na ulicy piosenkę. „Gdybyś miała takie zdolności do nauki, jak do piosenek...", wzdychała niezadowolona babka. Ana Rosário była dobrze zorganizowaną, surową kobietą, inaczej nie wychowałaby szesnaściorga własnych dzieci. Nad Amálią też się nie rozczulała. Dziewczynka od najmłodszych lat miała domowe obowiązki. Jednym z nich było prasowanie, a musiała to robić bardzo starannie, bo jeśli tylko zostawiła choć niewielką zmarszczkę babka kazała jej prasować od nowa.

Do szkoły poszła jako dziewięciolatka, później niż inne dzieci. Dostała tylko jeden podręcznik, do geografii. Gdy poprosiła babcię o drugi, usłyszała: „tamta książka jest jeszcze nowa, po co ci inna?".

Dziadek zachęcał ją do śpiewania. Siadał z wnuczką przy otwartym oknie i śpiewał tanga Carlosa Gardela. Amália podchwytywała melodie w mig. Ludzie się zatrzymywali. Dziadek liczył: „czterech... sześciu zatrzymałaś swoim śpiewem!".

KIM JEST FADISTA, A KIM FADISTKA?

Edukację zakończyła w wieku 12 lat i poszła do pracy. Była prasowaczką, potem zawijała cukierki w fabryce słodyczy, przez pewien czas wyładowywała węgiel ze statków.

Nie przestawała śpiewać, choć rodzina, nawet bracia, ostro ją za to karcili. Nie ma się co dziwić. Fado wprawdzie dawno wyszło z domów publicznych i tawern, było chętnie słuchane, od dekady obecne w radio, a nawet w kinie (film „A Severa"), ale nadal kojarzono je z portowym życiem, wędrownymi żebrakami, półświatkiem, szemranym towarzystwem. Fadista był kimś podejrzanym, a fadistka kurtyzaną.

Amália zmieni te skojarzenia i nada muzyce fado zupełnie nowe oblicze.

W 1938 roku jako 18-latka w tajemnicy wystartowała w Wiosennym Konkursie Fado. Oczarowała jury, ale do ścisłego finału nie weszła. Sama z niego zrezygnowała. Nie wytrzymała wrogiej atmosfery za kulisami i presji ze strony pozostałych uczestniczek, które zdały sobie sprawę z tego, że talent młodziutkiej Amálii zmiecie je ze sceny.

Podczas konkursu poznała Francisco da Cruz, gitarzystę amatora, który w czerwcu 1940 roku zostanie jej pierwszym mężem. Nieudane małżeństwo przetrwa niespełna trzy lata.

Splot szczęśliwych przypadków zaprowadził Amálię do Retiro da Severa, kultowego w tym czasie casa típica. Podczas przesłuchania klienci lokalu zaczęli opuszczać stoliki i schodzić do piwnicy zwabieni śpiewem Amálii. Właściciel knajpy Jorge Soriano nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z wielkim talentem.

Rodzina Amálii dalej była przeciwna śpiewaniu, jednak Soriano wytrwale nachodził jej matkę. Przekonywał ją, że lokal jest najbardziej prestiżowy i najelegantszy w mieście i nie musi się bać o reputację Amálii. Obiecywał godziwe zarobki zagwarantowane w kontrakcie. Matka w końcu się zgodziła.

Podczas pierwszego występu Amália miała tylko trzy piosenki w repertuarze, ale wielokrotnie bisowała. Ponieważ nie stać jej było na nową sukienkę, dostała zaliczkę na ubranie i buty. Już samo to było wielkim wydarzeniem. W Retiro występowała przez sześć miesięcy. Potem otrzymała propozycję od innego casa típica za dużo wyższą gażę. Przeniosła się, a z nią jej coraz liczniejsi fani.

CISZA! BĘDZIE ŚPIEWANE FADO!

Wkrótce los zetknął ją z José de Melo, przedsiębiorcą o świetnej intuicji, który zaproponował, że zostanie jej menedżerem i impresariem. Przekonał Amálię, że zarabia ona za mało – w normalne dni bilet do lokalu kosztował 25 centavo, a kiedy śpiewała Amália, cena rosła do siedmiu i pół escuda. Amália nie była tego świadoma, cieszyła się po prostu, że sala jest pełna.

José na wiele lat stał się jej osobistym doradcą. Od 1940 roku dbał o jej interesy, windował gaże, zapełniał grafik występów, nie pozwalał podpisywać kiepskich kontraktów. Pod jego skrzydłami kariera Amálii rozwinęła się w błyskawicznym tempie. Jej zarobki sięgały już 1 tys. escudów za jeden występ w Café Luso, podczas gdy stawka „zwykłego" fadisty wynosiła 30-50 escudów, tyle, ile wykwalifikowanego robotnika.

Miała 23 lata, była rozwiedziona i kochała Lizbonę. „Wszyscy mnie adorowali, całe lokale przenosiły się za mną, z jednego miejsca do drugiego...", wspominała. Impresaria byli gotowi na wiele wyrzeczeń, byle tylko śpiewała w ich lokalu. Nikt inny nie gromadził takich tłumów. Nikt nie śpiewał tak hipnotyzująco, nikt tak nie poruszał. Fado w wykonaniu Amálii traciło swój ludowy charakter na rzecz dramatyzmu, ekspresji, emocjonalności. „Fado się nie śpiewa, ono się wydarza, fado się czuje, nie rozumie się go, nie objaśnia", mówiła.

„Cisza, będzie śpiewane fado!", na taki okrzyk wszyscy milkli, a Amália snuła opowieść o tęsknocie, miłości, zdradzie i pożegnaniu, budując napięcie i docierając do najgłębszych zakamarków serca.

REWOLUCJA NA SCENIE

Saudade, nieodłączny element fado, udzielało się słuchającym. To rodzaj nostalgii, melancholii i tęsknoty, ale niekoniecznie niosących ze sobą ciężar smutku. *Saudade* może być tęsknotą za czymś, co już minęło, ale też i za tym, co nadejdzie w przyszłości. Może łączyć się z poczuciem utraty, ale dawać pocieszenie płynące ze szczęśliwych wspomnień.

„Kiedy zaczynałam śpiewać, fado było bardzo ciasnym pojęciem, jak jednopokojowe mieszkanie, natomiast mój sposób śpiewania dodał dwa pokoje. W tamtym pojedynczym pokoju nie czułam się wolna. Mój głos chciał się wyrwać, ale drzwi były wciąż zamknięte. Musiałam zatem śpiewać po swojemu" – tłumaczyła Amália.

Miała nie tylko potężną, operową skalę głosu oraz „rysy stworzone do greckiej tragedii", ale i wielką charyzmę sceniczną. Wprowadziła wiele zmian. Przed nią fadistka śpiewała z dłońmi na biodrach, przytrzymując swój kolorowy szal, była dosyć statyczna. Amália nie stała bez ruchu, przemieszczała się, dołączała gestykulację i eksponowała gitarzystów, zwykle schowanych w tyle sceny.

Ubierała się zazwyczaj w elegancką czerń, a jej długie suknie stały się kanonem mody w fado. Wybór czarnej sukni podyktowany był pragmatyzmem – Amália początkowo nie miała środków na ekstrawaganckie stroje, poza tym chciała, aby publiczność skupiała się na śpiewie, a nie wyglądzie artystki. Dlatego reflektory były skierowane na jej twarz i dłonie, suknia zaś ginęła w mroku. No i szal... też czarny, zarzucony luźno na ramiona, z frędzlami kołyszącymi się przy każdym ruchu, taki, jakie nosiły ubogie kobiety z nadrzecznej dzielnicy. Stał się obowiązkowym elementem stroju Amálii.

SZARGANIE ŚWIĘTOŚCI

Interpretowała stare, znane melodie fado, ale w nowatorski sposób. Śpiewała też swoje wiersze, choć długo nie przyznawała się, że jest ich autorką. Pierwsze utwory specjalnie dla niej zaczął pisać w 1942 roku Frederico Valério, a jego „Fado do Ciúme" w wykonaniu

eprasa.pl c8499ac1c9

Amálii natychmiast stało się ogólnokrajowym szlagierem.

Współpracowała z wybitnym gitarzystą i kompozytorem Fernando de Freitas oraz portugalskim poetą Davidem Mourão-Ferreira, autorem m.in. kultowej „Barco Negro”, pieśni, która otworzyła jej drzwi do paryskiej Olimpii.

Kompozytor Alain Oulman pisał dla niej utwory, których linie melodyczne wykraczały poza schematy konwencji fado, a gdy Amália zaczęła do nich śpiewać wiersze poetów – Fernando Pessoi, narodowego wieszcza Luísa de Camõesa, poetów epoki średniowiecza – wybuchł skandal.

Uważano, że trudna, intelektualna poezja i wyrafinowana linia melodyczna nie pasują do fado, które bądź co bądź ma korzenie w burdelach i szemranych knajpach. Po wydanym w 1965 roku albumie „Amália canta Luís de Camões” zarzucano jej „szarganie świętości” i niszczenie fado. Amália jednak nie ustąpiła. Dzięki jej uporowi fado zostało nobilitowane i podniesione do rangi sztuki wysokiej.

W 1940 roku wystąpiła po raz pierwszy w teatrze, w rewii „Ora Vai Tu!”. Była to kolejna nobilitacja dla fadistów. Trzy lata później wyjechała do Madrytu, zachwyciła się tam flamenco. Z podróży przywiozła hispanizmy, które dodała do odziedziczonych po matce charakterystycznych melizmatów, czyli ozdobników wokalnych wyśpiewanych na jednej samogłosce.

W Brazylii przez trzy miesiące występowała w Cassino Copacabana. Tutaj nagrała też swoje pierwsze płyty, w sumie szesnaście utworów. W Portugalii wyda płytę dopiero w 1951 roku.

LUDZIE KLĘKAJĄ

Mnożyły się jej tournée. W 1950 roku reprezentowała Portugalię podczas koncertów promujących Plan Marshalla w Europie. Wszystkim artystom towarzyszyła wielka orkiestra, ona tymczasem miała do dyspozycji dwóch muzyków – jednego z gitarą portugalską, drugiego z klasyczną. Była przerażona. „W jeszcze gorszym stanie ode mnie znajdowali się gitarzyści – wspominała – którzy za swoimi plecami mieli muzyków doskonale znających się na rzeczy, oni natomiast grali ze słuchu”.

Dostała owacje na stojąco.

Przez cztery tygodnie miała występować w nowojorskim La Vie en Rose. Kontrakt został wydłużony do 14 tygodni. Śpiewała w londyńskim Savoy, rzymskim Teatro Argentina, na innych kontynentach – w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Japonii. W Meksyku porównywano ją do Chelo Flores, we Francji do Edith Piaf.

„Jej głos przeszywa powietrze, czas, przestrzeń. Jest długim lamentem, który tak jak morze, porywa wszystko w wir fali”, pisał recenzent „Le Monde” w maju 1967 roku, trafnie oddając sedno fado. Włoski dziennik „Il Tempo” w listopadzie 1976 roku donosił: „Znajdujecie się w obecności artystki naprawdę unikatowej, jedynej takiej na całym świecie”.

Zdarzało się, że ludzie klękali przed nią po występie.

Nagle, w 1961 roku wyjechała do Rio de Janeiro i stamtąd powiadomiła o swoim ślubie z Césarem Seabrą, brazylijskim inżynierem. Przez sześć lat pisali do siebie i odwiedzali się, ale żadne nie chciało zmienić swego miejsca zamieszkania. Wreszcie 41-letnia Amália powiedziała małżeńskie „tak”, a César przyleciał do Lizbony. Estrela Carvas opowiada, że César był dla Amálii wspaniałym towarzyszem. Solidny, stały, rozkochany w Amálii od pierwszego razu, kiedy ją zobaczył.

TRZY F

Trzymający Portugalię twardą ręką dyktatora António de Oliveira Salazar nie lubił fado. Uważał, że ma rozleniwiający wpływ na charakter Portugalczyków, bo promuje bierność, defetyzm i melancholię. Kiedy Amália zaczęła odnosić gigantyczne sukcesy za granicą, konserwatywni ministrowie Salazara zrozumieli jednak, że fado jest znakomitym ambasadorem Portugalii na świecie i w wykonaniu Amálii może przysłużyć się reżimowi.

W ten sposób fado stało się jednym z filarów tożsamości narodowej opartej na polityce „Trzech F” (fado, Fátima, football). Amália pozostała jednak sobą, a karierę podporządkowywała wyłącznie swoim kryteriom i gustom, wbrew temu, co próbowano jej zarzucić po wybuchu rewolucji goździków 25 kwietnia 1974 roku. Posądzono ją wtedy o romans z reżimem. Amália, zraniona, postanowiła ruszyć w trasę międzynarodową.

Kiedy w Portugalii zaczęły wypływać odtajnione dokumenty, ujawniono, że artystka była inwigilowana przez tajną policję PIDE. Okazało się też, że po kryjomu przekazywała ogromne sumy na pomoc dla więźniów politycznych i ich rodzin, wspierała wygnanych Portugalczyków, chroniła przyjaciół przeciwnych reżimowi i starała się wpłynąć na uwolnienie więźniów politycznych, m.in. słynnego kompozytora fado Alaina Oulmana.

Portugalczycy uderzyli się w pierś i zrehabilitowali wielką artystkę. Amália w wywiadzie z 1989 roku podsumowała tamten trudny czas: „Kiedy im pasowało, byłam komunistką, kiedy nie pasowało – byłam faszystką”.

Wystąpiła w dwunastu filmach fabularnych, w pierwszym w 1947 roku. W Polsce można było obejrzeć opowieść biograficzną o Amálii w reżyserii Carlosa Coelho da Silvy „Amália. Królowa fado” (2008).

KRÓLOWA FADO

Prywatnie „Rainha do fado” była bardzo towarzyska. W jej domu przy jednym stole zasiadali muzycy, artyści, ministrowie, nędzarze z biednych dzielnic, zagraniczne gwiazdy, poeci... status społeczny nie miał dla Amálii żadnego znaczenia.

Estrela Carvas, która mówiła o sobie, że cierpi na „ameliozę”, pisała, że Amália lubiła zatrzymywać się przed domami z kwiatami. Jeśli gdzieś podczas podróży widziała ładny ogród, wzruszała się. Pukała do drzwi i pytała, kto wyhodował takie piękne rośliny.

Po koncertach podchodzili do niej ludzie z prowincji, ze wsi i zapraszali do siebie. Korzystała z tych zaproszeń. Jadła u nich chleb domowego wypieku, oliwki i piła hektolitry herbaty (nie kawy!). Nie przyszłoby jej do głowy, by czegokolwiek odmówić.

O swoim sukcesie mówiła: „Jak mogłabym się tym wszystkim chwalić, skoro nic nie zrobiłam, by się to wydarzyło. Muszę jedynie dziękować Bogu”.

Bywała depresyjna. W młodości połknęła trutkę na myszy, chcąc uwolnić się od nędzy i kontrolującej jej każdy krok matki. W dorosłości chciała zakończyć życie, gdy podejrzewała (niesłusznie), że ma nowotwór złośliwy.

Zmarła 6 października 1999 roku w wieku 79 lat w swoim domu na Rua de São Bento w Lizbonie na skutek wylewu. Po jej śmierci ogłoszono trzy dni żałoby narodowej.

Fado w wykonaniu Amálii przekroczyło granice schematów, pokoleń i krajów. Ludzie wzruszali się przy jej piosenkach, mimo że nie rozumieli ani słowa po portugalsku. Odnowiła ten gatunek i sprawiła, że zaistniało kolejne, młode pokolenie fadistów takich jak Mariza, Ana Moura, Dulce Pontes czy często koncertujący w Polsce Pedro Moutinho. U nas fado doczekało się też zupełnie autonomicznego, prestiżowego „Festiwalu Fado” w Grudziądzu.

Źródła: Vítor Pavão dos Santos „Amália Rodrigues, Najsłynniejsza śpiewaczka fado”, wyd. Prószyński i S-ka, 2009; Maria Inês de Almeida „Moich 30 lat z Amálią Rodrigues”, wyd. Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, 2019.

Jasne strony dziejów

Chwalę najntisy

Mówienie o traumie transformacji po 1989 roku w kraju, który przeżył dwie wojny światowe, w tym ludobójczą politykę okupantów, stalinizm i beznadziejne dekady komunizmu, to nie lada śmiałość.

Brzezicki



W wiek XX Polacy wchodzili jako naród bez państwa, podległy mocarstwom, wychodzili zaś z niego z własnym państwem – członkiem NATO i prawie członkiem Unii Europejskiej – oraz ze stale rosnącą gospodarką. Z kraju ludzi emigrujących za pracą, polskich hydraulików, stawaliśmy się celem zarobkowych imigrantów z innych krajów.

Niektórym to nie wystarcza. Marek Beylin w swym omówieniu książki Michała Przeperskiego „Prawie Zachód. Historie polskiej transformacji” podzielił się myślą, jaką zrodziła w nim lektura tejże książki. A mianowicie, że „rządy PiS, kariera Konfederacji, a także mizoginia i homofobia to spadek po transformacji lat 90.”.

Pozwolę sobie się nie zgodzić. Polska ze swoimi politycznymi zawirowaniami nie jest w tym odosobniona w Europie i w świecie. Podobne procesy i zjawiska występują nie tylko w krajach, które, jak Polska, wychodziły z komunizmu, ale także w bardziej rozwiniętych o, wydawałoby się, ugruntowanej demokracji, praworządności i tolerancji. Mamy dziś z jednej strony wojnę (Ukraina i Rosja), dyktatury (Białoruś i kawałek Rosji) oraz państwo, w którym populiści naprawdę odnoszą sukcesy (Niemcy) – doprawdy z naszym zawiłym prawniczo sporem o Trybunał Konstytucyjny jawimy się na tym tle niczym nudna demokracja. Żadne protesty nad Wisłą nawet w przybliżeniu nie przypominały też scen, jakie regularnie pokazują korespondencje z Francji.

Powiedzmy, że Ukraina obciążona komunistycznym dziedzictwem i zaatakowana przez Rosję ma pod górkę. Ale władza oligarchów w tym kraju to wynik własnych zaniedbań lat 90. XX wieku – a jak pisał niedawno Witold Gadomski, Polska właśnie ówczesnym reformom zawdzięcza brak oligarchów.

Powiedzmy też, że Niemcy musieli ponieść koszty transformacji wschodnich landów, stąd może dzisiejsze sukcesy AFD – ale skąd sukcesy Nigela Farage'a w Wielkiej Brytanii? I czy reformami Leszka Balcerowicza można wyjaśnić brexit? Albo – czy Balcerowicz tak reformował w latach 90. XX wieku USA, że Amerykanie zaufali dwukrotnie Donaldowi Trumpowi z jego ruchem MAGA? Czy poparcie dla radykałów we Francji i Włoszech także łacno można przypisać jakiejś transformacji lat 90. XX wieku?

Beylin dostrzega dzisiejsze mizoginię i homofobię, ale pisze to w kraju, w którym coraz powszechniej stosuje się w mediach, także publicznych, feminatywy, liczba kobiet w parlamencie wzrosła, a nieheteronormatywni politycy, aktorzy i ludzie uznani za celebrytów są normą. PRL był krajem znacznie mniej tolerancyjnym – bezpieka prowadziła akcje przeciwko gejom. Także społeczeństwo było mniej tolerancyjne – dla wielu „inności”, także wynikających z chorób i niesprawności. Zespół Downa był tabu, ludzie niewidomi byli praktycznie wykluczeni z życia.

Kościół stał się potężny nie w wyniku transformacji, ale w przeddzień jej. Polityczne znaczenie, ale także rzeczywisty rząd dusz, zyskał w PRL-u i w okresie Okrągłego Stołu. Potem jedynie bronił swych pozycji, co nie było takie trudne w ówczesnym społeczeństwie i z Karolem Wojtyłą w Watykanie.

Polska transformacja była okresem nadziei i realizacji aspiracji pokoleń Polaków. Miała swoją cenę, ale w istocie był to opóźniony rachunek za absurdy gospodarki centralnie planowanej. Czy popełniano wówczas błędy? Oczywiście.

Beylin łaskawie za wszelkie dzisiejsze nieszczęścia nie obarcza jedynie Mazowieckiego i Balcerowicza, bo „większa odpowiedzialność niż pierwszego rządu za błędy i zaniechania spada na kolejne rządy działające w bardziej komfortowych warunkach”.

No właśnie, bo błędy popełniają politycy w każdym ustroju, a wiele zjawisk zachodzących w Polsce jest albo wynikiem globalnych procesów, które w każdym kraju mają też i wewnętrze przyczyny, albo od pokoleń tkwi w części z nas – jak antysemityzm, katolicki obskurantyzm, prorosyjskość.

Nie wiem, w jakim stopniu transformacja lat 90. wpływa na dzisiejsze życie publiczne w Polsce, ale podejrzewam, że w mniejszym niż takie głosy jak Marka Beylina, które dostarczają populistom argumentów i pomagają im wskazać winnych. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

eprasa.pl c8499ac1c9

weekendówka nr 232

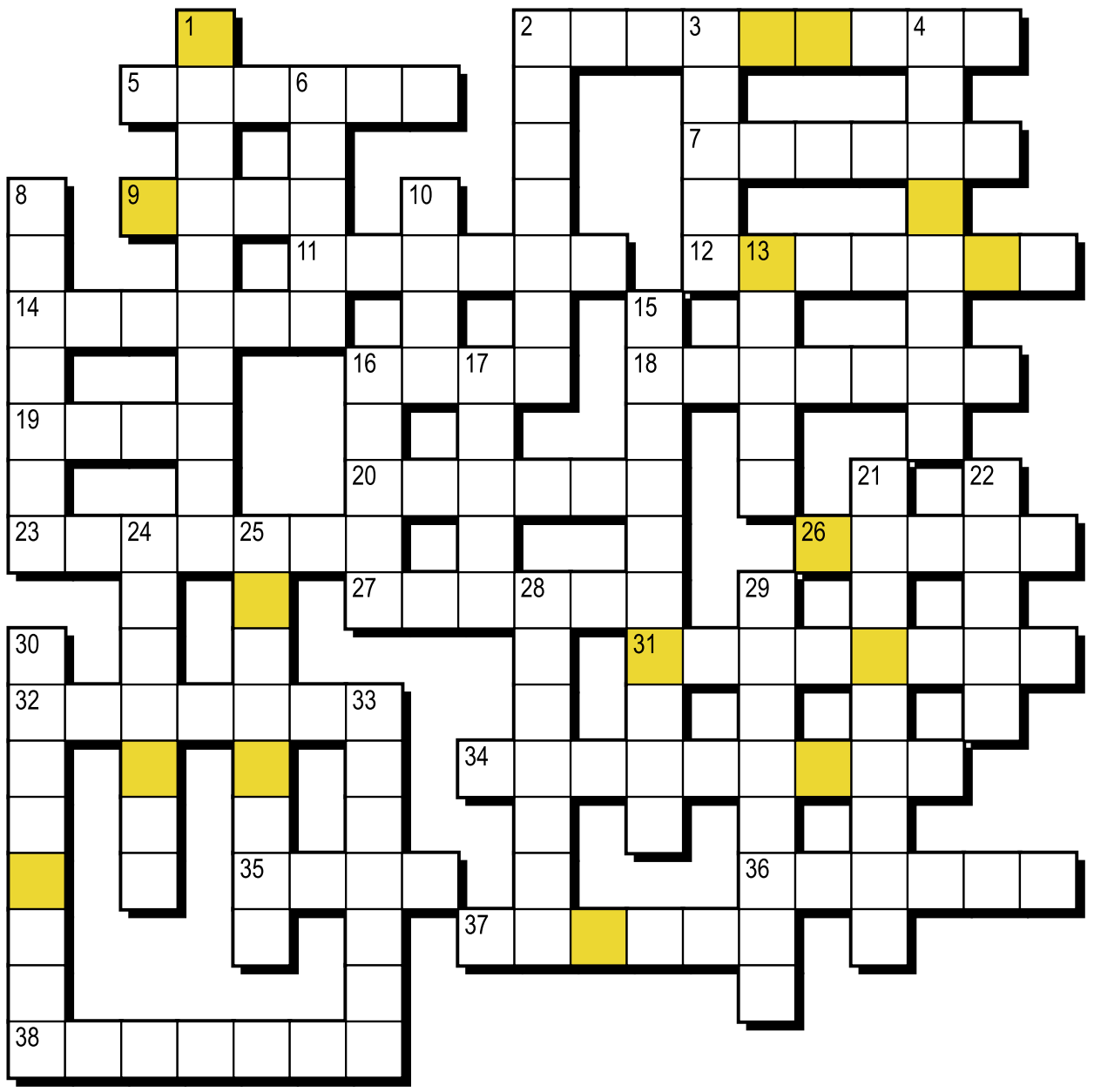

PAŃSTWA, PROSZĘ PAŃSTWA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) ojczyzna Tove Jansson i Jana Sibeliusa
5) hungaryści – Węgry, bohemiści – ?
7) na Pacyfiku, ze stolicą w Funafuti
9) w Afryce, z Bamako
11) na zachód od Świnoujścia, Zgorzelca
12) na Zakaukaziu, z Erewanem
14) kraj, w którym płacono lirami
16) na jej terytorium znajduje się administrowane przez USA więzienie Guantanamo
18) kraj z miastami Graz, Linz i Lienz
19) wyspa Afrodyty
20) Dakarki – Senegal, Ankarki – ?
23) tu płaci się lekami
26) jedyny kraj z pięciokątną flagą
27) na północ od Burundi
31) z Lublaną i Mariborem
32) kraj, w którym rozegrano pierwszy mundial
34) w Ameryce Środkowej, ze słówkiem „kara”
35) kraj, w którym toczy się akcja filmu „Karbala”
36) ojczyzna detektywa Herkulesa Poirota
37) ze stolicą w Lilongwe
38) ... i Barbuda, wyspiarskie państwo na Morzu Karaibskim

Pionowo:
1) oficjalnie ma status państwa wieczyście neutralnego
2) kraj muszkieterów i protestów żółtych kamizelek
3) ona jest jak zdrowie!
4) kraj, z którego pochodzi piosenkarka Björk
6) nazywane Państwem Środka
8) kraj, do którego feralnej nocy nie dopłynął „Jan Heweliusz”
10) z miastem Cuzco – dawną stolicą Inków
13) marzy jej się stłamszenie Ukrainy
15) baza lemurów
16) w 2022 r. był gospodarzem piłkarskich mistrzostw świata
17) jej inna nazwa to Mjanma
21) podobnie jak Brazylia, kojarzy się z telenowelami
22) Makbet – Szkocja, Hamlet – ?
24) z miastem Bużumbura
25) kraj kojarzący się z narciarską kombinacją
28) afrykański kraj z Windhukiem
29) z ujściami rzek Zambezi i Limpopo
30) tu na bogacza można powiedzieć: król lew
33) ojczyzna Usaina Bolta, rekordzisty świata w biegu na 100 i 200 m

Leszek Rydz

Rozwiazania weekendówki nr 231 (krzyżówka „Cyrk przyjechał!”)

POZIOMO:
5) program 6) Bill 8) wiór 9) iluzjonista 12) zabawa 14) słonie 17) trio 18) Orso 19) nowela 20) cyrkowcy 24) miecze 25) treserka 27) foka 29) ekwilibrystyka 30) magik 31) okręcenie

PIONOWO:
1) komik 2) malarz 3) strada 4) Michał Drzymała 7) linoskoczek 8) werbelek 10) ukłon 11) jezioro 13) wstawka 15) artysta 16) żongler 21) rozrywka 22) widowisko 23) Ferdynand 26) kpiarze 28) występ
HASŁO: Triki akrobatyki

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34463082



SZCZEPAN TWARDOCH: Jaka jest nowa powieść laureata Nike?

O czym pisze **OLGA TOKARCZUK** w „Świata jest za dużo”? Inga Iwasiów o nowej powieści noblistki i „pisaniu o ziemioodzyskaniu”

JAROSŁAW KURSKI: Jak pisałem książkę z Michnikiem?

Co nowego napisali John Irving, Margaret Atwood, Julian Barnes, George Saunders czy Douglas Stuart. Kto zachwyca, a kto rozczarował?

Spotkanie Książkowego Klubu Książki, targi, festiwale książkowe oraz przegląd jesiennych nowości

W sprzedaży, również z bezpłatną dostawą do paczkomatu

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl** Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

1 RP

eprasa.pl c8499ac1c9

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

10 / Psychologia
Kiedy związek trzyma ściema

24 / Zdrowie
Zamrożony bark



SANDRA DRZYMALSKA

Villas *i ja*

– rozmowa Pauliny Reiter

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 47 (1418) SOBOTA – CZWARTEK, 28 LISTOPADA – 3 GRUDNIA 2026

eprasa.pl c8499ac1c9

Czego się spodziewała? Nigdy tego



MONIKA TUTAK-GOLL

Tak, została z nim sama w pokoju. Tak, siedziała blisko niego na kanapie. Zwierzali się sobie, rozmawiali o sprawach osobistych. Był wieczór, w pokoju panował półmrok. W pewnym momencie zaczął przekraczać granice. Chciał namówić ją na seks. Nie zgodziła się, odsunęła go od siebie. Wtedy zaczął ją szarpać, zrywać z niej ubranie, rzucił na podłogę. Próbował zgwałcić.

Scena z „Historii równoległych" Asghara Farhadiego doskonale pokazuje, że nic – absolutnie nic – nie usprawiedliwia przemocy. Możesz pójść z nim do klubu. Możesz pić z nim alkohol. Mieć krótką, obcisłą sukienkę. Możesz pójść do jego mieszkania. Możesz siedzieć blisko niego. On nie ma prawa przekroczyć granic. Nie ma prawa do niczego, na co się nie zgadzasz.

Ty nie masz prawa usłyszeć potem: „Czego się spodziewałaś?"

Po alkoholu? Kaca.

Po samotnym powrocie w nocy do domu? Że zaraz będziesz w domu.

Czego się spodziewałaś, idąc wieczorem do klubu? Muzyki. Malując mocno usta? Że będziesz ładnie wyglądać.

Nigdy przemocy.

W nowej kampanii SEXEDPL na 16 Dni Akcji Przeciw Przemocy ze Względu na Płeć mocno wybrzmiewa jedna myśl: przemoc to nie kara za nieuwagę. To zawsze wybór sprawcy. Skończmy z obwinianiem ofiar.

Victim blaming jest niestety wszechobecny. Pod tekstami „Wysokich Obcasów" o skrzywdzonych kobietach (przemoc ciągle w dominującej części dotyczy kobiet, w mniejszej mężczyzn) zawsze pada jedno z tych zdań: „Dlaczego nie odeszła wcześniej?", „Nie wiedziała, w co się pakuje?", „Dlaczego wracała w nocy sama, oszalała?", „Dlaczego była taka głupia? Dlaczego tak późno przejrzała na oczy?". Zakładamy, że to, co przydarzyło się osobie doświadczającej przemocy, mogła przewidzieć. Nie mogła.

Przemoc nie jest skutkiem prowokacji. Ubranie, zachowanie, powrót w środku nocy pustymi ulicami, krótka sukienka (powtarzamy to od lat, trudno uwierzyć, że ciągle trzeba o tym mówić!) to nie powód, by usprawiedliwiać przemoc, by szukać jej przyczyny – mówią specjalistki SEXEDPL.

Osoba doświadczająca przemocy nigdy nie jest współwinna. Nigdy nie jest za przemoc odpowiedzialna.

I nigdy nie powinna się tak czuć.

16 Dni Akcji Przeciw Przemocy ze Względu na Płeć to międzynarodowa kampania, która trwa od 25 listopada do 10 grudnia. „Wysokie Obcasy" co roku wspierają akcję. ▲

Antyprzemocowa linia pomocy SEXEDPL: 720 720 020

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów" i „Wysokich Obcasów Extra"



NOWE „WYSOKIE OBCASY EKSTRA" GRUDZIEŃ 2026

■ **NA OKŁADCE:** Katarzyna Warnke: Cieszy mnie przekora ■ **TEMAT NUMERU:** Longevity: Trend czy przełom. O sposobach na długie życie mówią Beata Ścibakówna, Beata Sadowska, Robert Korzeniowski ■ **PSYCHOLOGIA:** • Randkowanie dojrzałych • Ból poza kontrolą: jak potwór w horrorze • Matki roboty się wypalają • Seks: Męskość pod presją • Dziewczynki z ADHD ■ **MODA:** Tajemnica ciepła: swetry z wełny i kaszmiru

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 47 (1418)
NA OKŁADCE:
SANDRA DRZYMALSKA
SSFOT. ROBERT JAWORSKI/KINO ŚWIAT



eprasa.pl c8499ac1c9

CENTRUM PRASKIE

KONESER

Spędź zimę na warszawskiej Pradze

Zima to wbrew pozorom doskonała pora na odkrywanie miasta. Wystarczy znaleźć miejsce, w którym można połączyć aktywność na świeżym powietrzu, spotkanie z bliskimi i kulturą oraz pyszne jedzenie. Na warszawskiej Pradze takim adresem jest Centrum Praskie Koneser – zrewitalizowany kompleks XIX-wiecznej fabryki, w którym historia spotyka się ze współczesnym miejskim stylem życia.



Wizytę w Koneserze warto rozpocząć od **Praskiej Ślizgawki**, która już tradycyjnie na początku grudnia stanie na Placu Konesera. Piruety na świeżym powietrzu, w otoczeniu klimatycznej, pofabrycznej architektury i lampionów **Jarosława Koziary** to przepis na poprawę nastroju. Zwłaszcza że jest to propozycja zarówno na rodzinne popołudnie, jak i spotkanie z przyjaciółmi czy po prostu przerwę podczas codziennych zakupów.

Po kilku rundach na lodowisku można przenieść się do jednego z muzeów lub galerii. W **Muzeum Sztuki Fantastycznej** czekają prace m.in. Zdzisława Beksińskiego i Jerzego Dudy-Gracza. Ponadto, jeszcze do końca 2026 roku można tam oglądać wystawę **„Wiesław Wałkuski. Plakat i malarstwo"**. Ekspozycja zestawia najważniejsze plakaty artysty z jego obrazami, między innymi z kultowym „Dantonem". – *Wystawa Wiesława Wałkuskiego pozwala zobaczyć artystę z dwóch perspektyw. Zarówno jako wybitnego plakacistę, jak i malarza, który tworzy własny, pełen symboli i niedopowiedzeń świat* – mówi **Magdalena Jaworska**, dyrektor Muzeum Sztuki Fantastycznej.

Dodatkowo, na terenie Centrum Praskiego Koneser w Galerii i Domu Aukcyjnym ToTuart można odkrywać twórczość uznanych artystów i młodego pokolenia. Z kolei Muzeum Polskiej Wódki pozwala poznać historię dawnej fabryki oraz jednego z najbardziej rozpoznawalnych polskich produktów.

– *Koneser to miejsce, w którym można na chwilę zwolnić, oderwać się od codziennych obowiązków i znaleźć przestrzeń na moment wytchnienia. Odpoczynek to jednak nie tylko rozrywka, ale również inspiracja do nowych pasji, pozytywne emocje i czas spędzony z bliskimi. Dlatego tworzymy miejsce, w którym każdy, niezależnie od wieku i zainteresowań, może znaleźć coś, co sprawi mu przyjemność, rozbudzi ciekawość i pozwoli nabrać energii. Chcemy dawać jak najwięcej powodów, by wyjść z domu i spędzić czas inaczej niż zwykle* – mówi **Magdalena Socorro-Czerwińska**, dyrektor komercyjna Centrum Praskiego Koneser.

Charakter Konesera podkreśla jego bogata oferta kulinarna. Wokół Placu Konesera działają restauracje, bary i kawiarnie oferujące różnorodne kuchnie – od włoskiej i azjatyckiej po indyjską i współczesne interpretacje lokalnych smaków. Można tu zatrzymać się na kawę, rozgrzewający posiłek po jeździe na łyżwach lub zaplanować dłuższą kolację.

Centrum Praskie Koneser to propozycja na zimę bez pośpiechu i bez konieczności przemieszczania się między odległymi punktami miasta. Wystarczy wybrać, od czego zacząć i pozwolić, by plan prowadził do kolejnego miejsca. Aktualności, wydarzenia i pełną ofertę kompleksu można znaleźć na **koneser.eu**.

Centrum Praskie Koneser
Plac Konesera 8 | Warszawa
koneser.eu

eprasa.pl c8499ac1c9



SANDRA DRZYMALSKA

Moje *tęsknoty*

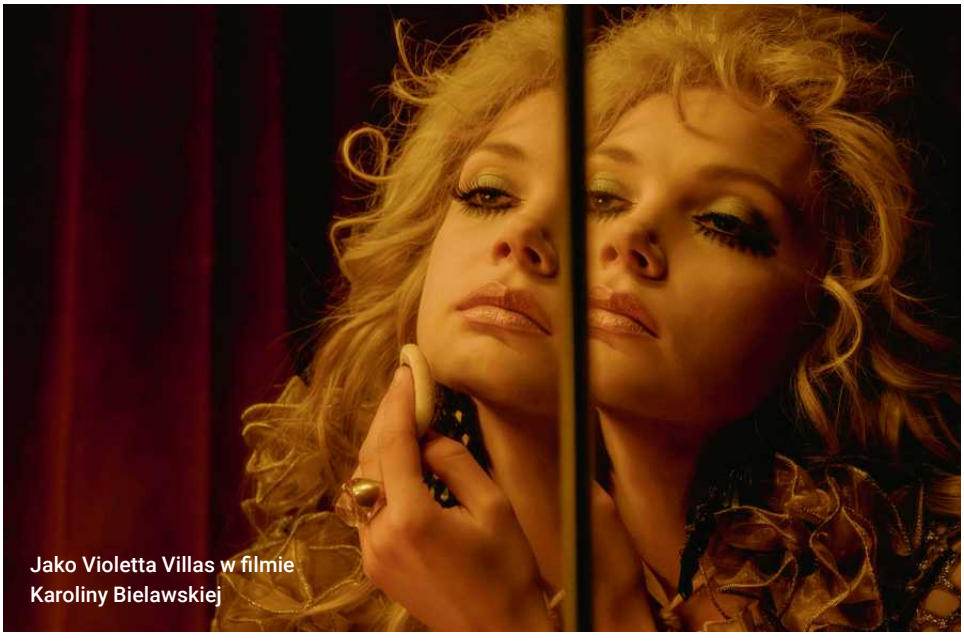

Jako Violetta Villas w filmie Karoliny Bielawskiej

Ja też czekałam na tatę. Wracał z torbą pełną niemieckich żelków. Przez chwilę było święto, potem wyjeżdżał, a mama zostawała z nami sama

eprasa.pl c8499ac1c9

Z **SANDRĄ DRZYMALSKĄ**
ROZMAWIA **PAULINA REITER**

„Po raz pierwszy czułam taką wewnętrzną walkę – ze sobą i z postacią" – mówiłaś o roli Violetty Villas na festiwalu filmowym w Gdyni. Powiedziałaś, że to był dla ciebie bardzo trudny proces. Dlaczego?
– Ten proces był nie tylko trudny, ale i długi, bo trwał dziewięć lat. Gdy pierwszy raz zaproponowano mi tę rolę, nie zdecydowałam się na nią, czułam, że nie jestem gotowa, by się z nią zmierzyć. Propozycja wróciła do mnie po pięciu latach. Kaliber emocjonalny tej historii jest ogromny. Gdy wchodzi się tak głęboko w stany emocjonalne, to zawsze ciało i psychika ponoszą koszt. Im mam większe doświadczenie zawodowe, tym głębiej się zanurzam, dotykam strun, których być może nie chciałabym dotykać w życiu, i dużo trudniej mi się po tym zregenerować.

Do tego dochodziła wymagająca praca na planie – czasami nawet siedemnaście godzin dziennie.

Dlaczego tak wyglądała ta praca? To przecież nieludzkie.
– Tak wyglądał dzień zdjęciowy i decydując się na tę rolę, teoretycznie wiedziałam o tym, że będę na planie spędzać około piętnastu godzin. Za sprawą charakteryzacji wyszło inaczej, czas się wydłużał. Do opowieści o młodej Czesi Gospodarek miałam robioną plastykę twarzy. Charakteryzacja trwała nawet do sześciu godzin plus około 50 minut ściągania sylikonu z twarzy.

Podczas konferencji prasowej popłakałaś się, co było szeroko komentowane.
– Dużo przeżyłam na tym planie. Jestem dumna z siebie, że to udźwignęłam. I jestem wdzięczna mojemu ciału, że dało radę, choć czasami czułam całą sobą, że nie mam już siły jechać na plan. Organizm dużo szybciej wysyła informacje niż głowa – często próbujemy racjonalizować, ale to ciało jest mądrzejsze i stawia granice. Ja mam do niego ogromne zaufanie, dużo z nim przeszłam i nauczyłam się go. Jestem bardzo cielesna i emocje rozładowuję przez ciało – na przykład poprzez sport. Tym razem przekroczyłam granice i reakcja była negatywna zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Gdy gram trudne emocje, to głowa wie, że gram, ale dla ciała to jest odtwarzanie kolejnej traumy i wielki wysiłek.

Historia, którą opowiada reżyserka filmu Karolina Bielawska, jest wstrząsająca. Myślimy: Violetta Villas – kolorowy ptak, diwa. A odsłania się dramat.
– To mnie nie zaskoczyło. Intuicja podpowiada mi, że takie kolorowe, głośne ptaki kryją wielką wrażliwość i ogromną emocjonalność. Villas zdawała się ekstrawertyczką, ale ukrywała problemy, z którymi się mierzyła. Nie mówiła o kosztach, jakie ponosiła za swoje życiowe wybory. Ale ja, pracując w moim zawodzie, wiedziałam, że takie koszty są. A po przeczytaniu scenariusza miałam świadomość, jak ekstremalne emocje będą musiały w niej zaistnieć.

Co w tej historii poruszyło cię najbardziej?
– Relacja między matką i dzieckiem. Każdy z nas ma matkę, ale nie każdy ma taką, jaką chciałby, jaką by sobie wymarzył. Ale też, chociaż nie jestem matką, to domyślam się, że nie sposób być idealną – taką, która nie popełnia żadnych błędów. W tę rolę wpisana jest ogromna odpowiedzialność za wychowanie człowieka.

Przez długi czas matka i ojciec są dla dziecka najważniejszymi ludźmi na świecie, autorytetami, moderatorami świata. To oni kształtują ciebie jako człowieka. I czasem, gdy już jesteś dorosły, uświadamiasz sobie, że popełnili jakieś błędy, które miały wielki wpływ na twoje życie. Pojawiają się bunt, złość, niezgoda i czasami próba wybaczenia. Wybaczenie pojawia się zazwyczaj, gdy zrozumiesz, z czego te błędy wynikały.

Najbardziej podoba mi się w filmie Karoliny Bielawskiej to, że Violetta nie jest w żaden sposób wybielona, jest człowiekiem z krwi i kości. Ma wady i zalety.

Ludzie zapominają, jak młodą osobą była, gdy urodziła Krzyśka. Sama nadal była dzieckiem. Nie była gotowa jeszcze do takiej relacji, do opieki nad nim. Oni właściwie dorastali razem.

Miała 16 lat.
– Tworząc tę rolę, próbowałam sobie to wyobrazić. Próbowałam ją zrozumieć i cofnąć się do tego, kim ja byłam w tym wieku. Nie byłam dojrzała. Mam wrażenie, że zaczęłam stawać się dorosłym człowiekiem jakoś koło 28. roku życia. Ktoś powie – późno. Nadal zresztą mam w sobie dużo z dziecka, ale nie chcę tego w sobie zgubić.

Potem, gdy Violetta znalazła się w Las Vegas, była ledwo po dwudziestce. Ja w tym wieku byłam najbardziej zagubionym człowiekiem na świecie, nie wiedziałam, w jakim kierunku iść, do czego dążyć, miałam tylko w sobie ogromną siłę, determinację i miłość do tego zawodu. Ona była bardzo odważna i próbowała sobie i synowi zapewnić lepsze życie. I choć ich relacja była trudna, to wierzę, że Violetta chciała jak najlepiej – dla syna, dla siebie, dla swojej matki.

Widzimy, jak Czesia, która każe do siebie mówić Violetta, chce się wyrwać z domu rodzinnego, jechać w świat, być artystką. To z tobą jakoś grało?
– Jasne. Wyjechałam z domu, z Wejherowa, do szkoły teatralnej w Krakowie. Ciekawe, że wybrałam szkołę na drugim końcu Polski, prawda? Startowałam tylko tam. Jak mnie zapytasz, czy ze względu na renomę szkoły czy dystans, to odpowiem, że nie wiem. Ale wydaje mi się, że podświadomie próbowałam uciec daleko, bo potrzebowałam niezależności, wolności. I chciałam być w końcu sama, bo w domu rodzinnym mieszkaliśmy w pięć osób na 44 metrach kwadratowych – ja, moich dwóch braci, mama i tata. Sądzę, że potrzebowałam przestrzeni, by pobyć samej, móc dojrzewać, zacząć tworzyć swój indywidualny świat.

eprasa.pl c8499ac1c9



Jako Izabela Łęcka w „Lalce" w reżyserii Pawła Maślony

Nie pochodzisz z artystycznej rodziny. Rodzice rozumieli twój pomysł na siebie?

– Rozumieli, bo sami wybrali swoje zawody, kierując się pasją. Mój tata jest mechanikiem samochodowym, mama pielęgniarką. Oboje od zawsze chcieli uprawiać te zawody. Nigdy od nich nie usłyszałam, że nie mogę wybrać swojej drogi zawodowej. Dostałam od nich bardzo dużo wsparcia i mam je do dziś.

Kiedy przyszłam na świat, moi rodzice byli jeszcze bardzo młodzi – ledwo po dwudziestce. Wiem, że wtedy miało się wcześnie dzieci, ale nie jestem pewna, czy to jest etap na posiadanie dziecka. Moje dzieciństwo było piękne, ale też trochę smutne. Dorastanie w latach 90. nie było łatwe – wyszliśmy z komunizmu i niby już wszystko było, ale tak naprawdę nie było nic. Nie byliśmy biedni, ale liczyliśmy każdy pieniądz. Tata pojechał pracować za granicę, jak robiło wielu ojców, żeby zapewnić nam byt. Nie było go trzy lata. Ten czas kojarzy mi się z wielką tęsknotą i wyczekiwaniem.

Ten motyw też pojawia się w „Violetcie Villas". Jej syn zostaje na wsi z jej mamą, gdy ona jedzie szukać pracy. Wraca po kilku latach.

– My też na tatę czekaliśmy. Wracał z torbą pełną niemieckich żelków i kolorowych rzeczy. Przez chwilę było święto, potem wyjeżdżał, a mama zostawała z nami. Dużo czasu spędzaliśmy z różnymi opiekunkami, bo mama miała dyżury, również nocne. Byłam najstarsza, więc troszczyłam się o młodszych braci – do dziś są mi bardzo bliscy. Dużo było radości, ale też dużo smutku. Z dobrych rzeczy pamiętam, że mieliśmy totalną wolność. Nasze dzieciństwo było dzikie. Rano wychodziliśmy na podwórko, wracaliśmy wieczorem.

Wracając do twojego pytania – mama bardzo mnie wspierała, bo zupełnie nie wierzyłam, że się dostanę do szkoły aktorskiej. Nie chodziłam na profesjonalne warsztaty przygotowujące do egzaminów. Przygotowywała mnie moja polonistka, pani Edyta Łysakowska-Sobieszewska. Dostrzegła moją wrażliwość i ją rozwijała. Jestem jej za to ogromnie wdzięczna. Podsuwała mi bardzo nieszablonowe teksty na konkursy recytatorskie, przedstawienia szkolne. Ale ja naprawdę nie wierzyłam, że to się uda.

To cię odróżnia do Violetty. Ona niezłomnie wierzyła, że będzie śpiewaczką i że zrobi karierę.

– Natomiast ja, gdybym nie dostała się do szkoły teatralnej za pierwszym razem, to nie wiem, kim dziś bym była. Gdybym na tamtym etapie życia usłyszała od komisji, że się nie nadaję, to już bym więcej nie startowała. Zresztą, gdy dostałam się do drugiego etapu, byłam pewna, że i tak się nie dostanę. Tak bardzo w siebie nie wierzyłam, że oznajmiłam mamie, że nie jadę na egzamin, bo to strata ich pieniędzy. Ona powiedziała mi wtedy, że jeśli nie spróbuję, będę żałować do końca życia, i wsadziła mnie w pociąg.

Gdy już się dostałaś do szkoły, uwierzyłaś, że to twoja droga?

– Brakowało mi pewności siebie i czasami nadal brakuje – nawet dziś zastanawiam się, czy się do tego zawodu nadaję, mimo że od dziecka czułam, że to jest moja droga. Zawsze chciałam być aktorką. Pierwszy raz powiedziałam to na głos, gdy miałam sześć lat. Od najmłodszych lat grałam w przedstawieniach. Chociaż byłam nieśmiałym dzieckiem, to pociągała mnie sztuka, tworzenie innego świata. Ale nigdy nie zyskałam przekonania, że zagrałam wystarczająco dobrze. Na przygotowanie się do roli Villas poświęciłam bardzo dużo czasu, a ciągle miałam poczucie, że robię za mało.

eprasa.pl c8499ac1c9

Zrozumiałam, że już nie jestem anonimowa. Dla osoby, która jak ja jest introwertyczką, to nie jest łatwe. *Ale nie zamierzam rezygnować z normalnego życia z tego powodu*



„Violetta Villas", reż. Karolina Bielawska, w kinach

FOT. PIOTR CHODURA; KRZYSZTOF WIKTOR/NETFLIX; ROBERT JAWORSKI/KINO ŚWIAT

eprasa.pl c8499ac1c9

Szkoła aktorska była dla mnie niełatwym etapem, bo byłam jeszcze niedojrzała. Myślę, że gdybym dostała się tam później, jak wiele osób, byłoby mi być może łatwiej i nie traktowałabym wszystkiego tak bardzo serio. Dziś, z perspektywy czasu, wiem, które zajęcia były mi potrzebne, a które nie – gdzie mogłam odpuścić, a gdzie bardziej przycisnąć. Ale podsumowując, to był dla mnie czas wielkiego rozwoju i gdyby nie krakowska szkoła, nie byłabym tu, gdzie jestem.

Dlaczego wybrałaś kino, nie teatr?
– Startując, chciałam grać w teatrze, podobała mi się intymna atmosfera teatru, za to niespecjalnie interesowała mnie sława. Ale jeszcze na studiach zaczęłam dość intensywnie zgłaszać się do etiud studenckich z Katowic i Łodzi, już na drugim roku trafiłam na plan filmowy. I już wtedy zafascynowała mnie kamera – poczułam, że film jest dla mnie czymś lepszym. Jestem indywidualistką. Świat teatralny jest dość hermetyczny, zamknięty, a ja lubię mieć wentyl, wolność. W filmie tworzysz projekt, zamykasz go i ruszasz do kolejnego – do pracy z innymi ludźmi. Moim debiutem fabularnym był „Powrót" Magdaleny Łazarkiewicz, wcześniej grałam jeszcze w serialu „Belfer" – dostałam tę rolę na trzecim roku studiów.

Potem były wielkie role – Simona Kossak, Izabela Łęcka i teraz Violetta Villas. Rzucałaś się na te ikony z odwagą czy z lękiem?
– I to, i to. Z największym lękiem mierzyłam się jednak z Violettą Villas. Łęcka jest postacią fikcyjną, a Villas to prawdziwy człowiek, którego muszę odtworzyć – oddać jej sposób mówienia, śmiania się, poruszania. Nie dość, że musiałam być do tej roli dobrze przygotowana emocjonalnie, to jeszcze formalnie. Przy tworzeniu Izabeli Łęckiej czułam znacznie większą swobodę i miałam niesamowitą frajdę, mogłam poszaleć. Uwielbiam tę postać za jej charakter, dzikość, butę, rozpieszczenie, świetlistość. Grać ją to była ogromna przyjemność.

Ale to chyba oczywiste, że przy kreowaniu każdej postaci towarzyszy mi lęk, każda postać jest wyzwaniem i za każdym razem, gdy wychodzę na plan, czuję, jakbym nic nie umiała i zaczynała od zera.

Ostatnio słyszałam, jak Magdalena Cielecka mówiła coś podobnego w rozmowie z Mariuszem Szczygłem. A więc to poczucie nie mija, mimo doświadczenia?
– Chyba nie. Jak rodzisz postać, to nie wiesz, co z tego wyjdzie, jak ona się w tobie ukształtuje. Zawsze temu towarzyszy lęk: czy podołam, czy to udźwignę. To ciągłe zderzanie się niewiary w siebie i wiary. Bo trzeba jednocześnie wierzyć, że się uda, by móc tworzyć.

Powiedziałaś, że nie szukałaś sławy, ale ta sława przyszła i zostałaś ikoną pokolenia – jego twarzą, głosem. Jak to znosisz?
– Staram się o sławie nie myśleć. Gdy „Lalka" miała swoją premierę, na szczęście byłam na planie kolejnego filmu w Bieszczadach i byłam odcięta od świata. Stamtąd musiałam pojechać na festiwal w Gdyni, i tam mną tąpnęło, tak wielka była przepaść między tymi światami. Praca z Katarzyną Warzechą nad filmem „Miłka" w Bieszczadach była dla mnie niezwykła – byłam w dzikiej naturze, z ekipą filmową, z którą czułam się bezpiecznie. A w Gdyni ciągle jest się w ostrzu krytyki. I jeśli już mam być zupełnie szczera, to mam dość krytyki, która ogranicza się do dwóch słów: „świetny" i „fatalny" o filmach, które kosztują twórców naprawdę dużo energii, czasu, wysiłku, serca.

SANDRA DRZYMALSKA

– ur. w 1993 r., aktorka. W filmie „Violetta Villas" gra tytułową rolę. Wystąpiła także w „Simona Kossak", „Biała odwaga" (nagroda za główną kreację kobiecą na festiwalu filmowym w Gdyni w 2024 r.), „Io", „Filip". Stworzyła też brawurową rolę Izabeli Łęckiej w serialu „Lalka" (Netflix)

Jak znosisz złośliwe czy wręcz nienawistne komentarze w internecie? Te dotyczące urody i talentu.
– Załamuje mnie, że bardzo często robią to kobiety kobietom. Najgorsze komentarze na temat urody dostałam właśnie od kobiet. Jedna pani specjalnie stworzyła rolkę na temat tego, czy moja uroda pasuje do Izabeli Łęckiej. Dla mnie dywagowanie na temat, czy jestem brzydka, czy ładna, to jakiś absurd. Kogo to obchodzi? Jestem aktorką i mam dobrze zagrać rolę. To jest mój zawód. Jak idę do krawcowej, to ma mi coś uszyć. Nie obchodzi mnie, czy jest ładna, czy brzydka. I co to w ogóle są za określenia? W każdej brzydocie jest piękno i w każdym pięknie brzydota.

Te komentarze do mnie trafiają – trudno, żeby nie trafiły skoro przy okazji „Lalki" sprawa mojej urody stała się sprawą wyższej rangi. Chciałabym móc powiedzieć, że to na mnie nie wpływa. Ale wpływa. A najbardziej przykro jest mi nie ze względu na siebie, tylko w szerszym kontekście. Jeśli mnie takie komentarze dotykają – osobę dorosłą, która jest pod opieką terapeutki, dba o swoje zdrowie psychiczne – to jak bardzo muszą boleć młodzież, która dojrzewa w atmosferze przyzwolenia na komentowanie i ocenianie wyglądu i inteligencji. Niestety, mózg działa tak, że nawet gdy przeczytamy 150 pozytywnych komentarzy i jeden negatywny, to zapamiętamy ten zły.

Wracając do sławy...
– Faktycznie stałam się bardziej rozpoznawalna. Gdy wróciłam do Warszawy, w pierwszy wolny piątek wyszłam do pobliskiej knajpki zjeść zupę pho i przez trzy godziny zaczepiło mnie siedem osób, czy może sobie ze mną zrobić zdjęcie. To był dla mnie szok. Zrozumiałam, że już nie jestem anonimowa. Dla osoby, która jak ja jest introwertyczką, to nie jest łatwe. Ale nie zamierzam rezygnować z normalnego życia z tego powodu. Nie mam zamiaru przestać jeździć tramwajem, chodzić do second handów i spożywczego, wychodzić z psem, sprzątać dom własnoręcznie. Rozumiem, dlaczego wielu aktorów jeździ tylko taksówkami czy własnym samochodem, ale ja lubię jeździć tramwajem. Zresztą jest to dla mnie ogromna pożywka zawodowa. Lubię obserwować ludzi. Dużo czerpię ze społecznej prawdy w tworzeniu postaci, a najbardziej fascynują mnie rzeczy dziwne, niekonwencjonalne.

„Już we wszystkim grają Drzymalska i Schuchardt" – słyszę często. Dużo pracujesz.
– Tak, dużo. Ludzie zapominają o tym, że to jest mój zawód. Ja graniem zarabiam na życie. Tak jak każdy człowiek w swoim zawodzie. Mam to szczęście, że kocham to, co robię. Gram i będę grała, jeśli będę mieć propozycję. ▲

eprasa.pl c8499ac1c9

Kiedy związek trzyma *ściema*

Jeśli przez lata się staraliśmy, kochaliśmy i łudziliśmy, możemy uznać, że odejście oznacza poddanie się i porażkę

Z PSYCHOLOGIEM
PIOTREM MOSAKIEM
ROZMAWIA **MAŁGORZATA JUREK**
RYSUNEK **KAMILA SZCZEŚNIAK**

Szczęśliwy związek to związek bez ściem? Czy takie relacje w ogóle istnieją?
– Dobrze by było, ale prawdopodobnie nie da się żyć bez ściem. Mamy ich w sobie tyle, że całe życie je obnażamy i przerabiamy na własną hierarchię wartości. Rezygnujemy z cudzych przekonań i narzucanych nam powinności. Dlatego ściemy będą obecne również w związkach. To nieustanna walka z tym, co jest w nas. Akceptacja i asertywność mają dawać nam szczerość, prawdę i odwagę do mówienia. Dzięki temu szybciej rozpoznamy ściemy i nauczymy się żyć według własnej hierarchii wartości.

A więc coraz częściej wchodzimy w relacje z wykreowaną wersją siebie, zamiast pokazywać, jacy naprawdę jesteśmy?
– Tak, choć dzisiaj mamy mniej niż kiedyś narzucanych norm społecznych i stereotypów. Szybciej rozpoznajemy, że coś nie jest nasze, i potrafimy to zakwestionować.

Jednocześnie od XX wieku rozwija się kreowanie siebie. Udajemy kogoś, kim nie jesteśmy, bo wierzymy, że dzięki temu będziemy atrakcyjniejsi, zdobędziemy ciekawszych partnerów albo uratujemy związek. To rodzaj nieuczciwości.

Wyobraźmy sobie kobietę, która nosi fryzurę, bo wydaje jej się, że podoba się w niej mężczyznom. Kiedy partner mówi, że nie lubi jej w takich włosach, ona odpowiada: „Jakie szczęście, ja też ich nie cierpię!". Oboje żyli według przekonania, którego żadne z nich tak naprawdę nie podzielało.

Dlatego warto najpierw przed sobą przyznać, co nam się podoba i jacy jesteśmy. Funkcjonujemy w różnych rolach: jako rodzice, partnerzy, pracownicy. Nie musimy zachowywać się wszędzie tak samo, ale w każdej z tych ról powinniśmy być prawdziwi. Wtedy łatwiej powiedzieć partnerowi, czego potrzebujemy i co sprawia nam przyjemność.

Jakie ściemy dotyczące związków wpaja się nam od dziecka?
– Jedną z największych jest przekonanie, że związek wymaga kompromisów. Kompromis oznacza rezygnację z czegoś ważnego na rzecz czegoś ważniejszego. Świetnie sprawdza się w biznesie, gdzie możemy obliczyć, co nam się opłaca. W relacji prowadzi jednak często do rozczarowania.

Jeśli rezygnuję z czegoś ważnego, chcę czuć, że to drugie naprawdę było ważniejsze. W przeciwnym razie pojawiają się pretensje: „Ja się dla ciebie poświęciłem, a ty co dla mnie zrobiłaś?". Zaczynamy się licytować i rozliczać.

> Jedną z największych ściem jest przekonanie, *że związek wymaga kompromisów*

Ale przecież nie możemy zmienić drugiej osoby.
– Nie chodzi o zmianę, tylko o rozmowę. Jeśli dobrze się ze sobą czujemy i potrafimy się uzupełniać, możemy szukać złotego środka. A złoty środek i kompromis to dwie różne rzeczy.

Złoty środek jest wtedy, kiedy żadna ze stron nie czuje, że się poświęca. Mówimy: „Okej, to rozwiązanie jest dla mnie akceptowalne". Kompromis brzmi raczej: „Dobrze, zrobię to dla ciebie. Ciekawe, jak mi się odwdzięczysz".

W związku mamy czas rozmawiać, zastanawiać się i przyglądać własnym przekonaniom. Może się okazać, że to, przy czym się upieram, wcale nie jest dla mnie tak ważne. Jeśli partnerowi zależy, a mnie jest wszystko jedno, mogę ustąpić nie dlatego, że się poświęcam, ale dlatego, że kocham go i ważna jest dla mnie jego satysfakcja.

Jakie jeszcze przekonania o relacjach są ściemą?
– Wszelkie stereotypy dotyczące płci. Że kobiety są kiepskimi kierowcami, blondynki są głupie, kobiety nie nadają się do niektórych prac, a mężczyźni są niewrażliwi i nie znają się na dzieciach.

Powtarzamy to bez zastanowienia. Dlatego warto pytać siebie: czy naprawdę tak uważam? Mam na to jakieś dowody czy tylko powtarzam cudze słowa?

Weźmy powiedzenie „rude to wredne". A wśród blondynów, brunetów czy łysych nie ma wrednych ludzi? Bezmyślnie powtarzane hasła i przekonania stają się ściemami. Dotyczą nie tylko zachowania, ale też intelektu, seksualności i oczekiwań wobec kobiet i mężczyzn. Przed wojną powtarzano powiedzenia choćby o tym, że kobietę trzeba trzymać krótko. Naprawdę chcemy tak myśleć w XXI wieku?

Czy szczerość jest w związku niezbędna?
– Tak. Asertywność to prawda i szczerość. Nie muszę codziennie tłumaczyć się ze swoich przekonań, choć mogę je wyjaśnić. Oczywiście najpierw powinienem sprawdzić, czy te przekonania rze-

eprasa.pl c8499ac1c9



eprasa.pl c8499ac1c9

czywiście są moje, czy przejąłem je od społeczeństwa.

Praca nad sobą polega również na tym, że zastanawiam się nad własnymi słowami. Czy naprawdę bym się pod nimi podpisał? Czy chciałbym ponieść ich konsekwencje?

Warto zadać sobie pytanie, czy zaakceptowałbym swoje słowa, gdyby jutro zostały wydrukowane na słupie ogłoszeniowym? Po co mówić rzeczy, których później sami nie chcemy brać na siebie?

A czy są rzeczy, których partner nie musi o nas wiedzieć?

– A dlaczego miałbym coś ukrywać? Jeśli tworzymy związek, w którym dobrze się czujemy, warto się zastanowić, po co mielibyśmy mieć przed sobą tajemnice.

Ale szczerość nie oznacza, że musimy pytać o każdy szczegół. Jeśli ktoś nie chce znać przeszłości seksualnej partnera, niech o nią nie pyta. Trzeba liczyć się z tym, że druga osoba może odpowiedzieć szczerze.

Czy liczba wcześniejszych partnerek lub partnerów naprawdę jest aż tak istotna? Jeśli dowiaduję się, że ktoś miał ich więcej, to przecież nagle nie zmienia się jego wygląd ani osobowość. Ważne jest to, co dzieje się między nami tu i teraz.

Mamy mówić prawdę, ale nie musimy wiedzieć wszystkiego. Zanim więc zadamy pytanie, zastanówmy się, czy rzeczywiście chcemy znać odpowiedź i co nam ta wiedza da.

W książce dużo mówisz o słowach „muszę" i „powinienem". Jak zmienia się nasze życie, kiedy zaczynamy zamieniać je na „chcę"?

– Chodzi o to, żeby rozpoznawać, co jest nasze, a co cudze. Czy ja muszę z tobą być, czy chcę?

Wiele naszych „muszę" wynika z narzuconych przekonań. Dlatego warto przerabiać je na „chcę". Jeśli mówię: „Nie chcę tego, ale muszę", to znaczy, że robię coś wbrew sobie.

Oczywiście nie zawsze możemy od razu zmienić sytuację. Ale jeśli praca nas unieszczęśliwia, warto szukać takiej, do której będziemy chcieli chodzić, zamiast powtarzać: „Muszę, bo mam kredyt". Chodzi o to, żeby stopniowo odzyskiwać wpływ na własne życie.

W swojej książce dajesz przykład pacjentki, która mówi ci, że nie ma siły odejść od partnera. Ty odpowiadasz: „Ma pani bardzo dużo siły, trwając w takiej relacji przez lata. Nie brakuje pani siły, lecz odwagi". Dlaczego tak trudno odejść z niesatysfakcjonującego związku?



PIOTR MOSAK

– psycholog, terapeuta par, trener biznesu i ekspert ds. komunikacji z blisko 30-letnim doświadczeniem. Autor książki pt. „Bez ściemy. Jak przestać udawać i zacząć żyć po swojemu". Uruchomiona zostanie również autorska platforma edukacyjna, wspierająca rozwój osobisty i budowanie zdrowych związków

– Jeśli przez lata się staraliśmy, kochaliśmy i łudziliśmy, możemy uznać, że odejście oznacza poddanie się i porażkę. To kolejna ściema.

Jeżeli związek jest toksyczny lub przemocowy, naprawdę ucieczka od osoby, która nas krzywdzi, jest porażką?

Rozstając się, myślimy o tym jak o tragedii. To rodzaj silnego stresu, zmiany i często wiąże się z lękiem przed oceną społeczną. Ale jeśli relacja nas unieszczęśliwiała, odejście może być sukcesem. Z czasem okazuje się, że przyniosło ulgę.

Jakie ściemy najczęściej zatrzymują nas w złych związkach?

– Przede wszystkim: „On się zmieni". Ale w co on miałby się zmienić?

Możemy nauczyć się pewnych umiejętności, jednak prawdziwa osobowość, charakter i sposób traktowania innych nie zmieniają się tak łatwo. Jeśli ktoś przez lata nas lekceważył, nie zacznie nagle szanować nas tylko dlatego, że boi się straty.

Może zacząć stosować tzw. love bombing, robić to, czego potrzebujemy, i zasypywać nas czułością, żebyśmy nie odeszli. To jednak nie musi oznaczać prawdziwej zmiany, a wynikać głównie ze strachu przed tym, że traci kontrolę nad relacją.

Czy ludzie zostają w złych związkach również dlatego, że boją się przyznać do błędnego wyboru?

– Tak. Działa presja społeczna: „Co ludzie powiedzą?", „Jak to będzie wyglądało?". Do tego dochodzą kolejne nadzieje: może partner się zmieni, może będzie lepiej, kiedy dzieci się wyprowadzą, kiedy dostanie awans albo kiedy ja przestanę się czepiać.

Zaczynamy się dostosowywać na siłę, zamiast uczciwie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w tej relacji naprawdę jest nam dobrze.

Gdzie kończy się zdrowe dostosowanie do partnera, a zaczyna rezygnowanie z siebie?

– Dostosowywanie się do siebie wzajemnie w relacji jest naturalne. Problem zaczyna się wtedy, kiedy robimy coś na siłę, gdy spina nam się brzuch, zaciskamy szczękę, boimy się coś powiedzieć i gryziemy się w język. Gdy czujemy, że to przestaje być nasze.

Jeśli boję się wyrazić własne zdanie, warto zapytać, jaka jest jakość takiego związku. Mogę powstrzymać się od obrażania czy oceniania partnera, ale nie powinienem rezygnować z mówienia o własnych potrzebach.

A co z podejściem: „Taka już jestem. Albo mnie zaakceptujesz, albo do widzenia"? Czy akceptacja siebie nie staje się czasem wymówką, żeby nad sobą nie pracować?

– Bycie autentycznym oznacza pozostawanie w zgodzie ze swoimi uczuciami i przekonaniami w danym momencie. Ale cały czas ewoluujemy. Zmieniają się nasze zainteresowania, przekonania, poglądy i sposób patrzenia na świat. Uczymy się, zdobywamy nowe informacje i powinniśmy brać to wszystko pod uwagę.

Jeśli ktoś mówi: „Taki jestem i się nie zmienię", nie dopuszcza możliwości, że coś może wyglądać inaczej. Tymczasem w związku ciągle coś się zmienia. Przeprowadzamy się, zmieniamy pracę, rodzi się dziecko. Musimy rozmawiać i dostosowywać się do nowych sytuacji.

Pamiętam znajomego, który nigdy nie przewijał dziecka, bo się brzydził. Kiedy spotkaliśmy się z małymi dziećmi, trochę go podpuściłem i w końcu musiał zrobić to pierwszy raz. Przewinął, zamykając oczy, jęcząc i odwracając głowę. Ale przewinął, a żona była wdzięczna.

A czy związek może żyć we własnych, wspólnych ściemach? To zdrowa relacja?

– Oczywiście. Jeśli dwoje ludzi przemyślało swoje przekonania i uznaje, że chce tak żyć, to jest ich świat i ich system wartości.

Weźmy choćby religijne zasady dotyczące jedzenia mięsa w piątek. Jedni uzna-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c8499ac1c9

ją, że mogą od nich odstąpić, inni wolą pozostać przy swoich zasadach. Jeśli oboje partnerzy się z nimi zgadzają i dobrze im z tym, nie ma problemu.

Ktoś z zewnątrz może ocenić to jako ściemę, ale nie oznacza to, że muszą z niej rezygnować. Ważne, żeby wiedzieli, dlaczego tak postępują.

Problem zaczyna się wtedy, kiedy żyjemy według cudzych zasad, nawet nie zastanawiając się, czy są nasze.

Skoro od dziecka uczymy się spełniać cudze oczekiwania, skąd mamy wiedzieć, jacy naprawdę jesteśmy?

– Warto zacząć od obserwowania siebie. Czy jesteśmy zadowoleni z życia? Jak śpimy, jak funkcjonujemy, czy nasze ciało nie reaguje napięciem na określone sytuacje?

Jeśli przed spotkaniem z kimś boli nas brzuch i nie możemy wysiąść z samochodu, to sygnał, że coś jest nie tak. Może robimy coś wbrew sobie. Nie musimy od razu wiedzieć, co dokładnie nam przeszkadza, ale warto się nad tym zastanowić.

Nie chodzi o to, żeby automatycznie rezygnować z nieprzyjemnych sytuacji. Asertywność nie polega na krzyczeniu „nie zgadzam się!". Polega na analizowaniu sytuacji i dokonywaniu wyboru. Na przerabianiu „muszę" na „chcę" i świadomym decydowaniu, na co się zgadzamy.

A jeśli po odejściu z wieloletniego związku ktoś nie wie już, kim jest? Od czego powinien zacząć?

– Od zadania sobie właśnie dwóch pytań: kim jestem i czego chcę?

Wiele osób przychodzi do mnie, żeby dowiedzieć się, jak mają żyć. Ale ja nie mogę im tego powiedzieć. Nikt nie przyjdzie i nie rozwiąże za nas tego problemu. Sami musimy znaleźć odpowiedzi.

Dlatego ważne jest próbowanie. Czasem nie wiemy, czy coś nam odpowiada, dopóki tego nie sprawdzimy. Jedna osoba będzie zachwycona intensywnymi emocjami, inna uzna, że to dla niej za dużo. Każdy jest inny.

Dopiero próbując, przekonujemy się, co sprawia nam przyjemność, czego nie chcemy i na co możemy się zgodzić pod pewnymi warunkami. Na tym polega asertywność: świadomie wybieram to, co jest dla mnie akceptowalne.

Dotyczy to również dzieci. Powinniśmy dawać im przestrzeń do dokonywania własnych wyborów, o ile nie krzywdzą innych. Nie każdy musi buntować się w ten sam sposób, mieć takie same ambicje czy iść tą samą drogą. Naszą rolą jest towarzyszyć im i wspierać je, a nie narzucać im własne wyobrażenia o życiu.

Czy największą ściemą w związku nie jest więc to, co mówimy partnerowi, ale to, co przez lata mówimy sami sobie?

– To, co ukrywamy przed partnerem i przed sobą. Musimy zacząć od szczerości wobec siebie. Dopiero kiedy się jej nauczymy, możemy zdobyć się na odwagę, żeby powiedzieć prawdę innym.

Czasami podczas spotkania z psychologiem ktoś mówi: „Wiedziałem to, ale nie miałem odwagi się przyznać". W pewnym momencie staję się lustrem. Przeformułowuję jego słowa, a on słyszy własne myśli i rozpoznaje w nich siebie.

I właśnie o to chodzi. Najpierw musimy dotrzeć do tego, co naprawdę czujemy i myślimy, a dopiero później mówić o tym światu. ▲

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Przenieś après-ski na ulice miast z bonprix.

Zimowa moda czerpie inspiracje z klimatu górskich kurortów! Przytulne materiały, charakterystyczne motywy après-ski na swetrach, śniegowce i długie skarpety. Nie trzeba wiele, by w środku miasta poczuć się jak na zimowym wyjeździe.

Zimowa kolekcja bonprix udowadnia, że narciarski klimat świetnie odnajduje się w codziennych stylizacjach. W chłodne dni podstawą garderoby jest oczywiście ciepłe okrycie wierzchnie. W kolekcji uwagę przyciągają płaszcze ze sztucznego futerka, które otulają miękkością. Nie brakuje również puchowych kurtek o różnych długościach – od krótszych, sportowych modeli po dłuższe fasony, które zapewniają dodatkową ochronę przed zimnem.

Nieco koloru i górskiego klimatu wprowadzają swetry. Wśród propozycji bonprix znajdziemy modele z nadrukami inspirowanymi estetyką après-ski, a także te ozdobione modnymi, geometrycznymi wzorami. Takie swetry świetnie wyglądają zarówno w połączeniu z klasycznymi dżinsami, jak i legginsami. Do tych ostatnich idealnie pasują śniegowce. To praktyczny wybór na chłodne dni. Modowego sznytu nadadzą im długie skarpety.

Odkryj pełną kolekcję bonprix w sklepie online **www.bonprix.pl** i zaopatrz się looki, które przeniosą atmosferę après-ski prosto na miejskie ulice!



❶ Nauszniki **74,99** ❷ Błękitny sweterek **149,99** ❸ Brązowa torba **159,99**
❹ Beżowe buty **219,99** ❺ Kozaki brąz **219,99** ❻ Misiowy płaszczyk **269,99**
❼ Spodnie beż **129,99** ❽ Skarpetki **59,99**

eprasa.pl c8499ac1c9



PAULINA GÓRSKA

– dziennikarka, ekoedukatorka, podcasterka i autorka książki „Skonsumowani”

Nadmiar z naklejką eko

Obrót z drugiej ręki też napędza konsumpcjonizm i nadmiar, choć nie można go nazwać fast fashion. Co nie znaczy, że nie warto czasem sobie kupić czegoś w ciucholandzie

Z **PAULINĄ GÓRSKĄ**
ROZMAWIA **ANNA WOŹNIAK**

Pozbawiłaś mnie moich ekologicznych przekonań, jakoby kupowanie ciuchów z drugiej ręki było ekologiczne, podobnie zresztą jak idea zero waste i minimalizm.
– Jeśli dokładnie przyjrzymy się współczesnej gospodarce, działalności firm, ale też temu, co naprawdę kryje się np. za handlem z drugiej ręki, można dojść do wniosku, że nie do końca sprzyjają ekologii.

Jak działa popularna aplikacja z ciuchami i sprzętami z drugiej ręki? Codziennie pokazuje nam nowe oferty, superokazje. Nęci nas tanimi zakupami i produktami, których nie do końca potrzebujemy. Chyba każdy z nas kupił przynajmniej raz ciuch, którego później nie nosi, ale był tani.

Obrót z drugiej ręki też napędza konsumpcjonizm i nadmiar, choć nie można go nazwać fast fashion. Jednak scrollowanie ciuchów i wyłapywanie okazji wygląda podobnie jak w aplikacjach popularnych sieciówek odzieżowych. Tu też są rozwiązania typu infinite scrolling, czyli nieskończone przewijanie produktów.

Co nie znaczy, że nie warto czasem sobie kupić czegoś w ciucholandzie czy internecie. Ważne, aby nie przerodziło się to w konsumpcjonizm z naklejką eko.

Jeśli chodzi o minimalizm czy zero waste, jak najbardziej popieram, tylko w obecnych czasach to za mało, aby mówić o ekologii. One nie uratują nas przed nadmiarem i zniszczeniem zasobów naturalnych.

Podobnie jak niekupowanie oleju palmowego.
– Ten produkt ma paskudny PR, nawet wśród dzieci. Kiedyś moja córka zaprosiła do domu koleżanki, a te powiedziały, że nie będą jeść znanego kremu czekoladowego, bo w ten sposób zabijają orangutany.

Skąd takie wnioski? Trochę z tego, co usłyszą od rodziców, a trochę z tego, co przeczytały lub zobaczyły. W sferze publicznej widzimy obrazki, na których umieszczono przekreślony olej palmowy albo główkę umierającego orangutana. Olej palmowy jest powszechnie bojkotowany. Tylko takie przedstawianie sprawy sprawia, że mamy uproszczony obraz świata. Ja go w mojej książce, zamiast upraszczać, jeszcze bardziej komplikuję.

Czy zatem bronisz oleju palmowego?
– Nie bronię, tylko zastanawiam się, czy można całkowicie z niego zrezygnować? Czy straszenie dzieci, że mogą mieć udział w śmierci orangutanów, jest dobrym pomysłem?

Rozumiem, że to ma pomagać w świadomych zakupach, zachęcić nas do czytania etykiet i wybierania produktów bez oleju palmowego. Prawda jednak jest taka, że nie jesteśmy w stanie od niego uciec. Jakimś rozwiązaniem jest certyfikowany olej palmowy RSPO, ale ten pomysł też nie jest idealny, ponieważ audyty i śledztwa dziennikarskie wykazują różne nieprawidłowości związane z tym certyfikatem.

Gdybyśmy jednak chcieli usunąć go całkowicie z naszej diety i kosmetyków, bo tam też jest go dużo, to miejmy świadomość, że wpłynęlibyśmy na życie milionów ludzi na drugim końcu świata. Ludzi, którzy żyją z upraw palm olejowych i produkcji oleju, często to mikrogospodarstwa prowadzone przez rodziny.

A gdyby jednak nie było oleju palmowego?
– Potrzebujemy oleju w różnych gałęziach przemysłu, i to w dużych ilościach. Były pomysły, żeby zastąpić go olejem rzepakowym, ale żeby go wyprodukować, potrzeba terenów równych Polsce albo i większych. To jeden z tzw. wicked problems, czyli problemów skomplikowanych, które dotyczą środowiska, polityki publicznej, zdrowia, ubóstwa i nie mają prostych rozwiązań.

Mamy poczucie, że jedną decyzją, jednym działaniem coś zmieniamy, ale tak nie jest. Zależy mi, żeby pokazać w książce szerszą perspektywę, że za jednym tematem stoi wiele innych wątków. Po przeczytaniu książki ktoś może dojść do wniosku, że zdobyta wiedza utrudni mu życie, zamiast je ułatwić.

Co ciekawe, kiedy zaczęłam przekrojowo pisać i mówić o oleju palmowym, ludzie byli na mnie źli. „Co ty opowiadasz!? Olej palmowy jest zły", kropka. Jako jednostka chcemy mieć wpływ, czuć sprawczość, a tu okazuje się, że twój wybór niekoniecznie rozwiązuje cały problem.

Jeśli chcesz być świadomym konsumentem, masz na to zasoby, kupuj rzeczy, które mają certyfikowany olej palmowy. Jeśli nie masz pieniędzy, kupuj te, w których jest inny olej albo po prostu olej palmowy, i już. Jednak nie daj się nabrać na manipulacje typu: „Jak nie zjesz Nutelli, to uratujesz orangutany". Nie mówmy takim uproszczonym językiem do naszych dzieci.

Czytając ją, miałam wrażenie, że nie istnieją dobre ekologiczne wybory. Plastikowe butelki są złym rozwiązaniem, ale produkowanie szklanych też nie do końca jest dobre.
– Czas i energia potrzebne do wyprodukowania szklanej butelki zwracają się dopiero po jej wielokrotnym użyciu, a nie zawsze tak się dzieje. Nie każda plastikowa butelka to zło i nie każda szklana uratuje świat.

Czasem możemy usłyszeć przekazy, że „te jedyne, wyjątkowe, ekologiczne pojemniki są najlepsze i trzeba je kupować". Wiele korporacji na ekologicznej narracji próbuje wyróżnić się i zarobić.

Chodzi o to, żeby nie dać się nabrać na ekologiczny marketing?
– Dobrym przykładem jest też zrównoważona moda. Co się dokładnie kryje za tym określeniem? Dopóki nie znamy szczegółów, jak dane rzeczy są produkowane, to nie możemy stwierdzić, czy rzeczywiście

eprasa.pl c8499ac1c9



jest zrównoważona, a większość firm nic o tym nie mówi.

Powinniśmy m.in. wiedzieć, gdzie dany produkt powstaje, ile kosztuje jego produkcja, kto przy niej pracuje, co się dzieje z odpadami. Czy rzeczy, które się nie sprzedały, są spalane, a może trafiają do Ghany, gdzie jest ogromny rynek odzieży używanej. Tam są sortowane i odsprzedawane do innych krajów afrykańskich. Problem w tym, że w większości są to zimowe kurtki, ubrania z poliestru lub inne niepotrzebne w Afryce ciuchy. Ostatecznie tony odzieży trafiają na nielegalne składowiska lub są spalane.

Jak powinna wyglądać zrównoważona moda?

– W idealnym świecie nie produkowalibyśmy takiej ilości nowych rzeczy. Jednak jeśli coś robimy, bierzmy za to odpowiedzialność. Dajmy możliwość naprawy, starajmy się, aby służyła jak najdłużej. Unikajmy

eprasa.pl c8499ac1c9

poliestru i jasno pokazujmy, gdzie i przez kogo te rzeczy są szyte.

Mamy na rynku polskie marki odzieżowe, które to robią. Na Instagramie krakowskiej firmy KOKOworld można zobaczyć szwaczki, które szyją ich ciuchy. Właścicielka pokazuje, skąd bierze materiały, jak współpracuje z lokalnymi firmami.

Jednak nie oszukujmy się. Nie ma perfekcyjnej marki modowej; każda ma coś za uszami. Jednak są i takie, które starają się być transparentne i działać fair.

Znalazłam w internecie piękną skórzaną torebeczkę polskiej firmy za 700 zł i zastanawiałam się, dlaczego ona aż tyle kosztuje. Na ich stronie internetowej znalazłam rozpisane koszty produkcji torebki. Ile muszą zapłacić za materiał, a ile za jej szycie w Polsce itd.

– To są dużo wyższe koszty niż np. w Azji. 700 zł to sporo, ale może jeśli jest to solidny wyrób, będzie nam służył przez lata. Może też nie potrzebujemy do szczęścia wielu małych skórzanych torebek? Lata temu kupiłam torebkę Zofii Chylak. Była droga, ale jest świetnej jakości. Dla mnie jest wyjątkowa, na lata i prawdopodobnie przekażę ją mojej córce. To jest dla mnie świadomy minimalizm.

W takim postępowaniu też są pułapki, o czym piszesz w książce na przykładzie pewnego płaszcza.

– Znana włoska firma, która produkuje m.in. bardzo drogie kaszmirowe płaszcze, jakiś czas temu trafiła na pierwsze strony serwisów internetowych, ponieważ okazało się, że jej produkty – luksusowe i szyte we Włoszech – powstawały w okropnych warunkach. Od takich marek oczekuje się, że traktują swoich pracowników należycie, płacą im godziwe stawki i nie mają nic wspólnego z wyzyskiem.

Tymczasem okazało się, że w fabryce pod Mediolanem pracowali nielegalni imigranci. Pracowali 90 godzin tygodniowo, spali w okropnych warunkach, zresztą w tym samym miejscu, w którym był warsztat.

Jak nie dać się nabić w butelkę, kupując drogi płaszczyk?

– Można zadać pytanie konkretnej marce, jak powstają jej produkty. Niektóre firmy robią to otwarcie. Mówimy teraz o tym, co powinien zrobić konsument, żeby podejmować świadome wybory. W książce dużo miejsca poświęcam rozwiązaniom systemowym i instytucjonalnym, do których powinny być zobowiązane firmy. Dlaczego cała odpowiedzialność ma spoczywać na nas?

W życie ma wejść między innymi cyfrowy paszport produktu. Marka Pan tu nie stał wdrożyła go do części swoich produktów. Jest to kod QR, z którego można się dowiedzieć, skąd jest surowiec, gdzie i przez kogo produkt był szyty itp.

Potrzebujemy regulacji nałożonych na producentów. Jako konsumenci możemy mieć większą świadomość i podejmować bardziej ekologiczne wybory, ale często wiąże się to z tym, że albo kupimy mniej albo drożej. W KOKOworld trzeba poczekać na uszycie niektórych modeli. W czasach, kiedy zamawiam produkt i otwieram paczkę już następnego dnia, to duże wyzwanie.

Jest szansa, że producenci zaczną wdrażać zmiany?

– Sami z siebie pewnie niechętnie. Stanie się tak zapewne pod naciskiem konsumentów albo gdy na jaw wyjdą jakieś niewygodne fakty, np. że firma szyje w Chinach, a publicznie twierdziła, że tego nie robi.

Większość jednak zmieni procedury tylko pod naciskiem z zewnątrz – UOKiK da określone wytyczne albo Komisja Europejska wprowadzi, dajmy na to, obowiązek zadbania o recykling rzeczy lub ograniczenie poliestru.

Wyobraź sobie regulację, by każda firma miała obowiązek naprawy swoich produktów. Niemożliwe? Myślę, że to niegłupi pomysł. Pojedyncze marki mają już taką opcję. Szewc, krawiec, kaletnik to wymierające zawody. Mało kto dziś naprawia ubrania czy torebki. Łatwiej, a czasem nawet taniej jest kupić nowe.

Na przykład we Francji działają dopłaty do napraw. U szewca dostaniesz 7 euro za wymianę fleków. Program zainicjowało państwo, a finansują go marki i dystrybutorzy odzieży i obuwia. Teraz wyobraź sobie, że taki program mamy w Polsce!

Skoro rzeczy, w które do tej pory wierzyliśmy, jak minimalizm czy drugi obieg, nie są dziś wystarczające albo są wykorzystywane jako hasła marketingowe, co możemy zrobić, aby być eko?

– Szukać takich działań, które dają realne poczucie sprawczości. Daniel Petryczkiewicz, fotograf i aktywista, ambasador rzeki Małej, jest wspaniałym przykładem, jak mądrze i skutecznie można angażować się w działania ekologiczne. Znalazł sobie konkretne miejsce – tę właśnie rzekę, czuje się za nią odpowiedzialny i ją chroni.

Daniel mówi: „Znajdź sobie jedno drzewo, strumyk, rzekę, coś, co jest ci bliskie, i zaopiekuj się tym. Walcz o to". Ostatecznie swoimi działaniami doprowadził do tego, że teren wokół Małej został uznany za rezerwat przyrody. Sprawczość nie musi się objawiać tym, co kupujemy, a czego nie. Nie zawsze wiąże się to z konsumencką decyzją.

W książce piszesz też o tym, jak dużo daje nam w udział w lokalnych inicjatywach i społecznościach.

– Kiedyś działałam w społeczności Rodzice dla Klimatu, pewnie jeszcze do niej wrócę. Współtworzyłam też Gniazdo, centrum aktywizmu klimatycznego. Byłam również zaangażowana w prowadzenie pierwszego klimatycznego panelu obywatelskiego w Warszawie. Te działania dały mi ogromną siłę i poczucie sensu. Większe niż to, że staram się być zero waste. Nie mam nic do zero waste, ale bycie z innymi ludźmi w dzisiejszych czasach, kiedy tak wielu z nas czuje się samotnymi, jest bezcenne.

A co myślisz o kooperatywach?

– Chciałam należeć do jednej z kooperatyw, ale najbliższa była w innej dzielnicy. Nie jestem w stanie dojeżdżać tam tak często, jak bym chciała, ale robię zakupy spożywcze w kooperatywie Dobrze.

W wielu miastach istnieją farmy miejskie. W Warszawie działa na przykład Spółdzielcza Farma Most, która ma 3,5 hektara dzierżawionego od miasta. Takie farmy są zarządzane przez społeczność, gdzie ludzie wspólnie pracują, uprawiają warzywa i mogą korzystać z plonów. Spotykają się, zrzeszają lokalną społeczność, organizują ciekawe wydarzenia.

Wiem, że dla większości z nas takie zaangażowanie jest mało wykonalne. Mamy pracę, dzieci, obowiązki, ale są tacy, którzy to lubią, podobnie jak działki.

Według mnie wspólne uprawianie ziemi to powrót do korzeni, życie na przekór wielkim korporacjom spożywczym. Można się poczuć jak buntowniczka, rewolucjonistka, a tak naprawdę uprawia się jedzenie. ▲

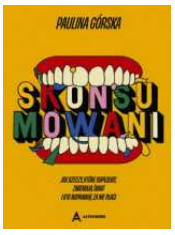

PAULINA GÓRSKA
„Skonsumowani. Jak rzeczy, które kupujemy, zmieniają świat i kto naprawdę za nie płaci", wyd. Altenberg

FOT. A. ŚWIETLIK; MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c8499ac1c9

Potrzebujemy siebie *nawzajem*

Pojawił się w mojej głowie – zupełnie nieproszony – a ja zakochałam się w jego głosie. Był uparty i zabawny, miał też trudny do zdefiniowania urok

Z **PISARKĄ HOLLY KENNEDY**, ROZMAWIA **PRZEMYSŁAW GULDA**



Twoja książka „Niecodzienne przypadki Denny'ego Vossa" spotyka się z bardzo dobrym przyjęciem wszędzie tam, gdzie zostaje wydana. Jaka była najważniejsza i najbardziej inspirująca reakcja, z jaką spotkałaś się do tej pory?

– Wiele osób pisało do mnie w wiadomościach, że płakały po przeczytaniu książki, choć nie wiedziały dlaczego. Kiedy dostaję takie wiadomości, natychmiast myślę: Świetnie! Chcę bowiem, żeby historia Denny'ego skłaniała ludzi do zastanowienia się, refleksji i zadawania pytań o to, dlaczego postępujemy tak, jak postępujemy, oraz w jaki sposób każdy z nas może indywidualnie przyczynić się do zmiany tam, gdzie jest ona potrzebna.

Absolutnie kluczowe było dla mnie to, żeby Denny, jej bohater, sam opowiedział swoją historię. Nie sądzę, żeby ta opowieść była choć w połowie tak sugestywna, gdyby została napisana w trzeciej osobie albo przedstawiona z perspektywy innej postaci. Poza tym chciałam napisać książkę, której bohaterowie wydawaliby się prawdziwi – przejmującą, zabawną, a czasem smutną historię, która daje jednocześnie siłę i nadzieję.

To książka o głębokich problemach natury psychologicznej. Dlaczego zdecydowałaś się opowiedzieć ją w konwencji kryminalnej? Jakie zalety okazała się mieć taka strategia artystyczna?

– Ludzie łatwo się dziś rozpraszają, więc jeśli nie przyciągniesz uwagi czytelniczek i czytelników już na pierwszych stronach książki, ryzykujesz, że całkowicie ich stracisz i pójdą dalej, klikając coś innego na telefonie. Oparcie fabuły na tym, że Denny zostaje aresztowany pod zarzutem morderstwa, miało właśnie takie zadanie: przyciągnąć czytelniczkę czy czytelnika. Zaplanowałam też, żeby w miarę lektury mogli spokojnie odkrywać siłę pozostałych wątków i liczne niuanse tej historii. Napisałam powieść łączącą różne gatunki, ponieważ wierzyłam, że dzięki temu lektura będzie bardziej satysfakcjonująca i wyjątkowa. To kryminał, owszem, ale także opowieść o dorastaniu i dramat rodzinny.

Czy prowadziłaś jakieś szczególne badania dotyczące kryminalnej strony tej historii? Miałaś konsultantów zajmujących się np. śledztwami policyjnymi?

– Nie prowadziłam za dużo formalnych badań, żeby w wiarygodny sposób stworzyć kryminalną warstwę tej powieści. Ale jestem wielką miłośniczką true crime, interesuję się tym gatunkiem od dwudziestu lat. Sposób, w jaki tworzyłam kryminalną warstwę tej powieści, wynika więc z przyswojenia ogromnej liczby szczegółów, które poznałam podczas oglądania programów kryminalnych.

Najważniejszym elementem tej historii jest oczywiście jej bohater. Jak stworzyłaś tytułową postać? Czy inspirowałaś się bezpośrednio albo pośrednio jakąś prawdziwą osobą, historią z życia wziętą?

– Denny nie jest wzorowany na żadnej konkretnej osobie. Po prostu pojawił się w mojej głowie – zupełnie nieproszony – a ja zakochałam się w jego głosie. Pierwsze trzydzieści stron jego opowieści spisałam podczas wyjazdu dla pisarek i pisarzy w 2010 roku i natychmiast go pokochałam. Był uparty i zabawny, miał też trudny do zdefiniowania urok. Ani trochę nie był postacią papierową, dlatego wiedziałam, że żeby dobrze opowiadać jego historię, muszę wiarygodnie oddać jego sposób mówienia. Musiał wypaść przekonująco na kartach książki. Musiał wydawać się prawdziwy. Bałam się, że nie uda mi się tego osiągnąć, i na jakiś czas porzuciłam ten projekt, ale Denny nie dawał mi spokoju. Wciąż o nim myślałam i w końcu przekonałam samą siebie, że skoro Mark Haddon potrafił napisać „Dziwny przypadek psa nocną porą", narratorem czyniąc chłopca z zespołem Aspergera – Haddon pracował z dziećmi w spektrum autyzmu, ale sam nie jest osobą autystyczną – to ja również mogę uczynić Denny'ego wiarygodnym bohaterem mojej książki.

Dlaczego uznałaś, że mężczyzna, a nie kobieta, będzie lepszym uosobieniem stanów emocjonalnych, o których chciałaś pisać?

– To nie była decyzja wyrachowana czy zaplanowana. Chciałam pracować nad tekstem napisanym z perspektywy innej niż ta, którą zwykle stosuję. Denny pojawił się w mojej głowie,

eprasa.pl c8499ac1c9

a ja z radością podążyłam za nim wszędzie tam, dokąd chciał poprowadzić swoją historię.

Skutecznie podważasz w tej książce tradycyjne podejście do osób neuroróżnorodnych. Dlaczego zdecydowałaś się obrać właśnie taki kierunek?
– Myślę, że społeczeństwo powinno na nowo przemyśleć, jak traktuje takie osoby i jak o nich opowiada. Nasza planeta jest pełna różnorodnych ludzi, którzy przynoszą własne doświadczenia, idee, filozofie i talenty. Każdy z nas ma coś do zaoferowania – także osoby neuroróżnorodne. Opowiadając historię Denny'ego w taki sposób, miałam nadzieję skłonić czytelników do podważania stereotypów.

Co powinno się zmienić? W jaki sposób osoby neuroróżnorodne mogłyby uczestniczyć w życiu swoich społeczności? Co mogą wnieść do otaczającego je świata?
– Myślę, że wszyscy możemy się czegoś nauczyć od Denny'ego, ponieważ do każdej sytuacji podchodzi z życzliwością, a właśnie tego, moim zdaniem, bardzo dziś brakuje. Uważam, że historia Denny'ego jest ważna dlatego, że pokazuje, jak wielu ludziom brakuje dziś poczucia wspólnoty. Wystarczy spojrzeć na to, jak bardzo jego życie wzbogaciło się dzięki miłości i wsparciu, jakie otrzymał. Osoby z niepełnosprawnością intelektualną chcą być częścią społeczeństwa i wnosić wkład w jego życie.

Jak mogłoby to wyglądać w praktyce?
– We współczesnym świecie żyje wiele osób neuroróżnorodnych – sama uważam się za jedną z nich – które zmagają się z różnymi wyzwaniami, a jednocześnie wnoszą do życia społecznego wkład, który może zaskakiwać innych. Denny bywa uparty i kontakt z nim może być chwilami frustrujący, ale jest także zabawny, lojalny i kochany przez swoich przyjaciół oraz sąsiadów. Dużo piszę w tej książce o przyjaźniach międzypokoleniowych, bo chcę zwrócić uwagę na zanik tego rodzaju relacji we współczesnym świecie. Mam nadzieję, że historia Denny'ego zainspiruje czytelniczki i czytelników do tego, żeby zastanowić się, z kim budują relacje, a kogo ignorują: czy jest to osoba starsza, czy ktoś neuroróżnorodny.

Jak ważna w tym kontekście jest rodzina? W jaki sposób może pomóc osobom neuroróżnorodnym?
– Wsparcie rodziny, przyjaciół i lokalnej społeczności jest niezwykle ważne dla takich osób. Powiedziałabym jednak, że dotyczy to wszystkich, niezależnie od tego, czy chodzi o osoby neuroróżnorodne czy nie. Samotność staje się dziś prawdziwą epidemią, co bardzo mnie zasmuca. Potrzebujemy siebie nawzajem bardziej niż kiedykolwiek. Opowieść Denny'ego jest o rodzinach, które dziedziczymy, i o tych, które sami tworzymy. W gruncie rzeczy jest jednak historią o indywidualnych ograniczeniach i ludzkim potencjale. Naprawdę mam nadzieję, że skłoni czytelników do akceptowania i doceniania ludzi, których spotykają na co dzień, bez osądzania ich.

W tle poruszasz wiele najpoważniejszych problemów współczesnego społeczeństwa, przede wszystkim kwestię powszechnego dostępu do broni. Z jakimi największymi problemami społeczeństwo powinno się dziś zmierzyć?
– Przemoc z użyciem broni palnej, która nęka Stany Zjednoczone, jest podstawowym problemem napędzającym tu fabułę. Budzi to we mnie grozę. Nie mieszkam w USA, ale oglądam te same kanały informacyjne, co Amerykanki i Amerykanie. Za każdym razem, kiedy słyszę o kolejnej bezsensownej strzelaninie, czuję to samo co Denny. Książka dotyka jednak również innych problemów współczesnego świata: niepełnosprawności intelektualnej, ageizmu, braku bezpieczeństwa zdrowotnego, uwodzenia i wykorzystywania seksualnego oraz nastoletniego macierzyństwa.

Pochodzisz z Kanady, ale akcję książki umieściłaś w Stanach Zjednoczonych. Dlaczego postanowiłaś opowiedzieć o amerykańskiej społeczności, zamiast osadzić historię w Kanadzie?
– Zdecydowałam się umieścić powieść w Minnesocie ze względu na przemoc z użyciem broni palnej, która nęka Stany Zjednoczone, a zarazem napędza historię Denny'ego. Kanada nie zmaga się z takim samym problemem.

Jak jako Kanadyjka czujesz się w czasach, gdy prezydent Stanów Zjednoczonych nieustannie mówi o podporządkowaniu sobie twojego kraju?
– Jego pomysły są absurdalne, choć z drugiej strony można je chyba uznać za swego rodzaju komplement, prawda? Kto wie, może podświadomie zazdrości nam tego, jakim jesteśmy narodem – z o wiele mniejszą skalą przemocy z użyciem broni i przywódcą, który wie, jak rządzić krajem, zachowując dyplomację, klasę i życzliwość.

Tak popularne książki szybko trafiają w krąg zainteresowania przemysłu filmowego. Czy tak jest również w przypadku twojej powieści? Kto mógłby zagrać Denny'ego Vossa?
– Prawa do ekranizacji powieści Denny'ego nie zostały jeszcze wykupione, choć pojawiło się zainteresowanie zarówno potencjalnym serialem, jak i filmem. Zobaczymy więc, co się wydarzy. Pisząc książkę, wyobrażałam sobie Sama Rockwella w roli Angusa, Frances McDormand jako Nana-Jo, Emily Blunt jako Elaine, prześladowczynię, Colina Firtha jako Papa-Jo, a Aleca Baldwina jako pana Tesky'ego. Wciąż jednak nie znalazłam osoby, która wydawałaby mi się właściwa do roli Denny'ego. Jeśli kiedyś powstanie film, być może aktor, który zagra Denny'ego, właśnie dzięki tej roli rozpocznie wielką karierę i stanie się sławny.

Nad czym dziś pracujesz?
– Moja kolejna powieść ukaże się w 2027 roku. Nie będzie to wprawdzie sequel powieści o Dennym, ale jej główna bohaterka – młoda kobieta o imieniu Audie Barr – mieszka przy tej samej ulicy, co Denny, a w nowej książce pojawią się również postacie z jego historii. Pod względem konstrukcji będzie to powieść łącząca różne gatunki, prowadzona w dwóch planach czasowych, napisana w sposób bardzo podobny do historii Denny'ego: już na pierwszej stronie pojawi się tajemnica, która ma wciągnąć czytelników w lekturę. Pierwsze zdanie zabrzmi mniej więcej tak: „Jest druga w nocy, a ja jestem w miejscu, w którym nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę – przykuta kajdankami do krzesła, w połowie naga, na korytarzu ekskluzywnego ośrodka wędkarskiego". Mam nadzieję, że czytelnicy pokochają historię Audie równie mocno jak historię Denny'ego. ▲



HOLLY KENNEDY
„Niecodzienne przypadki Denny'ego Vossa"
wyd. Albatros

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c8499ac1c9

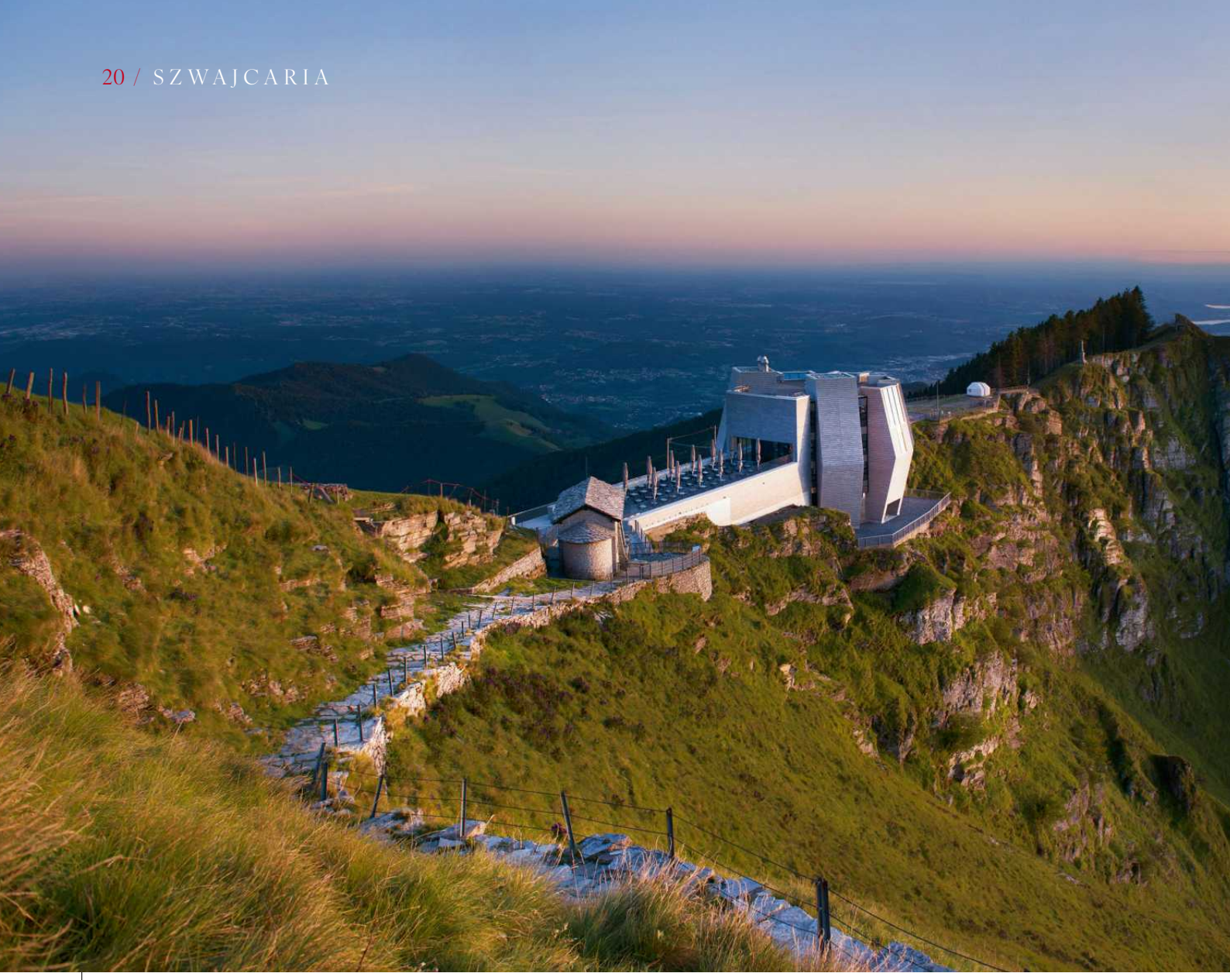

Ukryta dolina

Ticino: słońce, śródziemnomorski rytm życia i dolina Muggio – najdalej wysunięty na południe skrawek Szwajcarii. Dzika, autentyczna i zupełnie inna niż głośne, alpejskie kurorty. Ten zakątek nie znosi pośpiechu

TEKST **WIKTORIA CIDYŁO**

Szwajcaria ma swój dobrze znany, niemal bajkowy wizerunek. Zielone łąki, krowy z dzwonkami u szyi, alpejskie szczyty, turkusowe jeziora, a do tego czekolada, fondue i ponad siedem tysięcy rodzajów sera. Za tą idealnie skomponowaną pocztówką kryje się jednak bardziej różnorodny świat.

SZWAJCARIA Z ZUPEŁNIE INNEJ BAJKI

Na samym południu kraju leży kanton Ticino. Wygląda to trochę tak, jakby ktoś włożył kawałek Włoch w alpejską ramę. Na ulicach słychać język włoski, czuć śródziemnomorski rytm życia, promenady nad jeziorami zdobią palmy. Wystarczy jednak oddalić się od słonecznych miasteczek, by krajobraz zaczął się zmieniać i przechodzić w gęste lasy, rzeki, surowe górskie zbocza i doliny.

Ticino to prawdziwy plac zabaw. W sam raz dla miłośników eksplorowania świata na własną rękę. Na fanów pieszych wędrówek czeka około 4000 km szlaków, a tuż obok nich rozlokowane są malownicze wioski, zabytki, winnice i jeziora. Jest i Valle di Muggio, dolina leżąca na samym południowym krańcu Szwajcarii, która w 2014 ro-

eprasa.pl c8499ac1c9

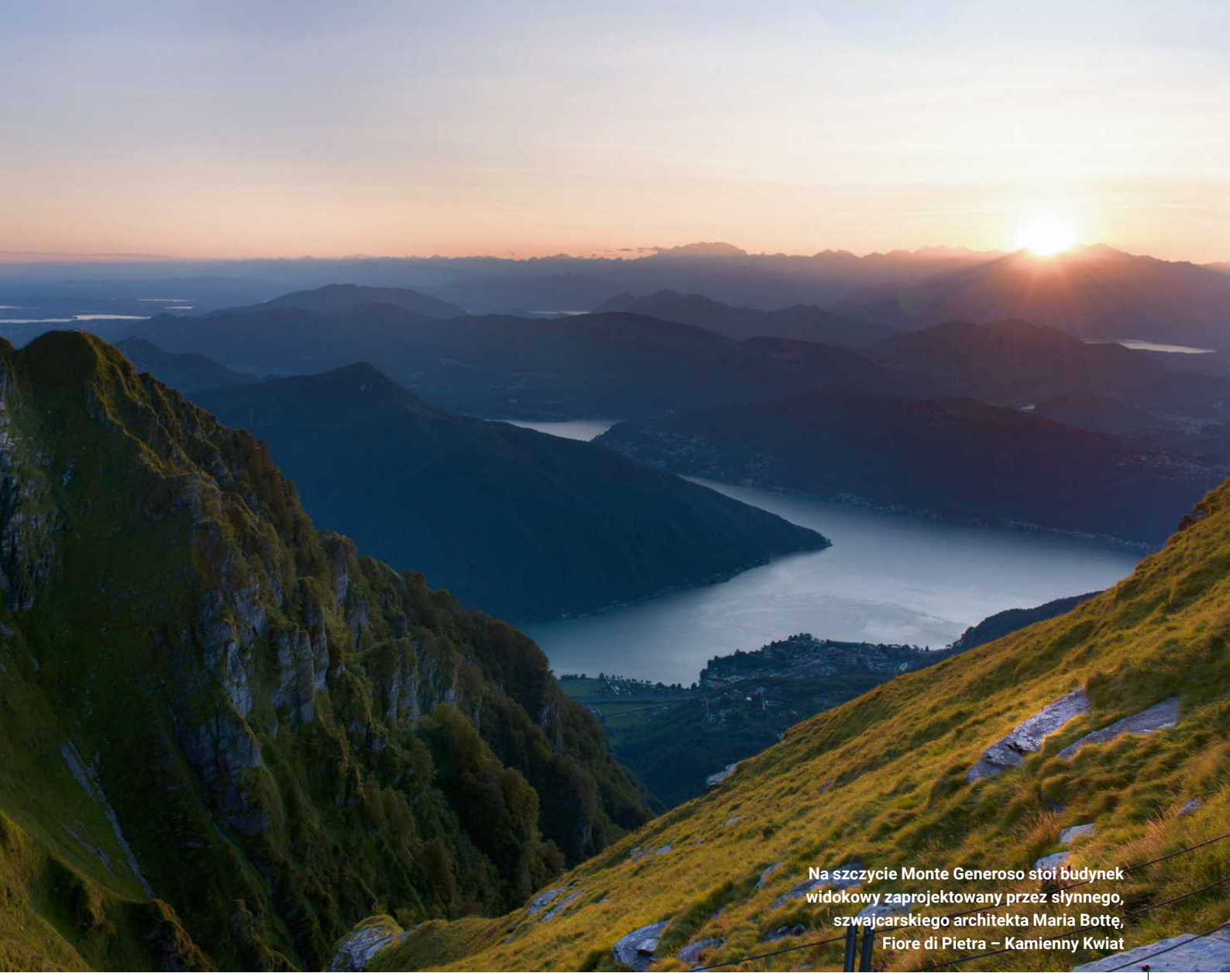

Na szczycie Monte Generoso stoi budynek widokowy zaprojektowany przez słynnego, szwajcarskiego architekta Maria Bottę, Fiore di Pietra – Kamienny Kwiat

ku została uznana przez Fundację Ochrony Krajobrazu za najpiękniejszy krajobraz kraju. Według Franza Widmera, założyciela out & ABOUT – Switzerland Trekking GmbH, miejsce to wciąż czeka na ponowne odkrycie, również przez samych Szwajcarów.

Dolina nie próbuje konkurować z najbardziej znanymi szwajcarskimi kurortami. Jej siłą są cisza i krajobrazy. Jesienią nabiera szczególnego uroku. Powietrze wciąż jest łagodne, a na szlakach robi się spokojniej. – To świetny okres na eksplorowanie uroków tego regionu Szwajcarii. Pogoda nadal dopisuje, a turystów jest już o wiele mniej – mówi przewodniczka Dominique Balmer.

KOLEJKĄ W STRONĘ NIEBA

Przygoda z doliną zaczyna się od widoków zabytkowej Ferrovii Monte Generoso, czyli kolei zębatej liczącej około 130 lat. Kolej wspina się na szczyt góry, odsłaniając po drodze rozległą panoramę. Już w epoce Belle Époque Monte Generoso przyciągało podróżników spragnionych niezwykłych krajobrazów. Obecnie ta sama trasa pozwala spojrzeć na Ticino z zupełnie innej perspektywy. W pogodny dzień można podziwiać alpejskie szczyty i dolinę Padu oraz tafle jezior.

Na szczycie czeka niespodzianka: monumentalny i imponujący budynek widokowy zaprojektowany przez słynnego, szwajcarskiego architekta Maria Bottę, Fiore di Pietra – Kamienny Kwiat, który przyciąga uwagę geometryczną, kamienną bryłą, jakby wyrastała prosto ze skalnego podłoża..

Dalej krajobraz staje się bardziej kameralny. Wędrówka prowadzi przez Bellavista, Muggiascę i Roncapiano w stronę Scudallate. Szlak przecina łąki, zagłębia się w lasy i biegnie wzdłuż dawnych górskich ścieżek. Po drodze można natknąć się na roccoli, czyli charakterystyczne wieże, które niegdyś budowano i wykorzystywano, by odławiać ptaki podczas migracji. Ich konstrukcja nie jest przypadkowa. Pozwalała bowiem na baczną obserwację i przechwytywanie przelatujących stad.

GRANICA PEŁNA SEKRETÓW

Valle di Muggio ma nie tylko piękne krajobrazy, ale i historię, która mogłaby z powodzeniem posłużyć za scenariusz filmowy. Przez wieki granica między Szwajcarią a Włochami była tu czymś znacznie więcej niż linią na mapie. Górskie ścieżki wykorzystywali przemytnicy, zwani contrabbandieri. Przenosili towary z jednego kraju do drugiego, próbując uniknąć spo-

FOT. VALENTINA LOKUMCU; SWITZERLAND TOURISM / DOMINIK BAUR; MILO ZANECCHIA (2); LUCA CRIVELLI; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c8499ac1c9



Szlak prowadzi m.in.przez Roncapiano w Valle di Muggio

tkania z karabinierami. Ich trasy prowadziły przez lasy, przełęcze i trudno dostępne zbocza. Wędrówka w okolicach Scudellate, Passo Bonello i Cabbio pozwala dziś przejść fragmentami tych samych dróg.

Początkowo przemycano głównie towary codziennego użytku: ryż, kawę, słodycze. Na większą skalę proceder rozwinął się po II wojnie światowej, kiedy szczególnie popularny stał się przemyt wyrobów tytoniowych. Skala zjawiska była ogromna. Według lokalnych opowieści każdej nocy granicę przekraczało nawet około 500 przemytników, podczas gdy pilnowało jej zaledwie dwóch strażników. Nie brakowało więc swoistej gry w kotka i myszkę.

SMAKI DOLINY

Po górskich wędrówkach przychodzi czas na kulinarną ucztę. Ta najlepiej smakuje w lokalnym wydaniu. Kuchnia Ticino bazuje na alpejskich i włoskich tradycjach. Jej sercem są nieskomplikowane, a zarazem sycące potrawy przygotowywane z regionalnych, sezonowych produktów. Jednym z najważniejszych dań jest polenta, tradycyjnie podawana w towarzystwie mięsa na przykład z ossobuco. Jej historia jest mocno związana z kukurydzą, która od stuleci uprawiana była właśnie w tej części Szwajcarii.

Ślady dawnych kulinarnych zwyczajów można odnaleźć w młynie w Bruzelli. To miejsce, w którym tradycja wciąż pozostaje żywa. Woda porusza koło młyńskie, drewniane elementy skrzypią, a kamienie mielą Rosso del Ticino, czyli charakterystyczną czerwoną odmianę kukurydzy, z której powstaje mąka na polentę. Wizyta w młynie pozwala doświadczyć na własnej skórze, jak wyglądała praca przed wiekami i jak wiele lokalnych smaków ma swoje źródło w dawnych rzemiosłach.

> Ważnym elementem kuchni są także kasztany. W Cabbio stoi tradycyjna *suszarnia, którą warto zobaczyć*

Ważnym elementem kuchni są również kasztany. W Cabbio, obok zabytkowego domu Casa Cantoni, stoi tradycyjna suszarnia. Dawniej wykorzystywano ją do wędzenia i suszenia kasztanów, które stanowiły istotny składnik diety mieszkańców górskich wiosek. Sama Casa Cantoni należy do najważniejszych budyn-

eprasa.pl c8499ac1c9



Kamienny most Ponte della Merla w Brontallo



Ważnym elementem kuchni są kasztany



Sery to wizytówka regionu

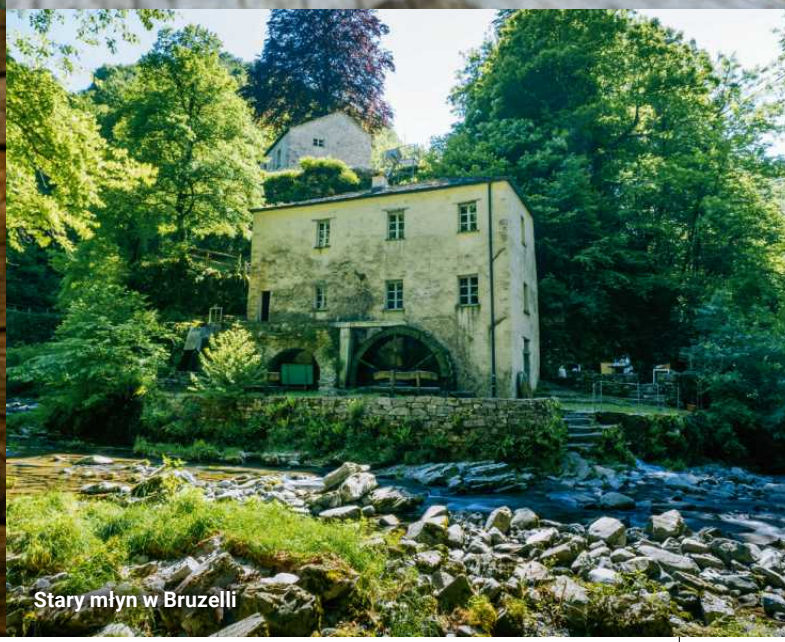

Stary młyn w Bruzelli

ków w dolinie i mieści dziś muzeum etnograficzne.

ROWEREM PRZEZ WINNICE I NOCLEG W ROZPROSZONEJ WIOSCE

Ticino można odkrywać także na dwóch kółkach. W regionie Mendrisiotto, uznawanym za serce lokalnego winiarstwa, organizowane są wycieczki rowerowe połączone z wizytami w winnicach. Winorośl uprawia się tu na stromych zboczach, a ponad 90 proc. zbiorów odbywa się ręcznie. Produkcja jest stosunkowo niewielka, warto więc skorzystać z okazji i spróbować ich właśnie tam, gdzie powstają. Projekt Bike & Wine współpracuje z dziesięcioma lokalnymi producentami, a sezon trwa od marca do października. Trasa prowadzi przez wzgórza, winnice i niewielkie miejscowości. Kolejne przystanki stają się okazją do spotkań z winiarzami i podglądania ich pracy.

Warto zatrzymać się w Osteria Manciana w Scudellate. Z tarasu rozciąga się widok na dolinę, a lokalne specjały pozwalają jeszcze lepiej poznać charakter regionu. Na stole pojawia się Zincarlin, ser typowy dla tej okolicy. W ramach projektu Albergo Diffuso zamiast jednego tradycyjnego hotelu pokoje rozmieszczone są w różnych historycznych budynkach wioski. Całość zarządzana jest centralnie. Właśnie dzięki temu nocleg staje się częścią lokalnego doświadczenia. Pozwala zamieszkać wśród dawnych domów, poczuć rytm niewielkiej społeczności i obudzić się z widokiem jak z pocztówki. W Scudellate takie rozwiązanie pomaga również przeciwdziałać wyludnianiu się miejscowości, dając zabytkowym budynkom nowe życie.

Podróż do Ticino nie musi oznaczać sporych wydatków za każdy przejazd. Przy pobycie w jednym z 500 partnerskich hoteli, hosteli lub kempingów w kantonie goście mogą otrzymać Ticino Ticket.

Karta zapewnia bezpłatne przejazdy transportem publicznym na terenie regionu oraz zniżki w wybranych atrakcjach. Jest ważna od momentu zameldowania do północy w dniu wyjazdu i przysługuje gościom od szóstego roku życia.

Nie można kupić jej osobno. Jest wydawana przez obiekt noclegowy, dlatego przed rezerwacją warto się upewnić, czy dany hotel lub pensjonat uczestniczy w programie. ▲

Materiał zrealizowany podczas wyjazdu sfinansowanego przez Switzerland Tourism – szwajcarską organizację turystyki, MojaSzwajcaria.pl.
Organizator nie miał wpływu i wglądu w treść publikacji

eprasa.pl c8499ac1c9



Zamrożony *bark*

Fachowo nazywamy to obkurczającym zapaleniem torebki stawowej. W skrajnych przypadkach pacjenci nie są w stanie odsunąć łokcia od tułowia. Aż w 60. proc. diagnozujemy go u kobiet między 40 a 60 r.ż., co wskazuje, że to schorzenie może się wiązać z menopauzą

FOT. GETTY IMAGES

Z **DR. HAB. N. MED. ROMANEM BRZÓSKĄ, ORTOPEDĄ,** ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**

Kiedy mój lewy bark bez ostrzeżenia odmówił posłuszeństwa, usłyszałam, że jest zamrożony. Potem dowiedziałam się od kilku koleżanek ok. 50. roku życia, że je też to spotkało. Podobno to schorzenie jest związane z menopauzą.

– Kiedy nam coś dolega, podświadomie szukamy innych współcierpiących i to pewnie wpłynęło na to, że zaczęła pani dostrzegać inne osoby z zamrożonym barkiem. Diagnozujemy go u osób w każdym wieku, także u mężczyzn, chociaż rzeczywiście w 60 proc. są to kobiety między 40. a 60. r.ż.

A jeśli spojrzymy na całą populację, to jak częsta jest ta choroba?

– Dotyczy 2-5 proc. ogólnej populacji. Natomiast nie wiem, czy nazwałbym zamrożony bark chorobą.

A jak?

– Kołem ratunkowym, które rzuca nam organizm. Przez milion siedemset tysięcy lat swojej ewolucji wykształcił zdolność naprawy niektórych tkanek, dlatego m.in. kość się zrasta, a przecięta skóra goi. Żeby móc wyobrazić sobie proces naprawczy związany z barkiem, trzeba wiedzieć, że staw ramienny otacza torebka stawowa, która jest strukturą o grubości mniej więcej dwóch milimetrów. Składa się z dwóch warstw. Zewnętrzna to precyzyjnie ułożone włókna elastynowe i kolagenowe, a wewnętrzna to bogato unaczyniona błona maziowa, która pełni funkcję odżywczą. Torebka stawowa jest bardzo wytrzymała i elastyczna.

W skrajnych przypadkach – u osób z uogólnioną wiotkością stawową – umożliwia ruchy w zaskakująco dużym zakresie. Kiedy dochodzi do urazu barku, np. ktoś przewróci się na nartach albo spadając ze schodów, złapie się gwałtownie za poręcz, to może zostać uruchomiona reakcja naprawcza. Stan zapalny jest wykorzystywany do odbudowy uszkodzonej struktury.

Czasem jednak, gdy organizm z różnych powodów nie może sobie poradzić z urazem, stan zapalny nasila się i przedłuża. Naczynia krwionośne coraz mocniej wnikają w torebkę stawową i dochodzi do rozplemu fibroblastów. To z kolei prowadzi do fibrozy, czyli włóknienia tkanki łącznej. Torebka stawowa grubieje, może osiągnąć nawet 8 mm, i traci swoją elastyczność.

Bark zostaje zamrożony?

– Tak. Fachowo nazywamy to obkurczającym zapaleniem torebki stawowej. W skrajnych przypadkach pacjenci nie są w stanie odsunąć łokcia od tułowia. Ja to widzę w ten sposób, że organizm unieruchamia bark, żeby dać mu więcej czasu na odbudowę.

Rozumiem, ale wielu osobom zamroziło bark, mimo że nie mieli żadnego urazu.

– Czasem do zamrożenia barku dochodzi nawet pół roku po urazie, nie zawsze wiążemy ze sobą te fakty. Poza tym uraz nie musi być duży. Czasem wystarczy, że podczas wstawania z łóżka dojdzie do przyparcia głowy kości ramiennej do wyrostka barkowego i pęknięcia małego naczynia krwionośnego. Istnieje wprawdzie pojęcie idiopatycznego obkurczającego zapalenia torebki stawowej, ale myślę, że – jak wszystko, co nazywamy idiopatycznym, czyli o nieznanej przyczynie – także zamrożenie barku, jakąś przyczynę jednak ma. Żeby zostały uruchomione te wszystkie reakcje, o których mówiłem, jakiś sygnał biochemiczny musi zostać wysłany. Natomiast pamiętajmy, że my tego urazu możemy nawet nie zarejestrować. Żartujemy sobie przecież, że po trzydziestce mamy problem wtedy, gdy wstajemy z łóżka i nas nic nie boli. Z kolegami, którzy zajmują się szerzej stawem ramiennym, zauważyliśmy też wzrost przypadków zamrożonego barku po szczepieniach przeciwcovidowych.

> Organizm unieruchamia bark, żeby dać mu czas na odbudowę i regenerację. *To koło ratunkowe rzucone przez nasze ciało*

Wyobrażam sobie teraz reakcje antyszczepionkowców.

– Chodzi o to, że takie szczepienie to jednak ingerencja w mięsień, który na dodatek jest blisko nerwu pachowego. Czasem te szczepionki były podawane przez osoby, które miały dużo mniejsze doświadczenie i mniejszą znajomość anatomii niż lekarze i pielęgniarki. Szczepienia były robione na dużą skalę, więc mogło się zdarzyć, że ktoś wkłuł się w nieodpowiednie miejsce. W październiku 2025 roku w „Journal of Clinical Medicine" ukazała się obszerna praca naukowa, która patrzy na zamrożony bark z perspektywy metabolicznej, immunologicznej i endokrynologicznej. Wynika z niej m.in., że związany z menopauzą spadek poziomu estrogenów może być czynnikiem ryzyka. Te hormony mają przecież właściwości przeciwzapalne. W grupie ryzyka są też osoby chore na cukrzycę, na niedoczynność tarczycy i otyłość.

Torebkę stawową mamy nie tylko w barku, ale np. w kolanie i w łokciu. Te stawy się jednak nie zamrażają.

– W innych stawach mogą zajść podobne procesy jak w stawie ramiennym, tyle że są mniej spektakularne. Spośród wszystkich stawów to bark ma największy zakres ruchu, więc żeby w przypadku poważniejszych problemów możliwa była jego samonaprawa, ruch musi zostać w znacznym stopniu ograniczony. W rezultacie osoby z zamrożonym barkiem nie mogą wykonywać wielu codziennych czynności. Wcześniej jednak pojawia się ból, czasem tak silny, że zakłóca sen. To poważny problem, bo jeśli człowiek nie śpi, organizm gorzej się regeneruje. Przy permanentnie odczuwanym bólu może dojść do jego sensytyzacji ośrodkowej – pacjent zaczyna mocniej odbierać bodźce bólowe, a ból zaczyna być dominującym doznaniem.

Jak długo to trwa?

– Cały proces – wszystkie trzy fazy obkurczającego zapalenia torebki stawowej – trwa zwykle od 9 do 12 miesięcy. Każda faza trwa od 3 do 4 miesięcy. Pierwsza, czyli zamrażanie barku, jest w naszym żargonie nazywana czerwoną. Jeśli w tej fazie musimy operować bark np. z powodu oderwanych ścięgien, to wchodząc do jego wnętrza artroskopem, widzimy bardzo przekrwioną błonę maziową. Wszystkie drobne naczynia krwionośne zlewają się w jedną czerwoną plamę. W tym okresie ból jest najsilniejszy. Ustąpienie bólu nocnego to znak, że kończy się pierwsza faza. Druga to plateau: ruchomość nadal jest ograniczona, a próba przełamania oporu powoduje ból. Pozornie nic się nie zmienia, ale w rzeczywistości torebka stawowa spędza ten czas bardzo produktywnie – stopniowo odbudowuje kratownicę z włókien kolagenowych i elastynowych. Ostatnia faza to odmrażanie. Kiedy torebka stawowa już wie, że zwiększenie zakresu ruchu nie grozi ponownym uszkodzeniem, godzi się na to. Można powiedzieć: ona tu rządzi. Osta-

eprasa.pl c8499ac1c9

tecznie często dochodzi do całkowitego odmrożenia barku.

Co może pójść nie tak?
– Różne czynniki mogą zakłócić ten proces. Wiele zależy od tego, jaki uraz poprzedził zamrożenie barku. Jeśli np. doszło do uszkodzenia warstwy głębokiej jednego ze ścięgien stożka rotatorów, to mówiąc metaforycznie, torebka stawowa może wykonać duży wysiłek i zabliźnić uszkodzenie, ale ponieważ ona nie ma żadnych haczyków ani łapek, nie jest w stanie przyciągnąć ścięgna do miejsca, w którym pierwotnie było przyczepione. W tym przypadku stan zapalny może minąć, ale bark nie wróci do pełnej sprawności. Poza tym odmrożenie barku często zostaje opóźnione przez przyjmowanie niesterydowych leków przeciwzapalnych i intensywną rehabilitację w pierwszym etapie. Mobilizacja stawu i inne siłowe próby rozwiązania problemu powodują, że pacjent grzęźnie na tym etapie jak koło samochodu w błocie pośniegowym. Im bardziej gwałtowne wykonuje ruchy, tym głębiej się zakopuje.

Jak więc powinno wyglądać leczenie?
– Najpierw trzeba się poddać wnikliwej diagnostyce, bo część chorób może mieć podobny przebieg jak obkurczające zapalenie torebki stawowej. Mówię m.in. o reumatoidalnym zapaleniu stawów, boreliozie i łuszczycowym zapaleniu stawów. Jeśli doszło do zamrożenia barku po urazie, pacjent przyszedł w pierwszej fazie, więc zwykle odczuwa silny ból, to oczywiście podajemy leki, które działają przeciwbólowo, ale unikamy leków przeciwzapalnych. Najczęściej przepisujemy mieszankę paracetamolu z tramadolem. Zwłaszcza na noc. Chodzi o to, by pacjenci mogli przespać noc. Natomiast lepiej nie brać tych leków w ciągu dnia, bo one mogą spowodować, że granica ruchomości trochę się przesunie i podczas codziennych czynności pacjent podniesie rękę centymetr czy dwa wyżej niż powinien, co tylko podrażni torebkę stawową. Oczywiście można się ruszać, aktywność fizyczna, zwłaszcza na świeżym powietrzu, jest wręcz wskazana, bo pomaga dotlenić tkanki. Musimy jednak pamiętać, że ruch nie może wywoływać bólu.

Jeśli do zamrożenia barku może przyczyniać się związany z menopauzą spadek estrogenów, to może hormonalna terapia menopauzalna pomoże w powrocie do sprawności?



DR HAB. N. MED. ROMAN BRZÓSKA

– ortopeda, kierownik Oddziału Ortopedii i Traumatologii Narządu Ruchu Szpitala św. Łukasza w Bielsku-Białej. Prowadzi Klinikę Barku i jest prezesem Polskiego Towarzystwa Artroskopowego. Kieruje Zakładem Ortopedii Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, Filii w Bielsku-Białej

– Są takie hipotezy, ale nie ma jeszcze wystarczających dowodów naukowych.

A zastrzyk ze sterydem?
– Ja nie jestem jego zwolennikiem. Czasem rzeczywiście jest to jedyne wyjście, ale trzeba wiedzieć, że podanie sterydu może spowodować, że pacjent będzie mógł intensywniej ruszać barkiem, co jak tłumaczyłem, w pierwszej fazie nie jest wskazane, bo mniej więcej po miesiącu, kiedy działanie sterydu minie, ból może wrócić ze zdwojoną siłą.

Jak więc rozumieć metaanalizę brytyjskich naukowców z 2020 roku, która pokazała, że podanie sterydów na wczesnym etapie daje dobre rezultaty? Autorzy tej pracy po przeanalizowaniu badań dotyczących leczenia zamrożonego barku rekomendują takie postępowanie.
– Przywołane badanie jest metaanalizą wielu artykułów i ma ograniczenia metodologiczne wynikające z tego, że zsumowano badania prowadzone na grupach bardzo różnych pacjentów. Z metaanalizy wynika, że tak jak powiedziałem wcześniej, podanie sterydu przynosi u części pacjentów poprawę w zakresie dolegliwości bólowych, ale jest ona krótkotrwała. Może natomiast mieć skutki uboczne. W badaniach randomizowanych, które uwzględniono w tej metaanalizie, nie wykazano znamiennych statystycznie różnic w długości trwania zapalenia.

A co z fizjoterapią?
– Najwyżej jakieś podstawowe czynności, np. rozluźnianie mięśni łopatki i przykręgosłupowych. Natomiast na tym etapie fizjoterapeuta w ogóle nie powinien dotykać barku. Żadnego rozciągania na siłę, żadnej rehabilitacji przez pot, krew i łzy, jak to niektórzy barwnie określają. Na szczęście rzadko już do tego dochodzi, ale jednak się zdarza. Taka rehabilitacja w połączeniu z niesterydowymi lekami przeciwzapalnymi tylko wydłuża proces powrotu do zdrowia. Pacjent traci nadzieję, że cokolwiek może się poprawić.

I co wtedy?
– Wtedy najtrudniejszym zadaniem jest przekonać go, żeby zrezygnował z niesterydowych leków przeciwzapalnych i z rehabilitacji, przynajmniej na pewien czas. Fizjoterapia prowadzona w fazie remisji, czyli ostatniej fazie, może przyspieszyć powrót do zdrowia mniej więcej o miesiąc. Pod warunkiem, że będzie to fizjoterapia prowadzona z zachowaniem pełnej delikatności, ostrożnie, żeby ponownie nie uszkodzić torebki stawowej. Nawet mikropęknięcia mogłyby nas cofnąć w tym procesie.

Ile osób odzyskuje pełną sprawność, a ile wymaga operacji? Jak to wygląda z perspektywy prowadzonej przez pana kliniki barku?
– Do nas często trafiają pacjenci już po przejściach – myślę, że jest to 80 proc. wszystkich naszych pacjentów. 90 proc. z nich odzyskuje pełną sprawność. Leczenia chirurgicznego wymaga pięć-sześć osób rocznie. Jest to niewielki odsetek wszystkich pacjentów.

Czy możemy zrobić coś, by zmniejszyć ryzyko, że pewnego dnia nasz bark odmówi współpracy?
– Dbać o siebie. Dobrze się odżywiać, nie lekceważyć problemów metabolicznych i hormonalnych – leczyć otyłość, cukrzycę i choroby tarczycy oraz uprawiać sport w sposób rozsądny.

To znaczy?
– Ze zrozumieniem dla swoich ograniczeń. Jeśli ktoś w wieku 50 lat zaczyna ćwiczyć jogę i zmusza torebki stawowe do pracy, której one nigdy nie wykonywały, to może dojść do mikrourazów, a te skumulowane będą zwiększać ryzyko wystąpienia obkurczającego zapalenia torebki stawowej. Nie należy też sugerować się możliwościami innych osób. Nie wszyscy mają predyspozycje anatomiczne do tego, by zrobić szpagat. Na pewno będzie to łatwiejsze dla osób z wiotkością stawową, ale one z kolei są narażone na rozwój niestabilności. Rozsądne uprawianie sportu to przede wszystkim dopasowanie treningu do swoich możliwości. ▲

eprasa.pl c8499ac1c9

WYCZESANY PREZENT

Grzebień The Coastal Comb® polskiej kapsułowej marki Luare wykonany został ręcznie w szwajcarskim atelier produkującym luksusowe grzebienie. Łączy minimalistyczną estetykę z codzienną funkcjonalnością. Zaprojektowany z myślą o delikatnym rozczesywaniu włosów, sprawdza się również podczas aplikacji odżywek i masek. Inne świąteczne zestawy marki, w tym szczotka The Coastal Brush® 1892, dostępne na Luarebeauty.com oraz na Sephora.pl ***(grzebień 299 zł).***





WŁOSY JAK U ANISTON

„Tworząc markę do pielęgnacji włosów, wiedziałam, że nie mogę iść na kompromisy" – mówi Jennifer Aniston, która stworzyła Lolavie. I dodaje, że liczą się dla niej skuteczność i transparentność składu kosmetyków opartych na technologii B-Pro3™ odbudowującej wiązania keratynowe ***(ceny od 60 zł, na wyłączność w Douglasie).***



WITAMINOWA NAPRAWA

Do włosów suchych i osłabionych marka Hagi stworzyła linię VITAMIN Repair B5+B7. Szampon, odżywka, maska i wcierka pomagają przywrócić włosom sprężystość, miękkość i zdrowy wygląd. Formuły zawierają prowitaminę B5 (pantenol), witaminę B7 (biotynę) i proteiny pszenicy ***(szampon naprawczy 300 ml/45 zł, Hagi.com.pl).***

GRUBIEJ I GĘŚCIEJ

Pojawiło się aż pięć nowości do włosów Clarinsa. W skład Hair Therapy wchodzą: wzmacniający szampon, lekka odżywka optycznie pogrubiająca włosy, maska wzmacniająca, wielofunkcyjny olejek i serum na skórę głowy zwiększające gęstość włosów (dzięki F_03 TECHNOLOGY) ***(50 ml/409 zł, Clarins.pl).***



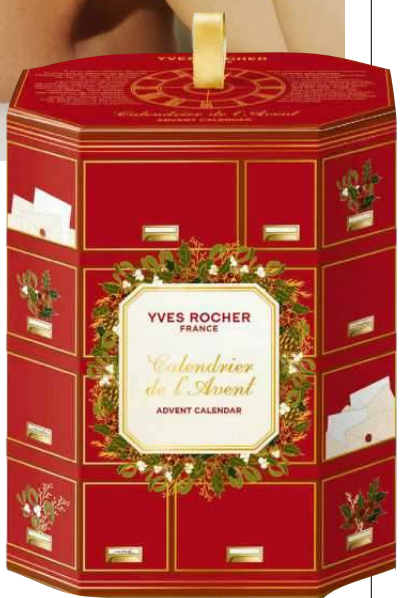

24 NIESPODZIANKI

Kalendarz adwentowy Yves Rocher kryje 24 niespodzianki: produkty do pielęgnacji twarzy, ciała i włosów oraz do makijażu. Pięć produktów w pełnowymiarowym formacie i 19 w formacie podróżnym ***(329 zł, Yves-rocher.pl).***



MAŁE BESTSELLERY

Cztery bestsellery marki Samarite teraz w wersji travel w zestawie Mini Basic Set. Supreme Cleanser, Divine Elixir, Divine Cream oraz Supreme Balm znajdziemy w świątecznym opakowaniu w formie torebki ozdobionej kokardą i z miejscem na dedykację ***(129,99 zł, Samarite.eu/pl/)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl c8499ac1c9

JUŻ W SPRZEDAŻY



Co czeka polskie skoki? Jaki będzie nadchodzący sezon?
Rozmowy z Apoloniuszem Tajnerem i Maciejem Maciusiakiem.

Analiza formy reprezentantów i przegląd młodych talentów, następców Stocha, Żyły i Kubackiego.

Zimowe emocje w wielu dyscyplinach – biathlon, biegi, łyżwiarstwo, snowboard i narciarstwo alpejskie.

Magazyn do nabycia w punktach sprzedaży prasy, m.in: w salonach EMPIK, na stacjach benzynowych, w salonikach Media Relay, w sklepach sieci Żabka i LIDL oraz w innych dobrych punktach sprzedaży prasy. Zamówienia w internecie: **KulturalnySklep.pl**.

eprasa.pl c8499ac1c9